

EX LIBRIS
LODA and EDWARD C. ROZANSKI

133676

0982

0982

0982

0982

Wzrost na niela pamiatko.
Zwiazku ^{od.} Palek w Amery.

ZBIÓR

NOWEL I OBRAZKÓW

Marii Konopnickiej

PRINTED IN THE UNITED STATES

C4953

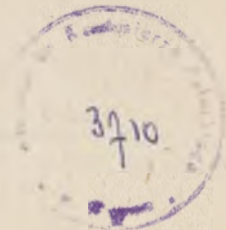
MARIA KONOPNICKA

ZBIÓR

Nowel i Obrazków

wydał

Związek Polek w Ameryce



DRUKIEM - PITTSBURCZANINA

2637 PENN AVE., PITTSBURGH, PA.

1945

SPIS RZECZY

	Str.
NIEMCZAKI	1
W GDAŃSKU	13
MARIANNA Z BRAZYLII	29
JÓZEFOWA	43
URBANOWA	57
BANASIOWA	69
MARTWA NATURA	81
MORZE	91
KSAWERY	125
W STARYM MŁYNIE	141
MOJA CIOTECZKA	163
W WINIARSKIM FORCIE	175
JÓZIK SROKACZ	187
MARYŚKA	203
LALKI MOICH DZIECI	225
ANUSIA	235
Z CMENTARZY	257
DYM	267
NASZA SZKAPA	279
GLUPI FRANEK	317
SZLENDAKI	347
MÓJ ZEGAREK	353
HANYSEK	369
MODLITWA TERKI	375
HRABIĄTKO	381
JAK SUZIN ZGINAŁ	391
WOJCIECH ZAPAŁA	411
NA RYNKU	427
U ŹRÓDŁA	435
W DOLINIE SKAWY	453

W HOŁDZIE SWEJ HONOROWEJ CZŁONKINI

Maria Konopnicka, była pierwszą Honorową Członkinią Związku Polek w Ameryce i do dzisiaj mamy niezatarte ślady Jej wpływu, tak na kształtowanie się uczuć jak i umysłowości wielu członkiń, a nawet całej organizacji.

Maria Konopnicka, w zaraniu powstawania Z. P. w A., gdy organizacja liczyła zaledwie kilka tysięcy członkiń, interesowała się poczynaniami pierwszych pionierek, zachęcała je do wysiłków, pisała do nich, a nawet dedykowała swe wiersze.

Nic więc dziwnego, że od dawnych lat istnieje wśród członkiń Z. P. w A. kult dla tej niezwykłej Kobiety i Polki, a zarazem genialnej Poetki, jaki wielokrotnie został wyrażony przez nasze zespoły i grupy, przyjmujące Jej imię i nazwisko za nazwę towarzystwa.

Kult ten rozrastał się dzięki osobom stojącym na czele organizacji, gdyż pamiętały one o swej Honorowej Członkini i wiele razy dały temu wymowny dowód.

Zawsze byliśmy z tego dumne i fakt ten leżał blisko naszych serc, że na Łyczakowskim cmentarzu we Lwowie, napis na nagrobku największej poetki polskiej głosił, iż wznosił go Związek Polek w Ameryce.

Innym żywym pomnikiem było ufundowanie Biblioteki Z. P. w A. Imienia Marii Konopnickiej, mieszczącej się w siedzibie organizacyjnej.

Swego czasu, przy końcu życia Poetki, istniał projekt sprowadzenia Jej do Ameryki, w celu napisania bliźniaczego dzieła do "Pana Balcera w Brazylii," na temat emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych. Projekt ten miał wszelkie prawdopodobieństwo urzeczywistnienia, a cały

plan omówiła z Konopnicką w sierpniu 1910 roku, bawiąca wówczas w Polsce, z racji odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego, obecna prezeska Z. P. w A. pani Honorata B. Wołowska.

Maria Konopnicka do projektu tego zapaliła się, lecz widocznym było, że jest nadzwyczaj słaba i obawiano się, że to może stanąć na przeszkodzie. Wkrótce stała się rzecz gorsza, która raz na zawsze wytrąciła pióro z Jej rąk — nastąpiła śmierć. Cała Polska oddała Jej cześć. O twórczości Konopnickiej pisały najlepsze pióra polskie i jeżeli pozostaje co do zrobienia, to jest nim to, że ponieważ Konopnicka nie jest znana zupełnie światu anglo-amerykańskiemu, należałoby pisać o Jej twórczości po angielsku, oraz tłumaczyć niektóre z Jej utworów.

Powzięcie zamiaru wydania nowel Konopnickiej, jest jeszcze jednym dowodem, że kult dla SWEJ HONOROWEJ CZŁONKINI nie zaginął wśród dzisiejszego członkostwa i nie mógł Zarząd Główny postąpić piękniej i rozsądniej, jak to zrobił — przeprowadzając jednogłośnie uchwałę w tej sprawie. Dzisiaj bowiem, gdy z racji wojny odczuwa się wielki brak książki polskiej — nowele Konopnickiej, zapewne z radością powitane będą przez nasze członkinie, a tym bardziej przez rodaków, których wojna wyrzuciła z rodzinnych domów i z kraju, gdyż i z myślą o nich, w wielkiej mierze, książka ta była projektowana.

Pragniemy zaznaczyć, iż jest to najbardziej obszerny tom nowel Konopnickiej, jaki był kiedykolwiek wydany, a czyniąc to — Związek Polek w Ameryce nie zrobił nic innego, jak spłaca dług moralny TEJ, KTÓRĄ OBRAŁ ZA SWĄ HONOROWĄ CZŁONKINIĘ I POD JEJ UROKIEM SŁOWA POZOSTAJE DO DNIA DZISIEJSZEGO.

Możemy się zapytać: Dlaczego to kobieta polska w Ameryce tak ukochała Marię Konopnicką i jej pisarską spuściznę, że dotychczas często wraca do tej krynicy natchnienia, oraz uczy swe dzieci jej wierszy?

Odpowiedź będzie prosta: Wieszcza ta pisała tak jak czuło serce kobiet polskich, pragnących lepszej doli kraju, przez zniesienie niewoli i poprawienie stosunków społecznych.

Nic też dziwnego, że te dwa prądy — społeczny i narodowy, przyczyniły się do powstania Związku Polek w Ameryce.

Nowele Marii Konopnickiej, zebrane i wydane przez Związek Polek w Ameryce, mają w sobie przeważającą treść społeczną, aczkolwiek nie brak wśród nich obrazków charakteryzujących dusze ludu i kobiet, malujących ich uczucia, a zwłaszcza religijność i mistycyzm. Przedstawiają one dosadnie warunki materialne i życiowe niższych warstw społecznych, tak jak gdyby pragnęły być nkazem dla przyszłych pokoleń, że trzeba je zmienić, a zamiast beznadziejności i szarżyzny, wprowadzić radość czynu, pracy i słoneczność życia.

Z prostych ludzkich przyczyn, dlatego że umiała wypowiedzieć to — co inni czują, że interesowała się CAŁYM NARODEM, począwszy od dzieci, a skończywszy na starcach i najbardziej wydziedziczonych — Maria Konopnicka została najbardziej ulubioną poetką Polek w Ameryce i nadzwyczaj cenioną tutaj indywidualnością.

Czytając te nowele, musimy pamiętać jednak, że czas nie stoi w miejscu, że od lat Konopnickiej do dzisiaj, wiele zaszło zmian, wiele zmieniło się na lepsze i że w obecnej wojnie wykuwana jest przyszłość tak dla wolnego bytu narodów, jak i polepszenia codziennego życia szarego człowieka. Nie straciły jednak one wiele ze swej aktualności, zmieniło się bowiem jedynie tło, a dążności zostały te same.

Jako członkinie Związku Polek w Ameryce, możemy być dumne, z naszych skromnych wysiłków w dziedzinie wydawniczej, przez wydanie bowiem nowel Konopnickiej, dodałyśmy bodaj najpiękniejszą książkę do dotychczasowej działalności naszej w tej dziedzinie.

JADWIGA KARŁOWICZOWA,
Redaktorka i Kierowniczka
Działu Oświatowego Z. P. w A.

Chicago, luty, 1945

LIST MARII KONOPNICKIEJ
DO ÓWCZESNEGO ZARZĄDU
ZWIĄZKU POLEK W AMERYCE

Stanaum : Droga Rodkach!

Spieszę prosić Was najczęściej o
podwiechanie za Wasze rygorenia
i Wasze, bardzo Droga mi, panie,
a także za blizce miadomosci o Waszym
pięknym i potrzebującym - Wasiarhu;
Cele pro i radimie tem se wazniejsze
iz Salta, wuzam w tal opamimie Salta.
Kaci od ameryckiego kraju wilytho same
w sobie krepie murec. Incha wazniejsze
i rachamie tygum, - ale i w tem podobnie
klone pod obrem sila wuzasle, moze ob.
murd! racerepe witali amerykany : gale-
wasi sturimie pi.

Postem pedum, se Wasiarh : Was,
Stanaum : Droga Rodkach,
kedne sila Wasiarh palcha sei,
ke kedne on Wasiarh wilytho panie.
Dy Wasiarh wazniejsze Wasiarh
ale tygum Wasiarh postem, dy Salta, sei.

Cenni a György Károlyi.
Lycerai e ceteri duxes. Transilvaniae. Na
stremum varwaja i amoeni prasy, na
peterre dicitur sa ten cenny duxia
Wmanna, jahim, Drape Kovacchi,
Vasylyjone myy Casserjovci, i sles
Wam gongce, urvene porvrasiani
Ebreim Wam adana

Karolyi Karolyi

L. W. D. J. XI.
1702.

NIEMCZAKI

Niemczaki

Poszła za Niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią; nie mieszkała nawet nad Wisłą.

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która, między Nerem a Wartą leżąc, łączycaków od kaliszaków grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hałaśliwiej sżłyby między nimi owe stare spory, które, z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie się kończą jednym argumentem: ze strony kaliszaków, że łączycaki, jak piskorze piją, a ze strony łączycaków, że kaliszacy kiedyś tam zblamowali się szpetną rejteradą. Ano, Bóg z nimi.

Zapadał się tedy ów dwór stary, belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdym pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący. Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze staro-prastarego gniazda wyszli i po świecie roztułali się jakoś.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to, jakby tem wiatr pomiótł, tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, Niemiec jeden upodobał wielce, a że był młody, przystojny, pracowity i proceder kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczynina, nad czem stary pan starego dworu, teraz na rezydencji u krewniaków, aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie.

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mawiał stary pan, pałac długą fajkę i kiwając głową. Postaw z bławatu, a wątek pacześny!

Zachmurzał się i mówić o tem wogóle nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu innemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale “szwabem” lub “kupczykiem” nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło.

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgasło, niż ma degenerować!

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnięcie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wątłe, czem się matka nie-mało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakim oddycha droga wasza dziatwa! Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło. . . .

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacje wziąć?

— A może?

Ale stary pan oburknął się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych szwabów, to ja się zawczasu wynoszę.

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce, a nade wszystko tę atmosferę obywatelskiego życia, od której późno mu było odwykać. Tu jeszcze mógł, w gan-ku stanawszy, huknąć na całe gardło! “Zaprzęgaj”: tak, że echo, o trzykroć od węglów stodoły odbite, aż u lamusa gdzieś cichło. Tu chłop, przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze zdejmował, czy był kto, czy nie był w gan-ku. Tu, co niedziela, siadywał w kolatorskiej ławce, gdzie mu gospodarz, jako starszemu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował; tu wreszcie miał swoją sławną wyzłicę “Czajkę” i niemniej sławną strzelbę “porucznikówkę”, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatelem.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy, układające podróż chłopców, zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stację wyszły, przecież, posłyszawszy, jak wracająca nejtyczanka zaturkotała na podbrukowaniu, a Wojciech z bata palnął — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Raźne to było, jak skierki, ruchawe, eleganckie, opięte, ale zmizerowane bardzo. Twarzyczki bledziuchne, jasnowłose główki, ciała szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot, chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni także, czem dzieci, jakby przestraszone nieco, kłaniały się na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocąc jeden przez drugiego:

— *Guten Tag lieber Onkel!*

— *Guten Tag liebe Tante!*

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne splunięcie starego pana, w chwili właśnie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował w powietrze, nie wiedząc właściwie, do kogo się zwrócić:

— *Guten Tag liebster Gross-Papa!*

Służba paraskała w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne paniczyki zupełnie jej się wydały podobnymi do tych, nie przymierzając, małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodarz i gospodyni zachwyceni byli dzieciakami. Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obycie się z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ta ich subtelność chwyciła za serce, takie to było przejrzyste, takie się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstały chłopców dokoła, dotykając ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torebek podróżnych, a nade wszystko ręką-

wiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu, rzecz prosta, nie było na teraz mowy: rekognoskowały dopiero. Jedna tylko trzech-letnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc "buzi".

— Jak wody! jak wody, tak to dziecko buzi daje! Nic nie żałuje! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieśczołkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko, pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzył na malców z pod brwi siwych, zsuniętych, krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli!

— At! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich, jak lalki w pudło, to i przyjechali.

— No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan i, odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka. Potem cofnął się i drzwi pokoju swego zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec niebardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nie tyle, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy. . . . Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca — niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przyłgnęła do nich szczerze i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: "Niemczaki".

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa: "Niemczaki" nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem, powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak, jak Niemczaki, posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i tak do nich, jak skóra, przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co się jeszcze milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczakami przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie "Niemczaki" coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli, jako żerdź po płocie, na kolana brał, piosenki im gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić się dawał. Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie broił, ale Niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza, wyłączne były z "Instrukcji". Instrukcją nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj musztry, w której chłopcy

to nosiły kije, jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały, broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały, jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nieprzypuszczone do "Instrukcji" Niemczaki, stały tymczasem zdaleka, miłośernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególnie, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką poządlivością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do musztry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odburknał stary pan gniewnie. A zmiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką "Instrukcję." Ręce jak patyki, nogi, jak trzcinki, jeszczeby się to połamało do diaska.

O tych rękach, jak patykach, i nogach, jak trzcinkach, mówiło się — ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędźniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męskiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, co by rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas "Instrukcji" trzeba było szerzej front rozwinąć, albo wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i, choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo na wygonie, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwycił, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do "Rokity" śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymać i kawalerskim honorem, równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopcy kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę "Instrukcję", przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwycił. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął i, obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencję — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot, szwabskie małpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę i, z triumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domo-

wych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem zcicha:

— A kto ich wie? A może! . . .

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od "Instrukcji" trzymał.

Jakoś gospodarzowi to markotno było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie "Instrukcji" podano, spojrzął na starszego z chłopców i, kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten wariat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodół znów wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy!

Na przełaj zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzął, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopca, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słyhać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i, przewróciwszy do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozděły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchłał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemieńce rozrywa, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłęb pyłu polatywał drogą.

Stał pan stary w ganku i, wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tętent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować, gdzie i z jakiej strony, już Rokita, jak wichler, na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo się trzymający w siodle — Niemczak. Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otworzył ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwycił, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza. . . . Nasz ród stary! pocziwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. Choćbyśmy go Stachem nazwali? . . .

— — — — —
Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

W GDAŃSKU

W Gdańsku

Pani Möller. Przez "o". Koniecznie przez kreskowane "o".

Nie jest przecież z tych zwykłych Mellerów.

Patrycjat gdański.

Drobna postać, uśmiechnięta słonecznie, tą nikłą słonecznością późnej jesieni, co to jeszcze świeci, ale już nie grzeje. Postać stylowa, od rozwianego w koronkach czepczka do płytkich ciżemek na wysokich korkach.

Małe, szczupłe, pomarszczone rączki w czarnych jedwabnych mitenkach. Spłowiałe włosy, staromodnie przyczesane w szmelisy, oczy bardzo modre, mrużące się lekko pod zaróżowionym rąbkiem cienkiej podłużnej powieki. Twarz wyrazowa, blada, delikatna, o wytwornych rysach, głos cichy, zamatowany przydechem trochę wąskiej, trochę zapadłej piersi.

Coś zeszlowiecznego, coś portretowego.

— Dokoła — rama.

Salonik, nie salonik; coś, jakby muzeum. Inkrustowane, zalotne, na komarzych nóżkach biureczka; komódki wątle i komódki brzuchate; misterne stoliczki z intarsją, z mozaiką drzewną; tace, żardiniery, półeczki, na gryfach oparte; dziwne kombinacje sekretarzyków, na kręconych słupkach, sepeciki, rżnięte nadobnie, kunsztowne skrzynki i truchła.

Wszystko — czeczotkowe.

Dopiero w głębi tego dziwaczego składu osobliwszych, wykwinnych i lekuchnych sprzętów, dwie ciężkie potężne szafy, udziałane w dębie, całe w girlandach kwiecica i a-

morków, z przewijanemi przez pęki kłosów i owoców sentencjami, wypisanemi dłutem tak zawile, jak tylko zawiłym być może stary, wymyślny, gotycki alfabet.

— Nie na sprzedanie. A, uchowaj Boże! Same pamiątki rodzinne. Ród stary.

Pani Möller, "von Myszkowska" z domu. Z dobrej polskiej szlachty. Z tej prawdziwej, z tej rycerskiej szlachty.

— Teraz to w Gdańsku nie płaci. Ale dawniej! O, dawniej głośno o tem było.

Ojciec, "Joseph von Myszkowski", mistrzem nadobnej stolarszczyzny będąc, niewiele miał czasu myśleć o szlachectwie swoim.

Ale dziad. . . .

Dziad wieczorami, odpiąwszy z haftki zielony czamlotowy fartuch, iż on to pierwszy ową sztukę — tu śliczny, rzewny ruch zmrużonych oczu i małej rączki ku potężnym szafom, do rodu wprowadził, rozповідаł o tem rzeczy wprost do płaczu.

A jaka ta Polska, a jaka sławna, a jakie miasta, dwory, jakie fortece, wojska, kościoły. . . .

Po prawdzie, nie był on tam nigdy, ale od ojca swego to miał i bardzo się w tem opowiadaniu kochał.

I wszystko zresztą poszło z kochania. No, i z wojny.

Bo właśnie czasu wojny, kiedy się dużo obcego narodu do Gdańska wparło, rycerz jeden polski, poranion w bitwie, nie mógł za innymi i w mieście przyzostał. Leczyli go doktorzy, aż wyleczyli.

Cóż, kiedy czarne oczy gdańskiej mieszczańeczki po biły go prawie że śmiertelnym razem. Trzy dni, trzy noce nie wychodził rycerz z co najprzedniejszej piwnicy Joachima Kimtza, wprost starej zbrojowni, i, patrząc na siedzące po gzymsach jej gryfy, pił miód z imbirzem, a naprzemian wino.

Co gdy mu w serdecznej opresji, jaką cierpiał, ulgi przynieść nie chciało, i owszem przymnożyło w nim upalność żądz, drugie trzy dni i trzy noce pił w zacnej piwni-

cy Radzieckiej pod samym Ratuszem, smakując ratafie z przeróżnych gąsiorów. Tak go jednak afekty sparły, że i to mu niewiele pomogło.

Wziął tedy na odwagę i uderzył o swoje czarnookie cudo.

Mökinsówna była. Seniora Mökinsa jedynaczka córka.

Ród Mökinsów niebardzo się w chudej szlachetczyźnie kochał.

Zmierzyły się tedy dwa przeciwne duchy. Rycerz mniemał się zniżyć ku mieszczańkom onym, Mökinsy zaś się zgóry i przez ramię poglądali na bezdomnego wojaka.

Rekuzować jawnie, nie rekuzowali, gdyż zalotnik okrutnie wąsy jeżył, w szablę trzaskał i rękami machał; ale zwlekali.

— Ni tak, ni siak.

Gdy wszakże pięknej Trudzie zaczęło wszystko z rąk lecieć, że co najcenniejsze farfury co dnia w skorupy sły, poznała matka, jako tu odmowa na nic, gdyż panna w rycerzu się kocha.

Gdyż wypróbowaną jest w całym Gdańsku rzeczą, jako tak wielkie szkody i liczne ubytki tam tylko przygodzić się mogą, gdzie miłość się wda i zastanowienie odbiera.

Nie było tedy co, tylko się do przyzwolenstwa nakłonić; tem bardziej, iż rycerz głośno deklarował, jako tę pannę zbrojną ręką będzie brał, gdyby mu jej po dobrej woli nie dano, żyć bez niej nie mogąc żadnym kształtem ni sposobem.

W trzy tedy niedziel od tej deklaracji ruszył orszak weselny z kamienicy Mökinsów, z tamtej strony zwodzonego na Motławie mostu, wprost do Mariackiego kościoła, strojnie, barwnie, uroczyście, świetnie.

Pan Młody konno i zbrojno, by karp, łuską pozłocistą kryty.

Panna Młoda, dla zbytnej subtelności tych przedmażeńskich momentów mdłość cierpiąc, z matką w lektyce niesiona była.

Pan Ojciec, w burmistrzowskim łańcuchu, ze wszystkim Radziectwem zaraz za lektyką, a dalej — co przedniejsze i bogatsze rody.

Ciągnęli tedy jedni od "Langgartu", gdzie z dziada pradziada mieli składy budulcu, całe puszcze, w zasieki zwalone, insi od "Śpichrzowej Wyspy", gdzie im zsypy zboża górami stały; insi od "starego Portu", gdzie własne okręty na warsztatach mieli, albo je pławili do dalekich krajów; a jeszcze insi od sławnych sukiennic i fołuszów z "Niskiego Podgrodzia".

Waliło to huczno i buńczuczno, szumno i tłumno przez ciężką, poczerniałą wiekiem Mariacką bramę w starożytną ulicę Panny Marii, która do kościoła, jak strześlił, prowadzi.

Tamże dopiero widowisko cudne. Owe to wąskie, a wysokie domy, różnobarwną dachówką kryte, wycinające się zębato, kanciasto, wieżasto na bladym błękitie nadmorskiego nieba. Owe to szczyty, przedziwnie rzezane, na których lwy, smoki, a nierzadko i personsy kamienne ku ozdobie stały, owe gzymсы, strojnie kładzione, owe galeryjki przyokienne, pełne kwiecia i dziewczęcych główek, owe przydaszki, owa mnogość szyb drobnych, lśniących w słońcu i w ołów oprawnych.

Przed domami, na gankach, okładanych płytami z kamienia rzeźbiarskiego w drzewa, zwierzęta, w rodowe godła i w biblijne sceny, rajcowały, pokrzykując wesoło, pomniejsze mieszczki, w jedwabnych jubkach, w fartuchach, złotą nicią szytych, w bursztynach i srebrnych filigranach, w złotogłowych czepcach, z kogutkiem i w całej paradzie, jako że świąteczne popołudnie było.

Pod gankami zasię, od których ozdobne schodki wprost w ulicę szły, u wejścia do piwnic sławnych, roilo się od pospolitego ludu i co podlejszej gawiedzi.

Mieli też, bo mieli patrzeć na co.

Za samo noszenie złote z kamykami, w które Pani Matka jedynaczkę do ślubu przybrała, tęgą skutę pszenicyby kupił.

Bogaty ród Mökiny!

Tak ciągnął orszak weselny, któremu przygrywały trzy kapele miejskie: radziecka jedna, halabardzistów jedna i kupiecka jedna. A kiedy Młodzi, pod biciem dzwonów, w gotyckie odrzwia kościoła wchodzili, ogon orszaku jeszcze się u Motławy, lśniąc w słońcu setnemi barwy, z szumem i wrzawą gędziebną poruszał.

Huknął potężny organ, mało co ustępujący onemu cysterskiemu w pobliskiej Oliwie, o którym powiadają, że, kiedy zagrmi aboli fletowe głosy wypuści ze siebie, to morze staje i aż po zatokę Pucką ucisza się, a słucha.

Wnet tedy podpisywać zaczęto akt zaślubin onych. Samych kanoników coś pięciu, razem z Infułatem, prebendarzy nie rachując zgoła, ba, senatus wszystek, jako że senior Mökins, jeden z czterech burmistrzów miasta będąc, jak nie królewskim burgrabią mógł zostać.

Jeden tylko Pan Młody markotno się w tej wspaniałości czuł, że to splendorów swego rodu narazie wykazać nie mógł.

Ale kiedy, podkręciwszy sumiastego węża, pióro ujął i przy zadzierzystym podpisie "Nicolaus Myszkowski", "Aeques polonus" przystawił, pod czem datę z łacińska: "Dantiscum, vel Gedanum" wyrznął, a górnice na ono mieszczaństwo spojrzawszy, szablą szczyknął, szmer poszedł między co bliższymi gośćmi, jako jest szlachcic ważny, rycerz i uczonec.

I tak mu ta kondycja została.

Trwał w niej "Nicolaus von Myszkowski", nie przeciwiąc się losowi zbyt.

Handlu się ni kupiectwa nie miał, która rzecz — miał — mniej szlachcice przystoi. Pracą się też inszą nie zabawiał, czekając z dnia na dzień, z roku na rok takich politycznych konjunktur, któreby go do rycerskich spraw powołać mogły.

Tak w ciągłej gotowości wojennej żyjąc, szabli prawie że nie odpasował, włócząc ją na długich rapciach po ulicach Gdańska; Trudę swoją rzewnie miłował i po

zacznych piwnicach, jakie tylko gdzie w "Dantiscum" znajdować się mogły, rad siadał.

Szczególne jednak ulubienie miał do tych u "Starej Windy", u "Świętoruskiej Bramy", u "Rybnego Targu", gdzie z Retmaństwem, prowadzącym statki i galary Wiśłą, przy szklenicy o Polsce ugwarzać mógł.

Poczem, gdy tak miód korzenny, jak i przypomnienia, do samego osierdzia go wzburzyły, szedł aż na "Stare Uście Wiślane", klnąc kochanie, które go jeńcem między "Szwaby" trzyma.

Mökinsówna de domo tymczasem, krzątając się pilno dzień cały, doglądała czeladzi, mieszkaniem rządziła sama, dobra przyczyniała, a raz to powziąwszy sobie, iż szlachectwo męża dużo go nad nią wynosi, folgowała mu we wszelkiej fantazji. Zaczem obrodziło dzieci, jak gruszek.

Chłopaki — w matkę.

Czarne oczy, więź tęga w sobie i śniada uroda.

Dziewczęta "von Myszkowskie" w ojca, z modrem, tęskliwym kędyś wdał, spojrzeniem.

Ani synowie jednak, ani córki w mowie za ojcem nie poszli.

Jeszcze tam z maleńkości, w tych najpierwszych swoich leciech, ugwarzało to co nieco po polsku. Ale, od szkół zacząwszy, tępał im język na te polskie dźwięki, a po krótkim czasie już tylko "panociec", "Polska daleko" i "Ojcie nasz" jak niebądź rzekali.

Co niedziela, rankiem, zanim ruszył do Oliwskiego klasztoru, gdzie stale Mszy świętej słuchał, zmawiał "von Myszkowski" na klęczkach, przed krucyfiksem, polski pacierz z dziećmi, okrutnie tłukąc się w piersi.

Im zaś dzieci gorzej mówiły, tem silniej się tłukł, wołając ze skruczą: "Moja wina! Moja wina! Moja bardzo wielka wina!" a łzy, jak grochy, leciały mu przez lico.

Zaczem chodził osowiały, skruszony, rozmyślający o jakimś nagłym powrocie do Polski, bodaj na galarze, póki mu żona nie nagotowała polewki winnej z muszkatem, który specjał ratował go w desperacjach onych prawie

że cudownie.

Synowie zresztą dłużej nieco utrwali przy ojczyściej mowie; córki, za matką poszedłszy, prędko się onej polszczyzny wyzbyły.

Szły czasy.

“Nicolaus von Myszkowski” coraz głębiej wrastał w ciepły puch rodzinnego gniazda, w łatwe życie bez pracy, bez troski, lubo pobrzękiwania w szablę zawsze było dość, a i tej zadzierzystości szlacheckiej, która go ponosiła, ni-by ptaka pióra. Pił-li albo-li w dyskurs wszedł, zawsze się takowa okazja naleźć musiała, że ono szlachectwo na stół wychodziło.

Że jednak miękkiego serca człowiek był, na kredyt nie pijał, i rad, by najpośledniejszemu knechtowi wypitek jego, potkawszy go pod wiechą, płacił, byle mu tylko o Polsce mógł powiadać, ile dusza raczy — lubili go Gdańszczanie.

Co jednak pewna, to, że pod żebrem robaka miał, który go, nocami zwłaszcza, gdy wszystko dokoła ucichło, a tylko zegary miejskie wybijały powolne, niespane godziny, od samej miazgi serdecznej — zażerał.

Pyta go żona, czemuby zaś nie spał?

Aż on sierzdiście:

— Bom Polak! Bo mi w szwabskich betach spokoju nie naleźć!

I zaraz od rana, po nocy takowej, zabierał się i “do Królów” szedł.

Padało wtedy na dom cały głucho zalęknienie. Coś jakby oczekiwanie rzeczy niecofnionych, wyroczych.

— Do Królów Ojciec poszedł — oznajmiała matka, pobladła nieco, surowa.

— Ojciec poszedł do Królów . . . — szeptały po kątach dzieci, a wszyscy, choć niewyraźnie, czuli, że ich w tej chwili dzieli od niego świat — nie do przebycia.

Zaczem peźło gnębiące milczenie po komorach, alkowach, świetlicach wąskiej kamienicy przy “Warzywnym targu”, a piękna Truda, bo zawsze jeszcze była piękną,

gubiła klucze, myliła się w rachunkach i z niepokojem, który jej serce, jakby strzałą, bódł, wyglądała ku Oliwie to jednym, to drugim oknem, het, na północ miasta.

. . . Była więc moc, która jej zabierała męża i pod urokiem władzy swej trzymała . . .

. . . Była taka moc, której on serce otwierał, do której po ratunek biegł . . .

. . . Była moc, mocniejsza od niej, od dzieci, od kamienicy przy "Warzywnym Targu." . . .

Tymczasem "von Myszkowski" szedł pilno za bramy miasta, ku nadmorskiej, książęcej Oliwie, właśnie jakby tam kto czekał na niego.

A "Króle" istotnie czekały.

Czekały u Cystersów, w Oliwskim kościele, w samym prezbiterium po obu stronach wielkiego ołtarza, pendzlem w całej postaci kunsztownie wydane.

Czekał Henryk Pobożny, z oczyma wzniesionemi w niebo; czekał Łokietek w wlokącej się purpurze, czekał Kazimierz z potoczystą brodą. Majestat łaski bił od nich i blask królowania.

A choć się ich tam znajdowało więcej, tych nade wszystko upodobał sobie "von Myszkowski" i do nich niósł serce wezbrane.

A nie musiało to być do niesienia letkie, bo rycerz włókł się przez nawę zgarbiony, jakoby przyciśniętym nieznośnym ciężarem.

Zaczem siadał w pustych stallach nawprost wizerunków onych, a sparłszy głowę na rękę, patrzył.

Aliści, im dłużej patrzył, tem mniej widział. Gdyż zachodziły mu oczy wilgotnym tumanem, który przed nim świat mienił. Przepadał kędyś stary mur kościelny, przepadały żaloby przeciw światu, przeciw sobie; przepadały nawet konterfekty "Królów", a skroś lekuchnej, pomglistej rozwiei otwierały się widzenia dalekie, niewypowiedziane.

I szły z dalekości onej roztworzyste, szumiące kłosem pola, po których niegdyś pacholęciem biegał; szły knie-

je borowe, uroczyska przeświętej ciszy pełne; szły położyste łągi w siedmiokrasym świetle; szły gaje, strumienne rozłogi, a długa wysada strzelistych topoli, majowym liściem szemrząca, tak blisko podchodziła ku niemu, że zapach lepkich żywiczek jej czuł, że tylko wstać i stąpić krokiem i iść do rodowego gniazda, co się u jej końca, skroś świeżej zieleni bielilo.

Ale nie wstawał.

Kulił grzbiet, pochylał głowę na splecione ręce, cisnął niemi zamknięte powieki, aby widzenie ono zatrzymać, a w piersi mu jakowyś skowronek trzepał w piórka i śpiewał zaczarowaną piosenkę, od której puszczały się dżdże bujne, kropliste z pod stulonych powiek.

. . . I szły na niego starodawne grody, kipiące wrzawą praojczystej mowy, szły mury dostojne, z których każdego kamienia hukalo światło i sława; szły rzesze ludu do jakiejś wielkiej, a pospólnej pracy. . . .

. . . O ziemię rodzona! O miłowana! . . .

I znów szły czasy.

Synowie zaprawiali się wcześniej do kupiectwa, dorastali, żenili z Gdańszczankami z co najwyższych i najozdobniej gzymsowanych kamienic, przedsiębiorcze, zabiegłe, prawoszczere Mökinsy, po duszy i ciele.

“Von Myszkowskie”, drobne, ciche, delikatne, miały w sobie coś urokliwego. Sam kwiat młodzieży ubiegał się o nie, lubo żadna ciasta na piernik małemi rączkami zagnieśby nie mogła. Dawano je też zamąż młodo, za Garnichów, Frenczów, Sebastów.

Z synów jeden drzewo do Anglii pławił, drugi okrętowych sucharów wypiek prowadził we własnych piecach, na sto rąk czeladzi, trzeci przedniemi suknamy handlował.

Ale najmłodszy, którego “panociec” cierpko wołał “Hans”, a pani matka, iż gagatkiem jej był, wabiła z polska: “Jaszek”, od pacholących lat osobliwsze umiłowanie do snycerszczyzny powziąwszy, w sztukę się oną dał i, Norymbergę dla ćwiczenia się w niej zwiedziwszy, wprędce zasłynął, jako mistrz nad mistrze w ornamen-

towaniu onych to skrzyń, onych szaf, sepetów, z których Gdańsk na cały świat ma chlubę.

Nagle gruchnęła wieść, od wiślanych flisów przyniesiona, że się w Polsce na wojnę zanosi.

W "von Myszkowskiego", jak piorun, to trzasło.

Rzucił się do ostrzenia szabli, do szmelcowania porzdewiałego rynsztunku, do czyszczenia sprzączek, rzemieni.

Całemi dniami próbował młyńców, podbijań, sztyków falesznych, sztyków sięganych, górnych, dolnych, przrucanych to na lewą, to na prawą rękę.

Jakaś młodzieńcza żywość przykрасiła mu nadwiedle oblicze, głos uczynił się dźwięczny, ruch sprężysty, gibki. Łosiowy kaftan szyć sobie dał i ku koniom ogładać się począł.

Było tego podpału coś tydzień z okładem. Zaczem gorączka ugasała, a zaczęły go nachodzić myśli zwątpiałe i frasunki mętne, co to nie dają k'rzeczy ni w tę, ni w tę stronę.

— Jakoż mu rzucać dom, żonę i dzieci? Jakoż mu zwykać na nowo do żołnierskiego żywota?

Kobieta, wiadomo, łatwo serce i sentyment odmienia, dzieci wypuszczają z pamięci. . . . Fortuna też jest srodze variabilis. . . .

A już i młodość minęła, i ciało ociążało, i dech coś w piersiach przykrótka. . . . Co czynić? Czego poniechać? Czego się chwycić, dlaboga?

I tak, popadłszy w okrutną rozterkę, jakoby więc żywcem darty w dwie przeciwne strony, gdy serca ani od miłej rodziny oderwać nie mógł, ani od powinności rycerskiej, gdy nadto kaftan łosiowy ciasnym się być pokazał, a koń twardym w pysku i nieunoszonym, trzy dni "von Myszkowski" w "Piwnicy Nowej" nad Raduną siedział, bijąc się z myślami pojedyńkowym, prawie że śmiertelnym bojem i gęsto mieniając omszałe gąsiory.

Ale trzeciego dnia pod wieczór, nie mogąc należeć spokojnie do postanowienia, w ognjach onej walki cały, z ja-

kowymś wichrem gorącym i tętnieniem w głowie do "Królów" po ratunek ruszył.

Już zarze niebem szły i pod Anioł Pański się miało, kiedy, przez kruchtę do pustego kościoła wpadłszy, krzyżem się przed "Królami" rzucił.

. . . O Króle Najmiłościwsze! O Króle Polskie, prawe. Ratujcie mnie wy teraz w tym dusznym ucisku!

. . . O miłościwy Łokietku! . . . O wielki Kazimierzu! Przed wami serce moje na dwojgo rozdarte!..

. . . O Najjaśniejsze Króle! O Łaskawe! Wszak wiecie, jakom tu tylko doczesny kampak miał, a jakom dyszał ku Ojczyźnie milej!

— Ratujcie! . . . Uciszcie we mnie tę nawałność krwawą! . . .

Nie dajcie mi pohańbić tej szabli! Tej rycerskiej wiary! . . .

Oto ja miles wasz i służebnik wierny. . . . Za was . . . za Polskę . . . żywot mój. . . .

Jeszcze domawiał te słowa, rwane jakimś wewnętrznym, ciężkim szlochem, kiedy mu tuż nad głową huknęła dzwon na "Ave".

Porwał się "von Myszkowski" z nieprzytomnym rykiem, krew mu chlusnęła przez wargi, wyciągnął ręce, jak ślepy, potknął się, zatoczył, i tak go, wołającego wielkim głosem:

— Na pomoc! Na pomoc Ojczyźnie! — śmiertelny szlag trafił.

Tedy, pogrzebawszy rodzica na Katarzyńskim cmentarzu, zaraz się starsi synowie zaczęli pisać: "Mökinsv. Mischkovsky".

Najmłodszy tylko uroczyście i wyraźnie podpisywał: "Jaszek Myszkowski", co na niejednej przedniej sztuce jego kunsztu, dłutem ozdobnie wydane, do dzisiaj zostało.

Ale kunszt upadał potrosze.

Już syn "Jaszka", Josephus von Myszkowski, ojciec pani Möller przez "o" kreskowane, zaniechał wyrobu onych szaf dębowych, na które, dla ich wysokiej wartości

i ceny, mały popyt był, a puścił się w one czeczotkowe cacka i już tylko biureczka, komódki, stoliczki, jako i inne drobiazgi, działał, sztuką ojcowską je zdobiąc, iż wyglądały, jak wiązanek kwiecica.

A że się i polityka obróciła kołem, czarnookie stryjce Mökiny całkiem odrzuciły nazwisko Myszkowskich, w samą kupiecką miązgę duszy miasta wsiąkli, bez żadnej o obcość poszlaki.

Dziad Jaszek, po staremu przy polskiej firmie zostawszy, rad prawił o szlacheckim pochodzeniu swoim, a gdy się rozochocił, polską piosenkę którą od ojca swego miał, drżącym głosem śpiewał.

Była to ta sama piosenka, którą wygrywał kurant dzwoneczkowy z Mikołajskiej wieży, przez mistrza Lenarta z Krakowa tu zaprowadzony.

Podnosi się pani Möller z subtelnej kanapki i, do szpineciku pod okno podszedłszy, próbuje wygrać małemi, pomarszczonemi, w czarnych jedwabnych mitenkach, rączkami polską piosnkę dziada.

I palce jednak, i piosnka płaczą się tak, że trudno wyrozumieć nutę, a tylko spojrzenie rzewne, w dalekość puszczone, świadczyło, że piosnka żyje w duszy.

— To tak od tego nieszczęsnego pożaru palce się płaczą. . . .

Ach, jaki to był strach! Jaka żalność! I tak nagle to przyszło, tak niespodziewanie. . . .

Nikt, w całym mieście, o niczem złem nie myślał, ludzi było pełno na Warzywnym Targu, iż się pod wieczór miało, kiedy właśnie kurant grywał, gdy wiatr gwałtowny porwał się od morza, zakręcił z poświstem uliczną kurzawę, a chorągiewki na Starej Zbrojowni zaczęły trzeszczeć, obracać się, skrzypieć. . . .

Za chwilę — ciemno, jak w nocy. Ludzie uciekali w popłochu, gdzie kto mógł otwartej bramy dopaść.

Huknęła burza. Siarczyste błyskawice rozświeciły mrok krzyżowym, okropnym ogniem, a pierwszy piorun trzasnął w Mikołajską wieżę.

Stała w ogniu. Krzyk, tumult, wołanie. Zagrzechotały grzechotki. Pędzą pachołki miejskie z drabinami, osękami, kołami. Dudnią beczki na wozach, latają po rękach konwie, haki, sznury. . . .

Gdzie! Ani dostępu na trzeszczące w ogniu, w dymie schody.

A właśnie doszła godzina.

I zaczęły dzwoneczki na płonącej wieży śpiewać przeżalonemu miastu swój ostatni kurant.

Ach, co to była za śmiertelnie cudna pieśń! Płakało to i śmiało się razem.

A coraz i pękał jakiś szklany głosek, mąciła się nuta, a napowietrzny śpiewak w gasnącym świegocie upadał w zgliszcza i konał.

Tak cichła żywcem palona piosenka, tak milkła ton po tonie, poszarpana, mżąca.

Tak gasły po jednym przejmujące dźwięki. . . . Coś żywego, coś czującego w nich umierało z jękiem. Aż zgasł ostatni, wpół urwanej nuty.

A wtem runął przepalony tram od wielkich dzwonów. Spadły ze stuartmatnim hukiem, jakby się świat walił.

Wtedy to szczupłe, blade rączki w czarnych mitenkach zaczęły drzeć, drzeć, i nigdy już odtąd nie udało im się wygrać umarłej polskiej piosenki.

Pamięta ją jednak. O, i jak pamięta!

I cienkim, bardzo cichym głosem śpiewa pani Möller, "von Myszkowski" z domu, daleką, daleką nutę.

. . . Ostatni dzwoneczek z zawalonej wieży. . . .

Ale na schodach słyhać pewne, śmiałe, dosyć ciężkie kroki.

Piosnka milknie nagle.

Drobna, delikatna twarz zabarwia się lekko falą zaleknienia.

— Córka wraca. . . . Córka nie lubi tego. . . .

Jedyna córka pani Möller nie lubi "tego."

Jakoż drzwi otworzyły się szeroko, a do saloniku weszła zamaszystym krokiem duża, sztywna, niemłoda już

panna śniadej urody, czarnych oczu, płaskiej piersi, pedagogicznej i surowej twarzy.

Silny, wyrazisty, prawy typ Mökinsów.

Od szpincyku poważny uśmiech i lekkie westchnienie.

. . . Finis "von Myszkowskich."

MARIANNA Z BRAZYLI

Marianna z Brazylii

Ile razy spojrzę na "Listy" Dygasińskiego z Brazylii, a pomyślę, jaką to on przeszedł biedę, nim się z ludźmi tamtejszymi porozumieć zdołał, tyle razy żałuję, że zamiast udawać się do konsulów, do dziennikarzy, do inspektorów i do hrabiów, nie udał się Dygasiński prosto do Marianny.

Marianna byłaby dla niego nieoszacowanym skarbem. Objaśniłaby go najakuratniej o wszystkim: co? jak? a nadto — wyprowadziłaby go z wszelkich językowych trudności.

Trudności te nie sprawiały Mariannie nigdy żadnego kłopotu: poprostu nie istniały dla niej.

Kiedy pani jej, zaraz po przybyciu, posłała ją do wspólnej hotelowej pralni, oddanej do użytku gości, którzy, mając własną służbę, sami chcieli zajmować się praniem bielizny, po portugalsku "ropa", a właścicielka przyszła objaśnić o czasie i kolei prania — Marianna, nieprzywykła, żeby jej kto do balii nos wtykał, pobiegła na górę cała w ognjach:

— A jaki też naród tutejszy spierny, proszę pani, to niech ręka Boska broni! Ledwo stanęłam u balii, zaraz tam przyleciała jakaś jędza i dalej na mnie: ty taka! ty owaka! Ja tu nie myślę robić prania z całej Europy!

— Czyż podobna?

— Przecie! wyraźnie słyszałam, jak wykrzykiwała: że nie myśli ludziom z całej Europy prać! Tak ja jej na to: moja pani, jeśliś pani, bo ja tam twego państwa nie widziała! My ta nie ze żadnej Europy pochodzące, tyl-

ko z Dąbrówki, z gubernii siedleckiej! Papiery na to są! Rozumiesz pani?

— No, i co?

— A cóż! zara jej buzia zmaląła, zabrała się baba i poszła!

Istotnie, Marianna była z Dąbrówki.

Nie żadna emigrantka, broń Boże, gdzież tam! Z Dąbrówki wysłała ją starsza pani panience, która była w naukach aże we Francji, w samym Paryżu, i za mąż za Pensylwańczyka, prowadzącego interesy wielkiej paryskiej firmy, do Brazylii wyszła.

Wyszła, ale “nie miała wskórania”, jak opowiadała Marianna. Słaba była, tęskniła, a nade wszystko rady sobie dać nie mogła z murzyńską niechlujną służbą.

— Ach, mamó — pisała do Dąbrówki — gdyby tu była Marianna!

— A cóż? Możeby i wysłać Mariannę?

Szło o Pensylwańczyka, jak ten projekt przyjmie. Był to skrupuł zbyteczny całkiem. Dzielnny Pensylwańczyk miał sobie za miłe, za najmiłsze, wszystko, co pochodziło z Dąbrówki, z gubernii siedleckiej, ba, i ze wszystkich dalszych.

Jeszcze jako narzeczony, kupił on był sobie słownik polsko-niemiecko-francuski i pilnie studiował niektóre drobiazgi polskiej literatury bieżącej. Co większa, nietylko żądał, aby do niego pisano z Dąbrówki po polsku, ale nawet sam się puszczał na pisanie małych liścików w tymże, upodobanym przez siebie języku. Z tego to czasu pochodziła owa kartka, będąca rozkoszą narzeczonej, bawiącej wtedy u matki, kartka, która, po kilkakrotnych darcjach i przepisywaniach oraz po mozolnej kwerendzie w słowniku, tak brzmiała:

“U nas lało i wiało nader silnie. Kocham ciebie nader tkliwie”.

Otóż, wbrew spodziewaniu, kiedy przyszło radzić się Pensylwańczyka co do wyboru służącej, projekt wysłania Marianny o mało że nie upadł całkiem.

. . . Mielibyście z niej wielką pomoc — pisała matka z Dąbrówki — sługa z niej dobra, wszystko robi, pierze” . . .

Na nieszczęście . . . ale były dwa nawet nieszczęścia. Pierwsze, iż przecinek między “robi”, a “pierze”, przepadł gdzieś bez śladu, czemu się, przy tak długiej, a do tego mozolnej, przeprawie, zgoła nie sposób dziwić; a drugie — że młodej pani nie było wtedy w mieście, kiedy list ten przyszedł. Zły klimat wypędził ją do Petropolis, w góry. Dzielnny Pensylwańczyk sam się tedy zabrał do odczytania listu.

Odczytał i zrozumiał wybornie. Tego tylko nie mógł pojąć, dlaczego mu matka chce przysłać fabrykantkę, zamiast sługi? Zajrzał do słownika raz, zajrzał drugi raz: jak wół, wyraźnie stoi: pierze — **Federn, plumes**. Z tego nie był kontent. Po licha mu służąca z taką specjalnością?

Odbywszy tedy odpowiednie studia, tak w małej kieszonkowej metodzie, jak i w słowniku, odpisał do Dąbrówki w tych słowach:

“Dziwię się nader silnie, że kochana mama wybrała nam tę służącą. Będzie ona fabrykowała pióra, zamiast pilnować domu. Nader tkliwie całuję ręce mamy”.

Upłynęło parę miesięcy, nim się porozumiano i nim się znalazł ów przecinek, w drodze zaginiony.

Tymczasem młodsza pani pisała, a pisała; list za listem gonił.

“Mamo droga! Bez Marianny rady sobie nie dam. Mamo kochana, proszę o Mariannę, bo się tu zamęcę z tymi murzynami!”

Co było robić? Nie było co robić! Marianna jechała do Rio.

Podróż ta przedstawiała jej się, tak co do kierunku, jak i co do trwania swego, dość mętnie.

— Jeszcze gdzieś za Częstochową! — odpowiadała organiście i ekonomowej, które się o Brazylię pytały.

W dzień wyjazdu ubrała się też tak, jak się zwykle

wybierała na wielkie, doroczne odpusty. Wzięła na siebie nową kamlotową suknię, na to watowaną jubkę, na to dużą paradną chustkę derową: zaciesała siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu z pośród gawiedzi wioskowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej — rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi — za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już za próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszę ze świeżo wyleżonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu, Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kacząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jada i, szeleszcząc wykrochmalonemi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zaryczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Mariannę moc ducha, a małe, bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała, co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozplakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek zawadził o sernicę, na której ociekał świeżo ogrzany twaróg, i omal nie wrócił całego kramu.

To ją otrzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak, nie dbając na swoją toaletę, skoczyła, Wicka zwymyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa, który do serwatki milczkiem podchodził, kopnęła, a tymczasem dziewczki, rade, że gospodyni w "tyłośny świat" rusza i choć ze dwie niedziele pomstować o byle co nie będzie, śpiesznie zaczęły węzełki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładac, jako że niby taka je żalność spie-

ra. Marianna także się udobruchała, Zużkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i, głośno się przeżegnawszy, zapadła w grochowiny, zasłane kilimkiem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odzerają na ściernisku; ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód.

Kiedy Marianna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nietylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale się gniewa jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Jabym zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu! z przeproszeniem! Czy ja to nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaleźmy żadnego Polaka. Nie było rady, chyba Marianę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm! . . . Ale jak ją tu opisać? To, że była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i pocziwą twarz czerwoną, a świecąca, zdawało nam się niedostatecznym jakoś. Agent musi być o przybyciu Marianny uprzedzony, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czemś wyróżnić. Radzimy o tem, kiedy Marianna spostrzegła wielkiego papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobreby było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komicznym, że wszyscy wybuchamy śmiechem. Ale Marianna bierze to zupełnie serio i gotowa jest paradować w motyłu do Hamburga.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Marianie, która spogląda z zupełnem zadowoleniem na tę nową ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl two-

rzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszę, Marianna rozmawia z nami jeszcze chwilę, ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewnem jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiscina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to "sztuki", siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. Dygasiński, wybierający się w tęż stronę z listami polecającymi i w charakterze dziennikarza, nie miał, jak się okazuje z listów jego, tej wybornej równowagi umysłu, w jakiej utrzymuje Mariannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Mariannę, poznaje ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda zdala, jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka kto, ograbi, a już, że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspakajająca. Marianna zupełnie się obcem miastem nie czuje zakłopotaną; co jej trzeba, to pokaże na migi, a kiedy kto jej zrozumieć nie chce, czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

— W porcie — pisze agent — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki, czerwony motyl — to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą.

Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Marianna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Zmęczona była, przybladła, mitynki jej się zdarły, kapelusz wykrzywił, gdyż dla odznaczenia się od gawiedzi nie zdejmowała go prawie; chustka derowa zeskorupiała

od słonych wyziewów morza, ale strzępy czerwonego motyla jeszcze się na niej trzymały.

Pensylwańczyk był zachwycony. Takiej tęgiej, przysadkowatej baby, jak żyw, nie widział jeszcze.

— Marianna przyjechała! — pisał do Dąbrówki. — Nader silnie tłusta i dobra!

Istotnie Marianna była wyborną sługą; prała zwłaszcza znakomicie i tylko zbyt wiele zużywała farbki. Instynkty jej kolorystyczne były niepohamowane w tym względzie.

Nigdy też nie można było przewidzieć, czy jej "lazurku", jak nazywała, zbraknie, czy nie zbraknie.

Najczęściej wszakże brakło. Wycierała wtedy ręce w fartuch nie pomyślawszy nawet o tem, że słowa po portugalsku nie umie, po lazurek biegła.

Po chwili wracała zdyszana.

— Gdzież to Marianna była? — pyta pani.

— A toż po lazurek latała!

— No, i cóż?

— A nic! kupiła!

— Jakże? przecież Marianna nie umie się rozmówić? . . .

— I . . . co to nie umie! Idę do kramu, powiadam, coby mi lazurku dali. Powytrzeszczali na mnie oczy i nic. Tak ja jeszcze głośniej! A oni do siebie: czego ta głupia baba od nas chce, kiedy my jej nie rozumiemy?

— Jakże Marianna mogła wiedzieć, co oni mówią?

— Albo to co wielkiego? Takiemu ta barabaszowi po oczach dość spojrzeć, to się i wie, co gada.

— No, i cóż się stało?

— A nic! Co ja tu, myślę sobie, będę stała i medytowała, a tam mi woda stygnie. Obejrzę się, spojrzę, leży papier niebieski od cukru. Łap ja za on papier, rękaw od koszuli wyciągam, jedno do drugiego przykładam i mówię: tego do tego!

— No, i zrozumieli?

— Co nie mieli zrozumieć! Przecież im wyraźnie

po polsku mówiła!

Pewnego wszakże razu wraca Marianna rozmarzona jakaś. Małe jej, bure oczki mniejsze się jeszcze wydają, niż zwykle, usta wdzięcznie zesnurowane, spojrzenie melancholiczne. Jest przytem małomówna i z partesu stąpa.

— Co to Mariannie? — pyta pani. — Czy nie chora przypadkiem?

— I . . . nie! — odpowiada z pozorną obojętnością, cedząc słówka przez zęby. — Tyla, co mi się tam jeden obświadczył.

— Co? Kto? Jak? Gdzie?

Marianna czuje się nieco zdziwieniem tem dotknięta.

— A gdzieżby? Jużci, że na półimperiału!

Na wsi jeszcze słyszała o półimperiałach i nazwę tę stosowała do górnych miejsc na tramwaju. Mówi to zresztą takim tonem, jakby imperiał umyślnie był zbudowany dla miłosnych gruchań.

— Jakże to było? — pyta pani, mocno rozciekawiona.

— A cóż? Siadam na półimperiale, patrzę, niedługo siada przy mnie jeden czarny. Usunęłam koszyka, coby mi się o niego nie zmurzył, i nic, siedzę. A ten mi się przygląda z jednej strony, z drugiej strony, z trzeciej strony, z czwartej strony. . . . Tak ja do niego: — I cóż ślepie wytrzeszczasz, baranie jeden, kiejby ryba w garnku? Zara mu się to spodobało, roześmiał się i pokazuje na mój pierścionek, czy ja żeniata, czy nie? Tak ja rękę na płask i do ziemi, że to niby już kaput, żem wdowa. Tak i on pokazuje do ziemi i na swój pierścionek, niby że to i on wdowiec. Westchli my sobie oba, niby k'woli żałości, a tu słońce tak piecze, że się ślina na języku gotuje. Tak niedługo ów czarny bierze mnie za rękę, na swojej kładzie, chustki dobywa i owija, a w oczy mi patrzy. Niby, coby nas ksiądz stułą powiązał. Ale ja zaraz zaczęła kręcić głową, boć to podobno pogany, choć też i chrzczone; skórę, ato, mają taką grubą, że się tego chrzest święty, jak należy, nie ima, tyle, co wo-

da spłynie po tem, jak po kacze, a do tej duszy, to się ta nic z tego obmycia z grzechów nie dostanie. Zaraz też zaczęli piszczeć, coby my z półimperiału złazili, więc mi tylko jeszcze koszyk podał, i każde my w swoją drogę poszli!

Niemniej chodziła Marianna przez resztę dnia zadumana i nazajutrz także była jakaś nieswoja. Młoda pani myślała, że to żal mimowolny za porzuconą okazją szczęścia. Ale nie był to żal. Było to preludium do żółtej febry.

Wybuchnęła ona u Marianny z wielką siłą, ale jej nie zgryzła. Zdawało się zrazu, że kobiecina wieczora nie doczeka. Zdawało się wieczorem, że nie dożyje ranka.

Dożyła wszakże i otrząsnęła się z tej śmiertelnej zmory; długo tylko przyjść jakoś nie mogła do siebie.

Wyżółkła, wychudła, osłabła, ręce jej się trzęsły, zamroki na nią szły, robocie żadnej poradzić nie mogła, choć się rwała do niej. Dzielny Pensylwańczyk byłby ją i taką cherlającą dla żony w domu trzymał, ale doktor zapewnił go, że Marianna tylko w innym klimacie wyzdrowieć może zupełnie.

Znowu więc nie było rady: Marianna wracała z za morza. Wyszukała gdzieś w głębi kufra resztki czerwonego motyla, przyszpiliła go sobie do chustki i, ufna w ten talizman, z mężnem sercem na okręt siadła. Od pierwszej jej podróży upłynęło coś ośm miesięcy.

Zima była; wczesny zmierzch zapadał w pokoju, kiedy nagle stanęła przed nami Marianna.

Wykrzyknęliśmy z zadziwienia i współczucia: twarz jej była zmieniona, małe oczki głęboko zapadły, krępa, przysadkowata postać pochyliła się nieco.

— Marianna! Co? Jak tam? Z takiej drogi! Po takiej chorobie! Z takiego dalekiego kraju!

Myśleliśmy, że nas zasypie skargami na klimat, na ludzi, na żółtą febrę, na podróż.

Ale nie. Zbliżyła się tylko nieco, kiwając głową w swoim aksamitnym kapeluszu, który jej na kark zjeżdżał,

a do którego przybyło zielone papuzie skrzydło.

— I! . . . rzekła wzgardliwie — cóż tam za kraj taki! Takiego ta kraju, proszę państwa — dodawała tajemniczo — i liczyć co niema! Jakby nie był! Życia tam nijakiego! Twarożku nie uświadczysz, kaszki krakowskiej nie ujrzysz, śmietany nie uwidzisz! Jakże tam, proszę ja państwa, dobrze ma być, kiedy około nabiału chodzić nie umięją? Zrobili ta teraz rewolucją, ale gdzie to ta poradzi, kiedy naród strasznie głupi. Prowadzi, a to, taki czarny krowę i dzwoni. Kto mleka chce, wylatuje z garnkiem, doi, co mu potrza, i po kramie.

— No, to dobrze właśnie! Mleko świeże i nie fabrykowane.

— Ale! Gdzie ta, proszę państwa, dobrze! Tam krowy takie pouczone, że to odrazu z wodą daje! Cóż ta już na to choć i rewolucja poradzi?

— No, ale kraj piękny?

— Phi! . . . Ja ta tej piękności nie widziała! Juścić, mają tam precz i lasy, i Wisłę mają, ale że woda w niej to się tam inaczej nazywa. Gdzie! człowiek takich imion i nie pamięta nawet. Okrutnie głupi naród! Wszystko het poprzekręcane; na nic tak nie wołają, jak należy, tylko na każdą rzecz to sobie powymyśliwali jakoweś przewiska!

— I jakże Marianna z nimi rozmawiała?

— A cóż to, proszę państwa! Czy ja to dziecko, czy co? Nie dał mi to Pan Bóg mowy, jak należy!

— I nie bała się Marianna tamtych ludzi . . . murzynów?

— Niby tych czarnych? A czego? Takiego ta kopcucha będą się ta bała! Leciał ta raz jeden za mną na cegielniach pod lasem, obejrzę się, a ten fuzję trzyma i krzyczy. Myślał, że na głupią trafił.

— I cóż Marianna?

— A nic. Idę, a ten krzyczy i leci z oną fuzją. Jak mnie też złość weźmie, jak nie zawinę jubki. Strzelaj, durniu — mówię — kiej ci pilno!

Wybuchnęliśmy na to szalonym śmiechem.

— I co? I co dalej?

— A cóż! Zląkł się i poszedł, jak ten pies po mydle.

— Ale choroba! Taka ciężka choroba! — odezwał się ktoś z ubolewaniem.

— I . . . cóż tam choroba! A to, proszę ja państwa — dodała tajemniczo — jeszcze jakem sobie trzy lata temu karty dała kłaść, co tam choroba już stała. Nic tylko precz trefle! To już sązione było!

— A pani? A pan?

— Pani zdrowa, Bogu dzięki! Ale pan, co gadali u nas, że czarny je, to nie prawda! Piękny pan, ze wszystkim biały! Tylko powiadają, co jak się dziecko urodzi, to lebo jarzębate, lebo pasiate!

Takie są "wrażenia z Brazylii" — Marianny.

Spisuje swoje Dygasiński, spisuje Hempel, spisuje Siemiradzki, spisuje ksiądz Chelmiński — dlaczegóżby wrażenia Marianny spisane być nie miały?

JÓZEFOWA

Józefowa

Wszystką wodę, jaka była w gospodarstwie domowym na całej ulicy potrzebna, przynosiła z rzeki Józefowa. Pięć złotych płaciło się jej z jednego mieszkania na miesiąc, a pracowała za dobrego konia. Silna też była i jakby na urząd do tego rodzaju pracy zbudowana.

Szarym rankiem wybiegała zwykle z małego, drewnianego domu, jakich na przedmieściu pełno było wówczas, a z lewego i z prawego jej boku klekotały próżne konewki na lipowych sondach, które od ustawicznego tarcia o kark i ramiona wodziarki błyszczały, jak polerowane. Biegnąc, dogryzała kawałka chleba, który jej za śniadanie służył, albo żegnała się i biła w piersi, szepcząc półgłosem swój pacierz poranny. Szła najpierw pod górę, wązką, uśpioną jeszcze uliczką, potem w dół, potem znów pod górę aż do domostwa Zysła blacharza; potem znów spory kawał w dół, coraz niżej, coraz niżej, aż dostawała się na rozłożysty w tem miejscu brzeg rzeki. Zdejmowała wtedy konewki z kruków, składała sondy, a zatknąwszy brzeg wierzchniej spódnicy za pasek modrego fartucha, zanurzała stopy w bieżącą po nich z drobnym szmerem wodę, sięgając naturalnej cembrowiny, którą tam oddawna woziwody wybrały, a która na sieniej powierzchni rzeki odznaczała się ciemniejszą plamą. Nabrawszy wody, zakładała sondy na ramiona, stawała między konewkami, chwyciła je za uszy na żelazne kruki i gibocząc się lekko w biodrach, wysoka i prosta, w lipowym swoim jarzmie pod górę szła z opuszczonemi ramionami, przytrzymując pełne konwie, aby się z nich woda nie chlustała. Tak idą-

ca, przypominała porównanie biblijne z "pieśni nad pieśniami."

Rosła jej postać odziana była latem w krótką perkalikową spódnicę i luźny kaftan, który uwydatniał jej tors bogaty i odkrywał złotawą, nieco wzdętą szyję. Na szyi tej osadzona była niewielka, bardzo kształtna czarnowłosa głowa, z niskim, białym czołem i czerstwą, jędrną twarzą, której niezupełnie prawidłowe rysy oświetlane były błyskawicznie częstym, odkrywającym zdrowe i równe zęby uśmiechem, tudzież siwemi, mocno ocienionemi oczyma, pod brwią wązką, czarną. Oczy te, w przeciwieństwie do owego częstego uśmiechu, miewały jakieś surowe, zadumane spojrzenia, bardzo podobne do tych, jakie zdawna kogoś oczekujący człowiek na drogę rzuca.

Wspaniały, lekko pochylony kark, proste o szczupłych barkach plecy, pierś wydatna, acz drobna, giętkie, ślicznie zarysowane ramiona, a przytem ten rytmiczny, właściwy jej chodowi ruch gibkich, w lirę wygiętych bioder, nadawały tej zapracowanej, dźwigającej wodę kobiecie taką linię, jaka rzadko bywa udziałem wytwornych nawet piękności.

Kiedy szła, pogięta nieco spodnica ukazywała grubą, pięknie zawsze dopraną, lub nieco siwawą koszulę i odkrywała aż powyżej kostek bosc, lekko złotawe i zaróżowione nogi, z niedużemi, ciemniejszymi stopami.

Stopy te zdawały się nieproporcjonalnie małe do tych silnych, dwu śpiżowym słupom podobnych, podstaw, na których wspierało się to jędrne, soczyste, pełne krwi świeżej i młodego zdrowia ciało.

Na tych niewielkich, zwykle przez lato bosych stopach, tkwiły zimą ciężkie, słomą wysłane, drewniane trepy, a czasem stare buty męzowskie z wyrudziałą cholewą. Pod lekką perkalikową spódnicą ukazywała się druga, wataowana, czerwona, ciepły tołub, zastępował perkalowe kaftany, a głowę i piersi obwiązywała duża, wełniana chusta.

Z gołą głową nie chodziła Józefowa nigdy. I latem bowiem nosiła ona duży, perkalowy czepiec, którego bandaże wiązała ściśle pod brodą. Postarzało ją to najmniej o jakie lat dziesiątek, a z młodością jej kształtów i ruchów stawało w silnem przeciwieństwie.

Nieraz, kiedy, powylewawszy przyniesioną wodę w stągiew, stanęła w kuchni i ręką wsparła się o biodro, prosiłam jej, żeby czepiec ów na chwilę zdjęła. Ale Józefowa stale opierała się temu.

— Nie! . . . — mówiła trzęsąc krochmalnemi szlarkami czepca. — Nie można. . . . Grzech . . . Pan Jezus się gniewa . . . niepięknie. . . .

— Co za grzech? — pytałam natarczywie — dlaczego niepięknie?

— Ano, przecie co niewiasta, to niewiasta.

— Ale kiedy Józefowej tak będzie ładnie.

— Iii . . . zarówno tam ona i ładność! Albo to ja dziewczucha, czy co?

Kiedyś jednak udało mi się stołek przystawić, wejść na niego i czepiec znienacka jej ściągnąć.

— Co paniczka! — wrzasnęła Józefowa, chwytając się oburącz za głowę.

Ale ręce jej nie mogły objąć i powstrzymać ślicznych, ciemnych, opadających własnym ciężarem warkoczy i puszystych, krętych kosmyków, które się wymykały na wszystkie strony.

Zaogniła się na twarzy, chociaż w kuchni, oprócz mnie i kucharki, nie było nikogo, zaczęła włosy zwijać i plątać, z wielkim pośpiechem chowając je co rychlej pod czepiec, który głębiej jeszcze na czoło zsunąwszy, schyliła się po konewki i mocno rozczzerwieniona wyszła.

Innym razem przyszło mi do głowy o imię jej zapytać.

— Ano, — odrzekła — albo to paniczka nie wie, że Józefowa?

— No dobrze, napierałam się dalej, — to z męża. Ale na imię, na chrzestne imię jak? Czy Marcysia, czy Kasia, czy jako inaczej?

— Iii . . . — odpowiedziała, spuszczać oczy — co tam paniczce po tem? Albo to ja dziewczyna, albo co, żeby tam z imieniami wydziwiać? To ta na niewia-
stę niepięknie, grzech . . . Pan Jezus się gniewa.

Mężem Józefowej był Józef Glapa. Miał lat przeszło trzydzieści i starszym był od żony dość znacznie; wyglądał wszelako tak, jakby mu się chłopięce lata zatrzymały i jakby na nich postarzał. Nizki, wąty, twarz i ręce miał jak papierowe, głowę łysą, jakimś mchem żółtawym porośłą, co jej nadawało pozór spleśnienia; małeńki, zadarty jakby przyszczipnięty nosek i wypełzłe, bezkolorowe, zawsze zaspane oczy, bez brwi i bez rzęsów. Cienkie jego, blade, a szeroko przekrojone wargi otwierały się w ustawicznym głupekowatym śmiechu od ucha do ucha, o wydatnych, żółtymi wypróchniałymi zębami zaopatrzonych szczękach. Głowę miał ciężką, przydużą, zwykle zwieszoną; chód drżący i niepewny, grube kolana u nóg, w kabłąk wygiętych i cienkich, jak zeschłe badyły, także ramiona, nad miarę wzrostu długie, szyję — że biczem by przetrzasł, pierś zakłesłą, dychawiczną, głos piskliwy, kobiecy, zarostu ani śladu.

Największą troską Józefowej było tę wyjątkową nędzę fizyczną męża swego pokryć, a całej kamienicy, ba, ulicy nawet, dać o jego dużości, energii, sile i innych męskich przymiotach jak najlepsze pojęcie.

Stąd-to na owej łysej, ledwo omszonej, jak u niedo-
łęgniętego pisklątka, głowie Józefa zjawiały się jakieś
junackie, kipiące czapki, z którymi cała jego postać spie-
rała się jak najmocniej; stąd cienka jego i zwiędła szy-
ja przewiązywana była pełnymi buty fontaziami, a na je-
go wątem, drżącym ciele wisiały zalotne spencery, dla
zuchowatych, młodzieńczych postaci jakby umyślnie
stworzone.

Kiedy tak wystrojony Józef wchodził do kuchni i za-
stawał tam żonę, Józefowa rzucała z pod długich rzęs
niespokojne, badawcze spojrzenie na obecnych. Robiło
jej to widocznie przykrość, że ludzie słyszą jego głos

babski, piskliwy i cienki. Jak się tylko odezwał, zaraz go zagadywała:

— Już cichoj, cichoj! Co ta będziesz tyle gadał. Zrobi się i już. . . .

Kiedy się kto z nas litował nad jej zmęczeniem, Józefowa odpowiadała: — Abo-bym to ja sama tyła wody przydźwignęła? ino mi mój pomógł. Bez całuską ulicę obie konwie niósł, dopierom mu je tu na górze odebrała. Juści co chłop, to chłop. Zawsze to insza siła.

A mówiąc to, rzucała ukradkiem oczyma na kucharkę, której doskonale było wiadomem, że Glapa nad dzbankiem wody na równej drodze się zadychiwał i dziesięć razy stawać z nim musiał.

Niekiedy szli oboje razem. Ona dźwigała pełne konwie wody, a on się próżno włókł za nią. Tak przychodzili na piętro. Wtedy Józefowa stawiała przed progiem konwie.

— Józef, — mówiła, odwracając głowę, żeby nie widział jej ognistych rumieńców — a wnieś-no konewki do kuchni, bo mnie cości w boku strzyknęło.

Józef wyteęzał się otwierał drzwi, rozstawiał cienkie nogi, chwycił się konewki ze trzy razy, stękał, wreszcie obu rękoma przestawiał ją na drugą stronę progu. Wtedy Józefowa, czując, że mąż już nie poradzi więcej, chwyciła drugą konewkę lekko, jak zabawkę, i wносиła do kuchni, mówiąc:

— Czekaaj, czekaaj, to ci pomogę! Jeszcze się kiedy zerwiesz z tej chytrości do roboty. Mocnyś ty chłop, ale to i ciężar. Już ja tu powylewam sama, a ty skocz na drugie piętro i zobacz czy tam wody dość.

A kiedy wyszedł, człapiąc powoli nogami, dodawała:

— O! Jak to leci! Jakby dwadzieścia roków nie miał! Jeszcze gdzie karku nadkręci po schodach. . . .

I wylewała do stągwi wodę, dziwując się głośno:

— To ci konwie wyszykował! Niechże go! Ledwie od ziemi dźwignę. Takie pełniuskie, jak oko! Gdzie-by to ta kobieta poradziła tyła wody przydygować od rzeki!

I to wam we wszystkim taki porwany. Ino mu się ta robota w rękach pali. . . .

— Ta! — odpowiadała sentymentalnie kucharka. — Za jakim takim płotem, za jakim takim chłopem. . . .

A Józefowa:

— Ba! chłop chłopowi nierówny! Daleko szukać takiego, co-by tyła, co mój poradził.

Innym znów razem zrywała się od rozmowy i chwytając konewki, mówiła:

— Muszę już biec, bo się mojego boję.

A kucharka na to:

— Iii. . . . Co wam ta robi takie chuchro. . . .

— Ale! — odpowiadała, rumieniąc się Józefowa. — Chuchro on tam! Daleko szukać drugiego chłopca, co-by w sobie taką moc miał!

Mocy tej jednak nigdy jakoś nie mogła zaznać na sobie, to było powodem jej zawstydzenia i cichej troski.

Ideałem Józefowej było mieć dzieci, których nie miała, i męża, o którym-by wiedziała, że ją od czasu do czasu wybić może; zwyczajnie jak to Pan Bóg w małżeństwie przykazał. Małżeństwo bowiem, ze wszystkim, co, podług jej pojęć, do niego należało, było przedmiotem jej religijnego niemal kultu. Zdawać-by się mogło, że wcielona w nią została dusza jednej z tych młodych biblijnych niewolnic, które były naprzemian poniewierane i pieszczone pod namiotami cedrowych drzew na Libanie. Czy kochała swego Glapę, jest to rzecz wątpliwa; ale już przez to samo, że był jej mężem, urósł w jej oczach na władcę i pana.

Wyjątkowe niedołęstwo władcy tego i pana było tragicznością jej życia. Ta silna, jędrna, bogato rozwinięta natura czuła nieprzepartą potrzebę ulegania, karności, korrzenia się przed męską przewagą, a właśnie brakło jej wszystkiego tego.

Gorycz tego położenia powiększał wstyd, jaki Józefowa uczuwała przed ludźmi za swojego Glapę; przypisywała mu ona wobec nich wprawdzie wszystkie zalety mę-

skości, ale czuła, że nikt temu, patrząc na niego, nie wierzy.

Nawet świeżo zgodzona w kamienicy młodsza, nic nieznająca dzierlatka, której wodziarka cuda rozpowiadała o swoim Józefie, słuchała jej póty tylko, póki go nie zobaczyła, poczem, na samą wzmiankę o Głapie, parskiała w kułak śmiechem.

Wszakże wobec tak nawet zdecydowanej opinii, Józefowa strzegła się, jak ognia, aby jej nie potwierdzić niebacznie słówkiem, albo gestem. Ukradkiem tylko przystawała z konwiami swemi przed bawiącym się w piasku drobiazgiem, ukradkiem przysiadła przy nich, gładziła ich włoski, ocierała fartuchem umorusane buzie, a najmłodsze podnosiła na rękę w górę, całowała je mocno, mocno, i huśtała z rozkosznym uśmiechem, od którego w jej siwych oczach zapalały się iskry złociste.

Zdarzyło się raz, że Pawłowej, żonie stróża, miało przybyć dziecko. Ledwie baba pierwszy raz stęknęła, już Józefowa, zostawiwszy na piętrze sondy i konewki, leciała do suteryny, jakby na odpust jaki. Wpadła pode drzwiami, stuka: cicho. Wpadła tedy do sklepiku, aby kupić dla chorej dwa łuty mielonej kawy, "tej dobrej, po sześć groszy łut," i pół funta cykorii, także "tej dobrej, w niebieskim papierze."

Pawłowa obca jej była wprawdzie, ale taka, taka szczęśliwa! Oddawszy swój dar, wodziarka stanęła w progu, słuchając z bijącym tajemną lubością sercem stękania i narzekania chorej; a gdy rozdzierający wrzask nowego obywatela rozległ się po suterynie, zatrzęsły się wargi tej, pokornie u drzwi stojącej, a wielkie, jasne krople łez, spłynęły po rozpalonej twarzy.

Kiedy w chwilę potem wpadła po konewki do kuchni, rzekła jej z przekąsem kucharka:

— A wy, Józefowa, kiedyż to nam wyprawicie chrzciny? Taka młoda, tęga baba, a dzieciąka ani uświeć. To obraza boska, dalibóg. Grzech. . . .

Na Józefową nowe buchnęły ognie.

— Adyc, było, było . . . — szepnęła, — Bóg świadkiem, że było. . . . Tylko, że . . .

Tu nastąpił szept, cichszy jeszcze.

Kucharka nie dała się ułudzić tem pobożnem kłamstwem, ale, podparłszy pod boki mówiła, jakby nie słysząc:

— Ja tam takiego chłopca, to-bym za dziesiątą granicę przegnała! Kobieta młoda, zdrowa, krew z mlekiem — i nic!!

Czuła Józefowa, że jej kucharka nie wierzy. Co miesiąc też prawie odtąd udzielała jej szeptem jakichś wiadomości, które, lubo zawsze okazywały się płonnemi, dawały Józefowej niejakię prawo chodzenia przez parę tygodni z partesa, obwiązywania głowy białą chustką, narzekania na ciężar konewek, którego, przysiędz-by można, że nie czuła, a nawet utyskiwania na świat, na którym: "Cóż ta chłopu . . . Chłopu, wszystko zarówno! A kobiecie, to choć i ten święty sakrament, a bokiem wylazi. . . ."

Były to bezwątpienia tygodnie najszcześniejszego jej życia, póki znów wszystkiego nie przyszło odwołać.

Ale Pawłowa nietylko pod tym względem była przedmiotem zazdrości wodziarki. Należało to bowiem do dziennego porządku w życiu suteryny, że Paweł, ogromne chłopisko, z wąsem małego-coby mniejszym od jego stróżowskiej miotły, babę swoją o byle-co bijał. Bicie to odbywało się czasem na cicho, a czasem na głośno. Kiedy baba prała, to tam i czasu nie było na lament, choć ją mąż poszturczał; jeśli pilnej roboty nie było, wrzeszczała jak opętana i wylatywała aż do bramy z tym wrzaskiem. Co miała sobie żałować?

Józefowa zapominała wtedy, że ma na górę wodę nieść, ale przechyliwszy się przez poręcz schodów, chłoneła w siebie tę bijatykę małżeńską, jak najrozkoszniejszy widok. Usta jej otwierały się lekko, nozdrza drgały, oczy wpatrzone były z uwielbieniem w podnoszący się i opadający kułak Pawła. Powiedzieć nawet można, że w

egzekucji tej czynny brała udział, gdyż za każdym uderzeniem żylastej pięści Pawła w kark wrzeszczącej baby, źrenice wodziarki mrużyły się rozkosznie i trwożnie zarazem, a proste jej, ślicznie zarysowane barki uchylały się miękko i pokornie. Gdy się nareszcie albo baba wyrwała i uciekła z wrzaskiem, albo też Paweł, zmachawszy się, sam ją puścił i na drogę kopnął, Józefowa z westchnieniem po konewki sięgała, i szła na górę, zadumana, z poczuciem krzywdy, którą jej los wyrządził.

I na nią wprawdzie czasem podnosił Glapa swój niedołączny kułak. Ale to była parodia. Do pleców jej ledwie sięgnął, a i tego nie poczuła nawet, a o porwaniu za kark, wytarmoszeniu za łeb, zdarciu czepka z włosów — to i mowy być nie mogło. Za pierwszym wysiłkiem sam tracił równowagę, nogi mu się plątały, i musiała go podtrzymywać, bo-by się obalił.

Różnie już próbowała, i po pijanemu nawet, ale nic. Od półkwaterek ostatka sił w nogach zbywał i pod pierzynę leżeć szedł. Taki los.

Przyszła zima. Mrozy jakoś wcześniej chwyciły, a gołedzie były takie, jakich starzy nie pamiętali z dawnej dawności.

Na wązkich, wężem skręconych kamiennych schodach do kuchni, świeciła się porozlewana woda, w lód ścięta. Oślizgła poręcz żelazna bielą szronem, klamka nawet u drzwi, obmarzła parą, błyszczała, jak śniegiem, i aż parzyła w dotknięciu.

Jednego ranka mróz silnie wziął na dzień po chwilowej nocnej odwilży, i ślizgawica wzmogła się jeszcze na mieście. Glapa przyszedł do kuchni, ściągnął rękawice i zaczął w ręce chuchać. Nieraz on tak przychodził ni stąd, ni zowąd, nie wiedzący, czego się jąć. Przyłazł, stanął u proga i uśmiechał się głupkowato, przestępując z nogi na nogę.

Czasem tak stojącego wyprawiała która służąca po jakiś zapomniany sprawunek kuchenny, czasem kazała śmieci wyrzucić, czasem drzazeg nałupać. No, i dostawał za

to jaki ochłap mięsa, jaką skórę od słoniny, jaką bułkę starą.

I tym razem stanął, jak zwykle, skulony, niezdarny, z wielką swoją głową w ramiona wciśniętą, z szerokim, bladym uśmiechem kretyna, i trząsł się na swoich cienkich w kabłąk zgiętych, nogach, chuchając w palce.

Wtem drzwi otworzyły się za nim, a na wązkim przesmyku, dzielącym próg kuchenny od schodów, stanęła, niosąc wodę, Józefowa.

Nigdy przeciwieństwo tych dwóch postaci nie uderzyło mnie silniej.

Zarumieniona od mrozu i szybkiego wejścia na strome i wysokie schody, z oczyma iskrzącemi zdrowiem i młodą siłą, z uśmiechem, pełnym życia na smagłej twarzy, stała tam za nim, szczupła i prosta, niepochyłona dźwiganym ciężarem, gibocząc się lekko w biodrach, jedną stopą na progu, drugą na ostatnim schodzie. Karia-tyda żywa, cudnego swojskiego pomysłu.

— A namknijże się, Józef! — przemówiła, stojąc tak, świeżym, dźwięcznym głosem.

Ale Józef nie ruszył się od progu. Tylko, kiedy go przez drzwi otwarte dech mroźny obleciał, ścisnął plecy i głowę między barki wtulił.

— Józef! — zawołała wtedy głośniejszą wodziarką. — A nie słyszysz to, że się masz namknąć? Głuchyś, czy co? . . .

Zaciął się, i jakby wrósł u proga.

— Zamykać! zamykać tam drzwi! — wołała kucharka, na którą buchały kłęby mroźnej pary.

Zniecierpliwiła się Józefowa.

— Namykasz się, czy się nie namykasz? — krzyknęła głośno.

A kiedy się i na to nie ruszył:

— O! — rzekła. — Będę ci tu pewnie za drzwiami stała, a ty nie wiesz . . .

I wypuściwszy z jednej ręki sondy, schyliła się nagle, nabrała w dłoń nieco lodowatej wody, i chlusnęła mu ją

na kark i na łysą głowę.

Wrzasnął przeraźliwie, jak puszczyk, i odwróciwszy się, z impetem pchnął kobietę w piersi.

Nie spodziewała się tego. Noga się jej ośliznęła ze stopnia, schwyciła się za obmarzłą poręcz i, krzyknąwszy: "Jezu!" — runęła głową na dół.

Kiedy w parę godzin potem poszłam ją odwiedzić, izba była pełna bab, szeptów i charakterystycznego głośnego wzdychania. Zmierch już zalegał jej kąty, mała naftowa lampa paliła się na okapie komina, woskowa świeca migotała w ręku kucharki. Chora leżała na pościeli bardzo blada i zupełnie cicha. Krwawa chusta przewiązywała jej głowę. Zdawało mi się zrazu, że tchu już nie ma. Ale był, kołatał się jeszcze.

Od chwili do chwili, podnosiły się pod grubą, białą koszulą, wysoko sklezione piersi i znowu opadały z jakimś stłumionem rżeniem.

Wprost łóżka pod małym okienkiem, które rzucało nieco światła na jego nędzną głowę, stał skulony, trzęsący się Glapa.

Chora otworzyła oczy i podniosła je na stojącą w nogach łóżka kucharkę, a jakieś ciche rozpromienienie przeszło jej po twarzy.

— Zawszeć-to, co chłop, to chłop! — rzekła, z trudnością wymawiając słowa. — Chłopu niewiasta nijak nie uradzi. . . . Tak już . . . Pan Jezus postanowił. . . . A jeszcze kiej się taki trafi, co w sobie taką moc . . . ma. . . .

Umilkła. A podczas, kiedy jej rozgorzałe gorączką oczy wpatrywały się z jakimś posepnym triumfem w ciemniejący kąt pod oknem, twarz jej stawała się coraz bledsza . . . bledsza. . . .

URBANOWA

Ktoby to pomyślał, że nazwisko, które potem tak szeroko zasłynąć miało w dziedzinie poezji, usłyszę po raz pierwszy w kuchni, z ust starej, sześć razy na tydzień pijanej kucharki.

A przecież tak było i to z okazji stłuczonego garnka.

Wogóle garnki tłukły się u nas, jakby na komeńdę. Z rana bowiem Urbanowej “czegoś się ręce trzęsły”, w południe “wszystko jej z rąk leciało”, wieczorem zaś “cała nie mogła”. Jeśli zaś przypadkiem “mogła”, to zwykle wtedy “musiała duchem skoczyć naprzeciwko”, poczem w kuchni bywało prawdziwe pobojowisko.

Zresztą, jeśli mówię, że garnki się tłukły, to dlatego tylko, że mnie Urbanowa nie słyszy. Nie słyszy ona już od dawna, od bardzo dawna, nikogo. . . . W obecności jej bowiem nie odważyłabym się była nigdy powiedzieć, że się garnek *stłukł*. Na to były specjalne określenia, których liczba mnożyła się co dzień, w miarę wzrastającej potrzeby. Garnek mógł się “oberznąć”, “okroić”, “pęknąć”, “wyszczерbić”, “utrącić”, “wyśli-zgnąć”, lub zgoła “klapnąć”. Przy takim bogactwie wyrażen, malujących każdy pojedynczy przypadek, już nie wiem, coby za garnek był, żeby się koniecznie upierał przy tem, jako został “stłuczony”.

A ponieważ żaden *stłuczony* nie był, przeto Urbanowa nigdy ich nie wyrzucała, ale takich inwalidów rzędami ustawionych, miała w kuchni całe police i utrzymywała cały ten lazaret w największym porządku.

Każdy niedobitek miał nie tylko swoje miejsce, ale także i swoją historię.

Kiedy trzeba było obiad gotować, Urbanowa zdejmowała pierwszy z nich wzdychając i kiwając głową.

— Jeszczebyś ty pożył, nieboraku, żeby nie fajerka. . . . Garnek był jak rzepa. . . . Taki dzwoniak, że to ha!

Stawiała go i zdejmowała inny.

— Garncowy garnek . . . żebym tak zdrowa była! Jaka to polewa! . . . On jeszcze dziś więcej wart, niż drugi cały. . . .

Stawiała go i wzdychała mocniej jeszcze poczem sięgała po trzeci.

— Na kanonickim rynku go kupiłam. . . . Dziś sześć tygodni. . . . Nie, lżę! . . . Dziś pięć tygodni i trzy dni. . . . Złoty i groszy sześć dałam za niego. Żebym tak jutra doczekała, jak sprawiedliwie mówię. . . . żeby się nie był utracił, toby do roku wytrzymał. . . . Garnek jak szkło. . . .

Z kolei brała czwarty. Ten zawsze ją zastanawiał najmocniej. Opukiwała go, przeglądała pod światło i kręciła głową.

— I niech tu kto mądry będzie, którądy on ciecze? . . . A ciecze, choroba! . . .

I tak szło dalej i dalej, póki ten, w którym już naprawdę rosół wstawiać miała, z trzęsących się rąk jej nie rymnął na ziemię.

Wtedy nastawał sądny dzień w kuchni.

— Masz babo, redutę! — wołała Urbanowa, uderzając, w suche, pomarszczone ręce. — Znowu skorupa! A bodajżeś załśnił! . . . Nienastarczone rzeczy z temi skorupami. . . . No, i rób co chcesz! Taki nowy garnek. . . . A bodajżeś zmarniał! . . . Pólsiodma czeskiego dałam. . . . Tygodnia jeszcze nie ma. . . . A żeby to choroba, z takim gospodarstwem! . . . Ale to tak, kiedy żelaznych garnków w domu niema, tylko same skorupy. . . .

Jakem była u państwa Asnyk, to tam nijakich skorupianych garnków nie było. Same żelazne, jeden w drugi, jak wybrane. . . . Żeby tak jutra doczekała, jak nie łzę. . . . Same żelazne! . . . Żeby tak mego Jaśka szczęśliwie wychowała! . . .

Po tym pierwszym wybuchu do wieczora już było w kółko jedno i to samo.

U państwa Asnyk było tak a tak, u państwa Asnyk nigdy tego nie bywało, u państwa Asnyk tego nauczona, u państwa Asnyk do tego nienawykła . . . słowem gotowy prejudykat na każdą porę dnia i nocy i na wszystkie życia kuchennego wypadki.

Przyszło do tego, że bardzo wiele rzeczy, dla świętego spokoju, robiło się u nas tak, jak “u państwa Asnyk”.

Jedne żeleźniaki szły jakoś oporem, gdyż ojciec mój był na tym punkcie twardym konserwatystą i utrzymywał, że dobry rosół tylko z glinianego garnka być może.

Stąd powstawały różne zaburzenia, którym nie umiałam zapobiedz, lubo byłam bardzo poważną, dziesięcioletnią osobą, trudniącą się naczelnym zarządem naszego sierocego domu, pomiędzy odrabianiem lekcji do księdza Kubusiewicza, a strojeniem lalek.

Tu wyznać muszę z całą pokorą, że skutkiem zupełnego w owe czasy braku poetyckich przeczuć, nazwisko “państwa Asnyk”, rodziców poety, obrzydło mi tak, że go po prostu znieść nie mogła i uciekałam w ostatni ką, ile razy Urbanowa rozpoczynała swoją Odyseję o żelaznych garnkach.

A było tego coraz więcej i coraz częściej. Z początku raz, dwa razy na tydzień, potem codziennie, potem jeszcze wieczorkiem, potem od rana do nocy. Jedyne wyjątek stanowiły soboty.

W soboty i ręce mniej się Urbanowej trzęsły i nie tak jej wszystko z nich leciało i takiego trajkotania o “państwu Asnyk” nie było.

Od południa za to grzała Urbanowa wodę, czasem ług nawet, dobywała resztki z całotygodniowych obiadów, szykowała nici i łątki, prosiła mnie o mydło i nawleczenie igły, a wszystko to popłakując i wycierając nos w grubą kuchenny fartuch, a wyglądając co raz na schody. Nad wieczorem przychodził Jasiek. Wysoki był, chudy, czarniawy, ospowaty i terminował u szewca Pośpieszyńskiego. Lat miał może ze szesnaście. Przychodził zwykle brudny, odarty, z miną dziwnie wyglodzoną. Urbanowa przyjmowała go szturchańcem w bok lub w kark, gdzie się dało, wpychała go do kuchni i zaczynała płakać. Chłopak całował ją w rękę, siadał na kuferku i patrzył osowiały to na matkę, to na przykryte rynki w kominie.

Dotąd pamiętam i te chmurne, a chciwe w stronę komina spojrzenia, i te jego długie cienkie nogi w trepach, zwieszające się z wysokiego kufra. . . .

Lubiłam bardzo Jaśka. Raz, że nigdy przy nim nie było mowy o "państwie Asnyk", a także i dlatego, że mi obiecał uszyć trzewiczki dla najstarszej z moich lalek — Anusi. Cuda, jakie o trzewiczkach owych opowiadał, były niewyczerpanym przedmiotem naszych rozmów, w czasie których zapominałam zupełnie o swojej powadze gospodyni domu, ale wlaźszy na wysoki kuchenny stołek, klękałam na nim, i zapatrzona w Jaśka, wycierałam łokcie po kuchennym stole.

Zachwytów wszakże moich nie uwzględniała Urbanowa bynajmniej i wypraszała mnie zwykle za drzwi.

Ale ja i tak widziałam przez dziurkę od klucza, że matka najpierw ściąga z Jaśka spencerek i kamizelczynę, że nalewa potem na miednicę wody, bierze mydło, nagina chłopaka nad stołek, przyczem daje mu w kark raz, albo dwa razy, że ściąga mu z rękawów koszulę i szoruje szyję, głowę, twarz, uszy i ręce, czyniąc zaś to wszystko, co chwila nos uciera i płacze.

Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego? Czy że koszula była taka czarna jak sadze, czy że na grzbiecie

chłopaka było tyle sińców, czy że mu żebra omal nie wylażyły przez skórę. . . .

Wymywszy Jaśka, dobywała Urbanowa czystą koszulę, z którą chłopak szedł za komin, a gdy wylażł z tej kryjówki już obleczony, czesała go, szturkając w kark, jeśli nie dość głowę przychyłał, przyczem znów zaczynała płakać i nos wycierać co chwila. Po tej dopiero operacji dobywała z pieca rynki i garnuszki, a kiedy Jasiek jadł, łątała jego ubranie, popłakując i wzdychając ciężko. Celem mojego czatowania przez dziurkę od klucza było właśnie jak najrychlejsze wypatrzenie tej szczęśliwej chwili. Wpadałam wtedy do kuchni, a Jasiek zaczął mi na nowo opowiadać, po raz setny może, jakie to będą owe Anusine trzewiczki.

Miałam je dostać na gwiazdkę, ale nie dostałam, bo Jasiek był srodze czemś zaturbowany.

Tymczasem przyszła wigilia Trzech Króli. . . .

Wieczór był mroźny, pogodny, szopka chodziła po mieście; nie taka tam stajenka malowana, z wołem, osłem i "Małgorzatką tańczącą z huzarami", ale prawdziwy teatr, z żywych mówiących osób, między którymi była śmierć, anioł i diabeł.

Kiedy pokojówka wpadła na schody z krzykiem, że już idą, serce we mnie zatrzęsło się tak, żem głosu wydać nie mogła.

Był to pierwszy teatr, jaki widziałam w mem życiu.

Trzeba było wszakże czekać długą jeszcze chwilę, zanim przedstawienie odbyło się na dole u gospodarza. Myślałam, że się to nigdy nie skończy. Rozległy się narazie po schodach ciężkie kroki, i brzęki łańcucha, a do stołowego pokoju weszli aktorzy, poprzedzeni przez straszliwie czarnego, z wywieszonym aż na piersi, czerwonym, sukienym językiem diabła, który się skłonił i rzekł piekielnym basem:

— Niech będzie pochwalony!

Chwyciłam pokojówkę za kaftan. Dusza we mnie zamierała. . . .

Za diabłem wbiegł lekkim krokiem minister króla Heroda. Ten miał na sobie obcisłe do kolan pantalony, niebieską zarzuconą na ramię pelerynę z jakiejś rozprutej spódnicy i biret, z pięknym białym piórem z angielskiej bibułki.

Dworak skłonił się uprzejmie, wziął krzesło z pod ściany, postawił na środku pokoju, poczem schyliwszy głowę, drzwi przed monarchą otworzył. Król Herod wszedł chmurny, "w zamysłach", ze spuszczoną głową; miał długi, czerwony, widocznie z poszwy jakiejś zaimprovizowany płaszcz, berło w ręku i złotą koronę. Twarz jego wydała mi się jakby znajoma jakaś. . . .

Tuż za nim wsunęła się nieludzko biała śmierć, odziana prześcieradłem, z pod którego wyglądały buty z cholewami, i z kosą w ręku stanęła za królewskim tronem.

Nie widział jej wszakże, zbrodniczym myśлом oddany Herod, a rozparłszy się w swojej trochę jeszcze zapieprzonej purpurze, rozpoczął sztukę krwawym dialogiem.

Zaledwie jednak wymówił pierwsze jego słowa, kiedy ode drzwi dało się słyszeć głośne klaśnięcie w dłonie i krzyk przenikliwy:

— Jasiek! Mój Jasiek! Mój król! Mój królewicz złoty!

I zanim Herod mógł się opamiętać, już Urbanowa rzuciła się przed nim na ziemię, i w uniesieniu najwyższej radości, ręce jego i kraj szaty z płaczem całować zaczęła.

Zrazu monarcha, nie chcąc wychodzić z swej roli, próbował monologować dalej; nagle przecież głos mu się załamał, usta zadrgały, a po zbladłej twarzy łyzy, niby iskry srebrne, migały jedna za drugą. . . .

Zrobiło się zamieszanie. Minister głośno sarkał, że się król "na nic zgapił". Śmierć radziła raz jeszcze wszystko rozpocząć na nowo, tło zaś tej jedynej w swoim rodzaju sytuacji tworzył piskliwy, perliczy głos anioła, który od początku przedstawienia, w równych odstępach wyśpiewywał z za pieca: *Gloria! Gloria, in excelsis Deo!*

I znowu:

Gloria! Gloria, in excelsis Deo!

Co do diabła, ten ani na chwilę nie stracił rezonu, ale stanąwszy przed królem Herodem, uderzył w podłogę wielkim czarnym drągiem, i brzęknąwszy łańcuchem zaryczał:

“Zaklinam cię, przeklinam cię przez ten kij dębowy!” . . .

Na widzach zrobiło to piorunujący efekt, a monarsze przywróciło straconą równowagę umysłu. Ponieważ zaś Józka, pokojówka, i młodsza z drugiego piętra odciągnęły tymczasem Urbanową na stronę, przedstawienie odbyło się szczęśliwie, aż do tej stanowczej chwili, kiedy król ścięty kosą śmierci, opuszcza na ramię ukoronowaną głowę, a diabeł nadziewa go na widły mówiąc:

“Królu Herodzie! Za twe zbytki
Pójdź do piekła, boś ty brzydki!”

Od owej szopki to i owo zmieniło się u nas.

Garnki wprawdzie po dawnemu się tłukły, ale o “państwu Asnyk” nie było tak często mowy. Za to czas zaczął się liczyć w naszej kuchni od całkiem nowej ery.

— O la Boga! — mówiła teraz Urbanowa — a toć ja ten garnek kupiłam w tydzień potem, jak Jasiak był królem! A on już ciecze, choroba!

Albo też:

— Ale gdzie zaś, panienko! Przecie my ten sążęń drzewa zaczęli akurat trzy dni przed tem, nim Jasiak był królem!

A mówiła to z taką powagą, z takim przekonaniem, jakby królestwo Jaśka było spełnionym faktem politycznym i dało się w ściśle oznaczonych granicach na karcie geograficznej wykazać. Zaczęła też w tym czasie przebąkiwać, że musi Jaśka od Pośpieszyńskiego odebrać, bo “co mu ta po siewstwie”.

Jeszcze i w tem zaszła zmiana, że Urbanowa nie myślała teraz króla Heroda sama, ale szturchnąwszy go na powitanie, nalewała wodę, dawała mu mydło do ręki

i kazała samemu sobie “kosierować” — jak mówiła — uszy, twarz, szyję i głowę, tylko stojąc nad nim pilnowała, żeby to zrobił “dokumentnie”. Czesania przecież nie wyrzekła się jeszcze.

Mniej się jej także ręce jakoś trzęsły. Do dawniej już uprzywilejowanej pod tym względem soboty, przybyła teraz i niedziela jeszcze.

W niedzielę po południu, uprzątnąwszy kuchnię, otwierała Urbanowa swój wysoki kufer i wydobywszy z niego monarszą Jaśka purpurę, tudzież koronę z pozłotka, kładła je na swoim łóżku i przypatrywała im się długo z uśmiechem na zwiędłych ustach, kiwając głową i ocierając oczy świeżo wypranym fartuchem.

Jeśli chłopak przybiegł do matki, to go prosiła:

— Mój Jasiek! Mój złocisty! Zawdziej-no na siebie ten ornat i koronę! . . . Niech ja się ciebie napatrzę! Niech ja się nacieszę!

Jasiek się wzdragał, ale zwykle kończyło się na tem, że “zawdziewał” co matka chciała, a stara uderzała z klaskiem w dłonie, wołając:

— Istny król! Na króla się rodził! Żebyś tak zdrowa była, jak na króla! Przypatrzcie się moi ludzie. . . . Istny król! . . .

Był to wszakże ciągle jeszcze ten sam czarniawy, chudy, ospowaty drągał, tylko, że purpura coraz krótszą na niego się stawiała.

Czasem też recytował swoją rolę. Słuchałam go z zachwytem, a Urbanowa zalewała się łzami. Żaden, najgenialniejszy nawet tragic nie miał tak wzruszonych słuchaczy.

W trzy lata coś potem — podlotkiem już byłam — przyniósł ktoś wiadomość, że Urbanowa dogorywa w blizkiej suterynie. Jak stałam, tak zbiegłam po schodach. Od dawna już wprawdzie stara pijaczka nie służyła u nas, ale zawsze bardzo ją lubiłam.

Kiedym weszła, nie widziałam nic zrazu w tej wilgotnej, dusznej izbie, bo pod pułapem błąkały się dy-

my ze spalonego świeżo przez kumoszki "ziela". W pośrodku stała kupka kobiet, gwarząc półgłosem o różnych rodzajach śmierci. W głębi, na wysoko zasłanem kraciastą pierzyną łóżku, leżała stara Urbanowa. Twarz jej zasła już cieniem śmierci; nikły oddech ledwo piersi jej poruszał, oczy tylko z wyrazem błogości i zachwyty wzniesione były do góry.

Lewa jej ręka przytrzymała zapaloną gromnicę, prawa leżała na ramieniu Jaśka, który wstrząsany głuchem łkaniem, z twarzą ukrytą w matczynej pierzynie, klęczał przy łóżku w królewskiej purpurze i złotej koronie na głowie.

Z pod purpury ukazywały się od dawna widać nie łątane przez matkę, stare spłowiełe spodnie i trepy na bosych, wychudzonych nogach. . . .

BANASIOWA

Banasiowa

Niechże i tobie będzie tutaj karta,
Staruszko moja, na kiju oparta.
Coś mnie tak zesza wśród ciszy i słońca,
Białością swoją cała srebrniejąca,
Jak schodzi czasem z swojego ukrycia
Prosta i mądra w prostocie — myśl życia.

Południe było ciche i gorące. Park łyżczakowski we Lwowie zdawał się topnieć w powietrzu rozjarzonym, drgającym od natężonych, promienistych blasków.

W złoto-zielonej sieci, splątanej z cienkich nitek, sięgającego się wskróż cienistej lipy słońca, wisiał przede mną nieruchomo prawie i bez brzęku, omdlały rój drobniuchnych muszek; nad niedalekim trawnikiem polatywały białe motyle krótkim, niskim lotem, zapadając głęboko między trawy; żwir błyszczał oślepiająco na krzyżujących się wprost ławki ścieżkach, a silne, zmieszane wonie były w powietrze jakby z kadzielnicy. Wszystko to przyszło nagle po bardzo świeżym i pełnym ros rześnych poranku, gdy słońce, białe prawie, wytoczyło się wysoko, jak kula, uderzając całym żarem w dyszącą i spotniałą ziemię. Park był pusty. Ci, co tu bywają raniem, już odeszli, ci, co szukają cienia i chłodu, nie przyszli jeszcze. Natężone gorąco zdawało się wzmacniać wśród zupełnej ciszy, a oddalone cykania koników polnych podobne były do lekkiego trzasku niewidzialnych, podsycających żar południa iskier.

Naraz usłyszałam za sobą pośpieszny stukot kija. Obejrzałam się. Ku ławce mojej szła drobnym, pośpiesznym krokiem mała, mocno do ziemi przygięta staruszka. Biały jej czepiec olśniewająco srebrzył się pod słońce, równie jak biała, skrzyżowana na grubym kaftanie chustka i takież obszerny fartuch. Jedno jej ramię obciążone było koszem, drugie wyciągało się miarowo, stukając niewielkim kijem, który nogom za podporę służył, a i oczom pomagał może.

Daleko jeszcze była, kiedy już usłyszałam jej oddech krótki i ciężyki. Widocznie śpieszyła do ławki, by spocząć i kosz na niej postawić. Wyszłe jej nogi drepwały z wielkiem wysileniem, płacząc się coraz prędzej i krzywe stawiając kroki; głowę miała tak schyloną, że oblicza jej dojrzeć nie mogła. I ona też zapewne nie widziała mnie wcale. Dopiero kiedy cień mój znalazł się tuż przed nią, wstrzymała się nagle, rozprostowała nieco i twarz podniosła ku mnie. Jaka to była sieć zmarzszcek! Życie, co przedło nitki tej sieci, musiało być długie, bardzo długie; musiało też nie spoczywać nigdy. Musiało ono rankiem przy ogarku do pracy się brać, a kończyć ją pół ślepo, o pianiu północnych kurów. Musiało na szare wrzeciono swoje wytargać z tej piersi wszystkie włókienka; musiało nie swoją rwać, plątać i znów rwać, i znów plątać, nie wygładzając węzłów, tylko śpiesząc, śpiesząc, śpiesząc. . . .

Stała tak chwilę, jakby w zadziwieniu, mrugając małemi, szaremi oczkami, poczem znów się ruszyła, do ławki podeszła i kosz, do połowy napełniony piernikami o nią oparłszy, odetchnęła głęboko raz i drugi.

— Gorąco — przemówiłam, aby coś powiedzieć.

— A dał Pan Jezus, dał! — odrzekła, ocierając wyschłą ręką pot z bladej, jak opłatek twarzy. — Przyparek taki naszedł, co strach!

— Siądziecie może trochę?

— I . . . co ta siadać, proszę łaski pani! Tak się aby zepnę. Starocie takiej to i sieć i wstać trudno.

Zaraz cośi w krzyżu trzeszczy. . . .

— Ileż sobie lat liczycie?

— A cóż ja ta mam je liczyć, proszę łaski pani. Pan Jezus je ta bezemnie liczy. . . . Zawszeć będzie tego z osiemdziesiąt chyba . . . osiemdziesiąt, albo i więcej. Tak z pamięci to trudno wszystko do kupy złożyć, ale że w naszej parafii ludzie wiedzą . . . papiery na to są. . . .

— Toście nie tutejsi, matko?

— Cobym zaś, proszę łaski pani, tutejsza miała być? Z Wadowic jestem, z miasteczka. A jakże! Ino że teraz osada się tam zrobiła i insze porządki są. Ale zawsze mnie tam ludzie znają. Banasiowa, ta i Banasiowa, mały, duży o mnie wie, co i jak.

— I takeście do Lwowa przywędrowali?

— A gdzieby ja tam do Lwowa, proszę łaski pani! Abo mnie to Lwów co da, abo i pomoże? To tam młodym dobrze ubiegać po świecie i pod wiatem dmuchać, ale nie na moje lata! Ino, że tu dzieci mam, niby córkę, co za goździarzem we fabryce je. . . . A jakże! To jak mnie ta święta ziemia zaczęła do siebie wołać, takem do nich na śmierć ściągła. Zawszeć to u swoich lżejsze umieranie. Nie daj Boże ciężkiego konania, to choć słomy na izbie rozścielą i tej duszyczce z grzesznego ciała wyjść dopomogą.

— I dobrze wam u dzieci?

— A cóż? Dobrze. Staremu wszędzie dobrze, bo już od złego nie ubiega. Ino, że mi się tak nie wyszykowało, jakem sobie umyśliła.

— I z czemże wam się tak nie wyszykowało?

— Ano, niby z tem umieraniem, proszę łaski pani. Tu na śmierć do dzieci ściągłam, a tu precz żyję, taj żyję. Pecherzynka się, ot, taka widzi, co to dmuchnąć i tyła, a tu takie twarde życie we mnie, co niech ręka boska broni! Ze samego początku, to tam kramu żadnego, chwalić Boga, nie było. Zameldowali mnie pięknie, ładnie; bywało zięć na robotę do fabryki idzie, córka się

po stancji kręci, a ja wedle pieca siądę, pierza sobie, com ta miała zebranego poduszczynę, drę, pacierz mówię i onej ostatniej godziny czekam. Czekam miesiąc, czekam dwa, nic. Aż mnie coś przenika z tego czekania. Tak przychodzi raz w niedzielę stróż i powiada: A wy Pietrze, — niby, że to zięciowi Pietr ze chrztu świętego — matce kartę-pobył szykujcie, kiedy u was siedzi. Tak zięć się zastanowił i powiada: A siłaż to tam tego? Tak stróż powiada: A dwa złote przez kwartał. Ano poczęstował go zięć tabaką, poszedł! Jak też poszedł, tak mówię ja Pietrowi: Na co mi, synku, ta karta-pobył, kiedy ja tu na śmierć ściągnęła, nie na życie? Ino we mnie tchu patrzeć, bom strasznie mdła na wnątrzu. Tak córka się odzywa: Abo i prawda. Co się ta będziesz kosztował, kiedy matce dziś a jutro. A no, tak my się wszyscy na jedno zmówili, i cicho i dobrze. A uderzały na mnie, proszę łaski pani, takie słaboście, takie poty śmiertelne, że to każda kosteczka trzęsła się we mnie, jak ten liść na wietrze, a przed oczami jakby kto sadze sypał, taka czarność szła. A drugi raz, to jak mnie zaczęło w krzyzie łamać, to żeby tam troiste zorze na niebie stanęły, toby człowiek do nich głowy nie wzmógł dźwignąć. Więc takem sobie na rozum brała, że to ta niedługie już rzeczy ze mną. Ale co ta grzeszny człowiek może wiedzieć. Zeszedł kwartał, zeszedł drugi, nic, precz żyję. Licho co zjem, na ziemi pod piecem się prześpię i żyję. A jakże! Aż mi dziwno. Czy też tam Pan Jezus — myślę ja sobie — nóżką swoją przenajświętszą moją liczbę przestąpił, czy co? . . . Tak raz wraca zięć z roboty, a tu za nim stróż we drzwi. Bójcie się Boga, Pietrze, — powiada — cóż z tą waszą matką. Na śmierć, mówicie, ściągnęła, a tu już trzeci kwartał żyjąca je i karty-pobył nie płaci. Już na drugie tyła kary narosnęło. Insze lokatory to tam same za siebie myślą, ale wedle suteryn, to mnie naczelnik przykazał za tem patrzeć. Żeby się tak dowiedział toby i mnie i wam była bieda. Róbcież jaki

porządek z tym interesem abo w tę stronę, abo w tę stronę, bo to już tego więcej niż dziesięć złotych będzie. Tak się Piotr zafrasował, czapkę na stół cisnął, i jak stanął na wpośrodku izby, tak stoi i w głowę się drapie. A córka się zara zapaliła na twarzy i powiada: Matka też to, Boże odpuść, nie wiedzieć po jakiemu się wyrachowała! Na umieranie ściągła, a tu umieranie, gdzie! Drugi człowiek to i na starość rozumu nie ma. Gdzie tu tera walić dziesięć złotych, a jeszcze nie koniec! Tak Pietr na nią. Cichoj Franka, nie mamroc, nie wiesz jeszcze sama do siebie, na co ci przyjdzie, że to miłosiernego serca, proszę łaski pani, był, muchy by nie zabił. A jakże! Ano rada w radę, dał zięć stróżowi dwadzieścia i trzy grosze, żeby ta jako zachraniał, aby do czasu, aby do czasu, że to niby, co drzwi skrzypną, to śmierci patrzeć. Jak mu też te dwadzieścia i trzy grosze dał, tak mnie ino pod sercem ścisło. Córka się też złością zajęła, garnek cisnęła pod stół, mało się nie rozleciał, ale że już nic nie mówiła. A co to, to niema dziwu! Tera tyle pieniędzy wał, tera wykład taki. . . . I żeby to człowiek za to zjadł, abo wypił, ale tak po próżnicy. . . .

Odetchnęła głęboko i otarła pot kroplisty z czoła.

— Łyżki strawy żałować, to mi nie żalowali, Pan Bóg by mnie skarał, gdybym mówiła inaczej. Co prawda, to ta człowiek nie wiele ich tem jadłem skrzywdził. Pochlipał ta parę łyżek co w misce ostało i już. A co? Takiej ta grochowinie, to i nie pięknie młodych objadać. Każde lata mają swój porządek. Staremu, to ta zarówno, choć i przymrze głodu, bo i tak się do roboty nie porwie, a młody stanąć musi na każdy czas we swoim obowiązku. Nie skąpili mi ta nigdy, ani zięć, ani córka; ale taka utrata. . . .

Przestała mówić i chwiała głową siwą.

— No i cóż dalej?

— A no co! Przyszła druga zima i nic. Stróżowi się ta podetkło co nie co i cicho. A mnie ino precz

jedno w głowie, że mi się tak nie wyszykowało, jak ja sobie myślałam. Ludzkie pomyślenie, głupich pocieszenie. . . . Pókim jeszcze pierza nie zdarła, to co mi się wspomni, to sobie mówię: niech ta! niech im ta choć poduszczyna po mnie ostanie; ale jakem pierze zdarła . . .

Aż tu mnie na zezimek znów po kościach łamać zaczęło, kaszel mi się też przyplątał, dychawica jakaś . . . Franka! — mówię do córki, — już tera będzie koniec, bo i tchnąć za kaszlem nie mogę. A córka: Co ta matce będzie! kaszel nie kaszel, jakby kijem za psem ciskał. Że to ją serce gryzło o to podtykanie stróżowi, proszę łaski pani. . . . Tak, nie wymawiając Panu Jezusowi, zaczęłam ja dwa dni suszyć do Przemienienia Pańskiego. Bo już mnie i wstyd było przed ludźmi. W całych suterynach wiedzieli, żem do dzieci umierać ściągnęła, to co kto pojrzy na mnie, to się dziwuje. . . . A jakże! Z początku to mi ta zięć nie dał suszyć. Co ta matce po tem, powiada, Pana Boga kusić! Co ma przyjsć, to i tak przyjdzie. Tera, na zezimek, najwięcej starych umiera, to ta i bez suszenia na matkę trafi. Ale żem sobie przeperswadować nie dała.

— I pomogło?

— A pomogło! Na trzeci tydzień tom tak zesłała, żem już stancji zamieść nie mogła, gdzie! ani wody przełknąć. Śmierć moja — myślę ja sobie — i zara mi się lżej na sercu zrobiło. Umyłam się pięknie, ładnie, oblokłam czystą koszulę, siadłam na progu, paciorek sobie święty mówię i czekam. A tu takie białe chmurki niebem idą, a tu słońce przyświeca, a wróble świegocą, że to już niby wszystko wiosnę poczuło. Jak na to uderzyły dzwony nad miastem . . . Tak mówię ja sobie: wieczny odpoczynek racz mi dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mi świeci na wieki wieków amen. . . . I zaraz mi się same oczy przymknęły, i taka słodkość po sercu mi poszła, jak kiedy się człowiekowi na lekki sen zbierze. Aż tu ktoś idzie, butami stuka. Patrę ja,

stróż idzie. Papier niesie, do policji woła, do kancelarii, niby o tę kartę-pobył. . . . Myślałam, że się ziemia przedemną rozstąpiła. Pietra nie było w domu, córka prała, to ta do niej i nie gadać wtedy wiele, tak weszłam do stacji, stanęłam i stoję, nie mający się zaradzić kogo.

żeby Piotr w domu był, toby ta stróża czem niebądź uładził na tę chwilę, a tu już może do wieczora byłoby po kramie. Ano, nie było Pietra. Stoję ja, medytuję, a córka niesie garnek z ukropem do balii. Tak potrafiła się o mnie, i powiada: Co matka będzie na drodze stać, jak ta męka pańska, kiedy tu niema czasu omijać? Kiedy wołają do cyrkułu, to iść. Trza było wpierw wy-miarkować jak i co, nie tera mędrkować po niewczasie. Ano, mówię, twoja prawda. Takem się odziała chustką i idę. Pan Jezus Przenajświętszy zapisał ta sobie tę moją dróżkę. . . . Inom się murów chwytala, jak ten pijany, ino mi się mrocunki w oczach robiły, a takie zimno i gorąco przezemnie szło, jakby mnie kto wodą polewał i ogniem parzył. Ano szłam. Jakem też zaszła, tak patrzę, siedzą panowie u stołów, jeden spaniały w sobie, drugi czarny taki i jeszcze trzeci. Tak się zaraz pokłoniłam i mówię tak i tak. A oni precz rękami machają, nie tu i nie tu. . . . Tak poszłam dalej. Ale i tam mi jeden, młody taki, powiedział, że nie tu. Tak mnie sobie podawali od stołu do stołu, a ze mnie już ostatnie siły wyszły. Aż nareście zmiłował się ta jeden, taki chuderlawy, i palcem mi do drugiego pokoju pokazał, gdzie siedział sam starszy. Stanęłam ja przy progu i stoję, a tu nogi ino podemną dygocą. Tak się starszy odwrócił. Jak się też odwrócił, tak zara pyta: "co? jakie dzieło?" Tak ja jemu powiadam wszystko od początku. Wysłuchał i znów pyta: "jakie dzieło?" Tak ja jemu znów od początku powiadam, jakem tu do dzieci na śmierć ściągnęła, jakem karty-pobył nie wykupowała, że to niby dziś a jutro takiej starocie, jak Pan Jezus Przenajświętszy zapomniał o mnie i precz żyję, taj żyję i teraz mnie tu wołają. Tak starszy dzwoni. Jak zadzwonił, przychodzi

drugi, w takich guzikach. . . . Dopieroż mnie się pytać jeszcze raz o wszystkim od początku. Jak mnie też wy pytali, tak starszy powiada: no moja kobieto, należy się od ciebie pięć papierków z połową. Jak ja to nie usłyszę, jak nie załamie rąk . . . Pięć papierków! Jezu Chryste! A toć rychtaczek tyła, com na swój pochów Pietrowi dała, kiedym do nich ściągała. . . . Tak zara na mnie mdłość uderzyła i o ścianę się, jak nieżywa, sparłam. Niby stoję, niby skrós ziemi lecę, niby patrzę, niby nie patrzę, a w głowie taki szum, jakby po niej wicher chodził. Pozrywali się ta oni panowie, ten w guzikach po wodę poleciał, ten drugi na krzesło mnie sadzać chciał. . . . Widzę ja, że taki miłosierny, ludzki pan, tak buch jemu do nóg. Panie! — mówię — wielmożny panie, wielmożny komisarzu! A skądże ja tyle pieniędzy wezmę? Skądże ja to sierota, opłacę? Wielmożny pan spojrz po mnie! Toć to wiór suchy, kostki struchlałe próchno. . . . Ledwo się ten ostatni duch ma po czem kołatać. A toć ja nie zastępuję nikomu nijakiego placu na świecie. . . . Na garsteczce słomy pod piecem legam, wody kapkę wypiję, jak ten wróbel skubną tej strawy . . . powietrza też nie ukrzywdzę, bo ledwie dech złapać mogę, ani słonyszka tego, bo w suterynach siedzę, to tam go i nie ujrzyć nawet. . . . Ja wiem, wielmożny komisarzu, że już mi dawno czas na umieranie! A co zrobić, kiedy takie twarde życie mam w sobie! Niech mi już ta wielmożny pan odpuści! Daruje! A toć ja sama tej śmierci wyglądam a wyglądam, co dnia, co godziny. . . . Jużem ci ja ten pobyt zapłaciła Panu Jezusowi, na chwałę Jego Przenajświętszą. Trzy-naściorgo dzieci miałam, pochowałam siedmiorgo, jako tych kwiatuszków bieluśkich, dwóch mi synów w rekruta wzięli, żołnierzyków takich młodziuśkich, że to krew z mlekiem . . . jeden mi chłopak w rzece utonął, jedna córka do miasta uciekła, jeden najmłodszy spalił mi się na strychu śpiący, jako ten wróbel pod strzechą. . . . Toż ta Pan Bóg Przenajświętszy już ze mnie wybrał ten

pobył i rodzeniem i żalnością i pracą ciężką i głodem i krwawym płaczem i onemi mogiłkami ze żółtego piasku. . . .

Zamilkła, a po jej wyschłej twarzy leciały wielkie łzy, w jasności słonecznej złote, jedną drugą strącając. Zapadłe wargi drżały niedomówionemi słowy, a stara głowa trzęsła się bezmocnie. . . . Zaprawdę, Bóg wybrał już z tej istoty ludzkiej opłatę za "pobył" do ostatniego szeląga.

— I cóż? — spytałam z cicha, gdy się uspokoiła nieco.

— A cóż! Musiałam zapłacić. Pięć papierków, pani moja, jak lodu. A jakże! Jeszcze mi Piotr pół papierka ze swoich dał. Co było na pochów, poszło. . . . Niech im ta Pan Bóg Przenajświętszy nie pamięta! A to i oni, chudziątka niewinni, ino, że takie prawo je . . . niby przykaz taki. . . .

— I teraz handlujecie?

— Gdzie ja ta, proszę łaski pani, handluję! Przedałam onę poduszczynę, papierka mi za nie dali i złoty przez pięciu groszy, to zara dwa złote poszło na nową kartę-pobył, niby od kwartału, a z reszty tak oto człowiek grosza dogania, coby aby w te kary znów nie popaść. A co? Jak takie twarde życie we mnie je, to może jeszcze i ten rok płacić będzie trzeba. . . .

Zapatrzyła się przed siebie, podniósłszy wysoko brwi siwe, wypełzłe i chwiała głową na obie strony jakby w wielkiem zadumieniu nad porządkiem świata. . . .

MARTWA NATURA

Martwa Natura

żałuję, bardzo żałuję, że wam nie mogę powiedzieć, jak wyglądał, gdy stał lub chodził, jakie miał poruszenia rąk i głowy, czy grzbiet jego był pochyły, czy prosty, a nade wszystko, jaki miał głos i spojrzenie. Nie dlatego, broń, Boże, iżbym z tych rzeczy sekret robić chciała, ale dlatego, że go poznała w chwili wyjątkowego spokoju, kiedy głowa jego spoczywała nieruchomie, oczy były zamknięte, ręce skrzyżowane, a w piersi nie tylko głosu, ale i tchu już nie stało. Poznałam go w trumnie.

Trumna to była prosta, sosnowa, czarno bajcowana, z krzyżem blaszanym, płasko na wieku przybitym, a po obu jej stronach stały cztery świece, w ciężkich cynowych lichtarzach, należących do rekwizytów szpitalnej kapliczki. Zapalono je w ostatniej chwili, właśnie kiedy trzęsący się po nierównym bruku karawan jedno-konny przed kapliczką stanął, a karawaniarz zlął z kozła, aby poodpinać z guzików podjęte dla oszczędności brzegi całunu, obejmującego drewnianą podstawę wozu.

Jednocześnie skrzypnęła szpitalna brama, a w niej ukazał się stróż, do którego karawaniarz zaraz podszedł, wziął tabaki, zażył akuratnie, kichnął, a obtarłszy nos i wąsy rękawem żałobnego płaszcza, gawędzić zaczął, z czego korzystając koń karawaniarski, łeb spuścił, kiwnął nim kilka razy i przymrużywszy krwawe ślepie, zasnął.

Tymczasem odezwała się szpitalna sygnaturka głuchym, bezdźwięcznym brzękiem, posługacz drzwi kapliczki z wewnątrz otworzył, a garstka przechodniów,

która się na widok karawana zatrzymała na przeciwnym trotnuarze, z pośpiechem do niej weszła. Było tego z dziewięć, dziesięć osób. Dziadek żebrzący w starym żołnierskim szynelu, stróżka z trzeciej kamienicy, praczka z przeciwka, chłopak niosący szewskie kopyto, kupka dzieci, jegomość, który z podniesionym kołnierzem i uśmiechem mizantropa wyszedł z narożnego szynczku, wreszcie chłop w płótniance, bosy, ogorzały, obu powalanemi gliną rękami przyciskający wyrudziłą czapkę do odkrytej piersi.

Kobiety wchodząc żegnały się, przystępowały bliżej do trumny i klękały z głóśnem a obojętnem westchnieniem; mężczyźni zatrzymywali się u proga, odpowiadali "na wieki" dziadkowi i brali od niego tabakę. Co zaś do dzieci, te rozeszły się zaraz ze szmerem po kątach, dotykając palcami lichtarzy, czarnego drewnianego pudła, na którym trumna stała, i ścian, po których martwej bieli ślizgał się żółty odblask czterech, chwiejących się lekko nad cienkimi świecami, płomyków. Sygnaturka wciąż brzęczała fałszywym, rozbitym głosem. . . .

Wtem bocznemi drzwiami, które łączyły kapliczkę z korytarzem szpitalnym, weszła zakonnica, tęgiej przysadzistej budowy, przyklękła przed umieszczonym w szczytowej ścianie krzyżem i zaraz powstawszy energicznym, prawie żołnierskim ruchem ku drzwiom się zwróciła. Tuż za nią weszło dwóch posługaczy, którzy też poklękawszy, przeżegnali się i stanęli gotowi trumnę brać a nieść.

Widocznem to było, że tutaj czasu na żadne bałamuctwa niema. Masz się rodzić, to się ródź, masz umierać, to umieraj, a jeśli chcesz być pochowanym, to zaraz, bo tam się już dziesięciu innych rodzi i umiera.

Wszystko to wyczytać było można z bystrego spojrzenia siwych oczu, które zakonnica z pewną niecierpliwością ku drzwiom wchodowym zwróciła.

Tymczasem obecni ruszyli się, aby "dobrodzikę" ucałować w rękę, najpierw dzieci, potem starsi. Chłop tylko pozostał u proga, a szeroko otwarte oczy jego, pa-

trzyły przed siebie tępo, bezmyślnie.

— Kto to umarł Dobrodziuniu? — zagadnęła stróżka.

— To tam jeden! — odrzekła niedbale zakonnica, machnąwszy ręką w szerokim rękawie i nie patrząc na wet na mówiącą. Istotnie. Tam, gdzie umierają setki, cóż taki *jeden* znaczyć może? . . .

— A dzieci zostały? — pytała dalej stróżka.

— A jakże! Coś troje tego, czy czworo. . . .

Zakonnica wzruszyła ramionami, jakby w politowaniu nad zaślepieniem tych, co umierając, zostawiają dzieci; oczy jej przecież zaszły troską o losy tych trojga czy czworga.

Stróżka i praczka zaczęły wzdychać i kiwać głowami.

W tej chwili właśnie, potknąwszy się o wysoki próg kapliczki, wpadło do niej troje dzieci. Szły widać śpiesznie i z daleka, bo twarze ich były spocone i silnie rozgrzane.

Najstarsza, dziesięcioletnia może dziewczynka w szarej, zniszczonej sukieneczynie, w płaskim opasanym czarnej wstążką kapeluszu i mocno przydeptanych trzewikach, trzymała za ręce dwóch chłopców, z których młodszy, z pięć lat może liczący, ledwo nadażał za nią, kołysząc się na swoich koszlawych nożętach. Obaj chłopcy trzymali łyczkowe kapelusze w ręku, włosy mieli jak szczotki do góry stojące, a na szyjach wielkie czarne kryzy, które żałobnie odbijały od połatanych kolorowych kurtek i spodeńków. Szli mocno stukając płytkimi trzewikami, obutymi na boscie ogorzałe nogi.

— A chodźcie no prędzej! — kiwnęła na nich stojąca przed trumną zakonnica. — Czemuż to tak późno? A babka gdzie?

I nie czekając odpowiedzi, pociągnęła dziewczynkę za rękaw.

— Ukłękniście tu i zmówcie pacierz. Trzy Ojczy nasz, trzy Zdrowaś i trzy razy Wieczny odpoczynek. Tylko prędko!

Chłopcy patrzyli na zakonniceę wystraszoną wzro-

kiem: na śniadą twarz dziewczynki wybił gwałtowny rumieniec, usta jej się zatrzęsły, a oczy napęliły łzami.

— Czy to córka? — spytała znów półgłosem stróżka.

— A córka, najstarsza córka.

— A matkę mają?

— Gdzie zaś tam mają! Jeszcze w jesieni tu u nas umarła.

— To i na co mu się, Dobrodziuniu, zmarło? — pytała praczka.

— A Bóg go tam wie, moja pani. Na suchoty, czy co. Kaszlał, kaszlał, aż i umarł.

— Czy to profesjant? — przemówił jegomość z podniesionym kołnierzem, skubiąc żółtą bródkę.

— Jaki on tam profesjant! — wzruszając ramionami odrzekła zakonnica. — Posłaniec był, nie żaden profesjant.

— No, dzieci, już? — spytała, zwracając się do kłęczących.

Dziewczynka i teraz jeszcze braci za ręce trzymała, wlepiwszy w trumnę oczy, z których padały wielkie jasne łzy na jej szarą, zniszczoną sukieneczkę.

Sieroty zerwały się jak na komendę.

— To już czekać niema co — mówiła dalej zakonnica. — Kiedy babka nie przyszła, to widać już nie przyjdzie. Dalej, bierzcie!

Rozkaz odnosił się do posługaczy, którzy po obu bokach trumny stanąwszy, sięgnęli po nią.

Wtem ode drzwi dał się słyszeć stukot kija, szukającego drogi dla starych nóg, na wpół ośleplej kobiety, która przecież sama szła, szeroko otworzywszy zbieleiałe źrenice i macając przed sobą chudą, wyschlą ręką.

— Babka, babka! . . . — poszedł szept od progu, a gromadka rozsunała się na obie strony.

— Dalej, babusiu! Dalej, dajcie rękę! — przemówiła z żywością zakonnica, chcąc ślepą doprowadzić do trumny.

Ale stara kobieta zatrzepała w powietrzu wyschłemi dłońmi.

— Nie trzeba, nie! Ja wszystko widzę. Ja sama . . . wszystko widzę! — Kazia! Jesteś tu, Kazia? — dodała zaraz suchym, twardym głosem.

Dziewczynka puściła chłopców i do babki podszedłszy, pocałowała ją w rękę.

— Cóż? — pytała stara — zamknęli już ojca? — Co?

— Zamknęli, babusiu. . . . I dziecko wybuchnęło niepomohowanym płaczem.

— No to niechże otworzą! Niechże otworzą jeszcze! Pod głowę mu oto przyniosłam. . . . Ma być pochów, to niech będzie pochów. . . .

I rozwinęła przed sobą trzęsącemi się rękami, kawałek oszytego szlarką perkalu, do którego czterech rogów przyczepione były kokardki z lichej białej wstążki.

— Pod głowę przyniosłam. . . . Niechże otworzą. . . .

I szła prosto na trumnę, szerzej jeszcze otwierając oślepie oczy, aż rękoma jej dotknąwszy o krok się cofnęła z głuchem jakimś mruzeniem.

— Kazia! — zawołała znowu, ale głos jej złamał się nagle, a usta zapadłe w milczeniu poruszać się zaczęły.

Zakonnica kiwnęła na posługaczy. Jeden z nich zsunął z trumny nieprzybite jeszcze wieko.

Wtedy to ukazała mi się woskowo-żółta twarz zmarłego, do której przywarł jakiś wyraz twardy i posepny. Na zapadłych piersiach złożone były ręce, w których tkwił papierowy, jaskrawo malowany obrazek, wyciągnięte nogi strasznie wypoczywały po wszystkich kursach z "listem" i "z posyłką".

Obecni zaczęli się przysuwać i wspinać na palce.

Wtedy drugi z posługaczy podłożył ręce i podniósł w połowie trupa.

— Dawaj pani, bo ciężko! — przemówił do starej.

Ale stara nie puszczała chusty.

— Gdzieżbym ja komu? . . . Ja . . . matka — mruzczała, stukając grubym swoim kijem po stopniach wzniesienia. — Gdzieżbym ja komu. . . . Sama rodziła, sama i na śmierć ułoży. . . .

Nie mogła wszakże wejść. Czy sił jej nagle zabrakło, czy chwiejące się stopnie dostatecznej nie dawały podpory, dość, że nie mogła.

— Kazia! . . . Kazia . . . prowadź! — rzekła zmienionym głosem.

Dziewczyzna podbiegła i w pół objęła starą.

— Tu babusiu, tu . . . — mówiła, kierując rękami ślepej. Tu . . . o tu, głowa. . . .

— Dalej, kładź pani prędej, masz pani kłaść! — wołał niecierpliwie posługacz.

Stara kobieta zdawała go się nie słyszeć. Kij puściła na ziemię, a wsunawszy wyschłe ręce w trumnę, zaścielała poomacku ostatnie dla syna posłanie.

— Szpitalnego pochowu się bałeś — mruzczała półgłosem — a ot tobie, synku, własny pochów, nie szpitalny. . . . Nie pójdiesz do wspólnego dołu, nie bój się, nie. . . . Trumnę własną masz, płatną, nie borgowaną; pokładne zapłacone. Na dwadzieścia lat, synku, komorne w poświęcanej ziemi. . . . Karawan masz, cztery świece masz, wszystko masz. Piętnaście rubli wydałam, synku. . . . Dla ciebie, nie dla siebie. Dla siebie nic nie schowałam, nic, synku! Jak ty wpierw, tak co mnie po tem?

Mówiła to z jakąś bolesną dumą, trzęsąc głową siwą.

Obecni wzdychali. Zakonnica odmawiała głośno *Pater noster*, zasunawszy ręce głęboko w rękawy.

— No! włożyła pani, czy nie włożyła? — ofuknął posługacz, i nie czekając odpowiedzi, trupa na ręce ślepej puścił.

— Oh! oh! . . . — jęknęła nagle i pochyliła się cała nad trumną. — Oh! oh! . . . Weź mnie, Józef, do domu! Do wiecznego domu. . . .

Siwa jej głowa mocno trząść się zaczęła, a łyzy cięż-

kie, grube padały na piersi syna. Chwilę trwała cisza, wśród której słychać było szlochanie kobiet. Dzieci patrzyły wystraszone, zakonnica zaczęła *Ave*.

Nagle wyprostowała się ślepa.

— Kazia! — przemówiła znów dawnym swoim twardym głosem — a dajno dzieci! Niech pożegnają ojca.

Dziewczynka dźwignęła z wysiłkiem młodszego do wysokości trumny.

— Pocałuj, Maniś ojca w rękę — rzekła dysząc ciężko. — Ale malec z przestraczem odwrócił twarzą od wnętrza trumny.

— Dalej! Pocałuj, kiedy mówię — nalegała trzymająca go w powietrzu siostra.

Wtem babka wyciągnęła rękę i natrafiwszy na głowę wnuka, przycisnęła ją do złożonych rąk zmarłego.

— Julek — rzekła dziewczynka, puściwszy młodszego brata — pójdź ty teraz, pożegnaj ojca.

Starszy chłopiec sam się wdrapał i wspiąwszy się na palce pocałował rękaw ojcowski.

Babka i tę głowinę przycisnęła do piersi trupa.

— Patrz, a pamiętaj sobie — mówiła — że choć twój ojciec w szpitalu umarł, ale równo pochów miał własny. . . . Trumnę miał, wszystko miał. . . . Żebyś to sobie pamiętał!

— O la Boga! — niecierpliwili się tymczasem posługacze. — Żeby tak człowiek ze wszystkimi takie termedyje miał, toby nie stało czasu i na połowę tego, co się teraz przez ręce przewinie.

Dziewczynka pociągnęła babkę za sobą. Zaraz też dało się słyszeć kilkanaście uderzeń młotka przytwierdzających wieko trumienne.

— A blacha? Gdzie blacha? — zapytała nagle stara.

Wyjęto blachę z kąta.

Powiodła ręką po trumnie i wskazała miejsce.

— Tu . . . tu przybić! A kapa na wierzch!

Kapą nazywała kawałek perkalu, który wychodził z trumny.

— Kazia! — dodała. — A patrz tam, czy aby prosto przybijają. Bo to wszystko płatne. . . . I wstążkę żeby było widać!

Dwa uderzenia młotka przytwierdziły w tej chwili blachę, na której był napis:

Śp. JÓZEF SZCZEPTEK
posłaniec miejski
żył lat 43

Dokładniejszej rekomendacji przy pierwszym zapoznaniu się, trudno było wymagać.

— Dalej go! . . . Na prawo! Nie tak! Z tej strony! Pod górę! Dość! — wołali kolejno obaj posługacze, poczem trumnę wynosić zaczęto.

Dziad stęknął w tej chwili i głośno zaczął mówić wieczny odpoczynek. Liczył na uznanie obecnych.

Dosłyszawszy go stara zaniepokoiła się i po kieszeniach szukać zaczęła.

Nie mogła wszakże nic znaleźć.

— Jeszcze gdzieś . . . — mruzczała — był grosz . . . czy dwa. . . .

Zbliżyłam się, podając dziewczynce trochę drobnej monety.

Mała zrozumiała i nie dziękując wzięła z niej dwie sztuki i podsunęła je babce.

— Jest, babusiu . . . — rzekła — jest. . . .

Ślepa podniosła wysoko głowę i wyciągnęła rękę.

— Na! macie! — rzekła. — Za duszę Józefa!

A nie gadajcie, żeście darmo pacierz mówili. Jak ma być pochów, to niech będzie!

I z podniesioną głową wyszła powoli z kaplicy, stukając przed sobą kijem.

MORZE

Morze

Najsłodsze marzeniem pana Prospera Kaputkiewicza było wystawienie szekspirowskiej "Burzy" w teatrze, którego miał szczęście być maszynistą i dekoratorem.

Co mu tę myśl po raz pierwszy poddało — trudno wiedzieć.

Zdaje się, iż uderzony nią został z powodu podobieństwa imienia swojego z imieniem szlachetnego "Prospero", bohatera "Burzy", na który to wniosek naprowadza szczególniej fakt, iż nie tylko świeżo przez siebie przemalowane dekoracje do najpopularniejszej w sezonie tragedii pod tytułem: "Walentyna, czyli pantofel bez pary", ale nawet kwity na swoją lichą pensyjkę podpisywał od niejakiego czasu "Prospero Kaputkiewicz", dodając do tego misterny zakręt w kształcie splątanej liny okrętowej.

Tak czy owak, zaprzeczyć się nie da, iż marzenie to opanowało go w tej samej mniej więcej porze, kiedy poszukując wyższej niż ta, którą posiadał drabinki, wdrapał się był stękając na teatralne strychy, gdzie pomiędzy nagromadzonemi od dawna rupieciami błąkało się kilkanaście książek z owej wiosennej doby romantyzmu, jaką przechodzi każdy prowincjonalny teatr, zanim dyrektor jego przekona się, iż tylko grając "Pantofla bez pary", można sobie raz na rok kupić parę butów. . . . Drabinki nie znalazł wprawdzie, ale w godzinę potem zbiegał mocno wzruszony z wązkich i skrzypiących schodów, ściskając pod pachą niedogryziony przez myszy wolumin, na którego noszącej ślad dawnych

złoceń okładce, widniało nieśmiertelne popiersie Szekspira.

Tego młodzieńczego zbiegnięcia mógł staremu maszynieście szczególnie pozazdrościć pierwszy kochanek trupy, pan Rufin Puzderko, za którego musiano wyrzucić z repertuaru wszystkie miłosno-balkonowe sceny, ponieważ zdarzało się, że po okrzyku: "Ach, otóż jesteś w objęciu mem!" upływało trzy do czterech minut zanim wgramolił się na schody do balkonu wiodące, a słowa mdlejącej z upojenia kochanki: "Ach, jak gwałtownie ściska mnie!" — przypadały mniej więcej na tę właśnie chwilę, kiedy ich trzeci szczebel przebywał z trudnością.

Że musiało to w wysokim stopniu psuć efekt takiej miłosnej sceny, nikt chyba nie zaprzeczy. Ale nie tylko strona estetyczna na szwank narażoną była. Niemniej cierpiała na tem i etyczna strona przedstawienia. Do zbytku bowiem i w sposób całkiem demoralizujący była akcentowaną tradycyjną ślepotą mężów w takich np. sytuacjach, kiedy zdradzony małżonek wołał zaciśkając pięście: "Ach, gdyby nie był z oczu mych znikł", lub też: "O nocy, która skryłaś go!" — podczas gdy pan Puzderko ze zwykłą swoją ślamazarnością połową zaledwie pleców zdążył się do niego odwrócić i stawał stopę na pierwszym dopiero szczeblu niebezpiecznej z balkonu przeprawy.

Kaputkiewiczowi nie zazdrościł wszakże nikt, bo go nikt nie widział. Wprost ze schodów wbiegł on do swojej zaśmieconej izdebki, drzwi na klucz zamknął, a potrąciwszy dekorację do siódmego aktu "Walentyny", na stołek pod okienkiem padł i trzęsącemi się jeszcze ze wzruszenia rękami, Szekspira okurzać zaczął.

Zwiędłe jego, głęboko zbruzdzone czoło dziwnie się przy tem zajęciu rozjaśniło, a w starych zmęczonych oczach zamigotał jakiś blask młodości. Okurzywszy książkę, pan Prosper rozłożył ją przed sobą, obu kościstymi rękami przegarnął na tył głowy rzadkie i mocno już siwiejące włosy, chude, szpiczaste łokcie na okien-

ku oparł, obu dłońmi objął skronie, pochylił się, westchnął, jak przed modlitwą i zaczął czytać "Burzę".

Po niejakiem czasie poruszył kilka razy plecami, jakby chłód poczuł i łopatki do góry przeciągnął. Była to pora, w której zmieniał zwykle swój stary surdut na starszy jeszcze szlafrok kratkowany, którego wierzch i podszewka wisały tu i owdzie w strzępy, ale wata była jeszcze wcale dobra. Szlafrok leżał pod ręką niemal, ciągnąc ku sobie oczy Kaputkiewicza tak, że one mimowoli zwróciły się kilka razy w tę stronę. Nie sięgnął przecież po niego stary maszynista, gdyż zdało mu się nieprzystojną rzeczą Szekspira w szlafroku czytać. Ścisnął się tylko sam w sobie, żeby mu cieplej było, nogę na nogę założył, ramiona pod uszy stulił i czytał.

Godziny wybijały jedna po drugiej na pobliskiej wieży, wczesny zmierzch dnia jesiennego napełniał kąty izdebki coraz gęstniejącym cieniem, na kartę książki upadł cienki promień nowiu, który zabłysnął wysoko na perłowym niebie.

Kaputkiewicz wciąż czytał, coraz niżej pochylając głowę, coraz silniej ściskając skronie i wytężając oczy. Aż wkońcu zaczęły się litery mieszać, majaczyć, plątać w jakieś esy, floresy, muszle, arabeski, wyskakiwać z linii, a promień miesięczny rozwinął dwa gazowe skrzydełka, zatrzepotał niemi pod sam koniec długiego nosa pana Prospera i nagle w Arleja zmieniony, chwycił się samego brzeżka książki, zawisnął głową na dół, rozsypał włosy złote po całej karcie, aż na zapadłe piersi i lichy wydarty surdut maszynisty. . . .

Zmrużył oczy Kaputkiewicz i zapatrzył się w to srebrne zjawisko z jakimś błogim, przypomnianym z lat młodych uśmiechem; długa jego, zwiędła, z silnie wystającą chrząstką szyja, zdawała się wyłazić z obwiązującej ją wysoko niebieskiej, bawełnianej chustki, a wszystkie zmarszczki zebrane około ust i oczu, przybrały wyraz rozrzewnienia. . . .

Gdzie to, gdzie to te czasy, kiedy on włosy takie. . . .

Westchnął, przetarł ręką czoło i zerwawszy się ze stołka, zaczął biegać po zagraconej izdebce, potrącając ramy, pędzle, deski i inne przybory swej codziennej pracy. Biegając, chwycił się od czasu do czasu za głowę, jakby uderzony widokiem jakiegoś ogromu, a drżące usta jego poruszały się półgłosem szeptem:

— Wielki! wielki! wielki! . . .

Były to jakby suplikacje nieskończenie słabego ducha, wobec ducha nieskończenie silnego.

Po pierwszym tym wybuchu uspokoił się stary dekorator, a nałożywszy krótką swoją fajeczkę, wyszukał sobie jakąś wężykowatą linię pomiędzy oknem a piecem, na której mniej było gratów i wolniejszym po niej chodził krokiem. Za nim ślizgał się cichy blask miesięczny, odrzucając na ścianę długi i zgarbiony cień jego postaci.

Kaputkiewicz marzył. . . .

Ach, i on miał młodość swoją i swoje porywy wielkości. I on pisał niegdyś na szkolnej ławie jeszcze, dramat bardzo krwawy. Ani szkół wszakże, ani dramatu nie skończył. Przyszły bowiem czasy wielkiej tragedii, w której tyłuż prawie było bohaterów co aktorów, a z której cało wychodzili tylko suflerzy.

Zadumał się Kaputkiewicz. . . .

Nagle stanął i uderzył dłonią w łysiejące czoło.

— A gdyby też tak dać kiedy Szekspira, ha? Wystawić taką oto "Burzę", he? . . . Albo by klapła, albo by i poszła. Kto wie? Może by i poszła. A może i nie. . . . Szekspir, rzecz górna. Kto się tu na tem pozna w tej dziurze? Chociaż znowu — lichy wie! I tu przecież są ludzie. . . . Nie można zawsze dawać tego starego "Pantofla bez pary". Taki teatr — to hańba po prostu! . . . Skręcił w bok i potrącił nogą dekorację, którą mu dla przemalowania jakiegoś szczegółu do izdebki wstawiono. Dawszy ten wyraz swej wzdardzie, znów zaczął monologować.

— Burza . . . Burza! . . . Tylko jakby to wy-

szło? Burza morska, ot co! . . . Bez morza ani rusz. . . .

Spuścił głowę i coraz szybciej po izdebce biegał.

— Maszyneria nowa musi być. . . . To już jak amen w pacierzu. To, co tu mają, na psa się nie zdało. Jest wprawdzie w magazynie ze dwadzieścia łokci wody wcale nieźle malowanej. Wcale nieźle. . . . Ale to nie dla Szekspira! Jakaś śpiąca, stojąca, martwa całkiem woda. Pod łódkę ujdzie, ale pod okręt — na nic. . . . Nie, nie, na psa się nie zdało! . . .

On stworzy morze. On je zrobi żywym, wzburzonym, huczącym. On fale wzruszy do głębi, zakręci wiry, wyrzuci trąby morskie w powietrze, rozpryska piany, bałwany na bałwanach spiętrzy. On stworzy burzę!

Podszedł do okienka, pchnął je i połową ciała wychylił się na ulicę. Duszno mu było w izdebce. Pierś miał wzniesioną, nozdrza śpiczastego nosa szeroko rozdęte, skronie tętniące, w oczach ogień.

Na ulicy była cisza. . . . Kilka bladych gwiazd drżało na październikowem, lekką mgłą owianem niebie, sierp księżycowy odcinał się od tego tła wyrazisty i błyszczący złotem.

Kaputkiewicz odetchnął raz i drugi silnie, jak gdyby wciągał w płuca szalejący wichur, oczy jego zdawały się wyzywać pioruny i błyskawice, młodzieńczym ruchem odrzucił w tył głowę, jakby strząsając słone bryzgi z włosów, pierś podał naprzód, zacisnął pięści i w głęboką ciszę wieczoru rzucił kilka nagłych, urwanych okrzyków, podobnych do głosu albatrosa, szybującego nad tonącym statkiem.

W tej chwili właśnie dały się słyszeć w uliczce człapiące kroki i zachrypla piosnka krawca z przeciwka, który regularnie o tej godzinie pijany do domu powracał.

Kaputkiewicz drgnął i zawstydzony cofnął się z okienka, czekając aż się krawiec oddali. Zamknął je potem, westchnął, a fantazja jego przybrała spokojniej-

szą postać. Chodził teraz rozważnie, powoli, ręce z wygasłą fajeczką w tył założywszy i spuściwszy głowę, kombinował, liczył, mruzczał, uśmiechał się i marszczył, wreszcie nie zapalając nawet światła, rzucił się na twarde posłanie i próbował zasnąć. . . .

Ale sen nie prędko dziś przyszedł nawiedzić izdebkę starego maszynisty.

Ledwo mu się oczy powlokły, natychmiast szum bałwanów morskich napełnił powietrze izdebki. Kaputkiewiczowi zdawało się wyraźnie, że mu się woda przez uszy przelewa. Zrywał się, wytrząsał palcem uszy i przecierał oczy, ale złudzenie i wtedy nie ustawało. Stojąca pod smugą księżycowego światła dekoracja siódmego aktu "Pantofla bez pary" wydawała mu się rozpiętym żaglem bocianiego gniazda, a własny jego kratkowany szlafrok zemdloną dziewczicą, której załamane ręce przedziwnie naśladował układem dziurawych na łokciach rękawów.

Usnął wreszcie Kaputkiewicz, ale i sen nie przyniósł mu spokoju. Zrazu śniło mu się, że jest Bosmanem z szekspirowskiej "Burzy" i że od jego dzielności ocalenie okrętu zawisło.

— Ostro, chłopcy, ostro! — wołał we śnie.

— Ruszajcie się, ruszajcie! Spuścić maszt naczelnny! żywo! żywo! Niżej! Rozepnijcie dolny żagiel! żywo!

— Żeby ich piorun z ich wyciem! — dodawał pod adresem rozpaczającej załogi.

— W kajutach siedzieć! Do kajut! Do kajut! Na bok! . . .

Pracował sam za dziesięciu, czuł, jak mu pot czoło zalewa.

— W tył! W tył! — krzyczał ochrypłym z wytężenia głosem. — Dodajcie dwa żagle! Nazad na otwarte morze! Nazad! . . . Nazad! . . .

W tem rrrum! Maszt główny runął z piekielnym hukiem, a Kaputkiewicz zerwał się i usiadł na łóżku.

Serce mu biło jak dzwon, usta miał zaschłe od krzyku, czoło oblane potem.

Zmiarkowawszy atoli, że jest we własnej izbie, uspokoił się, westchnął, przełknął ślinę, otarł drżącą ręką czoło, przeżegnał się krzyżem świętym i znowu zasnął.

Teraz śniło mu się, że jest szekspirowskim Prospero i wywołuje burzę. . . .

Widział się dostojnym starcem w obszernej, bramowanej futrem szacie i w głowę zachodził nie mogąc sobie przypomnieć, na jakie raty wziął ją od Klemfisz, który go stale odziewał. Dręczyło go to zrazu niezmiernie, lecz uspokoił się wreszcie, widząc, że ma srebrną, rozwianą wichrem brodę i orle spojrzenie, z czem ostatecznie Klemfisz nigdyby go poznać nie mógł.

Siedząc na nadbrzeżnej skale swej wyspy, opierał stopy o pnie koralowe i perłowe muszle, między którymi widniał napis: "Dzieła Williama Szekspira, przekład Paszkowskiego. Tom III-ci."

Jedna z rąk jego spoczywała na wielkiej otwartej księdze, a druga, wyciągnięta z laską runiczną na morze, kierowała wzburzoną żywiołem. Bałwany morskie ryczały i pienily się wściekle. Zaledwie odrobina zgrzytu maszynierii dawała się słyszeć niekiedy. Chmury przewalały się w powietrzu, tworząc coraz groźniejszą ciemność. Zdała, na samym krańcu widnokrzęgu okręt jakiś rozpaczliwie walczył z nawałnicą. Wskrósł huk wód spiętrzonych i wtórujących im grzmotów, które ten hultaj, Jasiek, nieporównanie umiał w ruch puszczać, słyhać było okrzyki tonących. Ucho śniącego wyróżniało z pośród nich dokładnie przerażone głosy pana Rufina Puzderko i panny Modesty Trykotowiczówny, pierwszej amantki trupy. Noc, ciemność, zgroza, ach, co za burza! Co za wspaniała burza! . . . Skinął w prawo, a fale zrywały się, jak tabun rozhukanych koni: skinął w lewo, a przybiegały mu do stóp, jak oswojone brytany.

Naraz podniósł runiczną laskę swoją. Grom ryknął w powietrzu, fosforyczne światło zalało cały widnokrąg,

a na rozdartych chmurach błysnął ognistym wężem napis:

“Kapotkiewicz fecit”.

Niepohamowana pycha rozdeła zapadła pierś starego maszynisty, zatykając mu oddech, dusząc go niemal. Był mistrzem, był silnym, był wielkim, wielkim, wielkim. Szekspir wydawał mu się żakiem, a dyrektor trupy ziarnkiem piasku, lichem ziarnkiem piasku . . . niczem więcej!

Obudził się rozgorączkowany i drżący, a że dzień był jak wół, przybrał się mało wiele i chwyciwszy pod rękę Szekspira, do dyrektora pobiegł.

Dyrektor w skarpetkach uwijał się po kuchni, dmuchając w samowar i szykując szklanki. Błyszcząca para świeżo wyczyszczonych butów stała na kuchennym stole.

Kapotkiewicz wpadł jak wichur.

— Panie dyrektorze dobrodzieju! — krzyknął już od progu. — Albo dajemy “Burzę”, albo szelma imię moje.

Tu uderzył się w piersi, aż echo jęknęło.

— Ciii...cho! Ciii...cho — zaświstał przez szparę w zębach pan dyrektor. — Obudzisz jegomość Magdusię, do licha!

I podreptał ku drzwiom od pokoju żony, aby je przymknąć dyskretnie. Na palcach szedł, lubo był w skarpetkach, przysiadając i prostując się naprzemian, dla większej elastyczności chodu.

Skonfundowany Kapotkiewicz, uderzył się ręką w usta i tak już pozostał, dopóki dyrektor z takiemiż przysiadami nie wrócił ode drzwi.

Teraz byli swobodniejsi.

— To pani dyrektorowa dobrodzika śpi jeszcze? — zagadnął szeptem stary maszynista.

— Jakżeś chciał? — zasyczał dyrektor — herbaty jeszcze niema. . . .

Tu świsnął w samowar, jak lokomotywa, poczem schyliwszy się pod stół, wyciągnął stamtąd mocno za-

blocone trzewiki Magdusi i skrobiąc się w głowę, przyglądał się im chwilę w milczeniu.

— Cóż to jegomość tak z rana? — zwrócił się wreszcie do Kaputkiewicza, z rezygnacją ujmując wytartą w długiej służbie szczotkę.

— Panie dyrektorze dobrodzieju! — zaczął gorącym szeptem maszynista. — Miałem tej nocy objawienie, jakby . . . Trzeba nam dać "Burzę!"

Dyrektor szczotkę zatrzymał w powietrzu i bystro na starego spojrzął.

— Co za burzę? Jak co? Jaką znowu burzę? Nie był zwolennikiem burz. . . . Magdusia umiała mu je od dawna obrzydzić. . . .

— Nieśmiertelną, wielką, szekspirowską "Burzę!" — podnosząc o pół tonu głos, szeptał Kaputkiewicz w samo ucho dyrektora, schyliwszy swą kościstą postać do jego niepoczesnej figurki. — Morze biorę na siebie — ja!

Tu znów grzmotnęła się w piersi, aż w nich dzwiękło.

Dyrektor słuchał, namarszczywszy brwi z namysłem i nie spuszczać zawieszanej w powietrzu szczotki.

— A wiesz jegomość — rzekł po chwili — że to jest myśl!

— Spodziewam się! — krzyknął, zapomniawszy o śpiącej Magdusi Kaputkiewicz, prostując się w całej swej długości.

— Ciii...cho! — świsnęła dyrektor, jak przez flecik. Maszynista znów się ręką w usta palnął.

— Nie może być — mówił po chwili szeptem — tylko niech pan dyrektor dobrodziej pomyśli o tem. Okryjemy się sławą, zapędzimy w kozi róg Kraków i Warszawę! To będzie triumf! To będzie koniec świata! To będzie . . .

Brakło mu porównań, ale usta jego drżały od słów, których wypowiedzieć nie umiał.

Dyrektor z rozmachem szczotkował wykrzywiony trzewik Magdusi. I jemu zaczął się udzielać zapal maszynisty.

— A wiesz, jegomość — zaświstał lekkim flazeoletem — że to w lipcu mija dwadzieścia lat okrągłych, jak nasz teatr . . .

— Szelma imię moje, prawda! — wrzasnął znów na całe gardło Kaputkiewicz. — Będzie jubileusz! . . .

— Ciii! . . . Ciii! . . . — syczał jak wąż małżonek Magdusi, oglądając się trwożnie ku drzwiom. — Jegomość nie wrzeszcz do licha! Możemy się przecież po ludzku rozmówić. . . .

Postawił wyczyszczony trzewik na stole i sięgnął po drugi. Kaputkiewicz stał przez chwilę z zamurowanemi kościstą dłonią ustami. Ale w pokoju pani była zupełna cisza, przerywana tylko głębokiem chrapaniem. Odechnął wtedy z pewną ulgą i rzekł:

— Bodajże cię! Człowiek sam, jak palec, na świecie, to i zapomina. . . . Cóżem to chciał mówić? Ale! Jubileusz! Co pan dyrektor dobrodziej mówi na jubileusz?

— To jest — cedził przez szparę w zębach dyrektor — jubileusz, jak jubileusz. . . . Ale jubileusik, taki sobie niewielki jubileusik mógłby być. . . . Co jegomość chcesz? . . .

Przechylił głowę i przypatrywał się warstwie błota na obcasie żony, wysoko brwi podniósłszy.

— Ot tak z benefisikiem dla mnie. . . . To jest nie tyle dla mnie, ile dla Magdusi. . . .

— To się wie, że z benefisem! — zaczął znów głośniej maszynista. — Benefis będzie jak wół! Ale damy "Burzę!" Bez tego — ani rusz! Jakie ja zrobię morze! Jakie morze! . . . Chryste Panie!

Chwycił się oburącz za głowę, jakby ją od pęknięcia chciał bronić.

Zamilkli. W ciszy, jaka zapełniła teraz szczupłą kuchenkę, słyhać było tylko zamaszyste suwanie szczotki, na którą spocony małżonek Magdusi pluł z lekka od czasu do czasu z właściwem sobie poświstywaniem.

Nareszcie drugi trzewik został wyczyszczony, a pan

dyrektor siadł na stołku, aby wzuć buty. Zaledwie jednak czynność tę rozpoczął, kiedy za drzwiami małżeńskiej komnaty dał się słyszeć gruby głos pani:

— Ludwik! Ludwik! Samowar jest?

Skoczył o jednym bucie pan dyrektor sycząc jak grzechotnik.

— Już! . . . Już, duszko! . . . Już szumi! . . .

Tu zaczął świstać w samowar na różne najmniej prawdopodobne tony.

Kaputkiewicz na palcach do komina podszedł.

— Kiedy tak — szepnął — to może jabym później . . .

— Ciii! . . . — przerwał dyrektor, zwracając ku niemu twarz nabrzęką i rozczzerwienioną. — Ja sam wieczorkiem zajdę. . . . Pogadamy spokojniej. . . . Naradzić się trzeba, obliczyć. Tymczasem ani mrumru nikomu! . . .

— Ludwik! Ludwik! — odezwała się Magdusia. — Z kim ty tam znów gadasz?

— Nic, nic duszko! — zapewniał pan dyrektor, nabierając pełne płuca powietrza, aby je z sykiem i gwizdem w samowar wydmuchać, podczas gdy stary maszynista skuliwszy długą szyję i ramiona, unosił jak bocian długą swą figurę, zmierzając ku drzwiom posuwistym krokiem.

W progu dopiero obejrzał się na zwierchnika. Skinęli sobie w milczeniu głowami na znak porozumienia, a Kaputkiewicz szczęśliwie się do swej izdebki wycofał.

Tak została rzuconą i przyjętą w zasadzie myśl przedstawienia szekspirowskiej "Burzy".

Od myśli tej wszakże do jej wykonania była długa i ciernista droga. . . .

Życie Kaputkiewicza rozdzieliło się teraz jakby na dwie połowy.

W jednej, która się nazywała dniem, stary dekorator zamazywał wielkie i małe płótna w drzewa, świątynie, pałace, ogrody haremu, kolumny, lasy, fontanny, urządzał

zapadającą się pod szatanami ziemię, groby, z których podnosili się umarli, jak niemniej wielkie apoteozy, pełne białych i błękitno-różowych aniołków.

W drugiej zaś, która się nazywała nocą, zamykał się ze swoim Szekspirem w coraz bardziej zaśmieconej izdebce; czytał, marzył, rozmyślał, a potem drapał się na strychy, gdzie od niedawna przeniósł część swego warsztatu i przy kopającej lampce do późna dłubał, stukał, piłował, toczył, aż póki ostatecznie wyczerpany nie zwłóknął się na swoje posłanie.

Ten tryb życia starego maszynisty miał dwojakie następstwo. Pierwszem była potrojona konsumpcja Gelb-Wirginii i potrzeba wyrobienia sobie nadzwyczajnego kredytu w najbliższej dystrybucji, drugim powszechne między kolegami mniemanie, że dostał bzika.

Istotnie, można go było o bzika posądzić, widząc jak w starym, wiatrem podszytym surducie na moście całemi godzinami stoi pochylony przez spróchniałą poręcz, zapatrzony w rzekę. Można go było wtedy szturchnąć, co mówię, przejechać, stratować, a on nie czułby tego. Na co tam patrzył — zagadką było dla wszystkich. Jedni mówili, że utonęły mu w rzece znaczne pieniądze, drudzy, że sam topić się myśli. Poziome duchy! Nikt nie odgadł, że ta woda miała objawić staremu maszyniście największą ze wszystkich tajemnic, tajemnicę swego życia, swego ruchu. Nie objawiła jednak.

Była też to nędzna, bardzo nędzna rzeczka, wysychająca niemal całkowicie w upały i wiosną tylko tocząca się bystrzej nieco. Kaputkiewicz dla rozruszania jej w jesiennej ociężałości przynosił z sobą na most pełne kieszenie nazbieranych pod rogatkami kamieni mniejszych i większych, które służyć mu miały do wywołania rozmaitych zjawisk i kombinacji ruchu. Kamienie te rzucał stary do wody, już to największy kaliber, z góry, z rozmachem, dla utworzenia lejkowatego wiru, już puszczając w lot małe, skośnym rzutem nad samą prawie powierzchnią rzeczki, którą kamyk muskał lecąc

i odbijając się jakby dawał nurka. Ten ostatni rzut, zwany "kaczką", doprowadził Kaputkiewicz do wielkiej doskonałości, wywołując całe szeregi kół i kółek, rozchodzących się coraz dalej, dalej. . . .

W czasie tych ćwiczeń swoich, miał on zawsze przy sobie całą armię dzieciaków, czego się wszakże zdawał nie spostrzegać wcale i wtedy dopiero, kiedy po mistrzowskiej "kaczce" podnosił się wrzask uwielbienia — stary spoglądał, jakby przebudzony, stulał wychudłe ramiona, grzbietu nagiął i wracał do swojej izdebki.

Dawniej, dla powiększenia swych nędznych dochodów, podejmował się robót postronnych zniżał się nawet niekiedy aż do malowania szyldów. Teraz porzucił wszystko, aby pracować na sławę. Nie dojadł, nie dospał, cierpiał niedostatek wszelaki. Wychudł tak wreszcie i zczerniał, że ci, co go dawniej nazywali "zaschłym pendzlem", przyszli teraz do wniosku, że porównanie nadto jest pochlebne.

Dzień przechodził na pracy pośpiesznej, gorączkowej, noc na bardziej jeszcze gorączkowych próbach i marzeniach. Ukradkowe narady z dyrektorem podsycaly jeszcze ten ogień trawiący duszę i ciało starego dekoratora. Postanowiono rzecz całą trzymać w tajemnicy dopóty, dopóki Kaputkiewicz nie wynajdzie takiej maszyny, któraby malowanej wodzie nadawała doskonały pozór życia. Wtedy dopiero miano rozpisywać i rozdać role. Zafukany przez Magdusię dyrektor byłby się w zupełności zadowolnił dotychczasowymi środkami przedstawienia morza, byleby tylko benefisik maleńki. . . .

Ale Kaputkiewicz i słuchać o tem nie chciał. Cała młoda żądza sławy ożyła w nim teraz i pochłonęła go całkowicie. Budził się i zasypiał z tą jedną myślą, żeby stworzyć morze. Leżący nieodstępnie na stoliku Szekspir stał się jego demonem, jego złym duchem.

Gdybyż to przynajmniej lato! Gdyby burza! Ale nie. . . . Ołowiane niebo jesieni odbite w leniwo cieką-

cej wodzie nie dawało żadnego natchnienia. Sam z siebie musiał wszystko snuć Kaputkiewicz jak pająk i to go zjadło. Zamalował już z pięćdziesiąt łokci kartonu, za własny krwawy grosz zakupionego, nawijał go na korby, przeciągał z lewej na prawą i z prawej na lewą stronę — i nic! Zawsze to było tylko płótno, tylko malowana woda. Targał się wtedy za włosy stary maszynista i wpadał na czas jakiś w ponure odrętwienie. Myśli jednak nie porzucał. . . . Tlała ona w nim i paliła się dniem i nocą kosztem jego nędznego, prawdziwie po donkiszotowsku wychudłego ciała.

Głód, bezsenność, gorączka byłyby go dawno z nóg zwały, gdyby nie nadzieja, która mu szeptała, że lada chwila błysnie ten szczęśliwy pomysł, który imię jego okryje niespożytą sławą.

Jakoż błysnął.

Późna już była godzina, Kaputkiewicz śmiertelnie znużony zabierał się do odwrotu z teatralnych strychów, kiedy nagle, pod rozrzucony karton potoczył mu się z ręki gruby wałek wywołując niesłychany efekt falowania. Chwycił się za głowę Kaputkiewicz i stanął jak wryty. Usta miał otwarte, oczy na wierzch wysiadłe, w sercu jak gdyby sztych, który nagle bicie jego wstrzymał. . . . To było morze!

W jednej chwili umysł jego objął i pochwycił wskazówkę przypadku. W jednej chwili zrodziła się w myśli jego kombinacja całego systemu toczących się pod płótnem olbrzymich wałów, któreby wywoływać mogły potężne bałwanienie się wzburzonego morza. W jednej chwili uczuł się wielkim, nieśmiertelnym. Piersi miał tak ściśnione, że ledwo mógł oddychać; wychudłe, długie nogi dygotały pod nim jak w febrze. Bał się poruszyć, żeby nie spłoszyć tego, co objawieniem nazywał, bał się puścić z rąk głowę starą, aby mu jej szaleństwo nagłego triumfu nie zawróciło.

Burza, pioruny, wichry, ognie bengalskie, a wśród nich wężem błyskawicy jaśniejące:

"Kaputkiewicz fecit".

Wszystko to wirowało mu w mózgu, rozsadzało czaszkę.

Jak długo tak stał i co go opamiętało nareszcie — sam nie wiedział. Ale gdy wrócił do izdebki, trzęsące się ręce jego nie mogły trafić do klamki, a nogi tak mu się płątały i gięły, jak gdyby ze słomy.

Późno się obudził nazajutrz stary maszynista, a kiedy sobie po dniu przypomniał, co zaszło na teatralnych strychach tej nocy, chwycił z kołka czapkę i wybiegł na miasto, aby nie oszaleć z radości.

Istotnie, czasu do stracenia nie było. Trzeba było z każdej chwili korzystać, śpieszyć się, ruszać. Przede wszystkim zaś należało uciec od pokusy wygadania się przed dyrektorem, zanimby wszystko nie zostało należyście wykombinowane.

— Kombinacja — grunt! — powtarzał sobie w duszy Kaputkiewicz, zupełnie już zapomniawszy o udziale przypadku w wielkim swem odkryciu i upojony przyszłą sławą tak, że się niemal końcem nosa na przechodniów natykał.

Dawniej, wczoraj jeszcze, byłby każdego za podobną nieuwagę najpokorniej przeprosił. Ale dziś. . . . Dziś zdawało mu się, że ma szczególny przywilej nie zważania na nic i na nikogo.

Nie byłże wielkim wynalazcą, twórcą olbrzymiego przewrotu, co mówię, twórcą nowej w dziejach teatralnych ery? Nie byłże Kaputkiewiczem, który "fecit" morze?

Gdyby ci ludzie wiedzieli, jaką myśl niesie w swej głowie, czyliżby mu się nie usuwali z drogi z pełnym admiracji szeptem: "Kaputkiewicz . . . Kaputkiewicz idzie".

Nazwisko to, które w porównaniu z takim np. Wellingtonem, wydawało mu się dawniej nieco pospolicie, przybrało teraz w jego wyobraźni wszystkie cechy

tych wielkich, wyrocznych imion, które w dziejach ludzkości stoją niby zdala widne piramidy.

— Kaputkiewicz . . . Kaputkiewicz . . . — powtarzał w myśli zrazu, potem szeptem, potem półgłosem, z coraz gorętszym, modlitewnym niemal, akcentem czci i uwielbienia, a uszy jego upajały się tym dźwiękiem jakby najśłodszą muzyką.

Zamilkł wreszcie, gdyż wrażenie stało się aż boleśnym niemal i nad jego siły. Wyprostował się tylko, podniósł brwi, oczy do połowy powiekami przysłonił, policzki zapadłe wydął i usiłował podać naprzód pierś zakłęśłą, tudzież wciągnięty we własne otchłanie żołądek. Usiłowania te wszakże nie odniosły należytego skutku, a pan Prosper zadowolnić się umiał nadmiernem wyciągnięciem długiej, chudej szyi, jakoteż podniesieniem do możliwej wysokości śpiczastego nosa i dawno nietkniętego brzytwą podbródka.

Żałował tylko, że tak mało ludzi spotyka go w ulicy. Gdzie siedzą? W jakich mysich jamach wszyscy się pochowali do licha?

Wprawdzie wczoraj jeszcze okrążał rynek z daleka, tyłami się przebierając na ulicę Teatralną, byle tylko "nie leżć w oczy nikomu", jak mówił. Ale co innego było wczoraj, co innego jest dziś.

Tu przyszło mu na myśl, że istotnie marnuje się w tem "miasteczku". To nie Warszawa!

W tej chwili właśnie przechodził koło piwiarni, której właściciel stojąc w progu w grubo watowanym tołubie huknął mu basem "dzień dobry". Kaputkiewicz przyjął to pozdrowienie z niesmakiem. Uchylił czapki, usta skrzywił, niby do uśmiechu i kiwnął głową. Czuł się w niemiły sposób dotknięty poufałością "szynkarza". Znajdował ją wprost nieprzyzwoitą. W Warszawie, nie zdarzyłoby się nic podobnego. Tam umieją cenić ludzi.

Istotnie, czego on tu siedzi? Na co czeka? Co tu za przyszłość dla niego? Genialne pomysły rozwijają się należycie tylko w świetle wielkich ognisk sztuki. . . .

Zdanie, to, które mu tak szczęśliwie na myśl przyszło, wyczytał był Kaputkiewicz w jakiejś krytyce teatralnej wielkiego stylu, której autor obficie się zapożyczał z magazynu ogólników.

Teraz wszakże stary maszynista dałby sobie głowę uciąć za to, że jest ono własnym jego, jak najoryginalniejszym pomysłem, i aż przystanął, aby je sobie raz jeszcze powtórzyć. Był po prostu olśniony. Dokopał się widać jakiejś złotej żyły w swym mózgu. Kto wie, co jeszcze wymyśleć może.

Przebiegał w pamięci różne znane sobie odkrycia i żałował, że je ludzie przed nim już zrobili. Druk, kolej żelazna, telegraf, wydały mu się dziecinną igraszką.

Czuł, że wynalazłby je jak nic, gdyby jeszcze wynalezionemi nie były.

Wszak stworzył — morze!

Mijał teraz wystawę fotografa na zakręcie ulicy i to nadało myślom jego inny kierunek.

Zaraz p o t e m będzie miał gruby wydatek. Będzie się musiał fotografować w małym i dużym formacie. Winien jest tę pamiątkę potomnym. Może nawet wypadnie fotografować wewnątrz izdebki, w której mieszka. Jego stary kuferek krajczakiem nakryty, jego łóżko, stolik, fajkę, szlafrok, gitarę . . . najmniejszą drobnostkę, której używał, której się dotykał.

Ta myśl rozrzewniła go. Zdało mu się, że od śmierci jego upłynęły długie, długie lata, i że widzi pielgrzymujące do izdebki swojej późne pokolenia, które tu wstępują z pochyloną głową, wstrzymanym oddechem i bijącym sercem. . . .

Błogi smutek nappełnił jego duszę, a zamglone oczy patrzyły daleko przed siebie.

Tak przeszedłszy kilkanaście kroków zawrócił się i stanął przed wystawą fotografa niepewny jaki wyraz w stanowczej chwili nada obliczu swojemu.

Najodpowiedniejszą wydała mu się maska głębokiego myśliciela, badacza. Ściągnął tedy czoło w grube

fałdy, brwi zsunął, spojrzenie zaostrzył i wyteżył w przestrzeń. Ale zaledwie przybrał ten wyraz twarzy, kiedy zdało mu się, że słyszy grzmot oklasków, którym witają go tłumy.

Spuścił więc oczy, usta złożył do uśmiechu pełnego skromnej godności i położywszy rękę na piersiach, pochylił głowę.

Oklaski nie ustawały. Zrazu trząśł się od nich teatr, potem ulica Teatralna, potem rynek, plac przed magistratem, wreszcie całe miasto. Stara dzwonnica kościelna chwiała się w swych fundamentach, domy drżały.

Zmęczywszy dłonie, tłum tupał, stukał laskami, krzyczał, wył, wpadał w konwulsje. Takiego szalonego uniesienia, takiej wścieklej egzaltacji mas nie widziano, jak świat światem.

Wienice i bukiety gradem leciały pod stopy Kaputkiewicza; całe zaspasy róż i konwalii obejmowały go, tłoczyły, dusiły niemal. Stary maszynista czuł wyraźnie ich silne, upajające zapachy.

Przymknął teraz oczy, usta na pół otworzył i ciężko dyszał. Wtem chwycono go za ramiona i podniesiono wysoko nad tłumem, a z tysiąca rozległ się, rykowi gromu podobny okrzyk: "Niech żyje!"

Wtedy Kaputkiewicz podniósł głowę i rzucił spojrzenie triumfu.

Jedno tylko spojrzenie, ale ogarniające świat cały szczęścia i sławy.

Przelotny promień zimowego słońca odbił się teraz w upojonych najwyższą pychą źrenicach starego maszynisty. Chwila ta płaciła mu za cały wiek trudów, biedy, poniewierki. Na mrozie stał w lichym wytartym surducie, a nie czuł zimna, naczczoby, a nie czuł głodu.

Wtem potrącił go ktoś z przechodniów i to go przywołało do rzeczywistości. Kaputkiewicz drgnął, odwrócił głowę i spojrzał błędnym wzrokiem człowieka, który się z głębokiego snu budzi.

W pierwszej chwili zdawał się zgoła nie wiedzieć gdzie jest i co się z nim dzieje. Tymczasem przechodzień, tęgi, głośno sapiący, w niedźwiedziej szubie mężczyzna, cofnął się krokiem, wytrzeszczył okrągłe, cebulowate oczy, popatrzył, splunął i znowu popatrzył.

— Albo Prosper, albo i nie Prosper — mruczał sam do siebie. — Tfu! Na psa urok! Taki chyba Prosper!

Przechylił głowę i zastąpiwszy drogę zabierającemu się do odwrotu Kaputkiewiczowi, przypatrywał mu się z bliska.

— Prosper! Jak Pana Boga mego kocham, Prosper! — huknął wreszcie jak z beczki i zanim się stary dekorator mógł zmiarkować, już go chwycił w potężne ramiona i cisnął do niedźwiedziej szuby.

— Ignacy . . . Ignacy . . . — bełkotał zdławionym głosem Kaputkiewicz — Ignacy . . . bracie. . . .

— A niechże cię nie znam! — wołał pan Ignacy, odsuwając od siebie Kaputkiewicza na długość swoich grubych ramion, z których go nie puszczał. — A toć my się ze dwadzieścia lat chyba nie widzieli! Dwadzieścia lat . . . — powtórzył kiwając głową. — Pamiętasz pod Kuźnicą? He . . . he . . . bratku! to były czasy!

Kaputkiewicz zbyt nagle wyrzucony z koła swych marzeń, biernie przyjmował zapaly pana Ignacego. Wobec tego, co przeżył przed chwilą i co pochłaniało całą jego istotę, ubiegłe owe czasy, Kuźnica, spotkanie z przyjaciелеm młodości — wydawały mu się snem jakby. Kiwał wprawdzie także głową, ale wzrok jego wyrażał wielkie roztargnienie.

— Oj czasy, czasy! . . . Eh! . . . — rzucił ręką pan Ignacy i westchnął.

— No, ale cóż my tu tak będziemy na zimnie stali? Możebyśmy gdzie zaszli, he?

Kaputkiewicz się zawahał.

— Przyznam ci się — rzekł niepewnym głosem — że mam robotę. . . . Będzie bałamuctwo. . . .

— Co tam robota! — huknął p. Ignacy. — Roboty

diabli nie wezmą! Myślisz że i ja nie mam roboty? Po-
tąd jej mam! — dodał przeciągając grubym palcem po
swojem bawolem podgardlu. — Dalej, nie dróż się. Ba-
lamuctwa żadnego nie będzie.

Weszli do pobliskiego handelku.

— No jakże ci się powodzi? — pytał pan Ignacy,
wypróżniwszy sumiennie kieliszek starki.

— Nieźle — rzekł krótko Kaputkiewicz.

Nie był w usposobieniu do wynętrzeń. Od czasu
jak powziął zamiar przedstawienia "Burzy", utworzył
się w nim samym odrębny jakiś świat myśli i uczuć,
który z światem zewnętrznym nic nie miał wspólnego.
Czuł jednakże stary maszynista, że mu nie wypada
okazywać się tak zupełnie obojętnym. Zmusił się więc do
zapytania pana Ignacego.

— A tobie?

— Niby mnie? — rzekł pan Ignacy, mając usta
zapchane przekąską — a no, jak widzisz, spasłem się jak
lew, ożeniłem się, wioska jest, uczciwy kawał chleba
jest. . . . Tylko dzieci nie ma — dodał, osłaniając usta
nastawioną z boku dłonią i pochylając się ku Kaputkie-
wiczowi.

Chwilę jadł w milczeniu.

— Nie moja w tem wina — przemówił potem, ocie-
rając usta serwetą.

— Żona mi ciągle choruje, kwęka, codzień doktor
i apteka; to wody, to proszki, to inne jakieś diabły. . . .
Ot i teraz bieda mnie z domu wygnała. Do morza każą
jechać, лихо wie poco. Ja tu, panie, mam młóckę, od-
stawy, a tu rzucaj panie wszystko i jedź. Skaranie
Boskie! . . .

Odsapnął ciężko, co mogło równie dobrze za we-
stchnienie uchodzić.

Kaputkiewiczowi przy wzmiance o morzu błysnęły
oczy. Zatrzymał w powietrzu rękę, którą niósł do ust
jakiś kasek i pochylił się naprzód.

— Do morza? — zapytał jakimś dziwnym głosem.

Zdawało mu się, że wymawiając ten wyraz następuje ktoś na jego prawa, przywileje, że wdziera się w jego dziedzictwo, że fałszuje dokumenta.

Myśl jego na tym wyrazie stanęła jak na kotwicy. Kotwicę tę czuł zapuszczoną w sam rdzeń swego mózgu. Teraz ją poruszono i mózg mu szarpnięto.

Przez chwilę pozostał tak pochylony z szyją wyciągniętą ponad stołem, wpatrując się niespokojnie w lśniące oblicze pana Ignacego. Wzrok jego wyrażał jakąś dziwną mieszaninę zdumienia, admiracji, zawiści i żalu.

Tak. . . . Są ludzie, którzy o morzu mówią jak o kuflu piwa. . . . Nie wiedzą, nie rozumieją, nie znają. . . . Skąd mają znać? . . . Czy z teatru? Z tego co dotąd przedstawiano jako morze?

Gorzki uśmiech osiadł na jego ustach.

Odchylił się na poręcz krzesła i bębnił palcami po stole, patrząc ironicznie w pieprzniczkę.

Pan Ignacy tymczasem guziki swojej bekieszy rozpiął i głośno sapał.

— No, ale gadajże, bracie, cóż ty? Zawsze po staremu pacykujesz te swoje michałki?

Michałkami nazywał pan Ignacy wszelkie drobnostki, fraszki, rzeczy nie warte wzmianki.

— A po staremu! — odparł Kaputkiewicz, nie zmieniając ironicznego spojrzenia.

— Jakoś cię to niebardzo utuczyło, hę? . . . — mówił dalej pan Ignacy, patrząc z współczuciem na zapadłą twarz maszynisty.

Kaputkiewicz zmarszczył czoło i przyśpieszył tempo swego marsza. Od pewnego czasu nie lubił, żeby mu się tak przypatrywano. Wzrok zbyt uparty, zdawał mu się wzrokiem śledzącym: a on miał przecież swoją tajemnicę. Przytem ten ton politowania względem niego, teraz, kiedy był na drodze do takiej wielkości, do takiej sławy, zdawał mu się niewłaściwym.

— Albo wiesz, bracie, — mówił dalej dobrodusznie pan Ignacy — rzuć ty do diabła całe to paskudztwo,

jedź do nas, i po ludzku z nami żyj na wsi!

Kaputkiewicz był jak na mękach.

— Nie mogę! — rzekł sucho.

Zmiarkowawszy przecież, że robi przykrość towarzyszowi, dodał serdecznie:

— Dziękuję ci, Ignacy, ale nie mogę. . . .

— Co tam nie mogę — mówił rezolutnie pan Ignacy, machnąwszy wielką swoją ręką. — Ot byś z żoną moją kwękał razem. . . . Byłaby z was para dobrana. Ty chudy i ona chuda, ty żółty i ona żółta. . . . Albo wiesz co! — zawołał uderzony nową myślą i zerwał się z krzesła — jedź z nami do morza! Jak Pana Boga mego kocham, jedź! Grosza cię to nie będzie kosztowało, a mnie zrobisz prawdziwą łaskę, prawdziwe dobrodziejstwo, zbawisz mnie, bracie!

Rzucił się do Kaputkiewicza, dusząc go w objęciach, zaklinając, prosząc, płacząc niemal.

— Zmiłuj się, Prosperku, nie odmawiaj, kiedy w Boga wierzysz! Nigdy ci tego nie zapomnę. Do śmierci wdzięczny ci będę! Wszak to my druhy ze szkolnej ławy, towarzysze broni. . . . Pamiętasz Kuźnicę? . . . Eh, bracie! Nie bądź taki twardy! Toż ja ciebie dwadzieścia lat nie widział. . . . Eh, bracie! . . .

Kaputkiewicz walczył sam z sobą. Z jednej strony nie rad był przyjmować to, co łaską zdawać się mogło; z drugiej zaś — co za pokusa! Zobaczyć morze! prawdziwe, żywe morze! Mieć przed oczyma taki model! Arcydzieło tworzyć z natury!

Pot wystąpił mu na czoło, nogi pod nim drżały, ale kark trzymał sztywno, broniąc się uściskom p. Ignacego i powtarzając tylko:

— Co znowu! . . . Co znowu! . . .

Ale pan Ignacy miał to do siebie, że jak się przyczem raz uparł, to się stać musiało.

Razem z wypitą w handelku starką i butelką wina, uderzyły mu do głowy wspomnienia młodości, a Kaputkiewicz był mu w tej chwili tak drogim, że po prostu

życia bez niego nie mógł sobie wyobrazić. A przytem uśmiechała mu się myśl, że będzie miał kogo przy sobie zostawiać, a tak zażyje nieco swobody.

Coraz więc silniej nacierał na Kaputkiewicza swoją czułością i argumentami.

— Miejże sumienie, Prosperku, duszo! — wołał patetycznie. — Miej litość nademną! Cóż ja tam będę sam robił między temi rozbójnikami Włochami? Okradną nas, jak Pana Boga mego kocham, kupią i przedadzą, Judasze! Zagałuszają gdzie do licha!

Ani ja do kogo po ludzku zagadać, ani się z kim napić. . . . Przepadnę, jak ruda mysz, przepadnę bez ciebie. Nie odmawiaj bracie! Kiedy w Boga wierzysz, nie odmawiaj!

Zawisł na szyi Kaputkiewicza całym swoim ciężarem, całując go po obu, dawno nieogolonych policzkach.

Kaputkiewiczowi zrobiło się gorąco; zaczynał mięknąć widocznie.

— Co znowu! . . . Co znowu! . . . — powtarzał coraz słabszym głosem. — A robota? A teatr? A dyrektor?

— Furda wszystko bracie! — wołał pan Ignacy, którego mocna starka coraz bardziej rozmarzać zaczęła. — Do dyrektora idziem zaraz i sprawiamy mu taką bibkę, że to . . . śmierci naszej amen! Dyrektor trup. Jakbyś go już widział. A nie zechce pić, to pal go sześć! Będę się tam lada łyka prosił! Zabieram cię jak swego i basta. No, nie kręć nosem, Prosperku! Jakżeś katolik — wielkie słowo! — nie kręć nosem! Chcesz? Znam tu doktora, co jak tylko kiwnę, to ci na dziesięć chorób świadectwo wystawi. Nie tylko do Włoch będziesz mógł jechać, ale do samego diabła rogatego. Ja w tem! Kpij sobie, Prosperku, z dyrektora! Ja ci to powiadam!

Kaputkiewiczowi w głowie się to wszystko pomieścić nie mogło. Skąd on — tak nagle . . . taką podróż. . . .

Przeżegnał się lewą ręką i ramionami wzruszył.

Sierdzisty szlachcic opamiętać mu się nie dał. . . .

— Ty się żegnaj, nie żegnaj, Prosperku, a takijechać musisz! Sam Pan Bóg z nieba to sprawił, żeśmy się spotkali. Tyle lat. . . . Tyle lat. . . . Koledzy . . . bracia rodzeni! . . . — Zaczął chlipać płaczliwie, wycierając pięścią swe okrągłe oczy. Kaputkiewicz był zwyciężony; oponował już tylko dla formy.

— Ale bo — mówił — ja tak po starokawalersku. . . . Jak mnie widzisz, tak mnie pisz.

Podniósł ramiona, rozłożył ręce i spojrział na końce swych po dwakroć zelowanych butów.

— Pensyjka licha, stroić się niema za co, a tam może elegancje wielkie. . . .

— Co? gdzie? którędy? Jakie znów elegancje? żebyś ty tak zdrów był, Prosperku, jak tu o jakie elegancje idzie. Że tam niby ta szuba? Jak Pana Boga mego kocham, bierz szubę! Na mnie i tak przyciężka, unieść się w niej nie mogę. Ja sobie mam swoje stare szopy i szopów się nie puszczam, a ty sobie masz niedźwiedzie i basta.

Namarszczył się gniewnie stary maszynista.

— Słuchaj, Ignacy — rzekł suchym, twardym głosem. — Jeśli mnie stąd wypędzić nie chcesz, to mi tu z szubą nie wyjeżdżaj. Jeszcze nie wiadomo, kto kiedyś w jakiej szubie będzie chodził. Przyszłość to dopiero pokaże. Może nie tak bardzo daleka. A dziś co mam, to mam swoje. A ty mnie nie obrażaj!

— Boże miłosierny! — sumitował się, składając ręce p. Ignacy. — Ja cię obrażam? Ależ Prosperku, kochanie, nie bądź taki szarpki! Jabym ci nieba przychylił. Jabym ci wszystko oddał! Czy to ja nie brat? Nie druh? Boże miłosierny!

Rozpląkał się na dobre pan Ignacy, a Kaputkiewicz rzucił mu się na szyję.

— Hu! Hu! Hu! . . . — szlochał szlachcic na łonie maszynisty. — Dwadzieścia lat . . . hu . . . hu . . . hu! . . . Dwadzieścia lat, bracie! Srebro, złoto wi-

działem, a ciebie nie widziałem! Chcesz pieniędzy? Bierz pieniądze!

Tu cisnął na stół swój wypchany pugilares.

— Chcesz kapoty? — Bierz kapotę!

Tu zaczął ściągać z rękawów bekieszę. Kaputkiewicz bił się w piersi, ścisnął, przepraszał, aż nareszcie stanęło na tem, że pojutrze jadą.

Noc już była i po dniu mroźnym zerwała się śnieżyca, kiedy stary maszynista powrócił do swojej nieopalonej izdebki. Wiatr powiewał jego wytartym surdudem, ale zapął i nadzieja ogrzewały go i napełniały mu pierś błogiem ciepłem. To, co dziś przeżył, to, czego dziś doznał, przesuwało się w jego mózgu czarodziejskim, tęczowym obrazem.

Dziwna rzecz. Pan Ignacy, jego starka, jego niedźwiedzia szuba, a nawet zamierzona podróż, nie miały dla niego tej rzeczywistości, takich wyraźnych dotykalnych kształtów, co owa pełna upojeń halucynacja przed wystawą fotografa. Dość mu było przymknąć oczy, aby znów przed sobą zobaczyć te tłumy, uniesione najwyższym zapalem. Odróżniał nawet niektóre fizjognomie znanych sobie osób. Widział wyraźnie powiewające chustki dam, a pomiędzy laskami, któremi stukali mężczyźni, spostrzegł srebrną gałkę, osadzoną w formie gruszki na kiju prezydenta.

Wrażenie było tak potężne i tak nieodparte, że Kaputkiewicz uznał konieczną potrzebę dania mu jakiegoś wyrazu na zewnątrz.

Chwycił pędzle, stanął przed stalugą i przy kopcającej lampie gorączkowo szkicować zaczął projekt transparentu, który nazwisko jego miał połączyć na wieki z nieśmiertelnem imieniem Szekspira.

Ręce mu zgrabiały, nogi jak kość zziębły, oddech szedł w powietrze nieogrzonej izby silnym słupem parą, a przecież stary maszynista nie rzucił roboty dopóty, dopóki na sztaludze nie błysło w chmurach piorunowym wężem:

“Kaputkiewicz fecit”.

Wtedy rzucił się na swój twardy tapczan, a otulwszy wynędzniałe ciało starym kratkowanym szlafrokiem, zasnął przy wspomnieniu wstrząsających miastem oklasków, których echa w mózgu jego drgały.

Był dzień parny, godzina południowa, słońce piekło niezwykle w tej porze roku, kiedy Kaputkiewicz w rozpiętym surducie i jak szmigą machając ręką, w której niósł kapelusz, szedł wielkim krokiem po wysadzonej akacjami drodze, która przecina Lido, a idzie do morza.

Od rana już dziś niebo nie było zupełnie czyste, ale jakby zachuchane lekkimi parami. Teraz na zachodnim krańcu widnokregu zaczęły się nie wiedzieć skąd zlatywać i gromadzić drobne, białawe chmurki, wydłużając się, zaokrąglając i zbijając razem. Siedzące wzdłuż drogi przekupki owoców klóciły się z sobą zawzięcie, a wielkie żółte muchy latając nad ich straganami, zdawały się brzęczeć z równem rozdrażnieniem.

Tymczasem zaruszały się listeczki niedostrzeżonym tchem wiatru na samych czubkach akacji, a drobne ukryte w gąszczu ich ptaszęta zaczęły świerkać żałośnie.

Następna fala wiatru obudziła szelesty na niższych gałązkach, napełniając je niepokojem pierzchających skrzydeł. Od trzeciej poszły dreszcze po trawach i mietlicach, wśród których zaczęły sykać monotennie cykady, aż odezwały się suche, metaliczne chrzęsty w wielkich, srebrzystych, po piasku rzucających się ostach, między którymi przebiegały, niby czarne błyskawice, rozdrażnione gorącym jaszczurki.

Pan Prosper przyśpieszał kroku, nie wiele zważając na to, co się wkoło dzieje.

Wzrok jego wyteżony i błyszczący gorączkowem oczekiwaniem wybiegał daleko naprzód, długa wyciągnięta szyja zdawała się wysyłać za nim głowę, która ze swej strony powierzała najdalszy posterunek spiczastemu nosowi, przecinającemu powietrze cienką, ostrą linią.

Ani głowa przecież, ani nos, ani wzrok nawet nie mogły nadażyć myślom starego maszynisty. Myśli te były już nad brzegiem, już się kołysały na falach, zanim pan Prosper połowę drogi przebył.

Sam zapewne nie przyznałby się do tego ale faktem jest, że już sobie utworzył w myśli miarę, podług której osądzi morze.

Będzie ono albo podobnem do jego dekoracji, albo niepodobnem. Poza to kryterium myśli jego nie wybiegały w tej chwili, nie umiały wybiedz.

Morze podobne do jego dekoracji, byłoby piękne, wielkie, wspaniałe, morza zaś niepodobnego do swoich dekoracji wcale sobie wyobrazić nie mógł.

I to był punkt, na którym myśli jego traciły równowagę, zataczały się jak błędne i wpadały w otchłania.

Tą otchłanią było także morze. . . .

Dla otrzeźwienia się z zawrotu, który go chwycił, p. Prosper usiłował przypomnieć sobie i uprzytomnić wypadki kilku dni ubiegłych. Ale w mózgu jego wszystko się zlewało w dziwny chaos, a tym chaosem znowu było — morze.

Teraz uderzała nowa fala wiatru i zakręciwszy drobnym, mialkim pyłem rzuciła tuman duszący w powietrze. Sykanie, ćwierkanie, brzęczenie — umilkły w jednej chwili.

Cała zachodnia strona nieba była jakby ogromnym portem, pełnym białych żagli, ku którym zapóźnione dążyły z pośpiechem. Nagle pociemniały chmurki, i zmieniły się w oszańcowany rudą czerwonocią tabor; a świecące nad nim słońce straciwszy swą promienną świetność, zdawało się być rozżarzonym węglem.

Fala wiatru, która teraz przyszła, gnała przed sobą całą ławicę piasku, zasypywała nim trawy, kręciła z niego tu i owdzie lejki i miotła nimi z zachodu na wschód ze świstem.

Ludzie, których pan Prosper spotykał, szli wszyscy w przeciwnym kierunku. Wszyscy się zdawali uciekać

od morza. Były to praczki z koszami na głowach, wyrobnicy z koszami na plecach, przewoźnicy z wiosłami i drągami na ramionach. Szli z pośpiechem, pochylając czoło przeciwko fali wiatru, który już to rozdymał ich odzież, już to opinał je wokół tych ciał prostych, silnych, gibkich. Idąc ten i ów spojrzął z dziwem na staroego człowieka, który spieszył tam, skąd oni oddalali się w popłochu. Kobiety oglądały się za nim ciekawie, szepcząc imię Madonny.

Tymczasem ciemność wzmagala się szybko. Białe owe chmurki stały się ołowianemi chmurkami, które opłoneły cały widnokrąg, grubiejac na zachodzie w sine i czarniawe kłęby. W parnym powietrzu wzmagal się szum, jak gdyby tysiąca lecących ku ziemi skrzydeł, a za szumem szły szerokie, chłodniejsze oddechy, jak gdyby przez przepaść wytchnione.

Kaputkiewiczowi silniej zaczęło bić serce. Chwilę tak szedł w najwyższem oczekiwaniu, kiedy naraz uderzyła w niego, niesiona wiatrem ławica piasku, oslepiając go i podnosząc dokoła nieprzejrzaną chmurą.

Kiedy przetarł oczy, przed nim było — morze. Kaputkiewicz stanął jak wryty i otworzył usta. Z gardła jego wyszedł jakiś krótki, zdławiony okrzyk.

To, co widział przed sobą, nie podobnem było ani odrobiny do jego dekoracji. Była to ciemna, zwarta masa wód, które kołysały się na swych śródziemnych piastach olbrzymim, szerokim ruchem, nie dającym się ocenić należycie na małej przestrzeni.

Ruch ten nie marszczył wód i nie fryzował fal w pieniste frendzle, ale w nie wgłębiał lub podnosił nad nimi leżące na nich mroki. Przy brzegu słaby, dawał się on spostrzedz w całej swojej sile na śródmorzu, skąd rozbuwane wody z głuchym pluskiem na piaski się parły. Z wód tych zdawała się podnosić ciemność ku niebu; z nieba schodziła ciemność aż do morza. Wśród tych łączących się zmierzchów przeblyskiwały mewy na szeroko rozciągniętych skrzydłach. Ogromne te ruchy powietrza

i wód odbywały się wśród względnej ciszy. Niebo i morze pracowały pierściami, lecz nie przemówiły jeszcze....

Kaputkiewicz stał jak urzeczonego.

Takiego morza nie wyobrażał sobie zgoła, nie mógł pojąć, po prostu nie zgadzał się na nie. Patrzył i nie rozumiał, badał i nie mógł schwycić tajemnicy, która leżała przed nim niezgłębiona.

Gruby sękaty kij, na którym splótł obie swoje wielkie ręce, dawał podporę jego pochylonej naprzód postaci. Wiatr rozrzucał długie, siwe jego włosy i poły wytartego surduta. Czoło zsunęło się w grube fałdy, wzrok wytężył, mięśnie twarzy znieruchomiały. Cała istota jego zdawała się brać udział w pracy przepaści.

Naraz w powietrzu rozległ się huk głuchy, któremu odpowiedział stłumiony łoskot głębin. Chmury zawarzały jak brytany, morze ryknęło jak lew. . . .

Zaraz potem uderzyły ostre, przeszywające świsty wichrów, które z wizgiem i wyciem gnały grube mroki, jak zwierza do kniei.

Kilka błyskawic przeszło te mroki, lecz po nich ciemność zdawała się głębsza jeszcze. Przyśpieszony ruch morza zdradzał się coraz twardszym pluskiem fal wbiegających na piaski.

Kaputkiewiczowi zdawało się, że się morze podnosi i idzie ku niemu ze swoją przepastną ciemnością. On też stąpił krokiem naprzód i bardziej się na swoim sękaczu pochylał. W mózgu jego odbywała się gwałtowna reakcja. . . . To co sobie wyobrażał genialnym wynalazkiem, okazało się teraz błazeństwem po prostu. Wały? Gdzie tu jakie wały mogły choć w przybliżeniu oddać to rozkołysanie się wód zmieszanych w jedno z coraz gęstniejącym mrokiem burzy? Gdzie farby, którymby namalować można tę żywą, tysiąc kształtów biorącą, pełną ruchu ciemność? Gdzie scena, której ramą byłoby takie niebo!

Patrzał stary maszynista, patrzał, patrzał, zdawało się, że morze chce pochłonąć wzrokiem.

Nagle strach go jakiś ogarnął przed tym tajemniczym żywiołem. Zadrgały mu powieki, głowa trząść się zaczęła, usta się poruszały szeptem pełnym zgrozy. Z bolesnym jakimś wysiłkiem cofnął oczy aż do brzegu i utkwiał je w jednej tylko fali u stóp jego trwoźnie bijącej. Ale i ta wydała mu się zbyt potężną, zbyt cudowną. Coraz silniej trzęsła się jego głowa siwa, coraz szybciej wznosiła się i opadała jego pierś ściśniona.

Wtem bliższy, groźniejszy huk wstrząsnął powietrzem i wodą. Wściekle wichry zerwały się i uderzyły w morze, piętrząc fale na falach i odsłaniając przepaści. Potężne bałwany zdawały się teraz podnosić aż do nieba; czarne pędzone wichrem chmury zdawały się zstępować aż do morza. Morze przelewało się jak zwierz ranny i parło z rykiem na brzegi; powietrze drgało tysiącem mgnień błyskawicznych i pelzających ogników.

W chwilę potem zrobiła się cisza. Fale ustąpiły od brzegu, na śródmorzu tylko przewalając się z twardym pluskiem. Kaputkiewicz stał ciągle, naprzód podany i nieporuszony.

Kij jego, w czwartej swojej części zagłębił się w ruchomy piasek, oparte na nim ręce trzęsły się z wysilenia. On patrzył w niebo, to znowu na morze, a nieruchome przedtem rysy jego drgały jakimś wielkim wzruszeniem.

Naraz, w pośród tej ciszy ryknęły gromy jak salwy armatnie. Wszystko się zakręciło, zakotłowało, skłębiło w jeden wściekły orkan. Huk, trzask, świst, łomot, napełniły niebo i ziemię, a złote węże prostopadłe bijących piorunów co chwila rozdzierały grube, namacalne niemal ciemności.

Stary maszynista nie spuszczał z nich oczu. On wyczytywał na nich jakieś ogromnej miary głoski, jakieś tajemnicze runy, które mu piętnowały duszę i wypalały na mózgu ogniste znamiona. Puścił wreszcie kij, podniósł w górę trzęsące się ręce, patrząc w rozplomienione jak tabor niebios, poruszył wargami bez dźwięku. Aż

podniosła mu się pierś nagłym łkaniem, padł na kolana, zakrył oczy dłońmi i wielkim głosem zawołał:

— *Deus . . . Deus fecit! . . .*

W miesiąc potem powrócił Kaputkiewicz do swojej izdebki. Zestarzały był, zmizerowany, zmieniony. Pierwsze jego spojrzenie padło na Szekspira. Pokiwał głową, wziął książkę ze stołu, ucałował, owinał w papier i schował na samo dno swego przykrytego krajczakiem kuferka. Powlókł się potem ciężkim krokiem na strychny, wałek pod belkę wetknął, karton zwinął i za komin wsadził, warsztat rozebrał i na dół zniósł częściami. Rzucił się potem na swój tapczan i twardo zasnął. Nazajutrz z rana zabrał się gorliwie do przemaalowania niektórych szczegółów w dekoracji siódmego aktu "Pantofla bez pary." . . .

KSAWERY

Ksawery

Nie mogę powiedzieć, żeby był idiotą, ale zawsze mniej miał rozumu, niż go ludzie na wsi miewać zwykli.

Co większa, rozum ten był całkiem innego gatunku. Może gorszego, może lepszego, trudno to powiedzieć, to pewna, że nie miał z niego wielkiej pomocy, ni pociechy w życiu.

Umiał naprzykład czytać i to nie tylko na elementarzu, ale także na ewangelicze i żywotach świętych, rozumiał pisane, ministranturę z końca w koniec znał tak, że choć o północy, choć z zamkniętymi oczami wiedział, gdzie stoi amen, a gdzie co innego: pieśni wszystkie od roratowych aż do wielkanocnych z pamięci potrafił, a jak się do kropidła przyłożył, to taki miał "sztrych", jakby się na organistę rodził.

Ale nie umiał ani orać, ani siać, ani kosić, ani grabić; nie umiał nawet w garść plunąć i wideł się, albo łopaty jąć, a gdyby mu tak do młocki z cepem stanąć przyszło, możeby i tego nie wiedział, co dzierzak, a co bijak.

Szczególniej też nie miał żadnej składności do koni, a kiedy raz żydowi szkapę zaprzągnął, to chłopaki na ziemię od śmiechu się pokładły, bo się dziesięć razy naszelników chwycił, nim je przypiął, a chomąto jak siodło usadził. Wszelako nie każda robota obcą mu była.

Drew nałupać, kartofli naskrobać, pierze drzeć, prząść na kółku, albo i na wrzecionie umiał tak, jak mało która baba potrafi, a kiedy ze skopkiem pod krową siadł, to tak mu to składnie szło, że nawet dworskie dójki w kął mogły iść przed nim. . . .

Wszystkiego tego wyuczył się w ciągu trzydziestu paru lat żywota swego, przez który to czas, od kiedy się na nogi podniósł, proboszczowi dobytek pasał, najpierw gęsi — jeszcze za życia ks. kanonika Rzepki, świeć Panie jego duszy, który go sierotą przygarnął, — potem świnię, potem krowy, potem wszystko razem, już za “jegomości”.

Nieraz on, co prawda prosił, żeby go jegomość do innej roboty dał, ale choć odmowy nie doznał, zawsze się to przecież odkładało, aż do czasu, kiedy do lat dojdzie. Miarkował ci on, że lata już ma, i dawno; ale papieru na to nie było. Siaki, taki miał metrykę, jedni z matki, inni z obojga rodziców, a on nic.

Jegomość mówił, że w księgach nic o nim nie stoi, bo się w Krakowie rodził. Po co on się w Krakowie rodził, nigdy jakoś tego pomiarkować nie mógł. Wszyscy inni rodzili się to w Poddębicach, to w Dąbiu, to w Spendoszynie, to w Krępie, to w Niewieszu, a on, patrzajcież moi ludzie, nigdzie tylko w Krakowie! Jak stanął nieraz na polu, to i godzinę stał i w głowę się drapał i medytował, i nic wymedytować nie mógł. Żniwo szło za żniwem, kopanie za kopaniem, ci co z nim razem gęsi pasali, poženili się, mieli dzieci, gospodarstwa, jeden się już nawet wyrostka dochował, a on lat jak nie miał tak nie miał.

Latem nosił Ksawery płócienny chałat, który dawniej jegomości w drogach od kurzu służywał, tudzież płóciennie szarawary, wysoko pozawijane ponad kostkami nóg bosych, odrapanych i czarnych jak ta święta ziemia. Nosił także i koszulę, ale że jedną tylko miał i sam ją sobie po rowach przepierać musiał, rzadko więc była chędogą.

W zimie przybywała na to stara wełniana chusta, którą się obwiązywał, jako baby czynią, na krzyż przez piersi i za siebie popod pachy, tudzież niebieski, wypłowiały, po proboszczu dodzierany szalik, którym osłaniał głowę i uszy, wiążąc go sobie pod brodą. Czapki nie uży-

wał prawie, a jeśli ją kiedy miał, to w rękę nosił, “bo wszędzie nade światem je niebo i Pan Bóg przenajświętszy.” W najtęższe mrozy okręcał słomą zsiniałe i poranione nogi i wdziewał na to stare koszlawe trzewiki, które mu podarowała “pani gospodyni”, skoro już na nie przyszedł ostatnie terminu.

Nic bardziej rozrzewniającego, jak okoliczności, wśród których otrzymywał kolejno te różne części swojej garderoby. Kiedy, naprzykład, dostał chałat, spłakał się jak bóbr, tyle mu pięknych rzeczy nagadał jegomość, jak to ów chałat przez tyle a tyle lat suknię duchowną okrywał, jako powinien i nadal zostać szatą niewinności, jak Pan Bóg najwyższy lilie polne przyodziewa, iż wygląda ją wspanialej niż król Salomon w całej swojej ozdobie.

Słuchając Ksawery, od płaczu utulić się nie mógł, ręce i nogi jegomości ucałował, chałat, przeżegnawszy się, oblókł z nabożeństwem i rzemieniem się, iż do jegomości-nej tuszy daleko mu było, podpasał, poczem wystrugał sobie zakrzywioną u góry berlicę, z kory ją do białości obrał, i tak po rżysku za dobytkiem jegomości-nyim chodził, oczy do nieba podnosząc, a za dobrodzieja się modląc. Tego tylko żałował, że jegomość “owieczków” nie trzyma, boby je sobie pięknie po polu pasał, jako ten “Bonus Pastor” co w zakrystii wisi, a tak musi nieraz poły za rzemień zakładać i uganiać się za świniami, co w kartofle burmistrzowskie leżą.

Przy otrzymaniu szarawarów znów była przemowa. Jegomość powiadał o ścieżkach pańskich, jako je prosto-wać trzeba, o dwunastu pokoleniach wzbudzonych z lędźwi Abrahamowych i o różnych jeszcze rzeczach, których Ksawery co prawda, nie rozumiał dobrze, ale które go najmniej do głębi wzruszały.

Najpamiętniejszem wszakże było otrzymanie szalika. Jegomość wrócił wtedy z odpustu, wesół był, samowar na stół dawać kazał, a zobaczywszy Ksawerego, zawołał go do siebie, po ramieniu poklepał, herbaty mu szklan-kę nalał i pyta:

— I cóż panie Wilewski?

Ksawery usta otworzył i patrzy, do niego czy nie do niego?

A jegomość znowu:

— I cóż panie Wilewski?

I aż się za boki bierze i śmieje, patrząc na onego nieboraka, co przed nim zafrasowany stoi.

Ksawery szerzej jeszcze usta otworzył i wytrzeszczył oczy.

— A no — myśli sobie — wolno księdzu, jako księdzu.

Aż tu jegomość nagle śmiać się przestał, rękę jak na kazaniu wyciągnął i rzecze:

— Pamiętaj, że pokora niebiosa przebija. Ty sobie u mnie świnię paś, a co szlachcic jesteś, to szlachcic. To swoją drogą, a to swoją drogą. Tylko ja twoją metrykę z Krakowa dobędę. . . .

Ksawery na to w płacz i buch księdzu do nóg, jak długi. Jezu miłosierny! “Metrykę” będzie miał jako i drudzy. . . .

A ksiądz:

— Jeszcze ty mi nie tak będziesz dziękował, tylko czas przyjdzie. Człowiekiem cię zrobię, albo i zakrystianem, bo z Onufra kulfon, tylko do lat dojdiesz. A teraz, masz!

Ściągnął ze szyi niebieski włóczkowy szalik, co go od chłódów wieczornych w drogi brał i Ksaweremu go podał.

A gdy ten płacząc stopy mu całował.

— A wiesz ty błażnie, — rzekł — że święty Marcin połowę płaszcza odkroił i dał ubogiemu? Nie wiesz? Toś kiep! A ja ci powiadam, że kto ubogim daje, to Bogu pożyczka. I to ci powiadam, że większa radość w niebie . . . Nie, nie to! No, jak tam było, tak było, na masz!

Ksawery nie śmiał szalika wziąć, aż sam jegomość zawiesił go na nim jak stulę i rozrzewniwszy się, za głowę go objął i do piersi przycisnął, iż to z natury litościw

był na wszelakie chuderlactwo w swojej parafii.

Ksawery szlochał głośno.

— No, no! — rzekł jegomość. — Bądź cicho, nie płacz! Wszyscyśmy dzieci jednego Ojca, a ty mi świnie tak paś, żeby w szkodę nie lażyły.

Długo, bardzo długo wspominał sobie tę rozmowę Ksawery, a najbardziej go zastanawiało to, że go ksiądz szlachcicem czynił i z szlachecka jakoś przeważał, kiedy on jako żywo żadnego przezwiska nie miał.

A co i raz to mu się zdawało, że już gdzieś to przezwisko słyszał. Bodaj, czy nie tak wołają na "Panią". Pani jest wdową, mieszka tuż przy kościele i pilnie Panu Bogu służy. Ona to obdarowała Ksawerego ową starą chustką, która go od zmarznięcia chroni. Ksawery pamięta ją od kiedy "gęsie" pasał. Tylko że wtedy wyższa była, prostsza, i włosy miała nie takie jak dziś białe. Pani Ksawerego nie lubi, kiedy go spotka na drodze, to się odwraca i idzie w inną stronę. Ale chustkę równo mu dała, niech jej to Bóg najwyższy odplaci!

Tak przeszedł rok, przeszedł drugi rok — i nic. Jegomość jakby nie pamiętał co w ganku mówił, o Krakowie nie wspomni, na niego też inaczej nie woła, tylko jak zwykle "gamoniu", albo jak tam wypadnie. A on tymczasem "mętryki" jak nie miał, tak nie miał.

Aż też kiedy mrozy ścisnęły tak, że dech słupem szedł, puścił się jegomościa w same Trzy Króle i na pocztę w miasteczku do noszenia listów przystał, żeby sobie na kozuch zarobić.

Wtedy to poznałam go jakoś. . . .

Dziwne wrażenie robił ten biegnący przez pola wśród śnieżnej zamieci człowiek, z głową obwiązaną spłowiałym szmatem, z nogami owiniętymi słomą, w przewiązanym chustką chałacie płóciennym, którego poły rozwiewał wiatr mroźny, ukazując wylazące z dziur kolana sine. Z boku wisiała na nim płócienna torba, a cienkie długie ramiona zdawały się go unosić nad ziemią, puszczone w ruch jak skrzydła. Pomimo wielkiego pośpiechu, z jakim wy-

konywał swoje poselstwa, zatrzymywał się przed każdym krzyżem, klękał na śniegu lub na grudzie gołej, a wązkie zbielałe jego wargi poruszały się szeptem modlitw i pacierzy.

Do nas ściągał zwykle na noc, wiedział, że dostanie kolację i kąt do spania w stajni lub w oborze. Gdy przyszedł, czeladź siedząc przy misie wybuchała śmiechem i drwinkami.

— A cóż to “Sawery” tak po cichu zajechał, żeśmy nie słyszeli? Kiepskiego foczpana Sawery ma, co nawet ognia z pakuł dać nie umie. żeby my byli wiedzieli, to by my byli choć turowej pieczeni narządzili, prawda Maryśka? A tak barszcz ino i kartofle, jeszcze z nich kucharka wszystkie skwarki wyjadła. . . .

A inni:

— Cóż tam Sawery ustrzelił ze swego kija, co tak torba sterczy?

— Cichojtą, nie gadajta, bo Sawery pieniądze nie sie, co będzie Biernacice k u p a ł. . . .

— Aha! Aha! . . . Chwała Bogu! — iż to był zwykły jego przystęp do rozmowy.

Potem dopiero zaczynał drzeć całem swoim nędznem ciałem i przesuwiał się do komina nieśmiało, kurcząc swoje długie, słomą owinięte nogi, kiedy mu zaś Maryśka w zgrabiałe i trzęsące się ręce nasypała gorących kartofli, przyciskał je do piersi i długo tak trzymał dla rozgrzania się, a łyżki z barszczem do gęby donieść nie mógł, tak dygotał cały.

Gdy mówił, zająkiwał się i uśmiechał, pokazując żółte, rzadko osadzone zęby. Zająkiwanie owo pochodziło stąd, że nie nawykł był z ludźmi gadać, tylko ze sobą, ot zwyczajnie, w polu, za bydłem. Czego się zaś uśmiechał, wie to chyba sam Pan Jezus z nieba, bo niedola to była ciężka i żywot bez wszelakiej rozkoszy.

Choć to i ten uśmiech jego też był osobliwy. . . .

Pokaże bywało, wielkie żółte zęby, a twarz cała jakoby struchlała, po czole jakby kto broną przejechał, takie

brózdę na niem, a w oczach tak mętno, jako w tych dołkach, co po deszczu na drodze stoją!

W połowie coś lutego doła jego poprawiła się nieco, obsiadł bowiem pustą izbę na czworaku i pilnował chłopskich dzieci. Była to jakby ochronka zimowa, gdzie się schodziło ze dwadzieścioro mniejszego i większego drobiazgu. Jedne darły pierze, drugie skubały szarpie, a Ksawery opowiadał im bajki, śpiewał pieśni, ciekawszym pokazywał na elementarzu. Byli tacy, których tej pierwszej zaraz zimy na B a s, B ą k — jak mówił — “w y p r o m o w a ł.”

A gdy zapachniała wiosna i pierwsze się trawy puściły, a uczniów i uczennic ubywać zaczęło, wdziewał Ksawery swój chałat, podpasywał się rzemieniem, zawijał szarawary, torbę przez plecy przewieszał i z listami biegał.

Pamiętam jeden taki wieczór, kiedy się wybrał do nas z zimowej sadyby. Był to wielki piątek. Wielkanoc przypadła wczesna, ciepły wiatr pociągał z południa, czajki biły się nad błotami za kowalowym jugiem, od lasu słyhać było pohukiwanie bąka. Wieczorem, kiedy gorące przygotowania do święconego ochłody nieco, wyszłam na drogę w pole. Cisza była wielka, szeroka, zorze zachodnie gasły, a na wschodzie podnosiła się pełnia wiosenna, złota zrazu i ogromna, potem coraz srebrzystsza i mniejsza.

Z daleka, z gościńca, dolatywał turkot bryczek i klekotanie wózków chłopskich, toczących się do miasteczka “na groby”. Kiedy turkot dobiegał do Murowańca, wypadały psy karczmarskie, oszczekując je zajadle i znów wszystko cichło, wiatrak nawet stał nieruchomy na piaszczystym wzgórzu. Tylko modre wiosenne żuki lecące z wielkim zapędem w ostatni skraj zachodniej łuny, przecinały furcząc, powietrze, w którym tu i owdzie majaczyły lekkie, z świeżo zoranej ziemi idące opary, zbijając się w tuman nad łąką. Wtedy zobaczyłam spieszenie, na przelaj przez pastewnik idącego człowieka, który pod

krzyżem przydrożnym klęknął, ziemię ucałował i podniósłszy obie ręce modlić się zaczął. Podszedłszy bliżej, zobaczyłam, że jest to Ksawery, już przybrany w swoje letnie "ornaty", jak je nazywał, z torbą przez plecy i z ową zakrzywioną berlicą tuż obok leżącą. Bose jego pięty sterczały za nim w smudze miesięcznej jasności, podobne do tych stygmatyzowanych stóp, które widzimy w ołtarzach, rozwiany chałat szeroko okrył czarną jeszcze ziemię, w tył przechylona, szczeciniastym żółtawym włosiem pokryta głowa, zdawała się błyszczeć złotym kręgiem, a szeroka nieruchoma twarz jego była światłem srebrzystem zalana.

Nędzarz ten, ten śmieszny, idiotycznie uśmiechający się do ludzi człowiek, wyglądał jak święty w zachwyceniu.

Zaraz zaczął śpiewać. Głos mu się trząsł, głowa chwiała, łzy spadały jak iskry po twarzy. Była to owa pieśń stara znana:

. . . Jezu Chryste Panie miły,
Baranku bardzo cierpliwy. . . .

Śpiew ten miał w sobie coś dziwnie przejmującego. Zdawało się, że to on właśnie ten bezrodny i bezdomny sierota, który pracą życia całego nie tylko do ciepłej szmaty na grzbiecie, ale nawet "do lat" dojść nie mógł, a przecież nigdy się nie skarżył, że to on sam jest: barankiem bardzo cierpliwym. . . .

Następnej zimy Ksawery nie przyszedł obsiąść swojej izby w czworaku. Z listami nie przychodził także. Zaniepokoiło nas to zrazu, mówiliśmy o nim, aż potem wyszedł wszystkim z myśli i z pamięci.

Dopiero na samo podwiośnie, grzejąc się na młodem słońcu przed domem, zobaczyłam jak szedł od miasteczka. Gdyby nie to, że idąc przez pole głowę miał odkrytą, a czapkę w ręku, nie byłabym go nigdy poznała, tak był zewnętrznie zmieniony. Przede wszystkim miał na sobie ciepłe palto, także spodnie, grube wysokie buty, i nie-

bieski fontaż wychodzący z pod kołnierza czystej, dość cienkiej koszuli. Struchlała twarz jego nabrała zdrowszej cery; oczy tylko nie straciły tego wyrazu przerażenia i martwoty, jaki im był właściwy.

Dziwiłam się w duchu tej zmianie, kiedy Ksawery przystąpiwszy do ławki przemówił “pochwalony” i pocałował moją suknię, jak to miał we zwyczaju.

— Aha . . . Aha . . . Chwała Bogu . . . — odezwał się patrząc na mnie z tym samym co dawniej idiotyczno-bolesnym uśmiechem, rozszerzającym usta jego od ucha do ucha.

— A! Ksawery! — rzekłam, okazując mu przyjemne zdziwienie.

— Ksawery Wilewski . . . — odpowiedział, kiwając się śmiesznie przede mną, co miało zapewne ukłon szlachecki oznaczać. — Aha, Wilewski, aha. . . .

I zbliżywszy się do mojej twarzy:

— Chwała Bogu — szeptał. — Matkę mi Pan Jezus dał. . . .

— Co? Jak?

— Aha . . . Aha . . . Ta pani, pani Wilewska, szlachcianka, obywatelka. . . . Ale że była wtedy wdową, aha, i dlatego się w Krakowie rodziłem. . . . Chwała Bogu. . . .

Złożył ręce i oczy wzniosł do nieba, dziękując za swoje urodzenie, jakby za dar najwyższy.

— I jakże się Ksawery dowiedział?

— Aha. . . . Zachorowała, na śmierć zachorowała . . . wołają mnie do niej. A już ją jegomość spowiadał. Tak idę — chwała Bogu — a ona: Synu, Ksawery, daruj! Tak ja patrzę, nie wiem co robić. . . . Tak ona znów: Synu, Ksawery, daruj! Tak ja w płacz. Tak mnie jegomość w kark, a ja jej do nóg. Tak znów jegomość rękę jej bierze i na głowie mojej kładzie. A taka letka była ta ręka, jak piórko, a tak mi zaciężyła na głowie, jak ołów. . . . A pani tylko dyszy aż w piersiach jej gra, a bledziuchna taka, jak ten opłatek, a gromnica, co ją je-

gomość trzymał, tylko chwir, chwir na obie strony, że się tak już dusza do wyjścia tłukła. . . .

Przestał i westchnął głęboko tem westchnieniem, z jakim lud o rzeczach nadziemskich zwykł mówić.

— Tak jegomość: Pani Wilewska! Bóg widzi, wieczność czeka. . . . Tak pani na to . . . niby matka . . .

— Otwórzcie drzwi, zawołajcie ludzi.

A już zachrzypiała.

Tak jegomość drzwi roztworzył i mówi:

— *Dignum et justum est* . . . — Co w ministranturze tak samo stoi. . . . Jak drzwi roztworzył, tak się zaraz naród zaczął walić, nawaliło się narodu pełna stacja. . . .

Tak pani się na poduszki kazała podnieść i mówi:

— Przebaczcie mi, chrześcijańskie dusze, krzywdę tego oto syna mojego Ksawerego, którego w boleściach zrodziłam. Co wyznaję tu przed wami, bo się dusza moja sądu boskiego lęka. A to wam wyznaję po spowiedzi świętej, w godzinę śmierci mojej i błogosławię tego syna mego i wszystko co mam, jemu zostawuję. A niech mi to przebaczy Pan Bóg miłosierny, żem temu sierocie poniewierać się dała w ciężkiej nędzy przez cały wiek jego i przez wszystkie lata jego, amen.

Przestał Ksawery i przez chwilę pacierz szeptał, potem tak mówił:

— Tak zaraz między narodem płacz buchnął, poklekali wszyscy, a jegomość do nich:

— Przyjmuję to zeznanie pani Wilewskiej w przytomności umysłu jej uczynione, a was wszystkich tu obecnych za świadków przed Bogiem i ludźmi biorę.

I zaraz na matkę, niby na panią Wilewską, oleje święte kładł, a naród odmawiał litaniją za konających. Tak po tych olejach świętych matka zasnęła. Jak zasnęła, tak jegomość ludziom kazał precz wyjść, tylko organistkę przy matce zostawił, a sam do mnie:

— A co? Nie mówiłem, żeś szlachcic? Matkę masz,

a po ojca, to już sam Pan Bóg przenajświętszy osobno posłać musi dobrego pacholka, bo ulgnał gdzieś w śniegach podobno.

A potem spojrzął na mnie i mówi:

— I cóż tak stoisz, jak Piotrowin?

Bom stał, jak byłem, bosi, obtargany. . . .

— Idź — mówi — i wykąp się — mówi — wymyj, wyczysz, żebyś matki w jej ostatnią godzinę nie straszyl. Tak poszedłem. Jakem wrócił, tak już i "palito" i spodnie i krawat w pierwszej stancji leżały na łóżku, co mi je wedle ściany uszykowali i buty tam były i kamizelka, i czapka, i koszula. . . . Takem się zaraz w to wszystko oblókł. . . .

— A matka — przerwałam — umarła?

— Aha! Aha! Nie umarła, chwala Bogu, nie umarła! Zaraz jej się po onych olejach świętych i po onem spaniu poprawiło, i przy dobrym rozumie z nami rozmawiała, rozpowiadając gdzie, co i jak, co przedać, co zostawić, jaki pochów sprawić, w jaką suknię ją oblec. . . . Przywtarzała jej organiścina, ale co ja, to nie wiele z tego miarkowałem, tyłkom jej u nóg leżał w onem "palicie" i w butach, i z czapką, i myślałem, że mi serce na dwoje pęknie od żalości. . . .

Odwrócił głowę i pięścią wytarł oczy.

— A żalość to była taka słodka, właśnie jakby mi kto serce rozkroił i miodem smarował. Co spojrzę na panią, to sobie myślę: matka! A dusza ze mnie rwie się, jak ten ptak do gniazda. . . .

Potem przysłała noc i pani spała. Z rana była jakoś rzeźwiejsza, organiścina kawy nagotowała. . . .

— I dawno się to stało?

— A już będzie z pięć dni temu. Takem się spieszył, żeby tu przylecieć, opowiedzieć. . . .

— I cóż Ksawery teraz robi?

— A nic. Przy matce, niby przy pani, siedzę, posługuję. Dźwigać ją trzeba, przenosić. . . . Ale mi to wszystko miło. Jeszczem przez te pięć dni ani razu

głodu nie miał, z zimna nie drżał . . . — dodał z cichym, wewnętrznym śmiechem rozradowania, i wsparłszy twarz na dłoni, stał tak kiwając głową z wielkiego nad dolą swoją dziwu, zapatrzony w runiejące pola z bolesnym swoim uśmiechem.

Może na polach tych upatrywał śladu bosych stóp swoich, odmrożonych i krwawiących po śniegu. . . .

Przeszło lato. Nad ziemią przeciągały korowody jaśkółek i mgły jesienne, klucze bocianów i deszczowe chmury, dzikie gęsi i wiatry, otrząsające z liści wszelkie drzewo żywe.

O Ksawerym od dawna mowy u nas nie było. Nie potrzebował tego, miał matkę. Aż, któregoś ranka, wśród mgły i szarugi listopadowej, zobaczyłam go jak sadił przez pole wielkimi krokami. Ale nie był to już ten Ksawery, który posiadał ciepłe "palito", sukienne spodnie, wysokie buty, czystą koszulę i niebieski fontaż. Był to ów dawny, tak dobrze znany mi nędzarz, w porozrywanych płóciennym chałacie, z obwiązaną starym szalikiem głową, z nagiemi kolanami, w wytartej, skrzyżowanej na piersiach, a związanej na plecach chuście, utykający na poobwijanych słomą nogach. Rzuciło się coś we mnie na ten widok, i jak stałam u okna, tak pobiegłam do kołowrota.

Zobaczył mnie z daleka i zaraz też uśmiechać się zaczął po swojemu, w pół boleśnie, a w pół idiotycznie.

— Bój się Boga, Ksawery! — zawołałam — co się z tobą stało?

— Aha . . . aha . . . — odrzyknął mi wskrós wiatru, który pochwyciwszy głos jego, rozciągnął te dwa wyrazy w dziwny jakiś jęk, — Aha . . . z listami chodzę, proszę łaski pani. . . .

— Jakto! . . . A matka? — zapytałam, gdyśmy się bliżej zesзли. . . .

— Aha . . . matka. . . . A jakże! . . . Ale że przy ludziach nie pięknie było. . . . Nie można . . .

Wdową wtedy była. . . . Przez to się i rodzić musiałem w Krakowie. . . .

Uśmiechnął się i patrząc osłupiałym wzrokiem w czarną, rozmięknłą ziemię, zaczął kiwać głową.

Czułam się dziwnie wzburzoną.

— I cóż? Zaparła się ciebie?

— A nie! Boże uchwaj! Zaprzec się nie zaparła. . . . Boże uchwaj! Tylko, że jak ozdrowiała, niech jej ta Bóg miłosierny da najdłuższe lata! to jakoś było nie pięknie. . . .

Pochylił się i usta z boku ręką zastawił.

— Rozniosło się po całym miasteczku. . . . Pani aptekarzowa przychodzić nie chciała, pani pocztmistrzowa też. . . . Przykro było. . . . A i na ulicy ludzie patrzą . . . szepczą . . . wstyd. . . . A wszystko przede mnie, że to wdową wtedy była . . . — dodał przyciszonym głosem.

Deszcz ustał, wiatr przeciągał ze świstem po polu — szliśmy zwolna ku domowi.

— Tak mówi do mnie pani: Ksawery! — Tak ja na to: Co, matko! — Tak pani: — Nie wołaj na mnie matko, tylko wołaj: ciotko. Piękniej będzie przy ludziach. . . . — A i sługa była w domu. Tak ja mówię: dobrze. — A już mi się zara krwią serce zalało. . . . A no nic. Mówię ja — ciotko, tydzień, mówię dwa, a co powiem, to jakby kto we mnie nóż utknął. Aż przyszła p r e c e s j a. Jak przyszła, tak burmistrzowa nie chciała matki za baldachimem w pobok siebie puścić.

Jak tam było, nie mogę wiedzieć, bom chorągiew przed jegomością niósł, ale, że się podobno głośno przemówiły. Jak się też przemówiły, tak matka z płaczem do domu. Wchodzę ja do stancji, twarz rękami zakrywa i odwraca się ode mnie do okna. Zara pomiarkowałem, że cości źle. Jakem się też po pierwszej stancji zaczął tłuc, tom się tłukł jak błędny, miejsca ani godziny znaleźć sobie nie mogąc, a takem się, niby w sercu, sam ze sobą bił, że aż trojakię poty na mnie wyszły. . . .

Jużem i jadła nie tknął, choć kielbasa była. . . . Oj, ciężko było. . . . W książkach stoi, co w godzinę skona-
nia wielkie na człowieka nastają ciężkości, ale się taka
chyba nie najduje. . . .

Zamilkł i przez długą chwilę kiwał nędzną głową, a
oczy stroskane utkwiał daleko gdzieś, w pędzonej wiatrem
chmurze.

Westchnął potem i rzekł:

— Tak nie długo czekający na nieszpór dzwonią. A
no nic. Przedzwonili, idzie matka do kościoła. Jak też
poszła, takim zara te wszystkie u b i e r y, com je
od matki miał, ze siebie zewlókł, a swoje ornaty, com je
we węzélku na strychu chował, na się pokładłem, pacierz
przed matczynem łóżkiem zmówiłem, podłogę w stancji
ucałowałem, kij wziąłem i puściłem się precz, w drogę.
. . . Niech tam! — myślę sobie. — Będzie piękniej przed
ludźmi. . . . Że to niby, proszę łaski pani, dodał szep-
tem, matka wdową wtedy była. . . .

W STARYM MŁYNIU

W Starym Młynie

W samym cyplu Neru i Warty stał młyn. Kiedym go poznała, już się on "starym młynem" nazywał. Nie dlatego, żeby na tem miejscu z dawien dawna istniał i stare czasy pamiętał, ale dlatego, że przed dwoma, czy trzema laty zbudowano w tym samym cyplu "młyn nowy", powyżej tylko nieco, który zółtością świeżo pobitych gon-tów pod słońce świecił, a robotę okrutnie machał, z świeżą jakby, niestrudzoną ochotą i mocą.

Na nowym młynie siedział Niemiec Strauch, z włosem jak szczecina strzyżonym, z karkiem tak tłustym, że mu się przez kołnierz fałdą przelewał, z małemi świejącemi na wierzchu głowy oczkami, do czysta wygolony na twarzy okrągłej, dużej, jak cynober czerwonej. Strauch miał dwie, główne roboty: pocił się i kłął. Pocił się i zimą i latem, a kłął czy mu się dobrze, czy zaś nieco gorzej wiodło.

Prosty naród to tam zwyczajnie klątw takich szwab-skich nawet nie rozumiał, ale młynarczyki latały jak frygi, pod tym złym językiem, który ciągle, niby paprzy-ca się obracał w tłustej gębie majstra, i pod temi świejącemi oczkami, z których, jakby szydła szły, kiedy na ludzi patrzył.

Pełno zaś tu było i ruchu i gwaru, i uwijania się, ni-by much w ukropie, bo sam Strauch, cały dzień nad ludźmi swymi, w biały fartuch opięty, na krótkich, jak u jamnika nogach dreptał, wielkie palce tłustych rąk swoich, za ramięczka żółtej kamizelki zatkawszy, sapiąc i klnąc na przemiany.

A w miarę, jak w "Nowym młynie" krętanina rosła, w "Starym" robiło się coraz ciszej, coraz puściej. Nierzadki dzień był zrazu, nierzadki tydzień potem, w którym nikt do niego nie zajrzał.

Mógł teraz pan Balcer Warawąs, Warawąsowskim powszechnie zwany, który z łomżyńskiej szlachty czynszowej ród swój wywodził, a tu przybyszem osiadł, coraz spokojniej z fajeczki swojej pykać i zgarbiwszy się w płócienną swoją kapocie, coraz dłużej w rzekę odnoszącą bryzgi z pod kół nowego młyna patrzeć, i ogromne swoje wąsiska w dół motać, i niewysnute nigdy dumy w starej głowie snuć.

Głowa ta od lat kilku zaciężyła nagle ku ziemi, zwiśając, jakby ugodzona wielką jakąś mocą, ku wyschłej i zapadłej piersi.

Mało kto widywał teraz chudą, poźółkłą, głęboko rzeźbioną twarz Warawąsa, wśród której sterczał nos potężny, pod zapadłymi, siwymi, dziwnej łagodności oczyma, i której cienkie, delikatne wargi coraz rzadziej otwierały się, aby wypuścić jakie skąpe i urwane słowo.

Wąsiska tylko okrutne, z ojca na syna w rodzie tym idące, daleko poza chudemi policzkami widne, znali wszyscy, a jedyny, z dawnej czeladzi pozostały głupekowaty parobek, "Kulasem" dla poobwijanych i różą podziurawionych nóg zwany, z gwałtownego ich ruchu lub opuszczenia odgadywał, "którą nogą" — jak mawiał, stary wstał z twardego swego tapczana.

Badaniu onych wąsów mógł się Kulas tem swobodniej oddawać, że roboty we młynie tak, jakby nie było; bo choć majster co rano dokolutka oba ganki obchodził i jednej pajęczynce ostać się u pułapów nie dał, młyna przecież nie puszczał, ale zeszedłszy na wodę, zadumany stawał i czekał. A czekając nie patrzył na drogę, którą mógłby kto z kilka worków ziarna przywieść, tylko ku lasowi w pole, gdzie na górze stał krzyż stary, a pod nim głąz bielił się zdala. Co prawda, to na drogę nie było co i patrzeć. Zarosła bowiem trawą szeroko, a w starej

kolei, na zawrocie, chwasty się po wiosennych deszczach puściły. A kto je wydeptać miał? Kulas tylko po niej chodził z gębą na nic obluzowaną w zawiasach od ziewania i żucia, zresztą ani żywej duszy.

Dopiero od Nowego młyna zaczynało się życie.

A raz wraz trajkotały tam koła i dudniła ziemia, kiedy przyszły mrozy; raz wraz piszczały osie i brzęczały naszelniki, szarpane wielką siłą, kiedy nastaly wiosenne roztopy, lub jesienne błota; raz wraz pyliły się nią gęste, białe kurzawy, kiedy suchość letnia rozpała piaski. Zaraz wszakże za młynem, jakby wszystko uciał. Stawał nieraz Kulas na drodze i pochłaniał chciwie te brzęki, te dudnienia, te kurzawy białe.

Oj urwałby się, urwał od starego, gdyby nie robota. Roboty się okrutnie bał i to od maleńka; a teraz, zależawszy pola, tak od niej odstał, że choć łeb utnij, same ręce odpadają od wszystkiego, nad czym się zapocić trzeba. A i jeść pono Niemiec skąpo daje. Wzdychał tedy Kulas, melancholią wielką nad losem swoim zdjęty, i zwolna zawracał ku staremu młynowi, aby do misy zgotowanej przez starą żołnierkę Łukaszową sięść, potem na ławie zadrzemać.

Po co Warawąs parobka tego trzymał, ludzie w głowę zachodzili. Żywić go musiał, odziewać, a i płacić coś nie coś jeszcze. Łukaszowa cały ogród dyni wyłącznie dla niego na polewkę sadiła; były zaś dni, że z grochowin tylko do miski wyłaził, napełniając ziewaniem całą izbę i wnosząc do niej olbrzymią, niepohamowaną nudę. Zresztą robił, co chciał. Od rana tylko z obowiązku przed Warawąsem stawał.

— A co? — pytał krótko stary, przenikliwie patrząc mu w oczy.

— A nic, panie młynarzu — odpowiadał Kulas, kilka liter nie wymawiający, czy to z natury, czy też z lenistwa i onego to obluzowania szczęk, któremi ciągle ruszał, i na tem się kończyły jego całodzienne z panem Balcerem relacje. Poza tem dostawał się w słodkie jarzmo

Łukaszowej, która mu wszelaką folgę gwoli onej róży w nogach dawała.

Stary Warawąs szedł młyn tymczasem opatrywać. Obchodził ganki, oglądał kosze, uczepiał worki, obciągał pytle, dmuchał, trząsał, okurzał, poczem, jakby przypomniawszy sobie coś, ręką machał i nad rzeką stanąwszy, zwieszał głowę, to na wodę bystro, to w pole ku lasowi patrząc.

Powiaądał mi Jesionowski, także szlachcic czynszowy, rodem z Dębego, z unijowskiej hordy idący, sześć lat temu, "Stary młyn" wówczas po prostu "Balcerówką" zwany, tężej jeszcze robotę machał, niż teraz nowy. Wielkie zaś koła, szeroką szczeblowiną zębate, tak srodze zapędne miał, że zdala, z daleka, słyhać było warkot jego niustanny a gromki. Droga też do młyna wyjeżdżona była czyście, a piasek, przemieszany na niej co dnia dziesięć razy, nie zatrzymał śladu wczorajszego kopyta albo racicy, tak wozy, coraz nowe szły, jedne o drugie zawadzając osiami, jedne przez drugie spiesząc. A jak postawały, to jak na kiermaszu było ludu, i sprzężaju i zboża. Na przydrózkach nawet nie utrzymało się źdźbło trawy, tak ją wydeptały baby, po ćwiartce, co biedniejsze, na plecach do młyna ziarno niosące. Procesją to wszystko ciągnęło ze Zdun, z Małej i Wielkiej Leźnicy, z Tumidaj, z Tędowa, z Podłęża, z Parsk, ze Zbylczy, z Grodziska, z kolonii, z dworów, Bóg wie skąd. A młyn huczał a huczał i trząsał się i zgrzytał i z sykiem i szumem wodę kołem rwał i piany garnął i rozpryskał, aż dyłowina dębowa w nim drżała, a deski ganków i pomostów jęczały w sobie, jak żywe.

A jakie tam mąki szły, jakie kasze, jakie donsty, jakie szruty, jak żubrowane ziarno, to na podziwienie ludzkie. Dość powiedzieć, że wędrowną, młynarską czeladź do Balcerówki, jak na ogranicę ciągnęła, by się na ten ład piękny i na tę sztukę popatrzeć a i pouczyć co nieco.

W niedzielę za to ucichał ten cały gwar, cały ten łomot i tartas, a wtedy słyhać było od samego rana cienki

głosik Julisi, pana Balcera pięknej jedynaczki, która szleszcząc swoją niebieską, świeżo wyprasowaną sukienką, po izbach się zwijała, albo w ogródku przystanąwszy, malwy różowe rwała, śpiewając wesoło:

Paśła panna, paśła panna
Prześlicznego pawia. . . .

albo znów żałośnie:

Śliczne gwoździki, piękne tulipany,
Gdzieżeś, ach gdzieżeś, Janku mój kochany!

Ale to nie były jeszcze najpiękniejsze pieśni. Umiała ona i inne jeszcze, szlacheckie, które ciągnioną nutą śpiewywała z wielkiem pojęciem, jak np.

Ach Adelo, porzuć lament . . .

albo:

Powiejcie wiatry od wschodu . . .

w której to pieśni trochę się przy końcu tylko myliła.
Albo też wreszcie:

Na, masz ten pierścień na znak sprzyjania —
A nie powiadaj, że to od kochania. . . .

które umiała wybornie a śpiewała z takim uczuciem, że w jej ciemno-szafirowych oczach zapalały się przytem, jakby dwie wielkie gwiazdy, a śliczna twarzyczka, jak lilia, bladła.

Słuchając śpiewania jedynaczki swej, pan Balcer prostował się, wążkie jego wargi rozszerzał przebłogi uśmiech, a cała postać opływała jakimś rozjaśnieniem wewnętrznym.

Ale świeży, pełen młodości głos pięknej Julisi, nie tylko nad panem Balcerem moc taką miał. Kulas nawet usłyszawszy ją na strychach, gdzie ulęgałki przed rabunkiem młynarczyków chował i po dziesięć razy na dzień przebierał, po drabinie zląził, stanąwszy u płotka sadu, w

boki się ujmował, a zginając i prostując w kolanach swoje okaleczone nogi, co miało ruch taneczny oznaczać, śpiewał:

A ja sobie podrygom,
Ze Słomceskom Jadwigom. . . .

Dalszych wierszy pieśń ta nie miała, ale była ulubioną przyśpiewką Kulasa, który kto wie nawet czy nie sam ją ułożył, ku wspomnieniu tej szczęśliwej chwili, kiedy jakaś Jadwiga Słomczewska zdecydowała się dzielić podrygiwanie biednego kaleki. . . .

To pewna, że kiedy młynarczyki dopytywały się, co to była za Jadwiga, Kulas śmiał się i pokazywał swoje, wielkie żółte zęby, a z gardła jego, dobywało się warczenie, jakim nieraz bronił ułęgalek w otrębach.

Stąd zrodziło się podejrzenie, że Jadwiga Słomczewska nigdy nie istniała i nędzny Kulas tem imieniem oblekł jakąś marę swej wyobraźni i pożądanie własnego, wydziedziczonego z miłości serca.

Jednego nawet lata ustroiły młynarczyki w balcerowskim prosie, okrutnego, z rękami rozczapierzonymi na dwóch kijach stracha, ze starej spódnicy Łukaszowej, z resztek kamizelki pana Warawęsa i z poobrywanego kapelusza organisty z Tumu, a Janek Graczyk najmłodszy, ale piśmienny, na drewnianej deseczce, na wierzchu kija, wielkimi literami smołą wypisał: "Słomczeska Jadwiga."

Sprofanowany w ten sposób ideał Kulasa, nie przestał być przecie jego ideałem, choć tego dnia, kiedy ów strach w prosie stanął, tylko połowę polewki z dyni zjadłszy, od razu się w grochowiny zaszył, do ułęgalek nie zajrzawszy nawet.

Teraz to wszystko przeszło. Głos ślicznej Julisi czarnowłosej i modrookiej, która w niebieskiej sukience, jak niezabudka nad rzeką tą wzrosła, nie budził już echa. Młynarczyki rozbiegły się za chlebem, młyn zczerniał, zgłuchł, opustoszał prawie, droga zarosła, w pro-

sie tylko sterczały dwa patyki i deszczem splukana tablica, na której chmurą teraz siadały niepłoszone wróble.

Najwięcej wszakże odbiła się ta zmiana na starym Warawąsie. Jak był wysoki, tak się zgiął we dwoje; jego płócienna kapota wisiała na nim, jak na wyschlým kołku, wąsy opadły, oblicze zakłęśło, wzrok wygasł. Czasem tylko okazywało się w nim wielkie zadziwienie; wodził wtedy oczyma po młynie, po sadzie, po rzece, czasem rozstawiał wychudłe ręce i patrzył uporczywie w niebo, jakby tam szukając rozwiązania dręczących go wątpliwości.

Z nieba wszakże zlatywało tylko stado gołębi srebrzących się w locie i obsiadało jego starą głowę i ramiona i trzepotało się u nóg jego, gruchając i podlatując, póki starca nie odeszło owo zadziwienie i nie nasypał ulubieńcom swoim ziarna.

Na młyn nowy i na Straucha nie zwracał żadnej uwagi. Jakby ich nie było. Mówi kto o nich, to głową kiwnie, bez niechęci, bez ciekawości, ale sam nie zagadnie nigdy o sąsiadach swojej Balcerówki. Balcerówka też zamieniła się zwolna w osadę rolną; kawałek chleba i kartofle dobywano z niej, a rzeka i młyn na niej — jakby nie istniały.

W niedzielę pan Balcer przebierał się staranniej, wdziewał granatową kapotę z potrzebami, na szyi wiązał czerwoną, bawełnianą chustkę, na głowę zasadzał magierkę z czarnym barankiem i z laską w ręku do kościoła szedł.

W kościele zatrzymywał się tuż przy drzwiach i o kruchciane drzwi wsparty dobywał z kieszeni gromnicę i zapaliwszy ją, stał z owem trupiem światłem w ręku, patrząc na ukrzyżowanego w wielkim ołtarzu Chrystusa, blade jego cienkie wargi nie poruszały się ani jednym słowem modlitwy; jeśli się modlił, to chyba jakimś wewnętrznym krzykiem duszy. Dopiero kiedy organ na "Święty Boże" uderzył, szedł pan Balcer dużym krokiem

przed sam wielki ołtarz i tu się na ziemi rozkrzyżowany kładł z wielkim jękiem i tak przez całe suplikacje leżał, podnosząc siwą głowę i uderzając czołem w kościelną podłogę.

Jaka tam była rozmowa jego z Bogiem — nie wiedzieć.

Ano wstawał po niej w wielkich potach, we łzach, jakby w spracowaniu okrutnem, z twarzą, po której płomień szły, z błyskawicami w siwych oczach, i nie czekając aż inne pieśni organista odśpiewa, z gromnicą swoją wychodził, dziwnie prosty, do dawnej dużej swojej cudem jakby wrócony, z podniesioną głową tem wyżej, im głębiej wpierw w prochu leżała z magierką na grubej lasce. Zaś pod lipą na kościelnym cmentarzysku siadłszy, gasił gromnicę, ogarek do kieszeni chował i do dawnej, znękaney postaci wracając, włókł się ku staremu młynowi.

Widząc ja go tedy raz i drugi, jak to swoje nabożeństwo czynił, zapaliłam się chęcią wielką bliższej z nim rozmowy. Aż i przyszła taka chwila. Nie od razu, ale przyszła: dobiłam się do tej duszy, cierpliwością długą i pracą.

Pamiętam, jesienny był dzień, z cichego, wrześniowego nieba szedł blask modry i silny, zieloność jarzyn omdlała była i już gdzieniegdzie rdzawa. Wzdłuż tylko rzeki, świeżym majem ciągnęły się smugi traw miękkich i puszczejących się z nadbrzeżnej grzędawicy, aż w głąb wody, tataraków i ciemniejszej trzciny.

Ogromna świeżość, chłodem biła z rzeki na brzeg wyniosły, wyszarpany, podmyty z jednej strony, a z drugiej rozścielający się płasko. W nowym młynie huczało jak w kotle. Krzyki i nawoływania ludzkie głużyły niemal szum wody, aż na cichą Balcerówkę się niosąc.

Staliśmy właśnie ja i stary Warawąs, na kładce, wypuszczonej z młyna na rzekę, kiedy na drodze od lasu idącej, rozległ się śpiew donośny, bezfrasobliwy, szeroki,

a zarazem jakby bębnienie na jakimś blaszanym statku.

Drgnął stary, o żerdkę oburącz oparty i podniósłszy zblakłe, głęboko pod czaszką osadzone oczy, przenikliwie na drogę patrzył.

Szli po niej dwaj ludzie, którzy gdy się zbliżyli, znać było, że do wędrownej czeladzi należą. Krótkie mieli spencery, wyładowane torby płócienne na plecach utrzymywały parciane szele, przez piersi na krzyż idące, krótkie fajki u guzików mosiężnych, obuwie płytkie, na tył głowy nasunięte, omączzone czapki, u szyi fontazie kolorowych chustek, na wierzch wypuszczone, w rękę kije. Niższy, czarny i kędzierzawy, miał przy boku podłużne blaszane pudło, na którym bębnił w takt piosenki, której słowa można już było rozpoznać. Zaczynali świeżę na dwa głosy strofkę.

Wer in den Himmel, sagt man . . .

Szarpnął się w tył pan Warawąs przy pierwszych słowach tej piosenki, ale na kładce został, tylko ciemny rumieniec wybił mu nagle na zwiędłą twarz i podszedł aż pod skronie, stare piersi ciężko dyszały a zblakłe oczy, czerwonym żarem rozlały. Wędrowcy tymczasem skręcili z drogi i pod młyn podeszli. Jeden z nich uchylił czapki:

— *Glueck auf!* — zaczął przyjaźnie.

Ale pan Balcer nie dał mu przyjść do słowa.

— Niema! — wołał, machając rękami tak, jakby ich od progu swego chciał odpędzić. — Niema roboty! *Keine Arbeit! Weg!* Precz! Do Niemca! Do nowego młyna! *Weg!* . . . Tam! Tam! — I trząśł wyciągniętą ręką w stronę huczającej rzeki i trząśł głową siwą, a okrutne wąsiska groźnie się podniosły, wśród rozognionej gniewem twarzy.

Wskróś tego gniewu znać było w obliczu starca jakiś wielki zabobonny przestрах, który ześrodkował się w nieruchomych, pełnych przerażenia oczach.

Podczas, gdy jedno z jego zwiędłych ramion, wyciągnięte ku rzece, trzęsło się namiętą żądzą oddalenia jak najrychlej nieproszonych gości, drugie szeroko rozpostartą dłonią zastawiało pierś, jakby broniąc jej od jakiegoś złowrogiego ciosu.

Wędrowną czeladź popatrzyła na pana Balcera, potem na siebie, potem na koło młyńskie, między szczeblowiną którego zwieszały się uschłe na siano, wygarnięte kiedyś z rzeki wodorosty, potem na rzekę w stronę Nowego młyna, zaszwarzowali wreszcie między sobą i kiwnąwszy głowami, odeszli na on huk i łoskot Strauchowej siedziby, wzdłuż rzeki się ku niej biorąc.

Już zawróciwszy, kilka razy jeszcze zakołysali głowami, jakoby z dziwu, poczem rozległa się przeciągła nuta, znanej wśród wędrownej czeladzi pieśni:

Das Jahr ist gut . . .

Pieśń ta, porwana szumem i hukiem wody, prędko była już tylko ledwo dosłyszalnym echem.

Dopóki wszakże brzmiała, stary Warawaś prowadził śpiewających zapalonemi oczyma, dysząc głośno, a kładka, na której znów obie ręce oparł, skrzypiała pod ich żelaznym ujęciem. I dopiero wtedy, gdy głosy, słabnąc stopniowo, ucichły, a postacie idących na zakręcie zniknęły, odetchnął głęboko pan Balcer, wytężone źrenice przymknął na chwilę i pot z czoła trzęsącą się jeszcze z wysilenia dłonią otarł. Poczem wąsy raz i drugi na dół szarpnąwszy, przygasł w twarzy z onych gniewnych ogniów, tem żółtsze i jakby woskowe pokazując oblicze.

— Zgiń . . . przepadnij! . . . — zamruczał wreszcie drżącemi wargami, poczem bystro na mnie spojrzawszy, dodał:

— Człowiek ani wie, kiedy się licho do domu jego wnci. . . . Ale niedoczekanie twoje!

Oddychał szybko i głośno. W starej jego piersi obudził się widać ból dawny, który sobie ujścia szukał.

Bojąc się go spłoszyć, milczałam i patrzyłam w rzekę. Umiałam już z nim mówić temi długimi milczeniami, do których w samotności swej przywykłam.

Rzeka płynęła w ogniach, pod zachód się już miało. Nad łąkami wstawały opary.

— Takiego, to raz tylko za próg puścić — przemówił nagle Warawąs — oho! już i po spokoju! Snu nie zaznasz, dobra nie uwidzisz, pociechy się nie doczekasz. . . . Niekatolicki naród. . . . Strach, jakie sztuki umięją. Jest — źle, niema go — jeszcze gorzej. Za takim to i dola, jako ten gołąb odleci. . . . Oj! dola, dola! Niewierna ona! I ludzie niewierni i kamienie niewierne i dzieci niewierne! Oj! ciężko na świecie chrześcijańskiej duszy!

Westchnął z głębi starych piersi i długą chwilę milczał. Westchnęłam także, oczu nie zdejmując z wielkiej, gorejącej na wodzie łuny.

Pan Balcer, łokciami się o żerkę wsparłszy, zapytał z cicha:

— A co? Poszli? Przepadli? Nie widać?

— Nie widać — odpowiedziałam, nie odwracając głowy.

— Bodaj ich! — zamruczał stary.

Poczem nagle, pochyliwszy się ku mnie, rzekł:

— A to, pani moja, cała bieda z takiego mi, jak owi tam, poszła. . . .

Urwał — i jeszcze próbował, czy mu dusza zmilczy — ale słowa nagłą falą na usta mu się rzuciły. Odechnął tedy głęboko i tak mówił z cicha:

— Wędrował, a no wędrował. Hans mu było imię. Od pruskiej granicy szedł, od Elbląga, czy co. . . . A młyn wtedy na okolicę był głośny, nie trza mówić, wszyscy o tem wiedzieli. Tak się tu i został. Takie "reiser", wiadomo, po młynach chodzą, nowej roboty szukając i przewąchując co lepszą naukę. U nas to tego obyczaju niema, ale u Niemców jest. A no dobrze. Został, to i został. Czeladnik świeży zawsze się przy młynie przy-

godzi. Chętny był, rzeźki, do roboty się ostro brał — zostawiłem.

A rok był taki, że niepamiętne rzeczy! Ludzie, jak na odpust jechali i szli, zboża się porodziły okrutne, ziarno sypało aż strach. . . . Co chłop mendel odmłóci, to już korczyk żyta do młyna wiezie. Okrutnie się ludzie pobogacili onego roku. . . . Lada cham, to sobie pytlować mąkę do drugiego razu dawał. A jagieł to tak po komorach, po faskach baby miały, jak drugi raz i otrąb nie mają.

A mój Hans uwija się a przyśpiewuje. Takie oto bzdurne pieśni, jak ci tam. . . . A robota we młynie aż dudni. Pięć kamieni szło, a jeszcze nadążyć nie mógł. Dwóch czeladzi jeszcze przyjął i parobka i przerobić my tej roboty nie mogli. To inszy rok już po ostatkach basteje, a ten wcale przednówka do samych nowych żniw nie miał, takie były zboża!

— A co? — zapytał nagle, przerywając sam sobie — do nowego młyna poszli . . . — a co?

I przyłożywszy rękę do czoła, zmrużył siwe oczy i pod słońce wzdłuż rzeki patrzył. Ale światło zalało rzekę aż po brzegi i nie dawało na migotanie swoje długo patrzeć. Wszystko teraz stało w złocie i czerwieni: wierzyby, łozina i szuwary nadbrzeżne; a one lilie wodne jakby z korala cięte, w tem morzu się ognistem pławią.

Stary popatrzał, popatrzał i westchnął ciężko.

— Krwawi się teraz ta rzeka, jako serce moje — przemówił kiwając głową — ale sercu ciężej, bo krew z niego nie spłynie, jako z wody spłynie. . . .

— A cóż ów Hans? — spytałam, jakby z niechcenia.

— Oj, źmij to był i wąż przeklęty. . . . I sam nie wiem, do dziś dnia, choć łeb utnij, nie wiem, jakim się oni sposobem zgadali. . . . Dziewczyna Boga wezwać po szwabsku nie umiała, on też po naszemu ani rusz. A jednak. . . . Miłosierny Boże! Zakryj ty już ręką swoją one oczy stare, aby tego nie widziały. . . .

Przycisnął dłoń do powiek i chwilę ją tak trzymał

w milczeniu. Poczem rzekł:

— Jakem tylko pomiarkował, że Julisia raz wraz do młyna przylatuje i dziesięć interesów na godzinę do mnie ma, a wszystko, byle tylko na onego szwaba zerknąć, takem sobie pomyślaj: Czekać psu bracie! Wypędzić cię nie wypędzę, boby dziewczyna serce do mnie straciła. . . . A jedną ją miał, pani moja, jako to słońko na niebie, jak tę duszę w ciele. . . . Ale takiego ci pieprzu dam, że stąd sam wylecisz i nie wrócisz się, choćbyś tu oka zapomniał. Takem ja sobie, pani moja, myślał i rozmyślał i takim sobie postanowienie wziął.

Więc zacząłem mego szwaba siarczystą robotą prażyć, taką robotą, że to niewytrzymałe rzeczy. Noc uśpi, noc obudzi, ani sięść, ani tchnąć — nic! Do łokci ręce, psu bracie, pourabiaj, myślę, do krwawego potu, siedm razy na godzinę się zapoć, myślę, nosem w ziemię zaryj — myślę — to ci się bałamuctwa z dziewczyną odechce. . . . I wałę ziarna w dwoje tyle na kosze, a worki pakują takie, że i koń miałyby co dźwigać, z góry na dół, z dołu na górę na złamanie karku pędzam, zjeść nie daję, orzę w niego tak, że niech Pan Bóg broni! Wyciągnął się, pobielął na twarzy, jakby po zimnicy, oczy mu się, jak u wilka na mróz zaświeciły — i nic. Zęby bywało ściśnie, aż mu zgrzytną, jak u strzygi, i robotę taką, coby i na trzech było z czubem, ino za siebie przerzuci. Ano dobrze. Święta nie daję, niedzieli nie daję — nic. Aż i dziewczyna pobladła, posmutniała, płakiwać po kątach zaczęła. Pękało mi serce, alem się już zawziął okrutnym zawziętkiem. Zawszeć to człowiek szlachcic od rodu, Warawąsoski. . . . Nie z tych stron, nie. . . . Z łomżyńskiej ziemi szlachta my byli, czynszowa, prawda, ale się żaden z nas, ze szwabami, jak Bóg Bogiem, nie bratał, od dziada, pradziada.

Szarpnął siwego wąsa i przymilkł na chwilę.

Ano, minął tydzień, minęły dwa tygodnie, minęły trzy tygodnie — i nic. Mój Niemiec o odstaniu od młyna ani myśli. A jużem sam tak się owem prażeniem zmor-

dował, żem ledwo nogi za sobą powłóczył. Czekażże! — myślę ja sobie. — Nie przepnę cię robotą, to cię przepnę sztuką. A znałem jedną sztuką młynarską, co mnie jej jeden stary majster, Francuz nauczył, że to we francuskim kraju straszne młyny są i straszne młynarskie sztuki. . . .

Mówiąc to, przyciszył głosu i nagle urwał.

— Dawniej tobym o tem za srebro, złoto nie powiadał — rzekł po chwili — ale teraz, niech tam!

Machnął ręką i zamyślił się ciężko. Rzeka pociemniała tymczasem, a chłód surowy z niej powiał. Szumiała jeszcze i pryskała, jakby wrzątkiem pod nowym młynem woda, ale gwar ludzkich głosów już przymilkł, i wozy przestały turkotać. Po wierzchołkach gorzały tu i owdzie pod zachodnią łuną wierzy, dołem siność zmierzchu szeroko już szła, a na pobladłym wschodzie wybłysnął sierp perłowy. W próżnych grykach, prosach, zaczęły się wabić świegotliwie kuropatwy, nad błotami, w oparach kruczały zórawie, a daleko, gdzieś daleko, dzwon się na Anioł Pański odezwał. . . .

— Pamiętam, była sobota — mówił z cicha Warawąs.

— Z wieczora zaraz z młynam szwaba wyprawił, a sam się zostałem. Odpocznij sobie — mówię — bo od północkska młyn pójdzie. Jużem się, pani moja, i Boga obrażać nie bał, i w niedzielę, jak ten poganin, do roboty pędzał a wszystko z tego zawzięcia. Tak mój Hans poszedł.

Jak też poszedł, takem z puzderka dobył piórko z żywym srebrem i zapuściłem na największy kamień. Rozpełzło się to tylko po kamieniu, jak woda i już. A trzeba wiedzieć, że taki kamień za nic mleć nie będzie. Obraca się to, obraca, a ziarna nie weźmie. Staluj, jak chcesz, i wyżej, i niżej, nie weźmie. Taka to jest sztuka. A cóż! Kamień, to już jakby na nic. Wszystkie kanty het precz ona rtęć zaleje, choć go na nowo kuj. Wypalenie tylko pomoże. . . . Taka sztuka!

Ale jużem nie dbał, jenom okazji z onym szwabem

szukał, choćby też z własną utratą. . . . Niech z torbami pójdę, myślę sobie, a ty Niemcze, z młyna precz! Roboty nawaliłem huk, o północy obudziłem Niemca, a sam się układłem, ale nie śpię. Gdzie mi tam do spania! Świtaniem idę ja na młyn, a tu robota wszystka het, precz zwalona. Worki podczepiane, podłoga umieciona, a mój Hans przed młynem na tym kamieniu zalanym słomę pali.

Blady, jak żgło, oczy, jak to świętojańskie próchno mu się świecą, ale nic, mina gęsta, tylko pogwizduje sobie. . . .

Ażem się przeżegnał. Czort go uczy — myślę. I robotę machnął i kamień z młyna wytoczył, i sztuki się domyślił, i ratunek na nią znalazł. A kulasa do pomocy tylko miał i pachciarza z Leśnicy, co zboże ostatni przywiózł. .

To taka złość, pani moja, zakipiała we mnie, że byłbym zębami rwał.

I nie o szkodę mi szło, choć i to nie żart. Wypalenie co prawda pomoże, ale już kamień porzysty potem się robi i kruchy, już on na swoim miejscu nie odpowie, już nie taki. A no, nie o to mi szło. Niemiec wypalił kamień, przebrał się, do śniadania siadł i nic. Dziewczyna się też zaraz nawinęła, na szwaba popatrzała, do sadu wybiegła i zaraz do Kulasa. A co? a jak? a czemu czeladnik taki blady? a czy się tatuńcio nie gniewa? a czy co ze sobą gadali? . . .

Żem, słysząc to, trupem nie padł, Bóg łaskaw. Hans od śniadania wstał i mówił do mnie — a jużem szwabską jego mowę coś nie coś rozumiał.

— Mądrzyście wy, panie majster, ale i ja niegłupi. — I poszedł.

Cały dzień potem, na płocie od ogrodu, na oczach dziewczynie siedział i gwizdał, i przyśpiewywał, a na fleciku przygrywał, właśnie, jak ten ptak na wiosnę. A dziewczyna w ogrodzie, to w okienku, jak róża się na twarzy pali, a oczyma za nim wodzi, a cała drży, jak ten

liść na wiosennym wietrze. . . . Wstyd mówić. Taki szwab i szlacheckie dziecko. . . .

Splunął stary i zatrząsł głową siwą. . . .

Na wschodzie błysnęła gwiazda jedna, druga, sierp miesięczny rozpałił się, jak złoty, rzeka pod nim srebrną łuską drżała, uciszona teraz i senna. W powietrzu też wszystkie gwary i głosy umilkły. Szła noc.

— To, pani moja — mówił dalej Warawąs — przeszło tak pół roku. Pan Bóg miłosierny za grzechy mi je policzy; Hans za trzech, gdzie za czterech pracuje, a o wędrówce ani wspomnienia, a co się odezwę, żeby mu już czas w dalszą drogę, to dziewczyna cała w płomieniach stoi, i łzami pruszy, i ustka zaciska, i po kątach płacze, że niby to takiego tyrana okrutnego za ojca ma. . . .

A ja całymi dniami jakby z ćwiekiem we łbie chodzę, a przyjdzie noc, to się jak na szyszkach z boku na bok przewracam, jednym uchem śpię, drugim słucham, ażem z tego wszystkiego wysechł, jako trzaska.

Tak w tem ustawicznym niespaniu i ciężkiem myśleniu nowa mi rada do głowy przyszła. Rozważyłem ją sobie tak i tak, rozmyślałem, wołam dziewczynę i mówię:

— Słuchaj Juliś, pojedziem do chrzestnej, bo się już stęskniła za tobą.

A mieszkała ta chrzestna, niby moja kuma, coś ze cztery mile od naszego młyna. Zapłonila się jedynaczka moja, ale nic nie śmiała rzec, tylko oczy, jak te dwa bławaty opuściła i pocałowawszy mnie w rękę, spytała:

— A na długo, tatuńciu?

Ukłuło mnie to zapytanie, jako żądłem w serce, alem się rozśmiał tylko:

— Na dwa dni z jutrem — odrzekłem, choćem w głowie wcale co inszego osnuł.

Ano, zawiozłem dziewczynę. Trzy dni siedziałem i gadałem z kumą. Jużem i o zyski i o robotę nie dbał. . . . A czwartego, kiedyśmy się już umówili, jak i co, świtanem — dziewczyna moja spała jeszcze — wstałem, zaprząłem szkapę i wróciłem do domu sam.

I co to zdrada!

Tom nie śmiał, pani moja, wróciwszy, szwabowi owe-
mu w oczy spojrzeć, choć to niekatolickie plemię prze-
cie, a i to prawda, że kiedy ojcu o dziecko idzie, to mu
dużo wolno. . . . A co poradzić? Nie śmiałem. Tom,
jak ten wilk po młynie pierwszego dnia chodził, żeby się
z oczyma czeladnika nie spotkać, a jadło tom sobie kazał
do alkierza nosić, żeby z nim w jednej misce łyżki, jako
ten Judasz, nie maczać. . . .

A mój czeladnik obszedł mnie tylko raz i drugi, jak
ten zły pies, popatrzył na mnie z podełba i nic. Drugie-
go dnia to samo. Ale przecie jakoś mi lżej było. Ot,
myślę sobie, potęskni dziewczyna, potęskni i zapomni.
Kuma ją do miasteczka powiezie, świecidełko jakie kupi.
Był też tam w okolicy kawaler greczny, gorzelany, któ-
ry już zdawna o Julisję przepytywał. . . . Ot i zapo-
mni może.

A zaprzysiągłem, jak na toż kumę, że chociażby
dziewczyna niczem się ułagodzić nie dała, choćby zakli-
nała, koni jej nie ma dać, a w razie czego sukienkę Juli-
siną modrą i trzewiczki schować.

Trzeciego dnia na odwieczerz, słońce się już kulą
z nieba toczyło, przystępuje do mnie mój czeladnik i
wręcz pyta:

— A gdzie to została córka wasza, panie majster?

Zakipiało wszystko we mnie, alem się pohamował
i mówię:

— Gdzie została, to została, dość, że jej niema i nie
będzie.

— Tak? — pyta jeszcze i oczyma świdruje, świdru-
je mnie aż do mózgów.

— A tak! — mówię, a serce dygoce we mnie jak
pytel.

— Ha no — mówi — to i mnie tu nie będzie.

— Z Bogiem — mówię ja na to, a nogi aż latają
podemną.

A on na to:

— Z Bogiem, albo i nie z Bogiem. Pokazaliście wy mnie, panie majster, swoją sztukę, pokażę i ja. . . .

Odstąpił i do roboty poszedł.

— Ot, gadanie — pomyślałem sobie, ale mi do samego wieczora strach jakiś kośćmi wstrząsał.

Skończyła się robota — nic. Zamknąłem się w alkierzu. Kulas mi tylko przyszedł pod okno powiedzieć, że czeladnik manatki swoje zbiera i węzélki wiąże. Rzucałem się na tapczan i czekałem końca.

A pełnia była tej nocy i księżyc od dwóch godzin już na niebie, jak rybie oko stał.

Nagle usłyszałem śpiewanie Hansa. Umiał on różne pieśni i różne śpiewywał, alem tej nie słyszał jeszcze. Dziwna to była pieśń. Łaskotaniem jakby po sercu szła, a taką moc miała w sobie, że mi doleżeć nie mógł, tyłkom wstał i do okna podszedł. Śpiewał godzinę może, może więcej, poczem głos jego zaczął się oddalać od młyna. Wyszedłem z alkierza i przez sień. Jasno było jak we dnie. . . . Chryste Jezu! Kiedy jasność onę wspomnę. . . .

Przerwał opowieść swoją Warawąs i silnie drzeć zaczął. Zęby jego szczękały przez chwilę jak w febrze, spojrzenie miał osłupiałe i mętne.

Opanował się przecież i głęboko odetchnąwszy, tak mówił:

— W jasności onej wielkiej, drogą ku lasowi, szedł Hans z tłomoczkiem na kiju i śpiewał, a za nim z daleka — bogdajbym oslepl na wieki! — za nim boso, w białych szatkach tyłko, szła z wyciągniętymi przed siebie rączkami i ze spuszczoneymi oczyma, blada, jak opłatek, Julisia.

Krzyknąłem i rzuciłem się do niej. Nie obejrzała się nawet. Dopiero kiedym jej dopadł i za ramię chwycił, u nóg mi runęła jak martwa.

— Ty co, dziewczyno! Gdzie? jak? . . .

A ona:

— Zabij, tatuńciu — mówi — albo puść mnie za nim.

Zabij, bo inaczej się tu nie ostanę chyba w trumnie. Przez ogień — mówi — przelecę, przez wodę przepłynę. . . . Albo puść — mówi — tatuńciu, albo zabij!

Jak ten robak się wiła, jak ta zuzula jęczała, jak żywica do rąk i do nóg mi lepła. . . .

Jezu miłosierny! Co miałem robić? Puściłem. . . .

Stary otarł pot z czoła, zęby znowu szczękać mu zaczęły.

— Wstała — wyszeptał po chwili, przelykając ślinę — wstała i poszła. Jak cień za nim poszła, jako mgła lężna, tak samo, jako wpierw, wyciągnąwszy rączki przed siebie i przymknąwszy oczy. Jako ten gołąb, co na pożar, z gniazda, skrzydła rozpuściwszy, oślepy leci — tak poszła. Padłem na drogę, łbem o ziemię tłukłem, jak ten zwierz leśny ryczałem, jak pies wyłem — nie wróciła. Ten czartowski zaprzędaniec wciąż śpiewał. Poszła za nim. Cóż jej ojciec, dom, ród, coż jej wszystko? Duszę mu zaprzędała, poszła. . . .

Urwał i dyszał ciężko, poczem z nagłym pomieszaniem w oczach pochylił się niżej jeszcze ku mnie i rzekł przyciszonym głosem:

— Słyszałem ja, pani moja, o czarowaniach różnych i o różnych sztukach młynarskich. Słyszałem, że drugi człowiek tak kamienie zaczarować potrafi, że jemu tylko mlewo pójdzie, a nikomu inszemu nie pójdzie. Słyszałem, że taki człowiek co zechce, to ze młyna za sobą wyprowadzić może, wodę nawet od koła nawróci — alem nie wierzył. . . .

Moc Boska, myślałem i — tyle.

A tu patrzę ja, pani moja, a w owej wielkiej jasności kamień młyński drogą się za Hansem toczy. . . . Cały w blaskach, aż srebrny, właśnie jakby kto po równej ziemi pełnię miesięczną potoczył. . . . Stoję ja struchlały i patrzę, a tu drugi się toczy, i trzeci i czwarty. . . . Jezu Chryste! Nogi jakby mi w ziemię wrosły. A i to do myśli mi przyszło, że kiedy córka, kiedy rodzone dziecko tak mnie rzuciło, starego sierotę i poszło — to

cóż kamienie? . . .

To cóż kamienie? — powtórzył z naciskiem, trzęsąc siwą głową, poczem wyprostował się nagle i wyciągnął ku lasowi ramię.

— Wszystko się potoczyło — rzekł silnym głosem — wszystko ode mnie odeszło na wielką jasność miesięczną, tam, het, precz. . . .

Zamilkł i chwilę stał tak wyprostowany, z głową wzniesioną i z wyciągniętym ramieniem. Zgarbił się potem, pochylił, na żerdce ciężko wsparł i wracając do cichej swojej mowy, rzekł, jakby sam do siebie:

— A jednak . . . tak sobie czasem myślę, że gdybym był wtedy na owe kamienie zawołał, toby się może wróciły. . . .

MOJA CIOTECZKA

Moja Cioteczka

— Ależ cioteczko!

— Ależ, mój Julku, nie irytuj mnie napróżno! A przede wszystkim . . . precz żolka! — nie całuj mnie tak ciągle w ręce.

— Ależ, kiedy bo te rączki, jakby stworzone do całowania! — odrzekłem, nie puszczając prawej, a usiłując pochwycić lewą, która cofnęła się przedemną, między proste fałdy sukni.

— O jakież-to paluszki! Jak z cukru. Cioteczka całą. . . . O, jakie to śliczne rumieńce!

— Idźże sobie już, mój drogi! Wstydziłbyś się takie rzeczy gadać!

— Jakie rzeczy! Czego się mam wstydzić? Jak Boga kocham! Albo to nie prawda? — mówiłem to swobodnie na pozór, ale w istocie mocno byłem zakłopotany, stojąc przed ciotką moją, panną Konstancją Pullewiczówną, właścicielką bardzo wysokiej, bardzo wąskiej i bardzo białej kamienicy na Starem mieście, w pachnącym lewandą saloniku, którego ściany dziewiczo odbijały od zieleni mnóstwa nagromadzonych pod oknami krzewów. Staroświeckie, białymi pokrowcami obciążone meble, stały pod ścianami temi sztywne, a twarde, nieprzystępny taburet, na którym w pierwszej chwili zniechęcony siadłem, zdawał się oburzać poufałością taką z mojej strony.

Sama panna Konstancja, około lat czterdziestu mieć mogąca, wysoka, prosta, szczupła, w swojej czarnej sukni, z delikatną, bladą twarzą, i ciemnymi, gładko zaczesane-

mi włosami, które tu i owdzie srebrne przerzucały nici, podobną była do mniszki.

W tej chwili siedziała wyprostowana i sztywna na jednym z wązkich i wysokich krzesel, a po jej szczupłych policzkach przesuwiał się delikatny rumieniec pomieszania i niecierpliwości. Przy nogach jej kręciła się żolka i Finusia; w sporym, niebieskim szalem wysłanym koszyku, spała jedwabista Pafcia, a najzłośliwsza, w wiecznej ze mną wojnie będąca Dianka, warczała pod fortepianem.

Wszystko to usposobiło mnie melancholicznie. Pierwsza dopiero zyskowna robota trafiała mi się od czasu, jakem patent dostał, ale trzeba było wyjechać daleko, a nie miałem przy kim zostawić Anulki, z którą rok temu ledwośmy się pobrali.

Chwilę trwała cisza, nie wróżąca nic dobrego. Postanowiłem wszakże raz jeszcze szturm przypuścić.

— Więc jakże będzie, cioteczko? — zapytałem najmielszym, na jaki stać mnie było głosem.

Wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Cóż ma być? Nic nie będzie. . . .

— Ale cioteczka wie, że ja wyjechać muszę, że jeśli propozycję takiej firmy odrzucę, to stracę i zarobek znaczny i bardzo dobrą na przyszłość klientelę i odmawia mi takiej drobnostki.

— A śliczna mi drobnostka! — odrzekła żywszym nieco głosem — wziąć do siebie młodą mężatkę na cztery tygodnie. . . .

— Ale nie na cztery! Może na trzy, na dwa, albo ja wiem. Będę się śpieszył, będę po nocach pracował, aby tylko jak najprędzej wrócić. . . . Mnie samemu będzie tęskno.

— O ja wiem! — przemówiła, patrząc na mnie z wysokości swego twardego krzesła i ściągając wzgardliwie górną, wązką wargę.

Udałem, że wzgardy tej dla moich matrymonialnych tęsknot nie dostrzegam.

— Niech cioteczka tylko pomyśli! — modliłem się da-

lej. — Czyż ja mogę zostawić tak samą ptaszynę moją? Ani ona tu matki, ani rodziny. . . . Zamartwi mi się, zapłacze, zatęskni! Jeszcze w takim położeniu. . . .

Błyskawica przebiegła po twarzy starej panny. Zerwała się z krzesła i pochyliwszy nieco, wystawiła wprost moich piersi biały i cienki paluszek. Żolka, Finusia i Dianka widząc tę zaczepną pozycję swej pani, rzuciły się ku mnie z głośnem ujadaniem. Pafcia przez sen warczeć zaczęła.

— Otóż to właśnie! — zawołała panna Pullewiczówna triumfującym głosem sędziego, któremu się uda wydożyć z ust winowajcy wyznanie.

— Otóż to właśnie! W takim położeniu! Zastrzegam, że to własne twoje słowa. Ja sama nigdybym. . . . Precz żolka! Leżeć Finusiu! . . . ale kiedy mnie do tego doprowadziłeś. . . . Ciszej Dianka! . . . to ci raz muszę oczy otworzyć! Cóż to mój kochany, czy masz mnie za dziecko? Czy sądzisz, że nie wiem, co wynika "z takiego położenia", w jakim się twoja żona znajduje. O mój kochany! Nie jestem tak naiwną. Wiedz, że już blisko od dziesięciu lat wierzyć przestałam w te wasze bociany . . . ciszej Dianka! i we wszystkie inne kłamstwa! I dlatego to postanowiłam sobie tylko takich lokatorów do domu mojego przyjmować, którzy nie mieli, nie mają i nie będą mieli dzieci. . . . To jest kontraktami zawarowane. . . . O tak mój drogi. . . . Wiem, wszystko wiem! Od dziesięciu lat już wiem! . . .

Mówiła to szybko, wzruszonym i przyciszonym głosem, po którym przebiegało lekkie drżenie, a ciemny karmin zaszedł jej aż pod skronie.

— Od dziesięciu lat! Aż tak dawno! Cha! cha! cha! cha! Ależ cioteczko! Na miłosierdzie boskie nie wytrzymam. . . . Cha! cha! cha! A toćże moja Anulka. . . .

— Tylko ty bądź cicho! Proszę cię, bądź cicho! — mówiła stara panna gorączkowo — bo znów gotów jesteś głupstwo jakie powiedzieć.

— Ależ cioteczko! — perswadowałem, poskromiwszy się nieco. — Teraz w bociany nie wierzą nawet pensjonarki. . . .

— Już ty mi tylko nie mów nic, nic nie tłumacz — broniła się panna Konstancja. — Uszy mi wędną od twojego gadania!

— Wędną? Ależ przeciwnie! Ja widzę, że się one prześlicznie rumienia. Ot to lewe naprzykład. Istny koralik! Aż mnie kusi, żeby w nie coś poszeptać. . . .

Stara panna cofnęła się krokiem i obie ręce podniosła do uszu, jakby broniąc mi do nich przystępu. Brwi miała gniewnie ściągnięte, usta rozchylone i drżące, oczy jej ciskały błyskawice. Była prawie piękną w tej chwili.

— Na Boga! — zawołała — dosyć już tego! Nie nadużywaj swego położenia! Pamiętaj, że jesteś w mieszkaniu. . . .

Urwała i zwróciwszy wzrok ku drzwiom zdawała się nasłuchiwać czegoś. Istotnie w przedpokoju zrobił się jakiś zamęt, ktoś chodził, wracał, przebiegał — otwierano drzwi do sieni, skąd dolatywały zmieszane kobiece głosy i jakby miauczenie kota. Finka i Żółka czekały krótko i nastawiwszy uszy, podbiegły do progu. Dianka wlaższy pod kanapę, gwałtownie ujadać zaczęła.

Nie zdołałem się jeszcze zorientować, skąd mi przychodzi taka niespodziewana dywersja, kiedy do saloniku wpadła zdyszana Wojciechowa.

— Proszę pani . . . proszę pani! — mówiła chwytając głośno oddech, który jej wzruszenie odjęło.

— Proszę pani. . . .

Zapasała się kobiecina, więc ku piersiom podniosła rękę i po chwili dopiero buchnęła, jak z pod szpuntu:

— Podrzucili nam . . .

— Co? Co podrzucili? — zawołała stara panna z największym przerażeniem w głosie. . . .

— A cóżby? — krzyknęła Wojciechowa. — Adyć dziecko.

— Dziecko? Jezus, Maria, Józefie święty! — krzyk-

nęła panna Konstancja i chwyciwszy się za głowę, stanęła jak skamieniała.

W salce zrobiła się cisza. Wojciechowa stała u progu z otwartą gębą, dysząc głośno. Co do mnie, skubałem brodę, nie śmiejąc się ruszyć.

— Matko przenajświętsza! Matko przenajświętsza — szepnęła stara panna drżącymi wargami. Ośmieliła się wreszcie otworzyć przymknięte oczy i spojrzeć na Wojciechową.

— Czy tylko jesteście pewni, że to dziecko?

— A cóż to, proszę pani! — rzuciła się baba — ślepam, czy co. Dzieciaka nie znam? Chwalić Boga, swoich własnych miałam. . . .

— Już dobrze, już dobrze, już bądźcie cicho! — wołała stara panna ręce do uszu podnosząc. — O Boże miłosierny! Więc kiedy to jest dziecko, to weźcie je, weźcie natychmiast i odnieście matce. . . .

— Acha! . . . matce tam! — odparła Wojciechowa, ruszywszy ramionami — taka matka będzie ta akurat czekała, aż jej kto dzieciaka odniesie. . . .

— O ja nieszczęśliwa! — jęknęła stara panna. — No to je weźcie, połóżcie gdzieindziej, wynieście z domu, tylko aby niech tutaj nie będzie!

— Ależ cioteczko! — rzekłem, patrząc łagodnie w jej przerażone, latające jak jaskółki oczy. — Czyż podobna wyrzucić z domu dziecko, żeby zmarzło? Wszak to zimno, mróz! A może jeszcze głodne, nagie. . . .

Stara panna poczęła drzeć na całym cielem.

— Boże miłosierny, Boże miłosierny! — szeptała składając ręce jak do modlitwy. . . .

— No i jakże proszę pani. Mam go brać, czy nie brać? Tak piszczy, co strach. . . .

— Moja Wojciechowa — idźcie — stójcie — czekajcie! Boże, Boże zmiłuj się! Julek! Możebyś ty go zabrał?

— Ja? W Imię Ojca i Syna. Cóż znowu? Moja cioteczko! Mógłbym jeszcze wpaść w jakie niepotrzebne

suspicje u mojej żony. Ja nie mogę, w żaden sposób nie mogę. . . .

Tymczasem jakaś litościwa dusza stanęła we drzwiach w przedpokoju.

— A zróbcieź co Wojciechowa z tym dzieciakiem, kiedy wam go Pan Bóg dał! Przecie nie szczeniak, coby tak pod progiem leżało. . . . Chrzczone może. . . .

— Jezus, Maria, Jezus Maria! — wołała stara panna biegając po saloniku, jakby nieprzytomna. — Co za skandal! Co za skandal! To już wszyscy w całej kamienicy o tem wiedzą! Ja tego nie przeżyję chyba!

Załamala ręce i stanęła patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

Żal mi jej się zrobiło serdecznie.

— Ale co za skandal znowu, cioteczko! Toć się to każdemu zdarzyć może! Niech się cioteczka uspokoi! Proszę, bardzo proszę! Dajcie no tego pasażera! — zwróciłem się do Wojciechowej, widząc, że się nikt na rezolucję zdobyć nie może. — Trzebaż go przynajmniej zobaczyć.

Wojciechowa wyszła, a po chwili przyniosła jakiś tobolek, z którego głębi wydobywało się ciche kwilenie.

— O, to już spore bobo! — rzekłem przypatrując się podrzutkowi, zawiniętemu w ubogie, lecz dość schludne chusty. — A jakie ładne! Cóż to, chłopiec czy dziewczyna?

— Julku! — krzyknęła ciotka, chwytając mnie za rękę. — Na miłość boską cię zaklinam, oszczędzaj mnie, proszę!

— Ależ dobrze, dobrze! — uspakajałem jej dziewiczy przestрах. — Przecież mi osobiście tak bardzo o to nie chodzi. . . .

— Chłopak, proszę pana, — odrzekła triumfalnie Wojciechowa — będzie już chyba miał ze dwadzieścia niedziel. Łepski dzieciak!

Podszedłem do starej panny, która odbiegła od nas tuląc się w kącie saloniku, z jakimś febrycznym drżeniem.

— Ale pójdźże cioteczko — rzekłem ujmując jej rękę. — Nie bójże się! Przypatrz się temu malcowi! Nie taki diabeł straszny, jak go malują. To wcale ładny dzieciak. . . .

— Mój Julku, o jedno cię proszę! — mówiła do mnie z pałającymi oczyma. — O jedno cię proszę: wyrażaj się skromniej! Dzieciak . . . dzieciak. . . . Czy nie mógłbyś tego nazwać inaczej?

Parsknąłem śmiechem.

— Inaczej? A to mi się podoba! Jakże ja to będę nazywał inaczej! Kartofel, czy jak u licha. . . .

— Ale! — pochwyciła Wojciechowa — kiej dzieciak, to dzieciak. Wiadome rzeczy. . . .

Stara panna zacisnęła usta i spuściła oczy.

— No, cioteczko, pójdź go zobaczyć. Zrób to dla mnie, proszę ciebie.

Opierała się, ale pociągnąłem ją za sobą.

Nogi trzęsły się pod nią, na twarz uderzyły rumieńce.

— O patrz tylko — mówiłem, nie puszczać jej ręki — jaki to śliczny chłopak! Jakie ma bystre oczęta! Uśmiecha się. . . . Dalibóg, że się uśmiecha. . . .

Stara panna stała nad dzieckiem, wstrzymując oddech i rozszerzając źrenice.

— Weź go cioteczko na ręce! — nalegałem. — Weź tylko na jedną chwilkę! Zobaczysz, jakie to miłe.

Panna Konstancja cofnęła się przestraszona.

— Nie! Nie! Nigdy! — krzyknęła, zasłaniając się obiema rękami.

— Hojda! Hojda! — przemawiała tymczasem pieśczeniście Wojciechowa, bujając w powietrzu chłopczykę, rozwiniętego z grubej, wełnianej chusty.

Dzieciak, któremu ten ruch widocznie sprawiał przyjemność, śmiał się głośno, łaskotliwie, rozczapierzywszy nóżki i rączyny.

Wyglądał on, jak wielki motyl na tle białych ścian saloniku, które dziwnie poweselały jakoś.

Stara panna wyciągnęła szyję i pochyliwszy się nieco,

przypatrywała się podrzutkowi ciekawie. Oddech jej był przyspieszony, w twarzy widniał jeszcze przestach, ale wplotwarte usta nabierały stopniowo niezwyklej słodyczy.

Tymczasem zadziwiona tak osobliwym widowiskiem Finka, żolka i Dianka, zaczęły ujadać na przeróżne głosy, obskakując Wojciechową dokoła.

— żolka precz! Finusia leżeć! Ciszej Dianka! — wołała panna Konstancja, odpędzając je na stronę.

Spojrzałem na nią z wdzięcznością. Brała go w obronę. . . . Postanowiłem kuć moje żelazo. . . .

— Dajcie mi chłopca, Wojciechowa! Pójdź-no tu obywatelu! — rzekłem, wyciągając ręce.

— Ale! Zaraz tam! — odparła baba. — Jeszcze mi go pan przełamie, albo co, i będzie.

To "mi" mówiła takim tonem, jakby go urodziła, wykarmiła, i jakby był szczególną jej własnością. Przyznam się, że mnie to rozgniewało.

— Co ma być? — rzekłem zirytowany. — Już wy się nie bójcie! Niech tylko on mi krzywdy jakiej nie zrobi, to i ja mu z pewnością nie! Dawajcież go, kiedy mówię. . . .

Wziąłem chłopca na ręce. Patrzył na mnie zdziwionym, poważnym wzrokiem, spadłego nagle cherubina. . . .

— Widzisz cioteczko, jaki ładny! — rzekłem, podchodząc z nim do panny Konstancji. — Jak się patrzy, jak się rozgląda! Mądry chłopak. A jaki duży! Weź go proszę, cioteczko! Nie bój się! Biedny, biedny sierotka. . . . — mówiłem, tuląc go w ramionach.

Na twarzy starej panny odbiła się wzruszająca walka. Rumieńce przelatywały po twarzy naprzemian z nagłą bladością, a opuszczone wzdłuż sukni ręce nadawały całej postaci wyraz niemocy i rezygnacji.

Pochyliłem się ku niej, a usta moje znalazły się tuż przy lewem uszku, które jeszcze nie zdążyło ostygnąć. Szeptalem w nie teraz naprawdę.

— Nie wyrzucisz go przecież cioteczko! Ocalisz tę

ludzką istotę, tego przyszłego człowieka. . . . Przytulisz go, zajmiesz się, wychowasz. Poznasz słodczyce macierzyństwa, zapelnisz pustkę życia. . . . Nie pożałujesz mu strawy, pieśszoty, uśmiechu. . . . W dziewictwie twojem matką będziesz. . . . Dopelnisz przeznaczenia swego. . . .

Pochyliła głowę na moje ramię i zasłoniwszy twarz ręką, cicho łkała. Żolka, Finusia i Pafcia nagle zbudzone, zawyły najprzerażliwszym głosem, a dziecię przelęknęło się i zaczęło płakać. Stara panna odsłoniła wtedy twarz od łez mokrą, ale dziwnie jasną.

— Wojciechowo — rzekła — zabierzcie sobie te psy do kuchni. Dziecko się ich lęka. . . .

Miałem ochotę paść przed nią na kolana.

— Weź je, weź, cioteczko! — nalegałem pełen otuchy. — Raz je tylko przytul do piersi, zobaczysz, jak to słodko!

— Kiedy się boję, Julku . . . — rzekła cichym głosem. — Ręce mi drżą. . . . Nie trzymałam nigdy dziecka. . . .

— No, to siądź cioteczko! Położę ci je na kolanach. . . .

Pozwoliła się zaprowadzić do jednego z wysokich przypominających konfesjonały fotelów i siadła. Zawinąłem dziecko w szal, na którym przed chwilą wylegiwała się Pafcia i położyłem je na kolanach starej panny.

Chciała je wziąć, ale nie umiała jakoś zabrać się do tego. Wojciechowa wruszała ramionami, nie ukrywając swego oburzenia.

— O! . . . Bo to zaś kto tak dzieciaka bierze? Adyć przecie tu, pod paszkę! Tak! A teraz drugą ręką . . . pod krzyzik. . . . Tak!

I układała delikatne ręce panny Konstancji, która uśmiechała się i rumieniała, jak róża.

— Niech będzie pochwalony! — odezwał się od progu nagle tubalny głos sąsiada, wielkiego wielbiciela panny Konstancji, który tylko jakoś z jej psami pogo-

dzić się nie mógł.

— A cóż to — mówił dalej rubasznie. — Przemienienie pańskie, czy skończenie świata? Ani Filunki, ani Pifusi (przekręcał zawsze ich nazwy) a pani moja z dzieciątkiem na łonie niby Madonna jaka. . . .

Uśmiechnęła się do niego, nie podając ręki, gdyż nie była pewną, czy bezpieczniej byłoby wysunąć tę “z pod paszki”, czy tę “z pod krzyzika”.

— Ejże — mówił dalej, zacierając ręce doktor — aż człowieka coś kusi, żeby przy tych jasełkach klęknąć, jak wół lub osioł z kolendy. . . . A skądże to pani moja takich śliczności dostała?

— Pan Bóg dał! — rzekła panna Konstancja słodkim, miękkim głosem.

Zacząłem się żegnać. Przychyliła mi czoła, na którym ze czcią złożyłem usta.

— A przywieź mi swoją Anulkę — szepnęła — i nie zabijaj się tam pracą, nie spiesz.... Niech już tam!...

W WINIARSKIM FORCIE

W Winiarskim Forcie

Ranek był świeży, wiosenny słoneczny.

W winiarskim forcie, w Poznaniu, piał grubym chrypliwym głosem wielki kałakucki kogut. Piew to był głuchy, jakby ze ściśniętej gardzieli idący, zakończony charczeniem dwóch kłócących się z sobą falsetowych tonów, urwanych na jakiejś niesfornej, czkawkę przypominającej nucie.

Sam kogut wszakże wiele o głosie swoim rozumieć musiał, gdyż po każdym zapianiu stawał jak wryty, i wysuwając coraz wyżej z barków grubą, włochatą obrosłą szyję, szybko, jak gdyby w podziwie obracał na wszystkie strony łeb ciężki, nakryty wielkim, aż na oczy spadającym pierzastym szyszakiem.

W zdumieniu swoim zapominał nawet na chwilę o rozgrzebywaniu śmietnika, stojąc tak na jednej z silnych, aż do ostrogi kępami pierza obrosłych nóg czarnych, podczas gdy druga wyciągnięta w tył ze skulonemi pazurami, zbierała się niezgrabnie do postawienia następnego kroku.

Nim go wszakże postawić zdążył, już ze wszystkich przedmieść pobliskich, z Waliszewa, z Nowej-Grobli, ze Środki — rozlegało się jasne, szerokie, donośne pianie zwykłych polskich kurów, to pojedynczo, to razem po dwóch, po trzech, jak tam którego chwyciła myśl dobra. Pomiędzy tymi wyrobionymi i w doskonałą muzyczną frazę zaokrąglonymi głosami słyhać było piskliwe, zupełnie jeszcze pozbawione szkoły wyrwasy młodych kogutków,

które zaraz wszakże zagłuszał jeden lub drugi wyborny solista.

Wielki kałakut słuchał, przechylał na obie strony obciążoną ogromnym czubem i nabrzmiałymi koralami głowę, sinawą błonką zakrywał na jedno mgnienie oka okrągłe, rubinowe źrenice, ale się zwyciężonym nie uznawał, i skoro tylko nieco po przedmieściach ucichło, bił po sobie ciężkimi lotami i zanosił się grubem chrapliwym pianiem.

Natychmiast czyste, metaliczne głosy jego adwersarzy uderzały w powietrze ze zdwojoną siłą. Czuć w nich było rozdrażnienie niezwykle.

Sąsiad z winiarskiego fortu świeżym był przybyszem; przedmiejskie koguty nie nawykły jeszcze do jego tubalnego głosu. Wiadomo było, iż uważają go wprost za szykanę.

Kałakut nie mniej czuł się podrażnionym. Nie umiał nawet zgoła wytłómaczyć sobie, dlaczego właściwie ksiądz Johann Wurst, pan jego, przeniósł się tu z Westfalii, z miasteczka, gdzie wszystkie koguty tak samo basem piał, i gdzie żaden kur nie robił skandalu jakimiś wykrzykami z za płota.

Było to wprost nie do pojęcia.

I znów się ciężkimi skrzydłami po żebrach tłukł i zanosił przeraźliwym pianiem.

— Szwabska — krew! — zaklął wachmistrz Dziezszak, czyszcząc odświętny mundur przy otwartem oknie. — Drze się, jakby kto barana rznął. Że też to choć i pianie, to insze katolickie, a insze znów szwabskie. . . .

Wachmistrz Dziezszak, chłop ogromny, a suchy jak chmielowa tyka, dawno już w wojsku służył, a z żołnierzy Polaków był w forcie najstarszym. Tutaj ostry jego wąs poszroniał, tu mu twarz zwiędła i wyschła, tu się w ptasi dziób zaostrzył nos jego kościsty, tu mu się nieco pochyliły bary, tutaj ociężyły nogi.

Ale chociaż tak dawno karabin pruski dźwigał, ze "szwabami" nigdy jakoś pogodzić się nie mógł.

Dwa też były u niego gatunki ludzi i rzeczy: "Szwabska — krew" i "Polska — krew". Wszystkie nawet wypadki życia swojego do tych dwu kategorii odnosił. Dwa razy był naprzykład "szwabska — krew" raniony: w szlezwiskiej i francuskiej wojnie; a raz mu ksiądz Cydzik, proboszcz dywizyjny, podarował "polska — krew", książkę od pacierza ze złoconemi brzegami i pięknym futerałem.

Jeden tylko odolanowski i kuźmiński atak kwietniowy wspominając, mieszał te obie kategorie tak, że sam już nie wiedział, gdzie tam w tej zawierusze była krew polska, a gdzie znowu szwabska, i dopiero kiedy w opowiadaniu do bicia słupów granicznych przez generała Willisena przychodziło — ostygął, prostował się, a rozłożywszy suche i długie ramiona, jak męka pańska na rozdrożu, milcząc stał i gestem pokazywał, że z jednej strony była wówczas "polska", a z drugiej "szwabska" krew.

Wąs mu wtedy szroniasty drżał nad niemą wargą, a zresztą żaden z willisenowskich słupów nie był bardziej nieruchomy i więcej milczący.

Co niedziela paradował Dzieszuk ze swoją książką od pacierza na mszy żołnierskiej, którą proboszcz dywizyjny wczesnym rankiem u Fary miewał.

Piękna to rzecz była widzieć, kiedy w długiej, pojezuickiej nawie parami się ustawiła wiara z winiarskiego fortu, mając za sobą, jak sztandar, krótko strzyżony łeb Dzieszuka, który wzrostem nad wszystkimi górował. Czasami łeb ten szronem pokryty zdawał się być tak wysoko, jakby nim Dzieszuk chciał dostać tych gwoździ, którymi przybite były nogi ukrzyżowanego w ołtarzu Chrystusa, i bić o nie czołem.

Patrzyli też w niego młodszy, jakby w tęczę, a niejednen co księdza nie dojrzał i dzwonka, nie pojął, ruchami owego łba Dzieszukowego w słuchaniu mszy się rządził.

Stał Dzieszuk, stali wszyscy, jakby w ciemność wrosli; klękał — klękali, niby las podcięty; bił się w piersi — głuchy łomot setek rąk, w kułak złożonych, rozlegał się, jak stłumione uderzenia młotem.

W jednym tylko nie mogli podkomendni naśladować wachmistrza swojego, a mianowicie w tym wspaniałym geście, jakim Dzieszuk książkę swoją z futerała wyciągał, złożone jej karty otwierał, a podniósłszy do wysokości uzbrojonego w okulary potężnego nosa, na całą długość ramiona wyciągniętą przed nim trzymał. Tego stanowczo nie mógł naśladować nikt, i na tym punkcie pozostał Dzieszuk niedościgłym wzorem.

Niemniej wszakże czuła się wiara dumną z posiadania wachmistrza, który ma tak piękną książkę, a co niedziela ścisk był koło Dzieszuka, bo każdy rad był choć futerał od niej podczas nabożeństwa trzymać.

Nie byle komu powierzał go Dzieszuk i nie w pierw w ręce dał, aż ostrym swoim wzrokiem na wylot kandydata do trzymania przebrawszy, uprzytomnił sobie jego całotygodniowe sprawki. Broń Boże "makuły" jakiej i "zatrząśnienia oczu", jak mawiał. Uważano też niemal owo trzymanie futerała za niższy jakby stopień służenia do mszy, a Dzieszukowe czytanie z książki, jakby za celebry.

Umiał wszelako Dzieszuk być wspaniałomyślnym, a kiedy wiara dobrze się sprawiała, to półgłosem modlitwy zwolna czytał, aby je najbliżsi słyszeć mogli. Pomdlały mu nieraz srodze od trzymania książki onej ręce; ale nie w pierw ją składał, aż ksiądz Cydzik, zrzuciwszy ornat po mszy, w albie tylko u ołtarza stawał, i obróciwszy na kościół twarz szczupłą, bladą i przezroczystą niemal, znakiem krzyża szeroko zakreślonym w powietrzu nad pochylonemi głowami żołnierzy, zaczynał naukę niedzielną: "W imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego".

Żegnał się wtedy Dzieszuk, żegnała za Dzieszukiem wiara, a po całej nawie szedł szmer jednostajny, aż ucichł gdzieś u drzwi, u kruchty.

Proste były nauki ks. Cydzika, ale i Dzieszukowi i podkomendnym jego niezwykle trafiały do serca. Cichy, delikatny głos mówcy przejmował serca te na wskroś, już dźwiękiem samym; tak, że ledwo ksiądz usta otworzył, już

się dawało słyszeć w szeregach powstrzymywane sapanie.

Dzieszuk i w tem przecież karność utrzymać potrafił. Jakże to? To jeden będzie sobie w wąsy dmuchał, a drugi nie będzie słyszał nauki przez niego? Jeszcze co! . . . Oglądał się tedy marszem, chrząkał, a sapanie wnet cichło po kątach.

Dopiero kiedy wachmistrz dobył czerwonej bawełnianej chustki i nos potężny nią utarł, a westchnął sobie z głębi, wolno było pofolgować wezbranemu sercu.

Wtedy to, jak na komendę, ucierała wiara nosy, a strzeliste westchnienia unosiły się, jak wiatr, aż pod wielki, kryształkami obwieszony świecznik, którego płomyki też zaczynały migotać i mrugać, jak oczy do płaczu gotowe.

Płakano wszakże przy większych tylko okazjach. Ot, kiedy na ten przykład, Dzieszuk z książki swojej za-grzmiał na mszy pasterskiej: "Bóg się rodzi, moc truchleje"; albo kiedy na wielkopiątkowej pasji ryknął wielkim głosem: "Jezu Chryste Panie miły, Baranku bardzo cierpliwy!" — lub kiedy wreszcie, podczas rezurekcji, jak z moździerza huknął: "Wesoły nam dziś dzień nastał!" Tę pieśń lubił szczególnie, a w miarę, jak ją śpiewał, głos jego młodniał i nabierał słodczy, tak, że przy słowach: "Witajże Jezu najśłodszy, Synaczkę mój najmilszy", podobny był gruchaniu gołębia, który lubo przytwardy już nieco na pieczeń, tokować przecież nie zapomniał jeszcze.

Słodycz ta pozostawała mu w głosie i w spojrzeniu na cały ten dzień, który raz na zawsze spędzał u kuma swego, strażnika trzeciej bramy w winiarskim forcie, Wojciecha Kociały, igrając z dziećmi jego i pożywając dar boży, iż to sam, sierota stary, domu swego i ogniska nie miał, odkąd syn jego jedyny, pod Odolanowem . . . szwabska krew! . . .

Nie kończył tego wachmistrz Dzieszuk nigdy; ale się przy tych słowach znów stawał podobny do willisenowskich słupów.

A ot i dziś, wielkiego dnia po wielkiej nocy i święconego jajka Bóg doczekać dał. Od wczoraj już fort cały pełen był zapachów gorącego ciasta i mięsiwa, które zagłuszała nieco czeremcha kwitnąca bujnie i rozgrzana słońcem kwietniowem.

Dzwony u Fary biją a biją, jakby pęknać miały, a Dzieszuk nie śpieszy się jakoś. A czego się spieszyć?

To nie ksiądz Cydzik będzie dzisiaj mszę żołnierską odprawiał. Złe jakieś szepty chodziły już od dawna po winiarskim forcie, ba, po mieście całym. Gadali ludzie, że nowy proboszcz przybywał z daleka; gadali, że nawet po polsku nie umie. . . .

Nie umie? Jakżeby to? Po jakimuż się tu z ludźmi dogada?

Tak sobie rozumował Dzieszuk, ale jakby mu mrówki po sercu lazły.

Ksiądz Cydzik od kilku dni nie wychodzi z domu. Powiadają, że chory. Może chory, a może i nie chory. Może to tylko polityka taka. Jak politykować nie ma, kiedy od piątku na cudzych jakby śmieciach siedzi, bo się już nowy proboszcz sprowadził z betami, z kurami, ot i z tym kałakutem przeklętym, a dziś pierwszą mszę żołnierską ma mieć. . . .

A no, da się to widzieć! Przestał mundur czyścić; wdział go na siebie i ruszył naprzód.

Wchodzi wiara, jak zawsze, dwójkami do Fary, a łeb Dzieszuka wyżej jeszcze niż zwykle nad wszystkimi sterczy.

Na prawo przed ołtarzem klęczy w ławeczce ksiądz Cydzik, w starej swojej, znoszonej sutannie. Obie ręce złożone na wytartym brewiarzu, na rękach oparte czoło; z boku tylko widać nieco twarz jego zmizerowaną i żółtą, jak wosk.

Zaruszał się wąs szroniasty nad wargą Dzieszuka, ale nic. A tuż zaraz i dzwonek brzęczy u drzwi zakrystii.

Wszedł nowy proboszcz — wspaniała osoba — i tubalnym głosem zaintonował "Asperges". Rozstąpiły się

dwójki na obie strony nawy, a celebrant ruszył środkiem, poprzedzony przez wylękłego i płaczącego nogami chłopaka z kubelkiem wody, w komeżce.

Niema co, wspaniała osoba! Gdzie tam do niego księdzu Cydzikowi! Czarna kędzierzawa głowa, twarz mięsiasta, rumiana, świecące oczy; ręce białe i tłuste, ruchy zamaszyste. A buty skrzypią, jak u pana komendanta; a z pod kapy widać nową błyszczącą sutannę. Kropidłem macha, jakby kij w ręku trzymał; po ludziach bystro pogląda, jakby ich od razu przeczuć chciał. Jaki taki oczy spuścić musiał.

Zaczęła się msza.

Ksiądz Cydzik nie podnosił głowy.

Zdawało się Dzieszukowi, że przez blade, cienkie palce klęczącego przesączyło się na brewiarz jakby kropel parę . . . i nagle coś przy sercu ścisnęło. Żeby sobie wybić próżne myśli z głowy, dobył książkę i modlić się z niej zaczął. Ale modlitwa mu nie szła. Szczególniej to go stropiło, że nowy organista, który razem z nowym proboszczem nastał, trele jakieś wywodzi, a zwykłych pieśni wcale nie zaczyna.

I msza odprawiała się jakoś dziwnie krótko, wężłowato. Nie było w niej tych długich modłów, tych cichych zachwyceń dawnego proboszcza. Od "Introit" do "Ewangelii" — jakby z bicza trzasł. Połowy, gdzie! ćwierci zwykłych modlitw swoich nie zdążył Dzieszuk odczytać, kiedy już ksiądz "Credo" śpiewał. Przed podniesieniem znów oczy od książki oderwać musiał wachmistrz, bo mu się zdało, że świece ciemniej się jakoś u ołtarza palą, i że chyba połowa pogasła. Ale nie. Paliły się wszystkie. Tylko czemu ten organista nie zaczyna pieśni?

Ta pieśń doroczna, ta pieśń nieśpiewana, tak mu wierciła w głowie, że padłszy na kolana przy podniesieniu, bił się w piersi jak na "Agnus", a za nim wiara grzmociła się tak samo, aż do ostatniego.

Ksiądz Cydzik klęczał nieporuszony. Zdawało się, iż to jest figura kamienna, której nadano twarz ludzką,

bardzo bladą.

Po "Podniesieniu" szronowaty łeb Dzieszuka obrócił się ku chórowi. Natychmiast wiara uczyniła toż samo. Na chórze wszakże nie odezwała się pieśń oczekiwana.

Dzieszuk zupełnie modlić się nie mógł. Trzymał wprawdzie książkę swoją na wysokości nosa, ale litery i wiersze migwały mu przed oczyma, jak czarne punkta i wężyki. Wydłużał i przyciągał ręce, ale to nie pomagało.

Westchnął nareszcie z uczuciem ulgi, kiedy ksiądz wysokim tonem zaśpiewał: "Ite missa est — Alleluja!"

Ano, kiedy "Alleluja", to już dobrze. Przynajmniej się wie, że to po polsku. Już chrząknął, już wydał piersi, już nogi dla pewniejszego dobytcia głosu rozstawił, kiedy nowy proboszcz, zrzuciwszy ornat, przed ołtarzem, w albie, z sutą u szyi wstęgą żółtą, do nauki stanął, i zakreślając szeroko w powietrzu nad zebranymi znak krzyża, donośnym odezwał się głosem:

"Im Namen des Vaters, des Sohnes, und des heiligen Geistes. — Amen!"

Dzieszuk, który już do czoła rękę był podniósł, spuścił ją, jak paraliżem tknięty.

Co to? Co to jest? Co to ma znaczyć?

— "Meine theuren Brüder!" — zaczął ksiądz swoją przemowę.

— Chryste! To naprawdę? . . . Chryste! Chryste! Chryste! . . .

Wypadła z głuchym łoskotem książka z rąk Dzieszuka, a ręce te, drżące i kościste ręce podnosiły się zwolna coraz wyżej ku krzyżowi.

Wiara patrzyła w niego, jak w obraz cudowny. A łeb Dzieszuka razem z rękoma podnosić się zdawał tuż, tuż do nóg Ukrzyżowanego. Jeszcze chwila, a dostanie on nóg tych rękoma, oplecie je, uściśnie, i włączyć się będzie u tych stóp przebitych, i nie puści, póki go tu zaraz nie przeżegna po polsku ksiądz Cydzik, póki Mateusz, stary organista, nie zagrmi: "Wesoły nam dziś dzień

nastał”.

Wesoły . . . Chryste! Chryste! Toż dzień sądu a nie dzień wesela. Chryste! to takie zmartwychwstanie Twoje? To nie zmartwychwstanie, ale męka! Męka, i krew, i żółć, i przebicie boku włócznią! . . . Słońce i gwiazdy się zaćmiły, ziemia się wstrzęsła, powstawali z grobu umarli! . . . Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? Boże, Boże! czemuś mnie opuścił? . . .

I ryknął stary Dzieszuk nagłym płaczem, i padł na kolana, i zapatrzony w Chrystusa ukrzyżowanego, wielkim głosem zaczął śpiewać:

“Któryś za nas cierpiał rany,
Jezu Chryste zmiłuj się nad nami!”

A za nim wiara tuż na kolana i w szloch, i w ono błaganie żałosne. . . .

Stropił się nowy proboszcz u ołtarza, pomylił, z drugiego końca zaczął, i znów się pomylił, ale nauki nie przerwał. Chłopaka tylko w komeżce w bok szturchnął, wskazując mu palcem Dzieszuka.

Chłopak podszedł do wachmistrza i trącił go w ramię. Nic. Trącił go tedy powtórnie. Ale Dzieszuk nie czuł tego nawet. Zdawało mu się, że słyszy wbijanie nowych słupów willisenowskich. . . . Wszakże on je pamięta dobrze. Od Noteci stały, od Krotoszyna, od Międzychodza, od Kępna, ale nie tu, nie tu, nie tu! Tu nie było ani jednego! On wie, że nie było, on przysiędz gotów!

I rozpostarł ręce, i twarzą na ziemię ległszy, rozkrzyżował się szeroko na kamiennych taflach, jakby broniąc przystępu tym słupom, które się same poruszały i coraz dalej szły, szły. . . .

Ksiądz Cydzik klęczał nieruchomy z pochyloną na ręce twarzą, a jego wątłą postacią wstrząsało wewnętrzne łkanie.

Dawno już się nauka skończyła, a ksiądz Johann Wurst przez zakrystię na plebanię wracał, kiedy Dzieszuk oderwał swój łeb siwy od kamiennych tafli podłogi, pod-

niósł się, zatoczył, i jak pijany ku drzwiom iść zaczął, zapomniawszy, po raz pierwszy, zabrać książkę swoją.

Przy drzwiach trącił go Kociała.

— Ej, co tam kumie! Dajcie spokój! Czekamy ze święconem jajkiem. . . .

— Kto święcił? — zapytał głuchym głosem Dzieszuk.

— A któżby? . . . Nowotny. . . .

— Pozywajcie z Panem Jezusem — odparł Dzieszuk i powlókł się na kwaterę.

Tu rzucił mundur, padł na tapczan, ukrył głowę w ręce, i długo widać było, jak się wstrząsa jego grzbiet kościsty.

Nad wieczorem rozbudził się, zjadł kawał czarnego żołnierskiego chleba, i zapaliwszy fajkę, zaczął chodzić po szczupłej stancyjce.

Chodził długo. Już w forcie winiarskim wszystkie światła zgasły, a jeszcze jego ciężkie kroki rozlegały się wśród cichej nocy.

Niebo tymczasem zaciągnęło się lekkimi chmurkami, a ciepły, rześny deszcz wiosenny uderzył z pluskiem grubych kropli w ziemię.

Zatrzepotał się wtedy na grzędzie olbrzymi kałakut i zapiał na tę zmianę swym grobowym głosem.

Dzieszuk drgnął i nagle stanął. Stał przez chwilę, potem zarzucił stary lejbik, czapkę nacisnął na uszy i wyszedł, przyciszając kroku.

Nazajutrz kucharka księdza Wursta podniosła okrutny lament. Ulubiony kałakut nowego proboszcza leżał wyciągnięty tuż pod żerdzią, która mu za grzędę służyła. Grube jego pierzem obrosłe nogi sterczały skulonemi pazurami wysoko do góry, szyja była skręcona, przy silnym dziobie nieco krwi zaschłej.

Była to zapewne "szwabska krew".

JÓZIK SROKACZ

Moim synom.

Siedzieliśmy właśnie przy stole.

Dzień był prześliczny, wrześniowy; mgły ranne wytarły się około południa w słoneczną pogodę, w której bladej, już jesień zapowiadającym błękitnie polatywały lekkie strzępki pajęczyny. Przez otwarte okna widać było nad drogą złote pyły wzbite przez pędzone do wody bydło, a w powietrzu, nasyconem jędrną wonią świeżo zoranej ziemi, rozległo się potężne porykiwanie buhaja. Było tak ciepło, że pszczoły na późne gryki rojem szły, a drobniuchne muszki wirowały słupem w każdym słonecznym promieniu. Z ogrodu, gdzie kilka kobiet zajętych było około warzywa, wpadały silne zapachy kopru i przywędłych liści; mały wiatr poruszał firanki, przynosząc z posieczyska wrzaskliwe gęganie żerujących gęsi i echa nawoływań pastuszych.

Wszystkie te odgłosy, przeciągłe i urwane, silne i echowe, roztapiały się w jednostajnym, miarowo wzbierającym i opadającym huku i zgrzycie puszczonej w ruch młockarni, na której odkrytym kieracie siedział Józik Srokacz, gwizdząc wesołym, ptasim niemal głosem.

Mimo dnia ciepłego, odziany był w kozuch, bo jak go od rana za chłodu włożył, tak mu się już potem i zrzucać nie chciało. Luzem go wszakże puścił, rzemień na nim rozpiąwszy i czapkę z daszkiem ze spotniałego czoła w tył, na gęstwinę ciemnych włosów zsunął. Z batem tylko, na cztery konie w lejc wyszykowanym, rady sobie jakoś dać

nie mógł i raz wraz go plątał, stosując długość sznurka do zaprzężonych po parze u długich dyszlów szkapiąt, którym słomiane okulary porobił, że nienawykłe były w kieracie chodzić. Uszykował nareszcie bat i potrzaskując nim z lekka, przerywał sobie od czasu do czasu gwizdanie już po to, aby jakąś przypomnianą zwrotkę zaśpiewać, już aby na ociągające się konie krzyknąć: Wio maluśkie! . . . wiśta! wio! . . .

Z otwartej na ścieżaj stodoły buchał gwar zmieszanych głosów. Dziewczęta podniecane gwizdaniem Sroka-cza, który jedynakiem u matki wdowy był i sześć morgów gruntu, teraz w dzierżawę oddanych odziedziczył, prześcigały się w robocie, śpiewaniu i żartach. Podwórze było tak blisko, że wszystko to można było widzieć i słyszeć przez otwarte okna jadalni.

Przy stole nie mniej było gwaro i wesoło. Pano-wie wrócili właśnie z polowania, każdy więc z nich miał w pogotowiu jakąś nadzwyczajną historię o swoim bezprzykładnem nieszczęściu, albo powodzeniu. Dwa piękne wyżły kręciły się koło stołu, kładąc swe lśniące łby na kolana myśliwych i patrząc na ich twarze swemi rozumne-mi oczami.

Właśnie się był rozognił spór o dobroć użytej do dzi-siejszych popisów broni. Dziwna rzecz. . . . Nie inte-resował on mnie w najmniejszej mierze, a jednak z zu-pełną dokładnością odbił się w mojej pamięci.

— Jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham! — wo-łał gruby szlachcic, który na punkcie zakłęb miał różne swoje oryginalności — jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham, tak fuzyjka pana Michała nicpotem! Na oko cacko, ani słowa, buzi dać, ale do ręki. . . .

Tu ścisnął ramiona, wysunął z pomiędzy nich głowę, wydał dolną wargę i tuż pod pachami rozłożył obie dłonie; miało to oznaczać zupełne zwątpienie o przymiotach fuzyji pana Michała.

— O ho! ho! . . . rozśmiał się tubalnie pan Michał.
— Już tylko sąsiad dobrodziej o mojej fuzyji nie gadaj! O

wszystkiem możesz sąsiad dobrodziej rozprawiać, nawet o polityce chińskiej i zaćmieniu księżyca, tylko nie o mojej Lefoszówce; na tem się trzeba znać, mości dobrodzieju!

— Znać! znać! . . . Cóż tam za straszna historia znać się na tem? Lefoszówka! Wielkie rzeczy? Ja z moją kozią nogą . . .

— Za pozwoleniem! — wtrącił się ktoś trzeci. — Pańska kozia noga dobra na . . .

— Na co dobra, to dobra! Jak w moim ręku, to na wszystko dobra. Rękę trzeba mieć i oko — ot co!

— Ale, co tam! — huczał poruszony do żywego pan Michał. — Sąsiad dobrodziej porządnej fuzji w ręku widać jeszcze nie miałeś. Moja Lefoszówka . . .

— Pfi! — odciął się przerywając gruby szlachcic. — Wielka parada Lefoszówka! Mój ekonom Lefoszówkę ma, a Biernacie i tak jeszcze nie targuje! Jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham, tak prawda!

Śmiech buchnął dokoła stołu, poczem zaczęto brać wniesioną potrawę, i to spór przerwał. .

W tej chwili płowy motyl przez okna wpadł i krążąc nad stołem, uderzał miękkimi skrzydłami w rżniętą, odbijając promień słoneczny karafkę.

— Omacnica! — przemówiło jedno z dzieci, wyciągając rękę, by go spłoszyć.

— Trupia główka! — odezwało się drugie.

Przy stole zrobiło się tak cicho, że wyraźnie słyhać było niezmiernie szybkie bicie skrzydeł motyla, na tle westchnień i sapań huczającej młockarni i Józikowego gwizdania. Naraz gwizdanie owo urwało się w półtaktu, a Józik krzyknął niecierpliwie.

— Prr! . . . Prrr! . . . A bodaj cię. . . .

Maszyna huczała dalej. Zdawało się, że wszystkie tryby jej kół jęczą i zgrzytają w jakimś niezmiernym bólu.

— Prrr! . . . A prrr! . . . ozwał się znowu, gniewny głos Józika. — A żeby was choroba. . . . A prrr! . . .

zawołał raz jeszcze przeciągle. Wyraźnie czuć było jakby jakiś przestрах w tem wołaniu.

Podniosłam ku oknu głowę, gdy wtem uderzył w powietrze krzyk ostry, urwany, krzyk śmiertelnej walki i trwogi.

— Reta! Reta! — wrzasnęły jednocześnie prawie zmieszane ludzkie głosy. Maszyna przestała huczeć, stanęła. . . . Zerwaliśmy się od stołu, jedni biegli do sieni, drudzy do okien, — myślano zrazu, że gore. . . . Od stodół biegła Ulina, z rękami wyciągniętymi przed sobą i okropnym wrzaskiem.

— O Jezu, Jezu, o Jezu! . . . O Jezu, Jezu! . . .

— Co to? Co się stało?

— Józik . . . O Jezu, Jezu! . . . Józik . . . Józiko-wi rękę urwało! . . .

Rzuciliśmy się w podwórze.

Podwórzem — nigdy nie zapomnę tego widoku, — podwórzem, jak wicher, leciał Józik, wprost na studnię, lejąc za sobą krwi strugę i rycząc nieludzkim głosem. Nim go zatrzymać zdołano, do studni dopadł, okręcił się, za piersi chwycił i runął w sam środek stojącej u poidła kałuży. Tu omdlał.

Długa chwila płynęła, zanim z kupy głów, nad kałużą schylonych, wynurzyło się trzech parobków, niosących Józika. Teraz można go było lepiej widzieć. Głowę miał zwieszoną, oczy zamknięte, wargi sine, szczęki przykro ściśnione, twarz śmiertelną prawie. Bez kożucha był i lejbik razem z koszulą miał zerwany z piersi przez połowę; u prawego, tuż przy karku, na prędcie chustkami przewiązanego ramienia, wisiały krwawe mięsa w długich strzępach. Drugą, zwisającą bezwładnie rękę, podtrzymał jeden z mężczyzn, za grupą tą idący. Spora gromada ludzi otaczała niosących Józika, a cicho było tak, jak za pogrzebem.

— W prawo! do oficyn! — zabrzmiała krótka komenda gospodarza — i znów cisza.

Jedna z dziewczuch zaszlochała głośniej.

— Baby precz! — odezwał się rozkaz, stłumionym wydany głosem — i uciszyło się znowu.

Weszli w sień niską ostrożnie przestępując próg wysoki i schylając głowy.

Przed studnią stała kałuża krwi, w której nagle, stu promieniami przejrzało się słońce; drugą taką piła chciwie ziemia z pod kierata, od którego mały chłopak pośpiesznie odpręgał konie.

Posyłano je z bryczką po felczera i doktora.

— A już to ja — mówił zgryziony gospodarz, wróciwszy z oficyn i cisnąwszy czapkę na stół — zawsze mam takie szczęście! Co sobie do tej fornalki chłopaka dobiore, to mi go jakieś лихо weźmie. Miałem Jędrka, ożenił się w grunt, miałem Szymka, do wojska poszedł. A już mi się też szykuje, jak żydowi rola!

— A ja powiem sąsiadowi — rzekł gruby szlachcic — że mi się to wszystko wyśniło. Śniła mi się dziś sól. A jak mi się tylko śni sól, regularnie, jak zapisał, wiadomości o czyjejs śmierci spodziewać się mogą. I to jeszcze nie była taka biała sól, niby warzonka, ale czarna, w bryłach, z ziemią. Oho — myślę sobie, jakem się obudził, pewno chłop jaki umrze. Jeszcze rachowałem, że może stary Bugaj, wie sąsiad, ten co z brzegu od Piotrycha siedzi, bo przychodził niedawno po proszki. . . . — Kiedy to nawet — powiadam sąsiadowi — jak mi klacz, wie sąsiad, Jochymka, ta dyszlowa, com nią w zeszłym roku jeździł, padła, to mi się także sól śniła; jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham, tak prawda!

— I jakimże się to stało sposobem? — zapytał jeden z mężczyzn, puszczając kłąb dymu z cygara, które w oficynie zapalił, bo mu się niedobrze na widok krwi zrobiło.

— A takim, że ten gałgan Jasiak spędził ją do piany, a potem . . .

— Ale ja się nie o klacz, tylko o tego chłopaka pytam!

— A cóż! — rzekł gospodarz, który stroskany w okno patrzył. — Najpierw mu się w tryby bat wplątał, a kiedy go wyciągał, chwyciło kozuch i rękę.

— I nie mógł zatrzymać koni?

— A nie mógł. Krzyczał, powiadają, ale to tam dość jak się raz obróci. . . .

Machnął ręką i westchnął. .

— Szczególny wypadek! — wtrącił gość pałacy.

— A ja powiadam sąsiadowi dobrodziejowi — mówił gruby szlachcic — że wszystkie te maszyny to diabła warte. Dawniej chłop cepem walił — i dobra. A teraz. . . .

— Ba! pańszczyzna była! Z pańszczyzną każdy był mądry. Najgłupszy szlachcic. . . .

— O ho, ho! . . . — przerwał grubas — byli i oni mądrzy! Póki była pańszczyzna, przy każdym chłopie ekonomy trzeba było stawiać. Niema pańszczyzny — płacić sobie każą jak urzędnicy w biurze. O ho! ho! . . . Mądry to naród!

— Ale to, powiadam sąsiadowi — przemówił znów gospodarz — trzeba na to wszystko mojego szczęścia. Akurat w przeszłym tygodniu nie było jednego dnia młocki, myślę więc sobie: każę kierat deskami obić. Zawsze to ostrożność nie zawadzi. Jużem miał trzyrublówkę w rękę i chciałem zawołać fornała, kiedy diabli nadali Brysia z Uniejowa, wie sąsiad, tego czarnego. Zagadałem się, bo żyd wracał z Łowicza i jak to sąsiad wie, przy gawędzie zupełnie mi wywietrzało z głowy. Teraz mię gryzie. . . .

Znów głowę odwrócił do okna i patrzył w niskie ciemne drzwi oficyn, przed którymi na żółtym, świeżo z rana usypanym piasku, widać było wielkie rude plamy.

— Iii . . . Co tam gryzie! — pocieszał gruby szlachcic. — Żeby tak człowiek wszystko do głowy dopuszczał, toby zwariować trzeba. Jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham, tak prawda! A gdzie sąsiad dobrodziej po deski chciałeś posłać? — zapytał po chwili jakby uderzony

nową jakąś myślą.

— Na Spendoskie. . . .

— No, to widzi sąsiad, że czyby sąsiad był posłał na Spendoskie, czy nie posłał, to byłby jeden skutek, bo na Spendoskiem całówek brakło, a za tamte szelma żyd zdiera po trzy trojaki za łokieć. Ktoby mu płacił! A toćby takie obicie kierata bająnskie sumy kosztowało! Toby nie trzy ruble, ale pięć rubli było mało!

— Ale naturalnie! — potwierdził pan z cygarem.

— Zresztą, czy deski były, czy nie były, jak mi się tylko sól śniła, to musiał być wypadek. Czy tu, czy u mnie w domu — musiał być! — To już sobie sąsiad dobrodziej wyperswaduj!

Gruby szlachcic uderzył ręką w stół, aż szyby brzękły.

Gospodarz wszakże nie wychodził ze swego frasobliwego zamyślenia.

— I jak to zawsze — rzekł po chwili — w drogę coś człowiekowi wleźć musi. Miałem akurat jutro do Kalisza jechać, bo mam tam w jednej sprawie termin na dwudziestego, a tu, masz diable kaftan! Licho wie. . . . Może trzeba będzie jeszcze do Łęczycy po drugiego doktora posłać. . . .

— O ho! ho! . . . — zawołał milczący dotąd pan Michał — po drugiego! Zaraz po drugiego! Może do Warszawy jeszcze sąsiad pošlesz po Kosińskiego! A cóż to ten z Uniejowa zły? To sąsiad myślisz dwóch doktorów do jednego chłopą sprowadzać?

Był tak oburzony i zirytowany, jakby owo sprowadzenie na własny jego koszt odbywać się miało.

— No — mówił, usprawiedliwiając się gospodarz — zawsze to przecie człowiek. Niech będzie jak chce, trzeba go ratować. Zawsze on już trzeci rok u mnie służy, pracuje. . . .

— Pracuje, bo mu sąsiad płacisz! Wielka parada, że chłop pracuje! Nie będzie pracował tu, to będzie pracował gdzieindziej. Cóż to on sąsiadowi darmo pracuje, czy co?

— Darmo, nie darmo. Aleć zawsze obowiązek jest. . . .

— No, to go też sąsiad spełniasz. Posłałeś po doktora, po felczera, na pościeli leży, na materacach. . . . Sąsiad może myślisz, że jak ozdrowieje, to ci będzie za dwóch robił? Szczególną wdzięczność okaże? Śmieje się sąsiad z tego! Jak ozdrowieje, to najpierw nie będzie nawet za jednego robił, bo choćby i poradził, to zawsze zmówi na to, że kaleka, a powtóre, jak się zdarzy okazja, to tak samo będzie jedną ręką kradł, jak dotąd kradł dwiema.

— Prawda! Jak Matkę Boską ukrzyżowaną kocham, tak prawda! — rozśmiał się gruby szlachcic z doskonałym zadowoleniem z powyższych uwag.

— No tak, widzi sąsiad — rzekł po chwili gospodarz — ale ten z Uniejowa młody, niedoświadczony, a w Łęczycy jest dobry operator; zawsze szkoda chłopaka. . . .

— Ale zmiłuj się sąsiad — przerwał zgryźliwie pan Michał — taka kuracja, to nie chi-chi! Sąsiad będziesz przynajmniej przez dwa dni fornalkę w rozgonie trzymać. A lekarstwa, a diety, a felczer jeszcze! To gruby kusz!

— Licho nadało! — rzekł gospodarz i cmoknąwszy niecierpliwie językiem, trzasnął w palce.

W tej chwili zaturkotało pod Murowańcem i psy karczarskie drogę oszczekiwać zaczęły. Doktor z Uniejowa przyjechał. Panowie wyszli przed dom, ruch się zrobił w oficynie.

Młody doktor kazał przede wszystkim usunąć gromadę bab, które się tam były w sieniach zebrały, cisnąc jedna przez drugą i lamentując głośno; obrzucił potem wzrokiem pokój.

— Łóżko wprost okna przesunąć — rzekł krótko. — Płótno jest, woda ciepła jest. To dobrze.

Zwrócił się do gospodarza.

— Będzie pan łaskaw kazać tu przyjść jakiemu roztropnemu i silnemu człowiekowi.

Zawołano karbowego. Wszedł we drzwiach zgarbio-

ny, a gdy się wyprostował, do niskiego pułapu prawie sięgnął głową. Był to najteższy chłop z całej dworskiej służby. Rudo zarastał i miał pozór pnia z gruba ociosanego. Zdawał się też nadzwyczaj silnym, przecież gdy spojrział na zbroczone krwią poduszki i leżącą wśród nich martwą niemal głowę Józka, szybko zaczął mrugać oczami i pociągać nosem.

— Chodźcie-no tu bliżej — rzekł doktor, dając mu miednicę z wodą. Chłop wziął ją w ręce i zaczął przestępować z nogi na nogę. Felczer przygotowywał gąbki i płótna, kaszląc i plując w dość niemiły sposób.

Doktor odwrócił się raz jeszcze.

— Panowie będą łaskawi wyjść — rzekł krótko do rozmawiających pod oknem gości. Spojrzeli po sobie, jeden i drugi wzruszył ramionami, pan palący cygaro uśmiechnął się sceptycznie.

— Jak wyjść, to wyjść . . . — rzekł gruby szlachcic i pierwszy posunął do drzwi: za nim drudzy. .

— Potrzebne z chłopem takie ceregiele! — przemówił pan z cygarem, kiedy już byli za drzwiami wyszli. .

W tej chwili doktor spojrział na mnie jakimś niezdecydowanym wzrokiem.

— Pani . . . — zaczął wahająco, — pani może zostać — dokończył niespodzianie.

Nie widział, że w kątku zostało także dziesięcioletnie dziecko, najstarszy syn domu.

Zaczął się opatrunek. Kiedy odwiązano chustkę, Józik jęknął raz tylko i omdlał. Cisza była taka, że słychać było brzęk muchy latającej po szybach w oknie. Doktor wydawał polecenia krótkie, monosylabowe.

— Nożyczki . . . płótno . . . gąbka . . . niżej . . . wyżej. . . .

Karbowy stał, jak mógł najdalej od łóżka, wyciągnawszy przed siebie ręce z miednicą pełną krwi, w całej ich długości.

Przymykał on od czasu do czasu oczy i odwracał głowę. Po niejakiiej chwili zbladł bardzo, a ręce trząść mu

się zaczęły.

— Wielmożny panie, — rzekł zmienionym głosem. — Niech kto bierze, bo padnę. . . .

Gospodarz obejrzał się, nie było nikogo. On sam podparł poduszki i trzeźwił rannego.

— Ja, tatku! — przemówiło wtedy proszącym głosem dziecko, a wysunąwszy się z kąta, podeszło do łóżka, śmiało ujmując w cienkie rączyny swoje ową krwawą misę. Na jego siły był to ciężar znaczny, chłopiec wszakże trzymał ją krzepko, wpatrzony w Józika szeroko otwartymi oczyma. Karbowy runął we drzwi, zataczając się, jak pijany.

W tej chwili chory znów jęknął i otworzył oczy. Otworzył, poruszył ustami i zdobywając się z widocznym trudem na przytomność, zatrzymał wzrok na dziecku.

Dziecko patrzyło także, szeroko, uparcie, jakby urzezione. Któż wie, co tam sobie powiedziały te dwa krzyżujące się spojrzenia, z których jedno miało wyraz wielkiego, poważnego zdziwienia, a drugie śmiertelnej męki.

— Józik, — zdawały się mówić oczy dziecka — Józik przez co ty umierasz? Dlaczego?

— Oj, paniczu — skarżył się gasnący wzrok Srokacza — oj pożałowali wy kilka łokci desek . . . oj niedużo, a pożałowali. . . . Przez to ja umieram . . . dlatego. . . .

— Józik! — mówiły znów coraz szerzej otwierające się oczy chłopca. — Józik! a gdzie twoja ręka?

— Oj, została się tam ręka moja, paniczu — odpowiadało spojrzenie Srokacza, — gdzie ja robił dla was . . . gdzie pracował dla was . . . dobra, chleba dla was dobywał. . . . Oj została się na piasku, cała krwią ciekąca. . . .

Powieki dziecka zaczęły drżeć lekko, głęboka zmarszczka wystąpiła mu na czoło i dwie wielkie, jasne łzy, padły w krwawą misę.

Ranny zamknął oczy, z głuchym, przeciągłym jękiem.

.

We dwa tygodnie potem Józik dogorywał.

Godzina była ranna, izba pełna bab, które dowiedziawszy się, że ksiądz z Panem Jezusem do Józika jedzie, przybiegły, jak która stała, z dziećmi na ręku, porzuciwszy garnki i miski w kominie, a teraz zbite w kupki, szeptały półgłosem pacierze, wzdychając i ucierając nosy.

Drzwi otwierały się i zamykały ciągle, ludzi przybywało coraz to więcej; każdy z wchodzących mówił w progę: "niech będzie pochwalony", a szmer zmieszanych głosów odpowiadał: "na wieki wieków." Tworzyło to jakąś dziwnie przejmującą litanie, która w krótkich przestankach na kilkadziesiąt głosów odmawianą była. Przestanki wypełniała rozmowa. Świeżo przybyli dopytywali się o chorego, ci, którzy przyszli dawniej, gadali o potocznych sprawach, wzdychając wszakże od czasu do czasu, lub kiwając głową. Ani wzdychać, ani gadać, nie bronił już im teraz przy Józiku nikt. . . . I tak go wkrótce miała ogarnąć cisza wiekuista. Ci, co nie zdążyli przyjść na czas, kiedy ksiądz oleje święte na Józika kładł, i nie widzieli jak matka jego, rzuciwszy się na ziemię, głową o podłogę tłukła, krzycząc i zawodząc, pocieszali się tem, że zobaczą przynajmniej, kiedy chłopak konać zacznie. Coraz też która z bab wspinała się na palce i przez głowy kumoszek ku łóżku patrzyła. Na łóżku leżał Józik z zamkniętymi oczyma, których pociemniałe i zapadłe powieki tworzyły wśród woskowo-żółtej twarzy dwie sinawe plamy. Gęstwa ciemnych, odrzuconych od zakłęsłych skroni włosów odkrywała pożółkłe, przerżnięte parą poprzecznymi zmarszczkami czoło, około ust spalonych gorączką widne były głębokie, bolesne bruzdy. Po zaostrzonych rysach twarzy ślizgał się i chwiał żółty odblask zapalanej w głowach łóżka gromnicy, a jedyna, bezkrwista prawie i wyschła ręka leżała na piersiach poruszanych rzadkim, głębokim, kończącą się już pracę płuc zapowiadającym oddechem. Noc spędził dziś Józik bardzo niespokojnie. Zrywał się, wołał na konie, chciał

iść do matki po czystą koszulę, i narzekał, że musi rznąć sieczkę, a jego ręka boli, oj boli . . . ta prawa.

Skaleczył się w nią wczoraj . . . nie, łońskiego lata, kiedy paniczowi biczyśko strugał. . . . Z osiki go strugał, z żalosego drzewa, co choć drzewo, a zatrzęsło się w sobie, kiedy Pan Jezus konał. . . . Oj konanie! konanie, ciężkie bojowanie! . . . Jak zastrugał gałąź, polała się z niej krew . . . na kozuch się polała, na lejbi, na koszulę . . . cała kałuża krwi. . . . O jak ta ręka boli! O jak cięży! O! . . .

Z jękiem upadał na poduszki, a po chwili znów się zrywał i majaczył. Była to bardzo ciężka, prawdziwie męczeńska noc. Nad ranem dopiero ochłodziła mu głowa, zażądał pić i zasnął. Spał może ze trzy godziny, a po przebudzeniu patrzył przytomnie i zdawał się namyślać nad czemś. Westchnął potem kilka razy głęboko, a spostrzegłszy małego, kręcącego się po izbie chłopaka, rzekł:

— A skocz ino Jędre, do Pana, coby po urząd do kancelarii posłał; będę testamenta pisać. . . .

A widząc, że chłopak gębę otworzył i w głowę się drapie:

— A biegajże duchem, — dodał — bo ja dziś umierać będę.

— Jezu! — wrzasnął chłopak jak oparzony i we drzwi się rzucił.

Józik patrzył za nim, a gdy się drzwi zamknęły rzekł:

— Już ja to sobie wszystko dawno umyślił, zara wtedy, jak mi rękę dochtory ucieni.

— I cóż tobie po testamencie, Józik? — rzekłam — matkę przecie masz. . . .

— Matka nie wieczna, a jabym spokojnego skonania nie miał. . . .

Nie chciałam go drażnić i zamilkłam.

Przytomny był, ale niespokojny bardzo; coraz częściej poglądał w okno.

— Żeby aby prędzej! Żeby aby prędzej! — powtarzał z wzmagającą się niecierpliwością w głosie.

Wszedł wreszcie gospodarz domu, a jednocześnie zaturkotała bryczka; "urząd" przybywał.

Śmiertelna twarz Józika ożyła jakby. Na pozdrowienie wójta wyraźnie odpowiedział: "na wieki", a potem uspokojonemi oczyma za pisarzem wodził, podczas gdy ten stolik sobie i papier szykował. Kiedy wreszcie wszystko było gotowe, na poduszki dźwignąć się kazał i pełnym, jasnym głosem rzekł:

— Ja będę powiadał co i jak, a pan pisarz niech wszystko akuratnie spisuje!

Zrobiła się wielka cisza.

— W imię Ojca, — zaczął, lecz urwał i jęknął; nie miał już prawej ręki, którąby się mógł przeżegnać.

Głowa mu opadła w tył, oczy się zamknęły, myśleliśmy, że kona; wzmógł się jednak i tak mówił dalej:

— Niech pan pisarz fort wszystko spisuje!

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! amen. Ja, Józef Srokacz, po przyzwisku Kobylak, bo są insze Srokacze w Pietrowie, a znów insze w Bronówku . . . ale te z drugiego rodu są . . .

Zawahał się, widocznie nie bardzo wiedział, jak ma dalej mówić.

— Zdrowy na umyśle, — podpowiedział pisarz półgłosem.

— A juźci! — rzekł Józik, — zdrowy na zmysłach, ino, że przez jednej ręki, co mi ją Pan Jezus wziął . . . niech mu ta będzie cześć i chwała przenajświętsza!

Westchnął głęboko i tak dalej mówił:

— Gdy Pan Bóg miłosierny, w Trójcy świętej jedyny, woła mnie do chwały swojej przenajświętszej i do żywota wiecznego amen, nie ze starości i nie z choroby, ino ze złej godziny, którą na mnie dopuścić raczył, ja Józef Srokacz, mający po ojcu Jakóbie Srokaczu sześć morgów wielmożnemu panu i wielmożnej pani, u którego państwa wielmożnego trzy lata służywszy, krzywdy nie doznawszy, umieram z wdzięcznem sercem i wszelaką przychylnością. A iż mnie w ciężkiej godzinie opatrywa-

li, w dzień karmiący i pojący, niczego nie żałujący, bynajmniej się czem nie brzydzący. A upraszam pokornie, aby matka moja do wieku swego na gruncie tym dożyła w spokojności, a gdyby się to ubóstwo moje małe wielmożnym państwu zdało, aby to więc choć na panicza poszło. Pokornie to ochfiaruję, Bogu wszystkich oddaję i z Bogiem ostawiam, za wszystko dobro dziękujący, a o pochów proszący. Amen.

— Józik! Józik! Ty co? . . . ryknął płaczem gospodarz i na piersi mu się rzucił. . . Toż ty przezemnie umierasz, marnie ze świata schodzisz! Przez te głupie deski, co ich u kierata nie było! Józik! bój się Boga, bo mi serce pęknie! Nic nie chcę! nie przyjmę! Udławiłbym się chlebem z twego pola! Nic nie chcę! Pochów ci, jak rodzonemu synowi sprawię, Bożą mękę, krzyż w tem miejscu, w podwórzu, postawić dam! . . . Józik bój się Boga! . . .

Chwilę było słyhać tylko płacz ogromny.

— Oj, nie trza, panie, — przemówił wreszcie zmienionym głosem Józik — nie trza! Już tam była męka i krew była. . . . Już tam Pan Bóg miłosierny ręką swoją przenajświętszą krzyżyk dla mnie położył. . . . A jabym spokojnego sumienia nie miał. . . . Jabym. . . . Niech ino pan pisarz prędko papier wedle podpisu daje. . . .

Mówił coraz ciszej, z widocznym wysiłkiem; pot mu wystąpił na czoło, głos się rwał, w piersiach zaczęło chrypieć.

Wyciągnął jednak rękę po papier, a gdy mu ją podparto, trzy krzyże pod testamentem swoim postawił; nie przestał wszelako płonącemi oczyma za nim wodzić, póki go nie podpisali świadkowie i póki wójt nie przyłożył pieczęci.

Westchnął wtedy głęboko i śmiertelnie zmęczony osunął się na poduszki bezwładnie.

W trzy dni potem sprawiono mu "pochów".

MARYŠKA



Maryśka

Cięzka była tego roku zima.

Od trzech dni dął wicher z północy, jak chłop się z ludźmi mocując, jak wilk wyjąc, a śnieżycą tak miótł, że oczu na świat pokazać nie było można. Nim parobek ze stajni do kuchni przypadł, już wyglądał jak bałwan śnieżny; nim dziewczka wody ze studni nabrała, już wicher dziesięć razy okręcił koło niej spódnicę, szamocąc nią na wszystkie strony i furcząc jak chorągiewka. Kto nosa wytknął, cofał się co rychlej, bo dech w piersiach rwało, a w oczy jakby szkłem szło; psy nawet legły w kuchni pod ławą, wtuliwszy pod się ogony.

W kuchni u pułapu wisiały gęste, białe pary, idące z ogromnych żelaznych saganów, w których się gotowały kartofle, a od czasu do czasu buchał z ogniska kłęb dymu z iskrami, bo z komina okrutnie nazad miotło.

U progu topniała wążka smuga nawianego przez szpary śniegu, rozdeptywana w błotniste ślady na ubitej z gliny podłodze, a tuż zaraz stara Kubina, we dwa kruki zgięta, siekała w cebrze buraki dla świń, podnosząc i opuszczając siekacz, osadzony na wypolerowanym od jej drzących, starych, pomarszczonych dłoni, drążku.

Pod jednym oknem przędy dziewczki, których dziś do innej, pozadomowej roboty nie sposób było zająć, pod drugim stał długi, wążki stół, na którym na podsypce z otrąb w trzy rzędy ułożone były surowe jeszcze i rozrastające się dopiero bochny razowego chleba.

Pomiędzy bochnami temi zaraz z brzegu leżały dwa widocznie większe, wetknięciem palca w ciasto naznacza-

ne, a przy nich pomniejsza, czubato obtoczona kukiełka. Takie dwa większe bochny i taka czubata kukiełka występowały na stole przy każdym pieczeniu chleba coś już ze trzy lata, a nikomu do głowy nie przyszło sarkać na nierówną miarę. Każdy bowiem dobrze wiedział, że bochny owe robi Maryśka kucharka nie dla siebie, ale dla Antka fornala, a kukiełkę dla swego małego "Antosia", który miał także same, jak Antek farnal niebieskie oczy i takąż samą lnianą, jak on czuprynę, a wziął się na świecie ot tak, z dobrej woli, będzie temu cośi dwa lata. Tylko dziś, kiedy Maryśka oblepiony ciastem palec w bochny wtykała, trąciła Ulna Marcynę łokciem i obie się cicho, wzruszywszy ramionami, rozśmiały.

Tymczasem co i raz to wpadał do kuchni który z różnych sieczkę parobków, dla ogrzania się i chwycenia z parującego saganu kilku gorących, twardawych jeszcze kartofli, które przez chwilę z ręki w rękę, dmuchając, przerzucał, potem za pazuchę chował, a nacisnąwszy czapkę na uszy, zmykał przed wrzaskiem kucharki.

Raz nawet bardzo szeroko otworzyły się drzwi, a do kuchni wleciało trzech chłopaków od bydła, trzaskając w zgrabiałe ręce i krzycząc: "Hu! ... a hu! ... a hu!...", poczem stanęli u komina tupiąc chałaśliwie i bijąc nogą o nogę, a pociągając głośno czerwonymi, jak gile nosami.

Za każdym otwarciem drzwi wpadał przeraźliwy gwizd wichru razem z kłębem drobniutkich igiełek śnieżnych; przedzące dziewczki wołały wtedy: "Zamykać tam! zamykać!", a psy warczały i skomlały przez sen. Jedna tylko Maryśka dziwnie była obojętna na te wypadki kuchennego życia. Chłopakom, którzy cały komin zastąpili i nosy w sam żar prawie powtykali, nic nie rzekła, na parobków chwytających kartofle z saganów nie krzyknęła, tylko się po kuchni kręciła, dziesięć razy jedno w rękę biorąc i kładąc, jakby sama nie wiedziała co robi.

Sięgnęła do łyżnika, wzięła kopyść i w ogniu nią grzebać zaczęła, aż chłopaki gęby na nią porozdziawiały, jako wrony; sięgnęła po sól i sól rozsypała na zie-

mię; ogień ugasać zaczął, dREW nie dołożyła, a tak się jej nogi płały, że nim od stołu do komina doszła, to się trzy razy potknęła o małego "Jantosia", który za nią na bosaka dreptał, spódnicy się jej czepiając, ot tak, jak co dnia chadzał, w jednej koszulinie ze starego pacześnego podołka matki zrobionej i w chuścinie zawiązanej przez plecy i piersi, na opak, pod paszki. I jego wszakże Maryśka spostrzegać się nie zdawała, odsuwając tylko niekiedy od siebie szybkim, niecierpliwym, w zupełnem milczeniu dokonywanym ruchem, tak jak się odsuwa stojący na drodze stołek.

Tymczasem piec się upalił, żar niewygarnięty pokrył się delikatnym, siwym popiołkiem, a Marysia trzeci już raz do kąta po kociubę szła i trzeci raz, jak błędna, bez kociuby do komina wracała. Co drzwi skrzypną, to nią coś szarpie, odwraca głowę i patrzy. . . .

— Ten chlebaszek — odezwała się wreszcie Baśka jakoby sama do siebie — to się na nic rozrusza. . . .

A na to Marcyna.

— A bogać! przez łopatę polecą. . . .

— Maryśka! — głośniejszym głosem zawołała Franka. — Co ty? blekotu się objadła? A dyć ci przecie piec na nic wystygnie, a z chleba placki będą!

Ale Maryśka nie odezwała się ani w tę, ani w tę stronę, jakby to nie do niej.

Jak stanęła na pośrodku izby, tak stała, upatrując czegoś po kątach, ale po oczach jej znać było, że sama nie wie, za czem się ogląda; drepcący za nią Jantós darł się już od chwili: "mama jeść! mama jeść", nie zważała na to, a najpewniej nie słyszała go wcale.

Zmrok szybko zapadał, rytmiczny zgrzyt sieczkarni przycichał zwolna, studzienny żóraw zaskrzypiał raz i drugi, fornale wodę brali.

Wtem Witek, najmłodszy z trzech stojących u żaru pastuchów, odezwał się ciekim głosem:

— A kartofli na kolację to dziś będzie do cna mało, bo się aby w saganach gotują, a w żeleźniaku nic!

Za takie odezwanie się, wszelkim pojęciom o kuchennej karności przeciwne, byłby każdego innego dnia warząchwią przez łeb dostał: a dziś Maryśka popatrzała tylko na chłopaka, i jakby przypomniawszy coś sobie, koszyk z kartoflami wysunęła z kąta, żeleźniak ustawiła przy nim, stołek i skrobaczkę chwyciła, kiedy naraz wskroś słabnącego wycia wichury dało się słyszeć dalekie, stłumione bębnienie.

Wyprostowała się nagle jak struna, stołek i skrobaczkę puściła i z wyciągniętą ku oknu szyją stanęła jak skamieniała.

Jaskrawa, na wierzchu głowy związana chusteczka, zesunęła się z jej ciemnych włosów; śniada, szczupła twarz, po rembrandtowsku oświetlona z jednej strony pełnym blaskiem ogniska, a z drugiej w zmierzchu tonąca — wyrażała jakieś bezbrzeżne zdumienie, a piwne, złota-we, głęboko zapadłe oczy, z osłupieniem patrzyły w kłębiącą się poza oknem śnieżycę.

Co prawda, to już ludzie od kopania kartofli, ba, od grabienia siana gadali, że Antek o dziewczuchę Sekurów uderzyć myśli. Ale nie wierzyła temu, nie mogła uwierzyć. Zdawało jej się, że w ostatniej chwili coś się przeciwnego stanie i że on, jej Antek. . . .

Dech jej w piersiach zapało, otworzyła kilka razy usta, żeby zachwycić powietrza, w oczach jej cośi migotało, a nogi się pod nią trzęsły.

A kiedy tak stała w ubogiej swojej krótkiej spódnicy i w siwej lnianej koszuli, z rękami bezwładnie opadniętymi wzdłuż ciała, mimo zmroku można było poznać, że się blizkiego macierzyństwa spodziewa.

Furczenie wrzecion przycichło tymczasem, przędzące dziewczki, które też dosłyszały bębnienie, trąciły się łokciami, pokaszując i zagadując głośno.

— Marcyna! — odezwała się Baśka, szturchnąwszy obok siedzącą. — Co się pchasz? Nie możesz bokiem sieść, kiedy widzisz, że ciasno? Rozparła się, jak do rozplecin na dzieży! . . .

— A co? — odcięła się wesoło Marcyna — aboby to nie mieli co rozplatać? Nie mam to warkoczka, jak się patrzy?

— Ino się nie chwal! żeby i na ciebie co nie przyszło! . . .

— Co ta ma przyjść! Ja się tu nijakiego zaproszenia oczów nie boję! okazji sobie nijakiej nie daję!

— Juści że racja. Kto nie szuka, nie znajdzie. — Zachichotały i ucichły. Wrzeczona znów furczeć zaczęły.

Wtem między jednym poświstem wichru a drugim dało się słyszeć bliższe już i donioślejsze bębnienie. Wicher porywał głosy skrzypicy, ale bęben wyraźnie słychać było, jak się od Murowańca przybliża.

Dziewki powtykały nosy w kądziele i jakoby nic nie słysząc, przędły zapalczywie.

Wtem pies leżący pod ławą krótko warknął, a potem zawył głucho, przenikliwie. Maryśka zaczęła się trząść, jak w zimnicy. Bębnienie to stłumione nagłym zapędem wichury, to jasne i donośne, zbliżało się ciągle.

Nagle drzwi się otwały, a do kuchni razem z Jędrkiem fornałem wpadły piskliwe tony skrzypicy i grube basowanie Maćkowe.

— Hu! . . . — wrzasnął Jędrzek od progu — buchając jak komin parą. — Hu! . . . zimno!

Rznął czapkę o ławę i w boki się ujął.

— Dalej dziewczuchy! szykować nogi! Antek z wódką do Sekury wali. Hu! . . . ha! . . . Maryśka — zwrócił się do kucharki — dawaj duchem kolacją, bo mi się śpieszy! . . .

Ale Maryśka nagle się oburącz chwyciła za głowę i z głośnym płaczem jak stała, tak wypadła za drzwi. .

Wtedy Ulina podniosła się i westchnąwszy, rzekła:

— Oj, oj! źle głupiemu na świecie, kiej rozumu nie ma! — Poczem na komin drew przyłożyła i chwyciwszy sagan przez grubą ścierkę, poszła do miśnika odcedzić kartofle.

Z za węgła tymczasem słychać było wskrós wichru

ciężkie, bolesne zawrozenie Maryśki, a nieco dalej zbliżającą się do wsi kapełę.

Mały Jantoś, którego matka wybiegając pchnęła, jak siadł raptem na środku izby, tak i siedział becząc.

Nie minęło jednak trzy pacierze, kiedy Maryśka na powrót do kuchni, cała w ogniu, wpadła. Zęby miała ścięte, mokre włosy lepiły się jej do skroni, ręce dygotały jak w febrze, piersi wznosiły się i opadały ciężko.

Nie płakała jednak, ale wpadłszy jak burza, drzwiami za sobą huknęła tak, aż wszystkie łyżki w łyżniku i szyby w oknach szczęły, a chwyciwszy sagan z rąk Ulinie, soli do kartofli wsypała, trząsa niemi z wielkiej mocy i z całej siły pałąk je tłuc zaczęła. Tłukła i tłukła, na maść je utłukła, a jeszcze nie przestawała; kiedy zaś się obróciła do światła, zdawało się, że jej iskry z oczu szły, jako więc tej złej wilczycy, ruszonej w gnieździe.

Skończywszy z jednym saganem, chwyciła drugi i do miśnika, oparłszy go o łono, niosła. Nagle postawiła go w pośrodku drogi na ziemi, skoczyła od stołu i z owych naznaczonych bochnów po kawale ciasta urwawszy, świniom ciasto ono w pomyje z największą pasją rzuciła. Poczem odcedziwszy ów drugi sagan, z wielkim go pędem nazad do komina poniosła. Na drodze jej siedział beczący dzieciak.

— Umykaj! — wrzasła, idąc wprost na niego.

Ale dzieciak nie myślał się ruszać. Wtedy go nogą jak psiaka kopnęła tak, że aż w kąt pod stół zaleciał i robiwszy głowinę o dębowy krzyżulec, drzeć się w niebogłosy począł.

— Cichoj! cichoj, Jantoś! — odezwał się wtedy Jędrek, który przez cały ten czas złośliwemi oczyma za Maryską wodził. — Cichoj, cichoj, przyniosę ci z Antkowych zmówin kukielkę.

Zapaliła się jeszcze większym żarem na twarzy Maryśka, a chwyciwszy w ramiona chłopaka, zatrząsa nim w powietrzu krzycząc syczącym głosem:

— Będiesz ty cicho, bąku zatracony! . . . Będiesz ty cicho? . . .

Ale chłopak wrzasnął mocniej jeszcze.

Wtedy Maryśka, jak go trzymała, tak drzwi nim pchnęła, i wyleciawszy przed kuchnią, w sam środek wielkiej kupy śniegu, którą pod kasztan od progu, po nocnej zadymce, odmiotły chłopaki, rzuciła.

Brudne koszulątko aż mu głowę okryło, do góry się w tym impecie podniósłszy, a chłopak golutkiem ciałem po pachy w śnieg zapadł i jak się w płaczu niósł, tak aż zesiniał cały.

Maryśka pędem do kuchni wróciła, drzwiami trzasła i potrąciwszy trzy razy stół, plecami do dziewczuch siadła i z wielkim pośpiechem kartofle skrobać zaczęła, ciskając je w żeleźniak z taką złością, jakby go porozbijając chciała.

— Masz ty sumienie tak dzieciaka poniewierać? . . .
— odezwała się pochmurnie Ulina. — A cóż on ci, chudziątka winien, że żyje? Prosił ci się na świat, czy co?

Maryśka ni słowa nie rzekła, tylko silnie nosem pościagać zaczęła; naraz z pałających jej oczu posypały się gęste, drobne łzy, jak deszcz rzęśisty.

Po twarzy jej leciały, jak iskierki złote, jedna drugą potrącając, jedna za drugą goniąc, na pierś jej przywiędła, na siwą koszulę, słonością swoją usta jej przejmując. Łez tych Maryśka nie ocierała wszakże, tylko od czasu do czasu mrużąc oczy przed ich nawałnością i przełykując gorycz ich słoń, skrobane kartofle coraz szybciej do żeleźniaka rzucała. Chrypliwy, zanoszący się płacz dziecka, słabym tylko, przeze drzwi zamknięte dochodził odgłosem.

Wysoka, jasnowłosa Ulina parę razy poruszyła się niespokojnie.

— A biegaj no, Witek — odezwała się wreszcie — i przynieś dzieciaka, bo do cna "skargnie".

Witek nie śpieszył się. Stał bokiem do drzwi zwrócony, z podełba na Maryskę patrząc, a miarkując co bezpieczniej, iść, czy zostać.

— A rusz-że się! — nagliła Ulina.

— Co mu ta będzie! — z filozoficznym spokojem prze-

mówił Jędrrek. — Takie fornalskie dziecko, to jest “fajn” gatunek! takiego gatunku ani mróz nie zgryzie, ani ogień nie spali, ani woda nie zaleje. To jest kochany gatunek! Prawda Maryśka?

Zachichotały dziewczyny, a Maryśce łyzy się jak si-tem puściły na nowo.

Tymczasem weszło trzech jeszcze parobków.

— Maryśka! — zawołał od progu zaraz Jeronim. — A co ty? A toż twój chłopak po uszy w śniegu siedzi i już do cna zachrypiał! A biegajże duchem po niego!

Zerwała się nagle, stołek z rozmachem nogą pchnęła i sypiąc łzami, we drzwi jak wiatr uderzyła. Zaczem chwyciwszy chłopaka, do kuchni go wniosła i z równym impetem jak wpierw w kupę śniegu, na mocno rozgrzanej kuchennej blasze posadziła.

Zasyczało w koło chłopca koszulátko, gorącą parą odeszło, a dzieciak przeraźliwie wrzasnął.

Wtedy podniosła się jasnowłosa Ulina, fartuch swój pod dzieciaka podłożyła, na bok go odsunęła nieco, a sięgnąwszy na półkę po garnek, skórkę chleba odłamała i w rękę chłopakowi wsadziła. Poczem podeszła do stołu, owe uszkodzone bochny zarównała, żar z upalonego pieca wygarnęła i do sadzania chleba się zabrała. Czyniła zaś to wszystko z powolnymi, trochę ciężkimi ruchami, a nie przemówiwszy ani słowa, tylko parę razy na wesołego Jędrka wejrzawszy, który, gwizdząc przez zęby, oczyma za nią wodził i w takt oddalającemu się już teraz bębnowi przytupywał po ubitej z gliny podłodze.

Uspokoił się dzieciak i chciwie chleb gryźć począł, ale, że go nagle ciepło gorącym duchem obeszło i bardzo zmorzyło, więc jak siedział z oną skórką w piątce, tak się raz i drugi zakiwał, poczem zwiesiwszy konopiastą główkę na sterczącą z pod chustki brzuszynę, zasnął.

W kuchni tymczasem zmrok zapadł, a Jeronim sięgnął do żaru drewnikiem i lampkę rozpalil.

Maryśki jakby nie było.

Ulina z Bašką chleb wsadziły i czeluść założyły de-

ską; mała piegowata Franka stół wysunęła, miski ustawiła, żuru w nie ponalewała, ponakładała kartofli, parobcy sami sobie łyżki wzięli i zasiedli do kolacji.

Zaczęto jeść i gawędzić.

— Ale to tam — mówił Stach — siarczyste “zmony” będą, bo Antek aż dwa garnce wódki z Murowańca wziął i kwartę haraku.

— Nieprawda — odezwał się Józiek — bo wódki było garniec, trzy kwarty i pięć półkwatek, jako że na więcej szkła my nie mieli, i kwarta haraku. Sam z nim chodziłem.

— Nie kijem go, ino pałką . . . — rzekł Jeronim, poczem chwilę jedli w milczeniu, chłopci zwolna i z powagą, dziewczki jakby ukradkiem, a chłopaki jeden przez drugiego gęby sobie parzyli.

— Powiadali u Stasiaków — zagadała Franka — co Sekurzyna dwie gęsie na czerninę zabiła.

— Fiu . . . u-u-u! — gwizdnął Jędrak — to ci gala! Żeby ci tak choć łapę dali albo grdykę, tobyś miała co do ostatków obgryzować. . . .

— A bogać! — rozśmiała się Franka.

— Ano — przerwał z powagą Jeronim — trzy morgi gruntu na dziewczuchę idzie, to ta i zmony godne muszą być.

— Powiadała Kukulina — odezwała się Baśka — co Sekury dwie krowy za dziewczuchą dają.

— Abo to nie bogacze? — rzekł Stach.

— O Jezu, Jezu miłosierny! — stęknęła z kąta stara Kubina, która z małej miseczki na osóbkę jadła, jako że się nią parobcy brzydzili, bo była bolących oczu. Stęknęcie to, wydobyte z zapadłej, wyschłej piersi starej Kubiny, oznaczać miało uwielbienie dla bogactw Sekurów, którzy takie majątki za córką dawali.

— I i i i! . . . — pisnął cienkim głosem mały Wittek — takie to ta i krowy! Przecie je codzień na pastwiku widzę, to wiem. Jednąbym workiem zabił, a druga ze wszystkim jeszcze jałówka. . . .

— Zawsze rachować dwoje bydła — tłumaczył Stach.
 — Ale! — poparła go Marcyna.
 — Latoś jałówka, a na bezrok krowa — dodał sentencjonalnie Jeronim.

Umilkli. . . .

Wskróś jękliwego zawodzenia i zrywających się powiewów wichru, słyhać było donośny huk bębna, który taneczną, coraz wyraźniejszą nutę na troje drobił, z wielkiej mocy przybijając pierwsze uderzenie, a dwa drugie mimo, jakoby od niechcienia puszczając; już z samego tego bębnienia znać było, że zmowy będą nie byle jakie.

Parobcy zaczęli kręcić głowami.

— Musiał Łuka tęgo łapę wysmarować — zagadał jeden — kiedy tak skórę na bębnie z dobra woli psuje.

— A bo to nie! — przyświadczył inny. — Antek dziś od pana pięć rubli wziął. . . .

— Na takie zmowy to ta i pięć rubli nie wielka obrada. . . . Tera wódka, tera harak, tera muzyka. . . .

Tymczasem Maryśka, jakoby rozmów tych nie słysząc, nisko schylona nad żeleźniakiem, kartofle naskrobane płukała, bujnemi a drobnemi łzami mącąc wodę. Aż nagle, jak gdyby przypomniawszy coś sobie, żeleźniak na ziemi zostawiła, a sama jak stała, tak się pędem do stajen puściła. Jędretek wstał, wyjrzał za nią i rzekł:

— Oho, leci Maryśka prosto do Antkowej stajni. Pewnikiem po sukmanę. Ma chłop szczęście, że ją oblókł na siebie, a lejebik ino na kołku zostawił

Roześmieli się parobcy, dziewczki dyplomatycznie milczały; ano, niewiadomo, co jeszcze kogo spotkać kiedyś może. . . .

Maryśka istotnie poleciała do stajni po Antkową sukmanę; w kwadrans wszakże potem bez sukmany wróciła, niosąc w ręku parę świeżo podzielowanych, z wyczernionymi cholewami butów, które na skrzynkę swoją z wielką złością cisnąwszy, siadła przy nich i mocno płakać zaczęła.

Wicher tymczasem świszczał i jęczał, jakby zawodząc nad jej dolą, nad czarną, nad sierocą, a bęben huczał, a hu-

czał, zagłuszając nawet chwilami zawieję.

Jedzącym zrobiło się czegoś markotno; parobcy przycichli, dziewczki zaczęły wzdychać, słychać tylko było brzęk łyżek i chlipanie żuru. Wtem śpiący na kotlinie dzieciak mocniej sobą kiwnął, na bok się obalił i uderzywszy głową o porzucone na blasze drebka, zcicha, ochrypłym od niedawnego krzyku głosem piszczeć zaczął. Porwała się Maryśka ze skrzynki, chłopca w ramiona chwyciła, poczem całując i oblewając łzami, na łóżko go swoje poniosła, róg pierzyny odwinęła, dzieciaka pod nią wsadziła i załamawszy ręce, stanęła nad nim, kołysząc głową żałośnie. Nagle rozplotły się jej ręce, odwróciła głowę i nadśluchiwała przez chwilę huczącego tuż przed chatą Sekurów bębna.

— Maryśka! — przemówił do niej Jeronim. — A nie pójdziesz to jeść? Docna ci kartofle ogłąbieją. . . .

— Co jej ta już, chudziaszkowi, po kartoflach — zagadnęła jęklonie stara Kubina ze swojego kąta. — Jej ta kartofle, chudziaszkowi, nie w głowie. . . .

— Oj, Boże . . . Boże . . . — westchnęła wysoka Ulina, wstając z ławy i rzucając łyżkę swoją do miśnika.

Inne dziewczki też wzdychać zaczęły.

Maryśka nie odpowiedziała, ale jak gdyby nagłą uderzona myślą, chwyciła z pod łóżka worek i motykę, obwiązała się chustką i znów z kuchni pędem wybiegła. Wiatr tylko świsnął za nią, uderzywszy drzwiami o odzwieriek i zaraz nakryła ją śnieżycą, wśród której wyglądała jak drobny punkt czarny, coraz bardziej zagłębiający się w szaloną zadymkę.

— A wyjrzyj-no, Witek — przemówił Jeronim — gdzie Maryśka poleciała? Obwiesi się jeszcze dziewczka i będzie. . . .

Witek prysnął ze stołka, jak iskra. Za Witkiem podniósł się Jędrek, przeciągnął, rzemienia na kozuchu mało wiele rozpuścił, do skrzynki Maryścynowej podszedł, i wzięwszy w rękę owe Antkowe, przyniesione ze stajni buty, pilnie je oglądał.

— Ano — odezwał się po chwili — buty jak buty, wcale jeszcze niczego. Zelówka nowa — tu stuknął palcem w podeszwę — pięć złotych za nią Antek dał, przyszwycy całe, brat bratu, warte dziesięć złotych albo i więcej.

— Pokaż ino! — odezwał się drugi, i znów buty oglądać zaczął.

Kolejką to poszło. Oglądali parobcy, oglądały dziewczynki i wszyscy zgodzili się na to, że Maryśka może za one buty dostać choćby i całe dwa ruble. Prawa jej do zabrania Antkowi i do sprzedania ich, nikt nie zaprzeczał i nikt o niem nie wątpił. Musi przecie krzywdy swojej chociaż na tem patrzeć. Jędretek nawet swoje buciska słomą wypchane zdjął, i owe Antkowe wzuł, próbując czy dobre.

Wtem wpadł Witek, drzwiami huknął i kłęb pary z gęby puściwszy zawył, jak wilczak w kniei.

— Huuu! . . . A huuu! . . .

A tuż za nim śnieżycy słup i przeraźliwy świst wścieklej wichury.

— No i co? — zagadnął Jeronim.

— A to poleciała za stodołę — recytował cienkim głosem Witek — prościutko do Antkowych kartofli i rozwała kopczyk.

— Psssia! . . . — syknął trzasnąwszy w palec Jędretek, który już buty był zzuł i na skrzynkę je napowrót zaniósł.

— A to ci komedia! — rozśmiała się Marcyna.

Zawtórowała jej chichotem Baśka. Rzecz zaczynała być poważną, parobcy spochmurnieli. W twarzach ich widać było głęboki namysł: czy rozwalaniu Antkowego kopczyka zapobiedz, czy też dać pokój. Głowami kręcili, jeden na drugiego poglądał, a łyżki coraz wolniej zanurzały się w misce.

— No, no! — dawało się słyszeć od czasu do czasu — no, no!

Wreszcie podniósł się Jeronim, łyżkę na stół cisnął i machnąwszy ręką rzekł:

— A niech ta!

A gdy ku niemu podniosły się głowy parobków, tak mówił dalej:

— Zawszeć to ta łatwiej chłopu na trzech morgach i o dwojgu bydłat, choćby mu też i kartofle do sadzonki kupić przyszło, niż takiej ta mizerocie z dzieciakiem u spódnicy i z drugim za pasem. Co prawda, to nie grzech. Zawszeć to sierocka krzywda. Bierze Antek bogaczkę, niechże się i ta chudoba czemniebądź zasili.

Chwilę po tej przemowie trwało milczenie. Parobcy pootwierawszy gęby, ważyli sobie w myśli Jeronimowe słowa, jak tam którego było rozumienie, dziewczki znów wzdychać zaczęły. Jeden tylko Jędrak, który zawsze w opozycji stawał, przymrużył filuternie siwe oczy i rzekł:

— Jeronim rajcuje, bo sam za Górczyną, nie za dziewczuchami patrzy, a Górczyna, wiadome rzeczy, choćby i co, to kartofli nie weźmie, jeszcze prędzej sołtysowych dosypie. . . .

Splonął na twarzy czarniawy Jeronim, ale że chłop był nade wszystko roztropny, więc splunął tylko szeroko, a nacisnąwszy czapkę na uszy, zwolna z kuchni wyszedł.

Za nim wysunęli się inni.

Tymczasem Maryśka, do kopczyka Antkowego dopadłszy, zaczęła z niego śnieg motyką odgrzebywać, dobierając się mozolnie do zmarzniętej ziemi.

Ciężka to była praca. Zadyмка w same oczy miotła, mróz ciało przejmował i drętwił, wichura ledwo ustać na nogach dawała.

W powietrzu leżała ta ciemność biaława, do gęstej mgły podobna, która mniej jeszcze dojrzeć pozwala, niżeli noc czarna. Jak szerokie i dalekie pole, od Piotrowa, od Kobylnik, od Biernacic, porywały się z ziemi śnieżyste tumany i z wizgiem pędziły przed siebie. Trudno było oddychać, trudno oczy w tej zamieci otworzyć. Za sto- dołą nawet, gdzie kopczyk stał, miotło tak prawie, jak i na golaźni. Co jeden tuman przeleciał, to już drugi,

wyjąc, słup sypkiego śniegu kręcił; nie można było zgola pomiarkować, z której strony większy impet idzie, tak szeroko polem rwało, to umiatając je po górkach do czysta, to sypiąc śnieżną ławicą, a od boru taki trzask szedł i taki łomot straszny, jakby się tam wszystko het precz waliło.

Załawione oczy dziewczyny obeszły u rzęsów szronem, para przy nozdrzach jej marzła, pył śnieżny wichrem niesiony, dławił ją i dusił. Nie zważała na to, ale zarzuciwszy worek na głowę, z wielką siłą rozbijać zaczęła głęboko zamarzlą ziemię. Nogi jej dygotały, zgrabiałe ręce ledwo mogły utrzymać motykę, której głuchym uderzeniom odpowiadał z drugiego końca wsi huczący na znowach Antka z Sekurzanką bęben. Ten bęben dwoił jej siły. Póki go słyszać było, póty w ziemię biła z wielkiej mocy, gdy umilknął, podnosiła głowę, nasłuchując. Dyszała wtedy ciężko, na czole jej występowały głębokie, podłużne bruzdy, wążkie wargi zaciskały się bolesnym kurczem, a szczupła śniada twarz przybierała wyraz twardy i srogi. Czuła też wtedy Maryśka, że ją mróz ograża i za piersi chwyta, a śnieżycą po gołych nogach, jakby drobnym żwirem siecze, z okrutnym niosąc się zapędem.

Odwaliała nareszcie pierwszą bryłę zmarzniętej ziemi i poczuła jednocześnie, że jej krew z pod paznogi trysła. W tej samej wszakże chwili bęben zahuczał rażno, a dziewczyna, raz tylko jęknąwszy, z nową siłą motyką w kopiec uderzać zaczęła. Trzeba było otwór rozprześcić tak, aby w nim stanąć i obrócić się było można. Szło to jak z kamienia.

Nogi tak jej z zimna srogiego zdrętwiały, że musiała przysiąść na nich, aby odeszły cokolwiek.

Chwilami zdawało jej się, że kopie wielką mogiłę na siebie, na Antka, na Jantosia i na ono niewiniątko nieurodzone jeszcze. . . . Huk bębna wydawał jej się wtedy jako bicie dalekich dzwonów, a zapęd i jęki wichury jako organ w kościele grający. I nagle chwyciła ją

niewstrzymana żalność, a z oczu sypały się łyzy bujne i drobne, przemagając gorącością swoją owo straszne zimno, które je dopiero wówczas ścinało lodem, kiedy się już z jej pałającej twarzy stoczyły. Wprędce jednak wybuchwała w niej okrutna zawziętość a posępny ogień łyzy owe w oczach jej wysuszał.

Po godzinie takiej pracy, od której pot siedmioraki wystąpił i obmarzył na plecach jej i na czole, a motyka w rękach się zagrzała, wyniosła Maryśka z Antkowego kopczyka pierwszy worek kartofli, i we dwoje pod ciężarem jego zgięta, poszła je wysypać do małej komórki przy czeladniej kuchni, gdzie stara Kubina sypiała i gdzie stały magle. Wysypawszy w kącik, otarła zastygły pot z czoła i szcękając zębami pobiegła po drugi worek. Nie mogła naraz wziąć więcej jak pół korca, i to z wielkim trudem; półkorcze owo nagarniała w worki rękoma, w których coraz dotkliwszy ból czuła. Kiedy już worek był pełny, przyciągała go na brzeg jamy, siadała w śniegu poniżej i w ten sposób zadawała sobie brzemię owo na plecy; zanim się jednak podniosła pod tym ciężarem i stanęła na chwiejących się nogach, czuła jak jej w krzyżach coś trzeszczy i jak wszystkie kości w niej chrupocą. Czasem jęknęła krótko, czasem usta tylko do jęku otwarła, a nie wydała głosu.

Wicher za nią jęczał, wicher za nią po ziemi się targał i bił sobą o trzeszczące węgły stodoły. . . .

Zmordowany bębnieniem Łuka, kilka już razy dłużej odpoczywał, taneczna ochota wzbierała i opadała w chacie u Sekurów, a Maryśka z rosnącą zawziętością kartofle z Antkowego kopczyka nosiła.

W kopczyku było może dziesięć, może dwanaście korcy — dobra skrzynia. Wiedziała o tem, bo sama je Antkowi sypać w dołek pomagała. Zatrwożyło też to ją wielce, że przy dziesiątym coś worku krew jej się nosem rzuciła, a w oczach stanęły mroczki. Toż to była ledwo połowa roboty. Jak szła z workiem, tak pod górką przysiadła, i śniegiem krew tamowała, poczem podychawszy mało

wiele, zebrała się i dźwignęła. Ale już jej było nie sporo. Nogi w kolanach same się gięły, ręce w ramionach mdlały, z krzyża ku łądzwiom ból okrutny szedł, jakby ją kto na pół przetrzącił.

Z następnym workiem już dwa razy przysiądać i odpoczywać musiała. Ścięte jej zęby coraz częściej przepuszczały krótkie, urwane stęknięcie. Zimny pot przylepiał jej na skroniach włosy, w uszach szumiało, jak pod młyńskim kołem.

Zwietrzył ją pies od Stasiaków i z wielkiem ujadaniem za stodołę przyleciał. Pies był zły, i Maryśka zwykle go się bała. Teraz jednak, nic na ujadanie ono nie dbając, robiła swoje, a pies także nie wytrwał długo, i kilka razy okręciwszy się na onej strasznej zawiei, ogon pod się wziął i stuliwszy uszy, skomląc ku chałupie Stasiaka odbiegł.

Worek, który teraz Maryśka nagarnęła, wydał jej się nade wszystkie ciężki. Postawiła go tedy napowrót i usypała nieco kartofli, z pół ćwiartki może, poczem jęknąwszy dźwignęła i poszła. W pół drogi wszakże taką ją obeszła niemoc, że go postawić musiała, i za czuprynę chwyciwszy po śniegu do komórki przyciągnęła.

Wróciwszy do kopczyka, nasypała już tylko ćwiartkę może, ale i od tego zamroczyło ją tak, że się ledwo, motyką podpierając, do komórki dowlokła.

W tej chwili właśnie Stach, fernal, ze zmów Antkowych wcześniej do koni wracający, na całe gardło, podwórzem idąc, śpiewał:

. . . "A we—ż mnie Wo—jtek za zone,

Da ci — matu—sia pierzone.

Pierzone puchowe,

Sto złotych gotowe,

Malowaną skrzy—nię,

I śliczną dziewczy—nę! . . ."

Stała w progu Maryśka pod ciężarem swoim o odźwierek oparta, i chwilę słuchała, jakby nieprzytomna.

Zaczem cisnąwszy worek i motykę na sporą już kupkę usypanych przy maglach kartofli, rzuciła się na nią z załamaniem rękami i wielkim głosem ryknęła:

— Antek! . . . mój Antek! . . . mój Antek! . . .

W kilka miesięcy coś potem — Maryśka już dawno nie służyła we dworze — dowiedziałam się, że leży ona chora na tyfus u matki swojej, starej Jędrzejki, która na komornem w chałupie Stasiaków siedziała. Kiedym do izby weszła, usłyszałam płacz dziecka i stukot biegunów kolebki. Kolebka z paru deszczulek, nędznie sklecona, ustawioną była tuż przy łóżku, na którym leżała Maryśka. Na brzeżku kolebki siedział “Jantós” w równie brudnej jak dawniej, tylko nieco krótszej koszulinie, i odbijając się bosą piętą od ceglanej podłogi, kołysał dziecko, piszcząc monotonnym głosem:

— “Aaa—a! . . . Aaa—a! . . .”

W całej izbie znać było wielką biedę.

Maryśka odwróciła głowę od ściany.

Twarz miała zapadłą, oczy gorączką błyszczące, ciemne rumieńce na wychudzonych policzkach.

Patrzyła wzrokiem zmałym, ale była przytomną.

— I cóż ty, Marysia? Chorujesz? — zapytałam zbliżając się do łóżka.

Próbowała unieść się i przemówić, ale nie mogła; głowa jej opadła, usta poruszyły się bez głosu, po rozpalonej twarzy nagła bladość przeszła i dwie łyzy grube potoczyły się z pod spuszczonej rzesy.

— A toć! — odezwała się stara Jędrzejka. Docna wskórnia dziewczysko nie ma. Ona to niby i nie taka chora, ino że nijakiej w niej mocy. A skąd ma być moc! Abo to zje co godnego, albo i wypije? Kapkę ta tego mleka, co go od Stasiaczki uproszę i tyła! Abo to człowiek ma co czem, przy takiej chorobie począć? Miała poduszkę — sprzedała, worek ino tera pod głowę podtyka; wełny sobie na wełniak narządziła — też my ją sprzedać musieli, żeby choć na ten chlebaszek grosz był,

boć to człowiek gruntu nie ma, swego ziarnka nie uświadczy. . . . Mielimy dwie kury, poniosłam do karczmy, bo raili, co dobrze wódkę tłusto pić. . . . Człowiek by z pod ziemi ten grosz wykopał, żeby ino mógł. . . .

Podparła wyschlą ręką brodę i zaczęła wzdychać; z pod spuszczonej rzęsów Maryśki znów dwie wielkie, jasne łzy wybiegły i stoczyły się na jej pierś zapadłą.

Stojąc tuż przy chorej i słuchając wzdychania Jędrzejki, podniosłam oczy na ścianę.

Na ścianie, tuż nad łóżkiem, pomiędzy świętymi obrazami, tylko poniżej nieco wisiały na gwoździu nowo podzielowane z wyczernionemi cholewami, trochę tylko kurzem przysute — niesprzedane Antkowe buty.

LALKI MOICH DZIECI

Lalki Moich Dzieci

Lalki moich dzieci dzieliły się na dwie wielkie obozy: Framuzaków i Szkatulaków.

Pierwsi dlatego tak się nazywali, że miejscem ich zamieszkania była framuga w stołowym pokoju, a raczej szafka w murze, na której górnych półkach, stały półmiski i talerze; drudzy zaś dlatego, że zamieszkiwali dużą szkatułę pod piecem w pokoju szkolnym stojącą, niegdyś porucznikowski nesesor podróżny p. Wawrzyńca, ojczystego dziada moich dzieci, gdy ten pod jeneralem Romarino służył.

Fabrykacją lalek trudnili się przeważnie chłopcy. Dziewczyny nie umiały ani takiego twardego łąba z waty i gałganków uwinąć, ani tak wytrzymałego korpusu uformować, ani rąk i nóg, też z waty skręconych i obszytych płótnem, umocnić tak silnie we właściwym miejscu. Stąd też zapewne pochodziły te linie surowe, prostokątne, ta wzgarda dla wdzięku i miękkości kształtów, jaką się odznaczały te lalki, a także i to, że daleko więcej tak pomiędzy Framuzakami jak Szkatulakami było mężczyzn niżli kobiet. Z początku oba te obozy żyły razem na dolnej półce framugi, ale kiedy ich coraz więcej przybywać zaczęło, część przeniosła się do szkatuły, skutkiem czego z czasem nastąpiło rozdwojenie, ba, nieprzyjaźń jawna.

Przede wszystkim Szkatulaki zniewieścieli zupełnie. Wnętrze starego nesesera, wybite czerwonym, spłowiałym aksamitem i podzielone na różne przegródki, dawało pole do tworzenia coraz to nowych wymagań i zbytków. Tam, gdzie niegdyś stała wielka cukiernica, zrobiono salę

balową; na miejscu czajnika był stołowy pokój z kurytarzem; po herbatnicy zajął plac sam wódz Szkatulaków, a po ustroniach do likierów i rumów przeznaczonych, mieściły się buduary dam. Reszta towarzystwa zajmowała drugą kondygnację, która, jakkolwiek umieszczona pod pierwszą, w rodzaju dna podwójnego, niemniej nosiła ślady demoralizującego aksamitu. Framużaki tymczasem rośli w siłę i prawdziwie męskie prowadzili życie, śpiąc na gołej desce, i ledwo damom udzielając osobnego, w pudełku od cygar, schronienia.

Powierzchnością swoją różnili się także wybitnie jedni od drugich. Framużaki chodzili w suknie, z którego Tadzio szył im spodnie, kurtki i gunie na słołę. Wódz ich, ks. Józef Poniatowski, nosił frak mundurowy, przepasany szarfą z wspaniałym węzłem, tak, jak jenerała Ney'a rysują. Chlubą Framużaków były sztywne gorsy, wyrabiane z kart odwróconych na różową lub niebieską stronę, a uzbrojenie ich składało się z karabinów, robionych z smolnego łuczywa dla pospolitaków, tudzież ze szpad, przygotowywanych z obsadek do piór i z ołówkiem dla starszizny. Całkiem poślednia służba uzbrojenia nie miała, a także nosiła kurtki bez rękawów, ponieważ rękawy najwięcej do uszycia przedstawiały trudności.

Szkatulaki używali różnych tkanin i materii. Gemejny wprawdzie ubierali się ciemno, ale oficerów można było widzieć w kitajkach, muślinach, tiulach różnej barwy. Gorsów też, które Framużakom za puklerze w walce służyły, nie nosili wcale, tylko fontazie na szyi wiązane. Wodzem Szkatulaków był książę Manio. Nędza to była fizyczna, wyjątkowa nawet w tym obozie. Łebek maleńki, chwiejący się na obie strony, korpus wąty, nogi cienkie i ogromnie wydłużone, ręce ledwo się trzymające ramion. Ks. Manio nosił bareżowe czarne spodnie, oszyte u dołu frendzlą i koronkowy lub jedwabny fraczek. Był tak słaby, że prawie nikt go nigdy nie widział stojącym, i najczęściej się po buduarach damskich rozlegawał. Faktycznym też przywódcą Szkatulaków był Bohdarenko,

srogi, dziki, gruby, i jak mówiono — nadzwyczaj silny. Ten ubierał się z wschodnim przepychem. Najjaskrawsze kawałki materii szły na jego szerokie hajdawery, a nogi miał już raz na zawsze umalowane na żółto, co przedstawiało buty.

I Framużaki mieli swoich popularnych bohaterów, a najślawniejszymi z nich byli Czarniecki, Kościuszko i Chodkiewicz. Współczesność tych mężów z sobą, a także z Poniatowskim, nie raziła nikogo.

Damy Framużaków i Szkatulaków niewiele się pomiędzy sobą różniły. Ale o pierwszych było w ogóle daleko mniej mowy, podczas gdy drugie ciągle występowały na pierwszy plan w Szkatule. Największą zdaje się przyczyną tego był salon; zwłaszcza też od kiedy Staś fortepian do niego z kory wykroił, na dwóch patyczkach go obsadził, i klawisze ze skrawków papieru ponalepiał. Raz wraz wtedy balowano u Szkatulaków, a pojedynki, kochania, śluby — ciągle były w robocie.

Najgorzej wszakże działo się wówczas, kiedy przychodziło do bitwy. Damy Szkatulaków krzyczały, spazmowały, biegly za oficerami, niekiedy nawet całą kupą towarzyszyły księciu Maniowi, ciągnącemu na plac boju w pudełku wysłanem wata. Sprawiało to ogromne zamieszanie i wielu nieporządków bywało przyczyną.

Damy z Framugi zapewne nie były lepsze. Ale to niezawodna, że umiano sobie jakoś lepiej z nimi radzić. Był tam bowiem już z urzędu postanowiony "Juliusz, który bawi damy", i jak tylko zrobił się jaki alarm albo nastawała publiczna trwoga, a damy zaczynały swoje "ach", i "och", natychmiast wysyłano do nich Juliusza, który aż do przywrócenia spokoju siedział z nimi w pudełku od cygar, uspakajając je, bawiąc i ratując w mdłościach. Juliusz był to piękny, wysoki, nadzwyczaj składny młodzieniec, przedmiot skrytej zawiści Mania, który już raz nawet na niego z zasadzki przez opryszków godził.

Kiedy czasy były spokojne, tak Szkatulaki jak i Framużaki bawili się albo polowaniem w wielkim krzu bzo-

wym przed kuchnią rosnącym, albo wyprawami do Brazylji albo też manewrami floty.

Polowanie bywało nie byle jakie. Przede wszystkim w najciaśniejszych przesmykach między zawilemi gałęzmi i korzeniami krzu, zarosłego na głucho zielskiem wszelakiem, ustawiały się oba obozy, poczem chłopcy wyciągali z sieni borsuczą skórę, wlekli ją w kierz, rozpierali na kijach, i tak stawała się niedźwiedziem w mateczniku siedzącym. Teraz dopiero zaczynał się piekielny hałas. Ta-dzio trąbił pobudkę myśliwską na wyłamanej szyi z starego liwara, dziewczyny napędzały zwierza naganką, a stara ślepa ogarzyca Wolta, zerwawszy się z swego legowiska, obskakiwała krzak dokoła z takim ujadaniem, jak w najtęższej kniei. Wtedy rozlegały się zabójcze strzały z wyrobionych przez Pawła, porządkowego, rusznic, a niedźwiedź, lubo się twardo trzymał, przecież padał w końcu, na uciechę starej Wolty, która rzucała się na niego z jasnym, radosnym, z lat młodszych przypomnianem graniem.

Choć polowanie zazwyczaj kończyło się triumfem myśliwych, zawsze przecie ten i ów oberwał na niem coś z reszty, a i to się zdarzało, że Miśka na dobre jakiego Framużaka albo Szkatulaka spletała. Wtedy niesiono umarłego na marach pod kapliczkę w rogu ogrodu stojącą, a kapelan obozowy odprawiał uroczyste egzekwie. Każdy bowiem obóz miał swojego. Kapelan Szkatulaków, młody wikariusz, słynął z wymowy, a na kazania jego nawet damy z Framugi chodziły; Framużaków zaś "Kordecki" z żołnierskiego animuszu był głośny. Nabożeństwo jego kończyło się krótko. Stawał przed kapliczką, w białej komży, z wyciągniętą ręką, w którą mu kropidło włożono, podczas gdy Staś, za organistę służący, śpiewał.

I na tem się kończyła cała ceremonia. Krótko a dobitnie, prawdziwie po żołniersku.

Kapelan Framużaków był wielkim myśliwcem, ale i ksiądz wikary nie lubił za piecem siedzieć — owszem, w różnych imprezach brał udział. Pewnego razu tak go nawet poturbowano, że mu cały nowy korpus dorabiać by-

ło potrzeba. I wtedy to zrodziła się w Szkatule kwestia (dziewięć na dziesięć daje, że pierwsze podniosły ją "damy"), czy kreowany w ten sposób nowy obywatel żenić się może, czy nie może? . . .

Pamiętam, było to przy rannej kawie, spóźnionej nieco z powodu gości z miasta, kiedy zjawiała się przedemną delegacja z powyższem pytaniem. Zaczęliśmy je tedy roztrząsać z rozmaitych punktów, ale zdania były tak podzielone, że jednomyślności w żaden sposób osiągnąć nie było można. Wreszcie, po długiej naradzie, większością głosów rozstrzygnięto, że ponieważ w głowie to właśnie mieściła się świadomość poprzedniego stanu, a głowa pozostała, przeto nawet po dorobieniu innego do niej korpusu ksiądz wikary, jako nowy obywatel, żenić się nie może. Gdyby jednak stary korpus się znalazł i mógł zostać odrestaurowany, a nową do niego przyprawiono głowę, to i owszem, niech bierze wdowę albo pannę.

Ścisłe rzeczy biorąc, niewielka była pomiędzy nimi różnica. O ile bowiem mężczyźni tak u Framużaków jak i u Szkatulaków mieli swoją indywidualność, swoje imię, stanowisko a nieraz i wybitną charakterystykę, o tyle kobiety zawsze uważane i traktowane były zbiorowo. Mówiło się o nich "damy" — i tyle. A i to jeszcze zauważyć trzeba, że wszystkie chodziły w rannych godzinach na pensję, "do pani Rajmer", i z tego stadium pensjonarek nie wychodziły wtedy nawet, kiedy zostawały mężatkami. Pensjonat pani Rajmer znajdował się na pastewniku pod stogiem lucerny, a damy dosyć daleko przenoszone do niego być musiały. Jaki tam był kurs nauk, nigdy tego jakoś dociec nie mogłam, ale to wiem, że głównie uczyły się po francusku i że najbardziej zaawansowane umiały już mówić: "bon jour monsieur" oraz: "merci monsieur". Z tego "monsieur" widać, że głównie na użytek a raczej na zgubę spokoju oficerów francuszczyzna ta obróconą być miała. Wprawdzie damy z Framugi w czasie odwiedzin u dam ze Szkatuły, mówiły bardzo biegle innym jeszcze, jakimś podobno angielskim językiem, ale

go nigdy zrozumieć ani wymiarkować nie mogłam, tak wymowa ich była szybką i obfitą. Framużaki wzruszali na to ramionami. Był to naród dość prosty.

Wyprawy do Brazylii także były bardzo zajmujące. Oba obozy sadowiły się wtedy w głębi kuchennych, do góry nogami przewróconych stołków, i wyjeżdżały na kilka godzin z bronią i żywnością. Pociągową siłę stanowili chłopcy, tuż za wozami biegła, naszczekując, Wolta, a dalej podążały dziewczyny, niosąc różne pionierskie, z wielkim trudem nagromadzone narzędzia, jako to motykę, służącą Maryśce do podbierania kartofli dla czeladzi, siekacz używany do siekania chwastu i buraków dla trzody, po-grzebacz od poprawiania w piecu, a jak się dobrze udało, to i tasak.

Jakie tam w kuchni robiło się piekło, jaki był gwałt, kiedy najpotrzebniejszych rzeczy pod ręką brakło, tego się opisywać nie podejmuję.

Wyprawa szła przez ogród, przez łąkę, brzezinkę i aż prawie pod kolonią Pietrzycha zatrzymywała się w dolince, której dno stanowił gruby pokład jeziornego żwiru, a ściany — znacznie wyniesione i szeroko ciągnące się piaszczyste wzgórza. W dolince, nieraz na samym wierzchu można było znaleźć stare wytarte pieniądze; gliniane, malowane, podłóżne paciorki; różne skorupy, zęby i tym podobne skarby, z których powodu właśnie dzieci całej tej miejscowości nazwę Brazylii nadały. Zaraz po przybyciu wyprawy dzielono grunta, sypano kopce i rozpoczynały się poszukiwania. Tak Framużaki jak i Szkatulaki głównie szukali pieniędzy. . . . Wolta tymczasem zapełdziła się aż do pietrychowych kaczek, które z wielkim wrzaskiem i szumem zrywały się z Bugajowej kępy, trzepocąc hałaśliwie skrzydłami. Na to wypadały psy od Pietrzycha, dwa wielkie żółte brytany, i zaczynała się za-jałda walka, której echa aż po Grodzisk się niosły.

Naturalnie, że i polowania i wyprawy do Brazylii nie zawsze kończyły się zgodą; owszem, bardzo często dawały powód do groźnych między obozami zatargów. Nie po

każdym wszakże zatargu przychodziło zaraz do bitwy. Rozjątrzenie rosło wprawdzie, ale się powstrzymywano od jego objawów, aż zebrało się tyle wzajemnej goryczy, że jakiś błahy powód dawał hasło do najtragiczniejszych wydarzeń.

Pewnego razu, właśnie kiedy przewyciężając zadawioną niechęć, bankiet w Szkatule dla sąsiadów dać miało, z powodu, że któryś z ich gładyszów serce damy z Framugi posiadał, zobaczono nad stawem w ogrodzie kilka żab zabitych. Wnet ktoś z Framużaków odezwał się z przekąsem, że Szkatulaki żaby owe na pieczenie dla gości szykują. Naturalnie! Wszak oni wojsko swoje zgniłemi śledziami żywią, a groch dla niego z osypką mieszają. Co im to szkodzi? Byle księżę Manio bażanty jadał. . . .

Zawrzało wśród Szkatulaków po takiej zniewadze. Godzina nie minęła, a ze Szkatuły wywieszono czerwoną chorągiew, co wszędzie i zawsze znaczy wyzwanie do boju. Natychmiast na patyku w szparę ściany przed Framugą zatkniętym, ukazała się chorągiew czarna. Był to znak, że dzielny naród Framużaków nie tylko bój przyjmuje, ale go chce mieć na śmierć i na życie. Jakoż oba wojska zaczęły się zbierać do kupy. . . .

Można sobie wyobrazić zamieszanie, jakie powstało między damami, które już przygotowywały toalety balowe.

— Juliusz! Gdzie Juliusz? — rozległy się wołania. Ale Juliusz był nie do znalezienia.

Okazało się wreszcie, że się poszedł topić z rozpaczą, ponieważ dama, którą miał gładysz ze Szkatuły poślubić, była jego bohdanką. Naturalnie, że mu topienie się owe wyperswadowano, a sam księżę Poniatowski przysiągł, jako, póki on żyje, na małżeństwo żadnej z dam swoich z nikczemnymi Szkatulakami nie zezwoli, poczem udobruchanego Juliusza wsadzono między mdlejące i spazmujące w pudełku od cygar damy, żeby przynajmniej z tej strony był spokój.

W Szkatule za to działo się o wiele gorzej, a od

krzyków, jakie tam wyprawiały damy, rada wojenna po prostu traciła głowę.

Nareszcie uciszyło się wszystko około południa, a na pół drogi pomiędzy Szkatułą a Framugą wystąpiło czterech heroldów, po dwóch z każdej strony. Tu dopiero się rozpoczął homeryczny wstęp do walki. Heroldowie ci bowiem byli to najbardziej jęczyczni i najwprawniejsi w przeróżne drażniące zaczepki, przedstawiciele obydwu obozów. Zarzuty, przycinki, repliki, wymówki, posypały się gradem. Przypomniano sobie powody do uraz i sporów od dziada, pradziada. Jeszcze jeden nie skończył, już drugi zaczynał, ale słuszość przyznać każe, iż chociaż argumenty Framużaków zasadniejsze się być zdawały, celniej przecież niemi strzelali i wprawniej obracali językiem Szkatulaki, których Staś reprezentował. Co do wojsk obu, te stały w pogotowiu, wybrawszy sobie jak najkorzystniejsze pozycje na wielkim składanym stole.

Zderzyły się nareszcie obie armie z ogromnym impetem. Bohdarenko, łbem uderzając, jak tur, w kolumny nieprzyjaciela, bił wściekle, o reguły wojennej sztuki nie pytał, a Szkatulaków swoich zagrzewał dzikimi okrzyki. Czarniecki i Kościuszko sprawnie uderzali drobnymi, zawczasu przygotowanymi oddziałami, oszczędzając dzielnych swoich ludzi. Zajadłość z jednej strony a męstwo z drugiej były tak silne, że w pierwszej tej bitwie zwycięstwo zostało nierozstrzygniętem, a oba wojska cofnąć się musiały, ponieważ Papierkowski wołał, żeby nakrywać do stołu i nieść wazę, bo mu się pieczeń przypali. Książę Manio w tym ataku nie brał wcale udziału.

Po obiedzie nowem męstwem wezbrały serca wojowników, ale ponieważ sprzątanie talerzy i podanie czarnej kawy zbyt długą groziło zwłoką, przeto teatr walki przeniósł się do ogrodu nad staw, gdzie bitwa morska miała rozstrzygnąć o ostatecznem zwycięstwie.

Tak Framużaki jak i Szkatulaki od dawna utrzymywali tu swoje flotylle. Były to piękne, lekkie, z kory przez chłopców wyrobione statki, zaopatrzone w maszty, żagle,

liny i różnokolorowe bandery. Na banderach wypisane były nazwy statków.

Wnet Staś i Tadzio stanęli z łukami po obu stronach stawu, Janek chrapliwie trąbił na sławetnym liwarze, a w obu portach, "u przełazka" i "gęsiej łączki", zaczęto się szykować do wsiadania.

Najpierwsza wypłynęła "Dumka" Framużaków. Dowodził nią książę Józef. Za "Dumką" wysunął "Mohort", którym dowodził Czarniecki. Po "Mohorcie" wypłynęły razem "Sicz" i "Zuzula", komenderowane przez Kościuszkę i przez Chodkiewicza. Mieli jeszcze Framużaki łódź piątą, "Kanonadę", ale na niej puścili się sami młodzi ochotnicy, bez żadnego sławniejszego wodza.

Flota Szkatulaków składała się z siedmiu łodzi; nim jednak połowę ich odwiązali i puścili na wodę, już strzała Tadzia przewróciła najpiękniejszy ich statek "Marylę". Drugą ofiarą męźnych Framużaków była "Wiosna", łódź zwinna i zgrabna, zieloną wstążkę u masztu głównego mająca. Z prawej strony, tam gdzie książę Manio w orszaku dam, obłożony poduszkami siedział, dał się słyszeć okrzyk wściekłości. Był to głos Bohdarenki, który wypływał na trzecim z kolei "Hetmanie". Teraz dopiero zaczęto Framużaków prażyć. Pierwszy poszedł na dno "Mohort", a choć Czarniecki ocalony przesiadł się na "Kanonadę", którą właśnie wiatr do portu poniósł, i chociaż Framużaki ustrzelili "Rybkę", przecież nieszczęście uczepiło się ich widocznie. Łuk, z którego strzelał Tadzio, niósł sławnie; za to Staś, ze strony Szkatulaków walczący, krócej mierzył i zadawał szybsze ciosy. Wypływały dopiero "Warszawa" i "Zemsta" Szkatulaków, a już "Zuzula" straciła maszt i żagle. Kiedy po "Zuzuli" "Sicz" padła, a Chodkiewicz poległ, podniosły się rozpaczliwe lamenty z brzegu, na którym Juliusz uspakajał damy, a nawet ks. Kordecki wzniósł swoje kropidło.

Godzinę trwała zacięta walka, a zjadłość Szkatulaków była prawie tak wielką, jak ich bezprzykładne szczęście. Polegli męźni wodzowie Framugi, a flota jej

rozbitą została. Jedna tylko "Dumka", kołysząc się na fali, usiłowała walczyć ze swoim losem.

Księżę Józef, który stał na niej dotąd o maszt oparty i przepasany swą błękitną szarfą, wyglądał tak bohater-sko, iż zdawało się, że sam jeden uratuje honor swojej floty.

Ale wtem wiatr wprost na niego poniósł Bohdarenkę, a tuż zaraz padły dwa strzały, jak gromy. Runął maszt "Dumki," a pod nim padł nieszczęsny książę — i tak się zakończyła owa sławna bitwa zupełną zagładą dzielnych Framużaków. I ta ich bowiem garść, która była na brzegu, dobrowolnie rzuconą została do wody, aby nie żyć w hańbie. Juliusz tylko ocalał i damy. Tegoż samego dnia wszakże wszystkie przeniosły się do Szkatulaków.

Wkrótce potem, nie wiem już dla jakich przyczyn, i ci ostatni zmarnieli jakoś dziwnie. Rozproszyło się to, skapiało i zniewieściało do szczętu. Miesiąc nie przeszedł, a w Szkatule, w dawnej balowej sali, dogorywał książę Manio, bez jednej nogi, w swoim koronkowym fraku, a przy nim leżał sztukowany obywatel, któremu korpus i głowa w dwie przeciwne rozłaziły się strony.

ANUSIA

Szlachcianką była i miała brata księdzem.

To jej dawało pewne przywileje. Niewielkie, ale dawało. Przede wszystkim siadała do stołu; na szarym wprawdzie końcu i głównie dla utrzymania pomiędzy dziećmi rygoru, ale siadała. Powtóre, ojciec mówił jej: “panno Kowalska”, a kucharka i pokojówka “paniuńciu”; wreszcie stróż, Paweł, któremu dziecko trzymała do chrztu, całował ją w rękę.

O, jakże pamiętam te ręce! Szczupłe były, zwiędłe, spracowane, siecią sinawych żył nabiegłe, mające na dłoniach odciski od prasowania a na palcach ślady licznych zakłóć igłą, stwardnienia od naparstka i nożyczek. Dziś jeszcze widzę te biedne ciemne ręce, które mnie codzień myły, czesały, obuwały, zachowując zawsze jakiś układ skulony, jakby się już nigdy swobodnie rozprostować nie mogły. Lewą wszakże mniej znałam niż prawą.

Bywała ona bowiem zazwyczaj wsunięta głęboko w pończochę, podczas gdy druga wodziła delikatnie igłą, nawleczoną na bardzo długą i bardzo białą nitkę mięciuchnej bawełny. Na tej to ręce, na serdecznym palcu, świecił się cienki, wytarty, złoty pierścionek z turkusowem nadtłuszczonem z jednej strony serduszkiem, obok pustej oprawki, z której drugie takie samo serduszko wylecieć musiało. Pierścionczek zsuwał się po zeszczupłym palcu Anusi, zatrzymywał na zgiętym nieco od ciąglego szycia stawie, i znów opadał na dawne miejsce swoje, przy powolnym ruchu wyciągającej długą nitkę lub nabierającej drobne ścięgi ręki.

Siadywałam wtedy zwykle na małym stołeczku drewnianym przy nogach Anusi, biednych, szczupłych, płaskich nogach, w saczkowe, na przodzie sznurowane trzewiki obutych, które większą część dnia przedreptać musiały po pokojach, kuchni, spiżarni, albo przestać przy desce od prasowania. Jeśli zachowanie się moje było bez zarzutu, dostawałam od Anusi takąż igłę, z takąż samą nitką bawełny, którą natychmiast zaczynałam na sobie zszywać majtki z pończochami, albo spódniczkę z fartuszkciem. Mówiono wówczas, że mam wielkie zdolności do robót ręcznych.

Pod oknem w pokoju Anusi, który się garderobą nazywał, stał duży, czarno bejcowany stół, na którym zazwyczaj leżały stosy bielizny sporządzonej lub do sporządzenia przygotowanej. Stół ten miał szeroką szufladę, w której się mieściły prawdziwe skarby: kawałki muślinu, perkalu, tiulu, skrawki wstążek, materii, nitki kolorowego jedwabiu i splątane motki włóczek. Wszystko to razem nazywało się "gałganki", i było celem moich skrytych westchnień.

Lata zapewne składały się na utworzenie tego skarbu, który sześć razy na dzień bywał przewracany do góry nogami, ale zawsze dostarczał tego, czego było potrzeba. Co do włóczek, te, o ile dziś kombinuję, musiały należeć do niewykończonych, na pożółkłej kanwie szytych w niezapominajki i pączki róż, pantofli męskich, które na samym dniu Anusinego kuferka leżały zawinięte w białą jedwabną chusteczkę i niekiedy tylko, przy układaniu wszystkich drogocенności, jakie kuferek ten zawierał, rozwijane były i oglądane z ciężkiem westchnieniem. Istotnie, było nad czem wzdychać. Pączki róż tak zżółkły, jakby się już nigdy rozwinąć nie miały; niezapominajkom zaś mole wygryzły tu i owdzie serca. Nogi, które miały nosić te pantofle odeszły gdzieś widać daleko, bardzo daleko. . . .

U jednego z rogów wielkiego stołu przyszrubowaną była wyblakła, stercząca jak jeż łebkami igieł i szpilek,

czerwona aksamitna poduszczyk do szycia, której oprawę zdobiło małe okrągłe lustro, tudzież widoczek czarno odbity na jasnym, politurowanym drzewie. Lustro było krzywe, widoczek zaś przedstawiał dwie góry, które sobie na kark włożyły, chcąc się zapewne przepłynąć przez płynące u ich stóp jezioro. Na jeziorze kołysała się łódka, w łódce stała panna w tyrolskim kapeluszu, z wielką różą u stanika bardzo krótkiej sukni; naprzeciwko łódki płynęły dwa łabędzie, a z za gór wychylał się strzelec z fuzją na ramieniu.

Był to pierwszy pejzaż, jaki dokładnie z powodu umieszczenia go na wysokości nogi stołowej studiować mogłam, a także pierwsze lustro, w którym zobaczywszy się, z wielką uciechą pokazałam sobie język.

Nieopodal od okna stało wysokie, białe i puszysto zasłane łóżko Anusine, na którym piętrzyło się kilka poduszek, ukoronowanych "jaśkiem" z falbaną i wszywkami. "Jasiek" ten był przedmiotem moich gorących pożądań, gdyż dość było wetknąć w niego zwinięty ręcznik i przewiązać chustką do nosa, aby mieć "dziecko w poduszce", takie samo, jakie niedawno karmiła Pawłowa. A Anusia rzadko i tylko przed praniem pozwalała na to; zazwyczaj zaś trzeba było piastować mały, drewniany, owinięty w chustkę pokojówki, stołeczek, któremu niezmiernie trudno było "dać piersi", gdyż nazbyt zawsze wystawiał swoje cztery nogi. Było to niezawodnie najniesforniejsze niemowlę, jakie kiedykolwiek w życiu widziałam.

Wprost łóżka stał wielki, kaflowy, pożółkły i popękany piec, za którym suszyły się wysoło ułożone i drobno połupane drewna. Kiedy przyszedł "ksiądz brat", — nazywaliśmy go wszyscy "księdzem bratem", — Anusia zrywała się od stołu, biegła do pieca, klękała przed nim, rozpałała ogień i przyrządzała kawę; a gdy jej woń aromatyczna rozeszła się po wszystkich kątach garderoby, Anusia nalewała szklanek "księdzu bratu", a resztą obdzielała nas dzieci, po łyżeczce wlewając kolejką w nadstawione

i szeroko pootwierane usta. Żeśmy ich wtedy nie porozdzielali sobie — Bóg łaskaw. Każdemu z nas zdawało się bowiem, że im szerzej usta otworzy, tem większą dostanie porcję. Ostatnia łyżeczka z “wyskrobkami”, bywała sumiennie na troje dzielona. Obdzieliwszy nas, siadała Anusia na zwykłym swoim miejscu, brała pończochę, kładła na palec srebrny, wytarty, powyginany, z karniolowem, nawpół wylupanem denkiem, naparstek, nawłoczyła nawet igłę, ale nie cerowała, tylko podparłszy ręką głowę, wpatrywała się z rozrzewnieniem w “księdza brata”.

Był to młodzieńczyk wysoki, smagły, o białych i rumianych policzkach, z niepomiernie dużemi uszami, którymi ruszał, jak królik, gryząc bułkę z kawą. Te uszy wprawiały mnie w szczególny podziw.

Anusia, znacznie starsza, wychowała sama “księdza brata” własną swoją ciężką pracą; był on jej chlubą i ostatnią sierocego życia nadzieją. Gdy nie przychodził dni kilka, twarz jej pożółkła jeszcze się żółciejszą stawała, szare jej oczy jeszcze nieruchomiej patrzyły przed siebie, a lekkie znaki po ospie zdawały się pogłębiać na szczupłych jej policzkach. “Jaśka” też wtedy ani rusz, a nawet igły z bawełną. Dopiero gdy się “ksiądz brat” zjawił, wpadaliśmy wszyscy w wyborny humor. Anusia była młoda, ładna, i wcale, ale to wcale nie dziobata; wszystko też można było w dniu takim wyprosić u niej. Wtedy to w zadziwiający sposób wypróżniała się szufłada z “gałgankami”, a “Jasiek” bywał gwałtownie huśtany, forsownie karmiony, przewijany i usypiany wreszcie w kąciku na ziemi, między piecem a Anusynym kuferkiem.

Kiedy nadeszła szara godzina, Anusia opowiadała nam “bajki”. Właściwie mówiąc, nie były to bajki, tylko “żywoty świętych”; ale ponieważ wyraz “bajka” oznaczał w naszym pojęciu wszystko, co się opowiadało i było zajmującym, nazywaliśmy przeto i te “żywoty” bajkami.

Po roku pobytu Anusi u nas tak byliśmy oswojeni

z całym martyrologium, żeśmy o wyrwanych językach, rozpalonych kleszczach, plecach dartych pasami ze skóry i piłowanych ciałach rozprawiali, jak o chlebie z masłem, i gdyby które z nas spotkało św. Dyonizego, idącego z własną, uciętą głową pod pachą, myślę, że niebardzo byłoby zdziwione.

Zoologiczne nasze pojęcia także się ustaliły w tej epoce znacznie; a kiedy przyszło później do nauki naprawdę, żadne z nas nie miało kłopotu z określeniem lwa, tygrysa, lamparta, hyeny i innych dzikich bestii. Były to wszystko "takie zwierzęta, co świętych jadają".

Wkrótce utworzyły się dwa obozy. Jeden stanowił brat mój Janek, drugi ja i starsza moja siostra. Myśmy utrzymywały, że największe męki zniosły św. męczennice: np. Dorota, Blandyna, Barbara, Perpetua i inne; Janek dowodził, że "co tam takie babskie męki" w porównaniu do św. Andrzeja, Wawrzyńca, Szczepana. . . Wynikały z tego gwałtowne spory, które, że niezawsze Anusia zagodzić mogła, opierały się aż o "księdza brata".

"Ksiądz brat" znajdował się wówczas w trudnym położeniu, nie chcąc sobie w żadnym obozie robić nieprzyjaciół. Uśmiechał się najpierw do jednego obozu, potem do drugiego, wreszcie z pomieszczeniem decydował, że wprowadzie święci męczennicy byli bardzo dzielni, ale i taka św. Blandyna albo Dorota "to też były . . . oho!"

Po takim wyroku obie partie uznawały się za triumfujące i szły grać "w lisa" razem z "księdzem bratem", który podgiąwszy sutanny, biegał po garderobie, uciekając przed goniącą go z piskiem i krzykiem trójką, a pytki bił takie, że nam ręce puchły. Utrzymywaliśmy przecież mężnie, że nas to wcale nie boli. Oczywiście, cóż to było w porównaniu do darcia skóry pasami?

Gdy przyszedł post, śpiewała z nami Anusia "Gorzkie żale". Jakże pamiętam tę szarą bibulastą książeczkę, która się wtedy rozkładała na stole! Tytuł był na niej wypisany gotykiem z wielkimi zakrętasami, u samej góry oko Opatrzności, w pośrodku krzyż, a na nim Chrystus, z

którego ciała szły pięciu strugami gęste krople na duszyczki czyścicowe, wynurzające się u spodu karty z morza piekielnych płomieni. Na samym dole spoczywał wąż zwinęty w krążek i trzymający w pyszczku jabłko z dwoma listkami, z rajskiego drzewa zerwane.

Pocieszny to był widok, kiedy Anusia pryskając na rozpostartą do prasowania spódnice, intonowała:

Rozmyślajmy dziś, wierne chrześcijany.

A "wierne chrześcijany", z których najstarsze miało lat z ośm może, a najmłodsze pięć zaledwie, odpowiadały:

Jako Pan Jezus za nas cierpiał rany,
Jak od pojmania nie miał spoczywania
Aż do skonania. . . .

Epicki ton tej pieśni robił na mnie niesłychane wrażenie. Dreszcz szedł mi po twarzy, po szyi, po plecach, oczy mi się mrużyły, a usta otwierały nerwowem ziewaniem. Dwoje starszych z naszej trójki patrzyło na mnie ze wzgardą. W Wielki Piątek szliśmy wieczorem do ogrodu na "rozmyślanie". Wiosenna pełnia zalewała cichem światłem regularnie przecinające się aleje, przy których sztywnymi szeregami stały bezlistne jeszcze drzewa. Rosę czuć było w powietrzu, po wilgotnej i miękkiej ziemi pełzały pierwsze tegoroczne żuki; donośny rechot żab słychać było z leżącego poza ogrodem stawku. Dreptaliśmy przy Anusi, trzymając się jej prostej, szarej, zakonnej niemal sukni, której fałdy ścisnęło każde, jak mogło najmocniej w rękę, z obawy przed mogącym się ukazać z krzaków rozwiniętego już agrestu Judaszem, lub "tłuszczą, z kijmi, z mieczmi, z pochodniami". Naraz zatrzymała się Anusia i rzekła:

— Moje dzieci, o takiej to godzinie modlił się Pan Jezus w Ogrójcu. . . .

Nie знаła z pewnością szekspirowskiego "w taką to noc . . .", a jednak przedziwnie w tenże ton trafiała.

Starsi przyjęli heroicznie to oświadczenie Anusi; lecz co do mnie, ponieważ byłam zziębła i senna, zrobiło mi się tak strasznie żal Pana Jezusa, który o takiej godzinie musiał jeszcze mówić pacierz, co i mnie czekało niezawodnie przed pójściem do łóżka, że uderzyłam w głośny płacz, ku wielkiemu zbudowaniu obecnych, i tak się skończyło pierwsze moje "rozmyślanie".

W rok wszakże potem klęczałam na zroszonej ziemi pod taką wiosenną pełnią, z oczyma wlepionymi w księżyc, z którego zdawał mi się spływać anioł "z kielichem męki". Coby to był za "kielich męki", nie miałam dokładnego pojęcia, ale wyobrażałam sobie coś bardzo gorzkiego, coś w rodzaju tysiącznika naprzykład. Gorącemi więc usty powtarzałam za Anusią: "Ojcze, jeżeli chcesz, odwróć ode mnie ten kielich". Ale nie odwrócił. . . . A tu oliwne drzewa szumią, szumią . . . a tam w rogu, za altanką, gdzie Paweł grabie i łopatę stawia, posnęli apostołowie. . . .

Przy końcu książeczki z "Gorzkiemi żałami", była "Pieśń o narzekających sierotach", którą nam Anusia czytywała niekiedy, i z powodu której stołeczek ów, zastępujący Anusinego jaśka, "Jackiem" się nazywał. Pieśń tę lubiliśmy niezmiernie, a jeszcze bardziej pewno się jej bali. Była tam mowa o złej macosze i o krzywdzie osieroconych dzieci. Do dziś pamiętam niektóre wiersze. . . .

. . . . Co ona wyrabiała, nogami je kopala,

Służebnej zaś mówiła, co będzie dziś robiła,

"Od dzisiaj, miej w pamięci, nie dasz mleka dla dzieci".

Tu zwykle zaczynaliśmy mocno wzdychać, patrząc na płaski kamienny garneczek ze śmietanką, której tłusty kożuszek wznosił się i opadał i grzejąc się przy drobnych węgielkach, czekał na księdza brata. Cóż tam męki, rozpalone kleszcze, albo ucięte głowy! Ale nie dostać mleka, nie dostać żadnych wyskrobków! . . . Aż węgle zaczynały żarzyć się i trzeszczeć od naszego wzdychania.

Potem następowała scena na cmentarzu. Matka słyszy narzekania dzieci i wstaje z grobu.

Nogami się oparła, trumnę niemi otwarła,
Podniosła się ku wstaniu, idzie ku pomieszkaniu.

W tem miejscu przytulaliśmy się jedno do drugiego i do Anusinych kolan, poglądając na drzwi ukradkiem. Pomimo wszakże śmiertelnego strachu, za nic nie dali-byśmy Anusi przerwać czytania, następowały bowiem rzeczy najciekawsze.

. . . Jak się już przybliżyła, brama się otworzyła,
Domostwo ją witało, wielką krzywdę znać dało.
Jak do izby wstąpiła, ciemność ją oświeciła,
Dziatki jak ją ujrzały, zaraz matkę poznały,
Których sześciorgo było, a każde się skarżyło.
Od łez nie mogła mówić, musiała się odwrócić,
Wtem wejrzy na kominek, tam leży mały synek,
Leżał tam jako krzaczek, jej najmilejszy Jacek. . . .

Umyła tedy matka dzieci, uczesała, nakarmiła, a pogroziwszy palcem macosze, zniknęła.

To pogrozenie palcem włosy nam podnosiło na głowach.

. . . Mężu, mężu wstań prędko, bo otwarte jest wszystko,
Jeszcze kury nie piałły, jak psy we wsi czekały,
Nieboga tutaj była, palcem mi pogroziła. . . .

Zbici w kupkę, nie śmieliśmy przy tym epilogu spojrzeć poza siebie, a jeżeli stara Meresia drzemiąc pod piecem warknęła we śnie, dech w nas po prostu zamierał. Przez cały wieczór nie wypuszczaliśmy potem z objęć owego stołka, który reprezentował "najmilejszego Jacka", odziewaliśmy go w jedną i w drugą chustkę, żeby mu tylko zimno nie było, pakowaliśmy go pod Anusinę pierzynę, i wszyscy kolejno dawaliśmy mu "piersi", pomimo

odstręczającego zachowania się jego czterech, zawsze sterujących do góry nóg, z którymi rady sobie dać nie było można, a to wszystko, aby tylko matka jego nie wstała z grobu i nie pogroziła nam palcem. . . .

Za tą książeczną z "Gorzkimi żałami" zasunięta bywała na oknie talia starych, bawełną przewiązanych na krzyż kart, z których Anusia w niedzielne popołudnia układała "pasjans".

Pasjansy te były różne, miały też rozliczne kombinacje i nazwy; ale pamiętam dwie tylko: "Krzyżówkę" i "Kapryśną damę". Daleko większą powagę i wiarę miała "Krzyżówka". "Kapryśna dama" zabawką była prawie. Ksiądz brat na jedną i na drugą wprawdzie wzruszał ramionami z jakimś nieokreślonym uśmiechem ale niech tylko Anusia zaczęła tasować karty, zaraz przysiadł się do niej, łokcie opierał na stole i rozpoczynało się "zamyślanie". Anusia zwykle zamyślała głośno. Przede wszystkim szło o to, czy rychło ksiądz brat wikarym zostanie? Jeśli Krzyżówka dała odpowiedź pomyslną, zaraz znów szło o probostwo. Jeśli i probostwo wyszło, Anusia ożywiała się niezmiernie i zamyślała coraz nowe rzeczy, a to czy plebania będzie porządna, a to czy będzie ogród przy domu, a to czy parafia duża, czy będą się dobrze chowały krowy? . . .

Ksiądz brat słuchał tego w milczeniu, wodząc oczyma karty, z których na stole powstawały gwiazdy, kwadraty, szachownice i równoległoboki. Niekiedy wszakże przytrzymał rękę Anusi i sam coś "zamyślał". "Zamyślenia" swego wszakże nigdy nie wyjawiał. Jeśli pasjans wyszedł, zrywał się od stołu i robił z nami "młynka". Co było wtedy tupotu, furkania spódniczek i kurzu, to nieopowiedziane rzeczy.

Jeżeli ksiądz brat bardzo był kontent, to po "młynku" następowała niemniej hałaśliwa "drobna kaszka", aż do utraty tchu i zawrotu głowy. Wtedy padał na krzesło, bił rękoma o kolana, rozpinął sutannę i śmiał się szalonym dziecinnym śmiechem, pokazując białe zęby od

ucha do ucha.

Jeżeli wszakże pasjans nie wyszedł, ksiądz brat zadumywał się, wzdychał przez nos i mówił, że to obraża Pana Boga wierzyć takim głupstwom.

Dla siebie Anusia kładła pasjans rzadko i tylko w takie niedziele, kiedy księdza brata nie było. Wtedy to rozłożywszy przed sobą stare pożółkłe karty, podpierając głowę i patrzyła na nie długo, powolnym, jakby nieśmiałym ruchem ręki zbierając i nakładając ich szeregi. Szare jej źrenice stawały się przy tem jaśniejsze i jakby drżały w szeroko otwartych oczach, a turkusowe serduszko w pierścioneczku migąło to tu, to tam, na jej wychudzonym palcu. Była to zwykle "krzyżówka", która czy wypadła źle, czy dobrze, niezmiennie się kończyła głębokiem westchnieniem.

Oprócz tej talii, tułało się po oknie kilka kart luźnych z sędziwszej jeszcze i już nieistniejącej. Niedobitki to były armii, która uległa zupełnej rozsypce. Młódki poszły z niej kolejno na kłębki, na tutki z solą, które czasu zimy między okna wstawiano, na lejki, z których przeciskano lukier w piękne esy floresy, gdy przyszła Wielkanoc i baby. Z figur istniało jeszcze w owym czasie cztery, i te stanowiły mój teatr. Teatr ten odbywał się zupełnie bez widzów; nie lubiłam nawet, kiedy kto patrzył na niego, i urządzałam go zwykle w ciemnym jakim kącie, usiadłszy na "najmilszym Jacku" przed drewnianym krzesłem, i trzymając w noszonym na ramiączkach fartuszkach cały mój personel dramatyczny. Co do repertuaru, ten był mało urozmaicony, możnaby nawet powiedzieć, że była to ciągle taż sama, coraz dalej rozwijana historia, do której przybywały nowe epizody i która nigdy jakoś skończyć się nie mogła. Aktorów moich stanowiły trzy damy i król. Dama karo, nazwana przeze mnie "Anusią", była piękną, dobrą i uciśnioną przez jakieś, niezupełnie mi świadome nieszczęścia, bohaterką.

Ona pierwsza wychodziła z fartuszką na scenę, a przedstawienie rozpoczynało się niezmiennie od słów:

“Anusia zaś: Ach Boże!” — Tu następował monolog, w którym było więcej westchnień niż wyrazów, a mglista atmosfera wielkiego smutku i wielkiej melancholii życia ogarniała całe krzesło, stołek i mnie samą. Prawdopodobnie tych to właśnie żarliwych i gorących westchnień wstydziałam się wobec widzów, i dlatego teatr mój odgrywałam zwykle sama dla siebie.

Obok Anusi występowały w tym nigdy niekończącym się dramacie: dama pik, “Herodiada”, której czarny charakter był mi wybornie znanym jeszcze z czasów owej krwawej misy z martwą głową Jana, tudzież dama treflowa “Szarlota”, tak nazwana od imienia bony, Szwajcarki, przychodzącej do nas czasem z dziećmi z naprzeciwnika, płocha szatyna, element ułudy, kaprysów i zmienności. Jedynym mężczyzną w tym personalu był król karo “Mąż prawy”.

Nie wiem już dzisiaj, jakimi tam torami szły moje myśli wówczas, że ze wszystkich przymiotów męskich “prawość” uderzyła mnie jako charakterowa cecha najbardziej; dość, że “Mąż prawy” nie mógł się jakoś nigdy, skutkiem intryg Herodiady i Szarlotty, zejść z “Anusią” na krzesło, i zdaje mi się, że to było głównym powodem ich nieszczęścia, a moich westchnień, jako też osnową całego dramatu.

Ta żądza, czy potrzeba smucenia się czegoś i wzdychania ot tak, w powietrze, były też zapewne źródłem moich żarliwych modłów w owym czasie. Postępy moje w pobożności były wprost zdumiewające. Dotąd pamiętam “kapliczkę”, którą urządziłam sobie pomiędzy dwiema szafami, tworzącemi w rogu garderoby dość duży kąć, zasłoniony perkalową firanką. W kącie tym stał z zapasową pościelą stary, wysoki, obszarpany kufer, którego okucia i gwoździe sterczały ze wszystkich stron połamane i z miejsca wybite. Na ten to kufer gramoliłam się kilka razy dziennie, aby ucałować ścianę o jaki łokieć niżej od brzydkiego, papierowego bez ramek obrazka z sercem Chrystusowem, który pokojówka na moją

prośbę przylepiła klajstrem. Wyżej z klęczek dostać nie mogłam; ale samo już wznoszenie oczu do tej niedosięzionej świętości miało dla mnie jakiś urok tajemniczy. Długo jeszcze potem, kiedy sprzęty w garderobie przestawiono inaczej, a "kapliczka" moja sprofanowaną została jakimś innym przeznaczeniem, znać było na bielonej ścianie plamkę ciemną, ślad moich ust, gorąco tulonych do wapna.

Jednocześnie wszakże z urządzeniem kapliczki rozeszła się o mnie w domu bardzo brzydka sława. Mówiono, że drę na sobie ubranie, jak chłopak, że niezawodnie biegam do dzieciaków Pawła, mocować się z nimi; a gdy zobaczono, że mam na kolanach sińce i podrapaną skórę, zrodziło się podejrzenie, że wążę na drzewa po wiśnie.

Podejrzeń tych nie usiłowałam odpiierać, ale strofowana spuszczałam oczy i zacinałam się w milczeniu. Zdawało mi się, że stojąc tak, jestem niezmiernie podobna do św. Blandyny, która była zawsze moim ideałem. Raz tylko, kiedy mi zapowiedziano, że odtąd nosić będę majtki i spódniczki z gładkimi obrębami, a nie z koronką, nie mogłam utrzymać męczeńskiej mojej stałości i rozplakałam się głośno.

Kiedy dzień przymierzchł i ruch domowy ucichał, rozlegał się w powietrzu dzwon "od Bernardynów" jednostajnym i posępnym brzmieniem. Wtedy Anusia odmawiała z nami "Anioł pański", po którym następował "Wieczny odpoczynek" za różne dusze. To za te, które najdawniej cierpią, to za inne, które znikąd ratunku nie mają, to jeszcze za takie, które w grzechu śmiertelnym z tego świata zeszyły.

Z czasem trójka nasza utworzyła sobie prawdziwy sport z tych "wiecznych odpoczynków", dodając do nich coraz to nowe, swego własnego pomysłu. Janek naprzykład, po części urzędowej, odmawiał zwykle trzy jeszcze: za Robinsona, za Piętaszka i za jego ojca. Zaimponowało nam to niesłychanie, ale żadna z nas na coś podobnego

zdobyć się nie umiała. Janek triumfował. Z biciem serca oczekiwałyśmy teraz, co on też nowego wymyśli? Pobudzało go to, dodawało natchnienia. Dziś był Wieczny odpoczynek za Washingtona, jutro za marszałka Neyą, pojutrze za Napoleona, a wreszcie za Kolumba i za Kopernika.

Pewnego wszakże razu przeszedł sam siebie i odmówił Wieczny odpoczynek za duszę Cheopsa. Było to tegoż dnia, kiedy ze Stefankiem z przeciwka oglądali piramidy w książce z obrazkami. Oniemiałyśmy z admiraacji; ale Anusi, która akceptowała w milczeniu Kopernika i Napoleona, imię "Cheopsa", może dla niezwykłości brzmienia, wydało się mniej przy pacierzu właściwem. Przestała tedy szeptać swe modlitwy i odwróciwszy głowę, spytała surowo:

— Co tam Janek plecie? . . .

Co do mnie, miałam także swoje wieczne odpoczynki, lubo nie tak świetne. Odmawiałam je najpierw za "Barani kożuszek", co to: "dębie, dębie otwórz się", potem za "Pielgrzyma z Dobromila", potem za św. Barbarę, a wreszcie za "Kanię".

"Kanię" znało całe miasto. Jedni mówili, że to wariatka, inni, że opętana, jeszcze inni nic nie mówili, ale schodzili z drogi i odwracali się od niej ze wzdargą i wstrętem.

"Kania" miała lat ze trzydzieści może, postać słuszną, wychudzoną, śliczne ciemne włosy, roztargane i zwichrzone pod byle jak narzuconą chustą, twarz smagłą, znędzniałą, bladawą i głęboko zapadłą, jak próchno świecące oczy.

Na grzbiecie jej wisiały jaskrawe łachmany starej jedwabnej sukni, a boscie, niezwykle drobne nogi, tkwiły w jakichś wielkich, potwornych, na śmietniku gdzieś zebranych trzewikach.

Skąd się "Kania" wzięła — niewiadomo. Powiedział mi raz Janek Pawłów, że ją wrony w dziobie przyniosły, ot taką już dużą, jak teraz, i w tej jedwabnej sukni, do

miasta i na ulice puściły. Zdawała się nie mieć innej nad ulice siedziby. Włóczyła się po nich czy deszcz, czy pogoda, a za nią całym hurmem uliczniki krzycząc: "Kania dżdżu! Kania dżdżu!" Przed krzykiem tym Kania czasem uciekała, jak wiatrem niesiona, uszy sobie zatykając rękoma; czasem znów wpadała w sam środek gromady chłopaków, wyprawując dzikie skoki, śmiejąc się szalenie i razem z całą czeredą wykrzykując ochryplym głosem: "Kania dżdżu! Kania dżdżu!" Widywano ją nieraz, jak zaczepiała pięknie ubranych panów, po imieniu na nich wołając, jakby na swoich znajomych; a pięknie ubrani panowie odwracali się od niej i nawet pomimo błota przechodzili na drugą stronę ulicy. Wtedy Kania zatrzymywała się, kiwała głową, aż nagłą złością chwyciona, zaczynała wygrażać pięścią i przeklinać głośno.

Kobietom i dzieciom sama schodziła z drogi; chyba, że była pijana, co się zdarzało często. Wtedy ujmowała się pod boki, śpiewając piosenki i tańcząc nie bez pewnego wdzięku, a szturchania policjanta nic jej nie obchodziły jakoś. W tym stanie zaczepiała nieraz i damy.

— Jak się masz, kochanie? — mówiła do pani sędzi-ny. — Ot, udało się tobie męża dostać, gospodarstwo i służki mieć, w pięknych sukniach chodzić, ludzkie pokłony odbierać. . . . Ot, udało się! Bóg łaskaw! A pamiętasz ty, jak my obie razem szalały? Ha! nie polubił mnie nikt. Każdy wziął i cisnął, a ciebie polubił. Ot los! Ot dola!

I kiwała głową, a gęste jej włosy pasmami spadały na twarz.

Dopiero kiedy jeden i drugi chłopak od szewca wyleciał, a zakrzyknął: "Kania dżdżu!" a gwizdnął przeraźliwie, włożywszy w usta dwa palce, zrywała się Kania biedz, jak bezpamiętna. Aż za rogatki nieraz ją tak wygoniły chłopaki. I kilka dni czasem jej w mieście nie było. Ale wracała. Szło wojsko, wlokła się za niem; szły Tatarzy z towarem, to się ich czepiała, tańcząc i śpiewając, a oni w śmiech gruby. . . . Ot, taka już Kania.

Wszystkie te szczegóły wiedzieliśmy od pokojówki, Marynki; Anusia nie mówiła z nami nigdy o Kani. A gdyśmy ją idąc ulicą, spotkali, sprowadzała nas na bok, z daleka.

— Co to za Kania? — pytamy, bywało, Anusi.

A ona: — Ot, nieszczęśliwa.

I na bladą, szczupłą jej twarz wynikały ciemne, szybko niknące rumieńce.

Raz wyszliśmy na szosę, za miasto, bo się już trawy ruszyły w polu, i świat pachniał wiosną. Idziemy, aż tu w rowie coś leży. Była to Kania. Głowa na burcie, chustka z niej opadła, prześliczne ciemne włosy rozsypane, jak snop dookoła; a słońce południowe świeci na oczy zamknięte, i na bladawe, lekko posiniałe usta. Nie wiem, czy spała, czy odpoczywała tylko; ale zerwawszy się nagle siadła, i zawstydzona jakby, zaczęła na sobie poprawiać lachmany.

Anusia szarpnęła się w tył, mieliśmy wracać. Ale Kania podskoczyła za nami.

— Panno! Panienko! — krzyknęła. — Panno Kowalska!

Anusia przyśpieszyła kroku, ciągnąc nas za sobą. Znać w niej było wielki przestрах, przerażenie prawie.

— Panno Kowalska! — wołała Kania, dopędziwszy nas i chwytając się Anusinej sukni. — Opuść mi panna! O nikogo mi nie chodzi, a o pannę mi chodzi! Dawno ja chciałam . . . ale cóż! nie dopuścili mnie. . . . Bóg świadkiem, że dawno chciałam. . . . Ot i człowiek przecie ma sumienie. A gryzie, gryzie! . . .

— Ależ moja kobieto — przemówiła Anusia, siląc się na spokój, choć jej wargi latały, jak w febrze. — Co mnie do was? . . . Ja nie wiem, czego chcecie. . . .

— Oj wicie, panienko, wicie! Żebym tak szczęśliwe skonanie miała, jak wicie. . . . Opuśćcie tylko! Przebaczcie! . . . Dla miłości boskiej przebaczcie! Nie ja go ciągnęłam . . . sam lgnął . . . latał za mną. . . . Jeszcze ja nie była taka jak dzisiaj. . . . Oj, przebacz-

cie panienko! Ja go nie ciągnęłam. . . . Bóg widzi. . . .
 Ja ostatnia . . . kopnąć nogą szkoda . . . ale ja wie-
 działam, że on się żenić ma. . . . Mówię jemu: z Ko-
 walszczanką się żeń, a za mną nie lataj, bo ja twoja
 zguba. . . . A on nic . . . duszę gubi . . . strach. . . .
 Cóż ja? . . . Ja już dur taki miała . . . takie zadanie.
 . . . Ale jego nie ciągnęłam. . . . Niech mnie tak
 Bóg sądzi, jak nie ciągnęłam. . . . A czy mi ich mało by-
 ło? Podotąd mi ich było. . . . Powozami do mnie zje-
 żdzali, drzwiami i oknami leźli. . . . Hej, ha! Życie!
 życie! życie! . . .

Zaśmiała się gorzko i zaczęła trząść głową. Anusia
 znów się szarpnęła i przyśpieszyła kroku. Była tak bla-
 da, że aż biała prawie na twarzy, a zęby szczękały jej
 głośno. Ale Kania nie puściła jej sukni.

— Nie uciekajcie panienko! A toć nasi rodzice są-
 siadami byli . . . toć my od dziecka . . . Panno Kowal-
 ska! Raz człeku śmierć, a prawdę tu trzeba zostawić,
 nie z sobą do grobu brać. . . . Co ja jego namolesto-
 wałam! . . . I nic. Przyłgnął tak, że i smołęby odlepił,
 a jego nie. . . . żenić się — powiada — z Kowalszczan-
 ką nie będę i z żadną nie będę . . . nic nie chcę . . .
 ciebie chcę. . . . — A ja taka owaka — mówię jemu. —
 A bądź ty sto razy taka — powiada — przepadł ja z to-
 bą i dla ciebie. . . . Aż też i zmarniał. Nie pierwszy ci
 i nie ostatni. . . . Ale mnie gryzie przez to, że wy,
 panienko . . .

Zaniosła się wielkim kaszlem, ale biegła za nami, ury-
 wanym z zadyszania, chrapliwym głosem przebaczenia
 prosząc, chwytając suknię Anusi, która z białą twarzą
 i zaciśniętymi ustami, otulała nas rękoma przed dotknię-
 ciem Kani, zaganiając przed sobą, jak stado gąsek
 do miasta.

— Prędzej, prędzej dzieci! — wołała do nas, jakby
 nieprzytomna; do Kani wszakże nie przemówiła ni słowa.
 Biegliśmy zdjęci jakimś tajemnym przestraczem.

Pod rogatką dopiero puściła się nas Kania, zakląwszy

i zaniósłszy się przeraźliwym kaszlem, który nią wstrząsał aż gdzieś do dna piersi.

Chwilę tak stała, pasując się z sobą, poczem rozśmiawszy się głośno, chwyciła oburącz swoje łachmany i zaczęła przed drożnikami tańcować.

Anusia drżała, jak w zimnicy, gdyśmy dopadli do domu. Tego wieczora nic nam już nie opowiadała, tylko wcisnąwszy w poduszki twarz zakrytą rękoma, mocno płakać zaczęła, ani zważając na świeżo wyrurkowane poszewki. Nigdy jeszcze dzwon wieczorny nie wydawał mi się tak posępny i rozgłośny, jak wtedy. Anusia, lubo wtulona w poduszki, też go usłyszeć musiała, gdyż podniosła głowę i rzekła:

— Dzieci, zmówcie “Anioł pański”. — Zaraz też rzuciliśmy się na kolana, trzepiąc jedno przez drugie, co tam które spamiętać mogło. Naraz przyszła mi myśl genialna i kiedy Janek nic nad swego Kopernika wymyśleć przy “Wiecznych odpoczynkach” nie mógł, ją, z pominięciem zupełnem “Pielgrzyma” i “Baraniego kozuszką”, odmówiłam mój “wieczny odpoczynek” za . . . Kanię. Zrobiło to pewną sensację, ale nikt mi nie oponował. Świata żywych nie rozróżnialiśmy jeszcze zbyt wybitnie od świata umarłych, a istota i cel tej modlitwy nie zupełnie nam były jasnymi. I tak się to jakoś przyjęło. Kania swoją drogą po dawnemu latała i szalała po ulicach, a ja swoją mówiłam za nią codzień “Wieczny odpoczynek”.

Aż raz, a było to znów wiosną, zrobił się na podwórzu nagły krzyk i tumult. Na chwilę przedtem wyszła Anusia do kuchni, pozostawiwszy okno w garderobie otwarte.

Wdrapaliśmy się tedy natychmiast na stół i zobaczyli jakąś kobietę, jak z bramy wpadła na nasze podwórze, a za nią chmara uliczników z piekielnym wyciem i wrzaskiem: “Kania dżdżu! Kania dżdżu! . . .”

Gdyby nie ten wrzask, nie byłabym Kani poznała. Twarz jej była cała w strasznych, białawych, lekko przyschłych ranach, włosy niemal do skóry zgolone, ciało ohy-

dną nagością świecące. Od bramy biegła, jak ścigane zwierzę i padła tuż przed schodkami naszego ganku, uderzając nędzną głową o kamienie. Natychmiast chłopaki rzuciły się na nią, ciskając błotem, ziemią, śmieciem, plując i wyjąc jak stado szatanów.

Wybiegli ludzie z suterenu, z kuchni, stary Paweł sztykutał z miotłą do ogrodu. Wtedy Kania podniosła zranioną głowę i zawołała: "Jezu!" Co to był za głos!

W tejże chwili przypadła z ganku Anusia. Zarzuciła na Kanię własną swoją chustkę, pomogła jej wstać i pociągnęła za sobą. Chłopaki wykrzykiwały jeszcze przez chwilę, ale gdy Paweł z miotłą bliżej się posunął, odeszli, świstając i bijąc się nawzajem pięściami po plecach.

Przez kilka dni następnych rzadko widywano Anusię. Zgorączkowana, roztargniona, załatwiała w milczeniu swoje domowe prace, znikając potem na całe godziny. Gdzie? Po co? Nie mogliśmy się jakoś od nikogo dowiedzieć.

Pewnego razu zarzuciła chusteczkę na głowę, sięgnęła do kuferka po swój wyszarzany woreczek z pieniędzmi i wybiegła na miasto. Po powrocie usunęła na drugi róg stołu wycerowaną bieliznę, a rozciągnąwszy dość grube, z miasta przyniesione płótno, zaczęła krajać koszulę. Pamiętam, że ta koszula wydawała mi się niezwykle długą. Skrajawszy, siadła i szyla pośpiesznie, gdy wtem wpadła Marynka z wystraszoną twarzą. Poszeptały coś z sobą, poczem Anusia, rzuciwszy robotę, wybiegła.

Chwyciłam wtedy utkwioną w płótno igłę, i uszczęśliwiona ze zdarzonej sposobności "prawdziwego" szycia, zrobiłam w równym, zaczętem przez Anusię szwie, dwa ściegi, z których jeden szedł do góry, a drugi na dół, poczem zabierałam się właśnie do zrobienia trzeciego, kiedy igła utkwiała mi w palcu, a jasna, pełna kropla krwi rozplynęła się po sinawem płótnie. Świeczki mi w oczach z bólu stanęły, ale większy od bólu był strach, aby się nie wydały ślady mojej gorliwej pracy. Obawa ta wszakże była zupełnie daremną, gdyż wróciwszy, chwyciła Anusia robotę z wielkim pośpiechem i nie podnosząc głowy,

szyla w zupełnem milczeniu.

Całą tę noc świeciło się w garderobie, a kiedy tam rano wbiegłam, Anusia z wpadłemi i zaczerwienionemi lekko oczyma, kończyła obszywać szlarką czepeczek z białego muślinu. Złożona koszula leżała na stole. Dojrzałam natychmiast w szwie jej bocznym dwa okropne ściegi, i tuż zaraz rozplyniętą krwi własnej kropelkę. Skończywszy obszywanie czepka, schyliła się Anusia nad swoim kuferkiem, dobyła z niego prześcieradło i poszewkę, poczem sięgnęła na dno samo, wyjęła owe niedokończone pantofle, odwinęła z nich swoją jedwabną chusteczkę, pantofle schowała napowrót, a resztę zabrawszy, wyszła.

Byliśmy już po śniadaniu, kiedy wróciła i pozwoliła nam iść z sobą.

Złote, wiosenne słońce zalewało całe podwórko; u studni stała lśniąca landara pułkownika Późniaka, której koła polewał wodą z kubła Hryciek, w głębi widać było drwalkę; ścieżka do niej usypana była świeżo piaskiem, drzwi otwarte, we drzwiach garstka kobiet i dzieci. Gdy Anusia podeszła, rozstąpiono się i puszczo nas do wnętrza.

Jakiś czerwonawo-złoty, miejscami przyćmiony blask uderzył mnie od progu. To słońce prześwietlało cienkie smolne tarcice, z których drwalka była skleconą. Każdy sęk błyszczał jak rubin; każda kropla żywicy, jak bursztyn słońcem nabrany; szczeliny w regularnych odstępach dawały na tem tle różnych blasków cudne lamowanie, z góry padał ukośno snop złotych pyłów. Zapach żywicy, świeżych trocin i gałęzi jodłowych wypełniał całą drwalkę, której głąb zajęta była wysoko ułożonemi szczapami i drobno łupanem łuczywem.

W pośrodku, cała pod promieniami onych złotych pyłów, leżała na niskiem, zbitem z tarcic łóżku, w owej siwawej, długiej koszuli i czepeczku na nędznej głowie — Kania. — Kiedyśmy weszli, klęczał przy niej, kończąc modlitwy, ksiądz brat, którego wielkie uszy, prześwietlone

odbitem od zwyucznych tarcic światłem, zdawały się powiewać, jak ogniste flagi. Wpatrzyłam się w nie jak urzeczona, przejęta wielkiem wzruszeniem. Ksiądz modlił się półgłosem, trzymając na piersiach poduszkę z wiatykiem; mały chłopiec w komeżce, poruszał lekko dzwonek. Słysząc było świegot jaskółki, ścielącej gniazdko pod krokwią i ciężki, chrapliwy oddech umierającej.

— Ojcze nasz . . . — zaczął ksiądz głośnieij.

Szept przeleciał po drwalce, kobiety pokłękły. Chwilę trwała cisza; chrapliwy oddech ustawał zwolna.

— Już . . . — szepnął ktoś z obecnych.

Wtedy Anusia podniosła się cała drżąca z klęczek od progu, pochyliła nad Kanią i zakryła jej twarz białą swoją, jedwabną chusteczką.

Wyszliśmy cicho, na palcach. . . .

Z CMENTARZY

Z Cmentarzy

Pierwszym cmentarzem, jaki poznałam w mojem życiu, były tak zwane "Mogiłki" w Suwałkach.

Znajomość to wszakże była z widzenia tylko, bo ojciec nie pozwalał chodzić dzieciom na cmentarz. Nie byłam więc na Mogiłkach ani wtedy, kiedy wyniesiono na nie Kostuchę, jędzę babę, która naszej "wronce" chowanej łeb ucięła, ot tak wprost tasakiem na stolnicy, za to, że biedne ptaszysko kawałek mięsa chciało jej schwycić z pod ręki, ani też wtedy, kiedy na grobie Kostuchy zdechła z żalu po niej i z tęsknoty "Merci", mała, żółta suczynka, "Meresią" w kuchni zwana, której różnemi czasy, w napadach złości, przetrąciła Kostucha łapę polanem, wybiła szpikulcem lewe ślepie, pół ogona utrzasnęła we drzwiach i cały prawie grzbiet wyparzyła z sierści wrzątkiem.

Z daleka za to widywałam "Mogiłki" codzień, żółciejące kopcami piasku w lecie, czerniejące krzyżami grobów swoich zimą.

Kiedy w mieście zaczęły bić dzwony, nie takie, jak na mszę, jasne i wesołe, ale takie, co jęczą, wołając: "O! . . . O! . . . O! . . ." — biegło się co tchu przez ogród na sam dół, nad Hańczę i patrzyło, patrzyło, aż po drugiej stronie ukazały się światelka i zaczęły się posuwać równo, równo, właśnie jakby kto gwiazdy nanizal i różaniec odmawiał na nich. Jeśli był wiatr, to nawet śpiewy słyhać było. Nie takie zwykłe śpiewy, jak przy fortepianie naprzykład, ale inne, bardzo żałosne, które mówiły:

— O, jak smutno w grobie! . . . O, jak zimno w trumnie! . . .

A drugie zaraz im odpowiadały:

— Boże! Boże! Boże! zmiłuj się nad nami!

Czasem aż coś cierpło w sercu przy słuchaniu tych śpiewów.

Na wiosnę i w jesieni, kiedy Hańcza deszczami wezbrała, dwoiły się w niej światełka i szły rzeką, szły, aż znikwały tam, gdzie zarastała trzcina i tatarak. Wtedy wracało się do domu jawnie lub skrycie, stosownie do tego, czy panna Vaucher była w złym, czy w dobrym humorze, a tuż, tuż, przez całą aleję, aż do ganku, aż do progu, biegły echa dzwonów i pieśni i w nocy jeszcze napępniały powietrze swym jękiem.

— O, jak smutno w grobie! O, jak zimno w trumnie!

W lecie najmniej o mogiłkach się myślało. Zaslaniały je drzewa rozrosłe, zagłuszała wrzawa bawiących się dzieci, zalewał światłem dzień długi.

Zimą znów strach czegoś brał patrzeć w tamtą stronę. Śnieg taki był wtedy biały, jak śmiertelna płachta, krzyże sterczały z grobów, podnosząc jakby zamarzłe ramiona, a w rogu, za murem, widać było wielką czarną sosnę, którą z wrzaskiem obsiadały kawki. To były groby samobójców. Tam "straszyło".

W wieczory wiosenne podnosiły się z Hańczy mgły białe i płynęły w powietrzu leciuchne, powiewne. Marynka pokojówka mówiła, że to są "duszyczki". Niekiedy napępniały one sobą cały ogród. Na pierwszy rzut oka niby nic. Ot, mgła i tyle. Dobrze się wszakże wpatrzywszy, jeśli jeszcze księżyc wtedy świecił, wyraźnie można było widzieć, jak się między drzewami przesuwały cienie, jak się słaniają, nikną i znów płyną, długie, białe rąbki powłócząc za sobą.

Niekiedy widać było tę panią z drugiego piętra, co umarła w zimie. Tak samo szczupła i wysoka, tak samo cicha i biała, w tym samym grabowym szpalerze przesuwała się, jak za życia. I wtedy nikt tej nie widywał we

dnie. Wychodziła tylko wieczorami, kiedy czeremchy pachły i słowik śpiewał. Głowę miewała w niebo wzniesioną, opuszczone i splecione na czarnej sukni ręce, a wzrok taki, jak kiedy kto patrzy na coś, albo czegoś słucha z wielkiej dalekości. Gdy się które z nas zbliżyło, kładła mu na włosach szczupłą białą rączkę, ale nigdy nie wyrzekła słówka. Mówili w domu, że mąż jej wyjechał gdzieś na kraj świata.

Czasem znów było widać starego Pawła, co z febrы zeszej wiosny umarł. Ot, jakby kto patrzył na niego, tak stał w białej swojej świcie płóciennej, a siekierą pod księżyc błyskał, właśnie jak za żywota, kiedy drwa rąbał. Tylko, że wtedy zadychiwał się i stękał za każdym rozmachem, a teraz taki cichy, że ani w nim tchu. A siekiera w powietrzu ostrzem miga, jak promieniem białym i podnosi się i opada bez stuku i rąbie jakiś pień niewidzialny, aż z pod niej pryska światło przez liście, niby trzaski srebrne. . . .

Aż naraz wszystko się miesza, zachodzi za siebie, znika, tumanem rozplywa, i tylko czeremchy pachną i słowik śpiewa nad Hańczą. . . .

Lata przeszły, a dotąd pamiętam i śpiew ten, i zapach, i te miesięczne widma z nad Mogiłek.

Mamże liczyć wszystkie pola śmierci, jakie oczy moje oglądały? I wszystkie groby, które zabiegały mi drogę i wszystkie ich krzyże?

O śmierci! zbyt wiele miałaś dla mnie darów, abym je zebrać dziś mogła. Znam oblicze twoje ciche i zimne, znam tragicznie spokojne, znam burzliwe i groźne; lecz ty i na burzy umiesz kłaść pieczęć milczenia. Widziałam cię sypiącą mogiły z ziemi czarnej i wznoszącą kamienne grobowce. Wiem, jak zdmuchujesz promień życia, jak gasisz płomień natchnienia, jak rozrywasz tajemniczy wątek istnień. Widziałam cię, spadającą jak orzeł, czołgającą się jak żmija, szarpiącą jak lew, toczącą jak

czerw, ulatującą jako motyl biały. Znam robotę twoją czarną i warsztaty twoje. Wiem, jak świdrujesz serca jednym bólem i mózgi jedną myślą, jak strugasz kołyski, w których uspione niemowlę nie zapłacze nigdy, jak tkasz białe szaty dziewic umarłych i zwijasz im wianki na ostygłe czoła; jak budujesz domy, które człowiek wiecznymi nazywa. Ale nie są wieczne. Przychodzisz i rozburzasz je sama i na ich fundamentach wznosisz nowe miasta i nowym miastom dajesz obywateli. Wiem, jak przykładasz siekierę do dębów, wiem, jak wichrem lasy wywracasz, wiem jak łamiesz róże, depcesz stokrocie i zrywasz niedojrzałe grona. Wcześniej ty idziesz w pole, idziesz w pole przed świtaniem z kosą, w południe nie spoczywasz i nie szukasz cienia, kosy nie ostrzysz i potu nie ocierasz z czoła. Przychodzi zmrok i noc i gwiazdy wschodzą nad łanem, a ty kosisz, kosisz, kosisz. . . .

O pracownico nieznanego jutra! O rodzicielko prochów! O pszczoło złota, kradnąca słodycze miodu wszystkim kwiatom ziemi! O prządko, snująca szarą nić czasów w nieznużonych palcach! O śmierci! . . .

.....

Nie widziałam milszego zakątka, jak był mały wiejski cmentarz w Grodzisku. Niski wał z kamieni z trzech stron go tylko grodził, ale z czwartej za to grunt był wzniesiony dość znacznie, a pod nim, jak okiem zajrzeć, ciągnęły się mokre łąki, wiły strugi i czerniły kępy olszowe. Od niższej, piaszczystej strony kopano zwykle chłopskie doły, iż robota była tam lżejszą; i co się zresztą ma chłop skrabac gdzieś na górę. Tuś żył, tu leż i basta. Murowane znów groby, a było ich kilka, stały na stromym skraju cmentarza i świeciły z góry wapnem lub cegłą czerwoną.

Z brzegu, u wejścia, kilka drobnych, ledwo ociosanych i krzywo zatkniętych krzyżyków sterczało z piaszczystych, rozsypujących się wzgórków. Dalej, na górze, stały krzyże co się nazywa, zielone, niebieskie, żółte, z da-

szkami, z włóczyniami, był nawet taki, co miał kurka blaszanego na wierzchu. W połowie wysokości była na nich zwykle przybita okrągła, wapnem pobielona tablica, na której stał napis. Napisy były różne. Czasem wprost: D. O. M. Tomasz Balcer, albo Maciej Kmiecik, albo Walenty Kałużny; czasem wszakże bywały tam i inne jeszcze rzeczy.

Był wtedy we wsi organista Sroczyński, wielce uczony, który ze dworu książki pożyczał i pisywał wiersze. Ten co przedniejszym gospodarzom sam napisy na tablicy układał, albo może i z książek je formował. Trudno wiedzieć. On to dla Trusika, karczmarza, taki wyszykował napis:

Moi kochani dobranoc.

Dobrze jest cóż boska moc

Czyni z nami. Dziękuję wam za waszą wierność.

Jezus woła mnie na wieczność.

Bądź i z wami.

Była to bardzo piękna tablica, a dobroduszość tego napisu zawsze mnie rozrzewniała głęboko. Ale prawdziwym triumfem Sroczyńskiego był krzyż ogólny cmentarny, w pośrodku mogiły stojący, wedle jego dyspozycji zrobiony. Krzyż ten był cały czerwony, trzy białe gałki miał u szczytów, a poniżej przybitych stóp Chrystusa wielką trupią głowę na dwóch piszczelach, jakby z mamuta wyjętych, opartą, pod nią zaś tablica z takim napisem:

I nierychło, nierychło godziny spływają,

Ach, leniwe kwadranse rokiem się stają,

Żelazne czasy moje i chwilowe wieki,

Przez które z łez nie oschną powieki.

Nieszczęśliwe kwadranse, przekłete minuty,

Nie jeden z was przeminie i styczeń i luty.

I miesięczne promienie zagasną i słońca,

A nigdy się wieczność nie doczeka końca.

Podobno Sroczyński kupił sobie w tym czasie srebrny zegarek i to zapewne natchnęło owemi aluzjami do kwadransów i minut.

Cmentarz w Grodzisku był zwykle bardzo ożywiony; to krowina jaka połakomiła się na nędzny chwast, jaki tam wyrastał, to szkapa spętana wlaźła i wyleźć nie chciała, to kury grzebały się w piasku. . . .

Ale najwięcej ruchu sprawiały chłopaki, wdrapujące się pod górę od łąki po fujarki wiosną.

Co która wierzba wypuściła różgę, chlast! . . . już jej niema. A pod drzewem leży wykręcony biel, czasem mokry jeszcze od miazgi, i trzpień zepsuty, i moc naszarpanych liści, a na całym tem bojowisku siedzi Antek od kowala; bose nogi zwieszają mu się z górki, muchy lażą mu po twarzy, włosy na oczy spadły, a on gra, a gra, aż echo od kęp olszowych idzie, a tu mu skowronek podrzeźnia, w ton wpada, przebija zawodzenie fujarki i ginie w jasności słonecznej.

Taką to kapelę miały groby na onym cmentarzu.

A mieszał się do niej często i klekot bocianów, brodzących po łące.

Kiedym tam była po raz ostatni, zbierały się właśnie ku odlotowi. Pod wieczór się już miało i słońce gasło, kiedy zaczęły się zlatywać na łąkę. Z czterech stron świata leciały, a co który przyleciał, to wszczynął się klekot taki, że aż w uszach lgło. Stado zebrało się wreszcie, chwytając naprędce żer w łąkach przygodny i jakby czekając na hasło. Aż gdy zorze przedzachodnie stanęły nad lasem, zerwały się bociany z ogromnym klekotem i biciem skrzydeł ciężkich, i popłynęły w tę różaność złotą długim, długim sznurem. A każdy na piórach miał plamkę czarną, niby grudkę czarnej ziemi, zabraną z tych pól, kędy się ich gniazda zostały. . . .

W chwili, kiedy mała nasza łódka zbliżyła się do Sochaczewa, uderzył mnie dość niezwykle widok. Przed

nami, na urwistym brzegu Bzury, wznosiła się niewielka okrągła budowa, z wysokim spiczastym daszkiem, zakończonym błyszczącą w porannem słońcu iglicą, na której tkwił nów miesięczny. Dokoła widać było mniejsze i większe stożki, pokrywające ziemię na dość znacznej przestrzeni.

Był to cmentarz muzulmański, jeden z tych, które nie były u nas rzadkością dawniej, kiedy każde miasto niemal miało swoich mahometan kupców i żołnierzy, którzy tu żyli i tu składali swe kości.

Ja wszakże widziałam cmentarz taki po raz pierwszy i dziwne on na mnie zrobił wrażenie. Śpieszyliśmy tedy całą siłą naszych czterech wioseł, aż do miejsca, gdzie przybić było można, i zaraz rzuciliśmy się oglądać ów cmentarz, zawieszony nad rzeką i dwojący w niej swój półksiężyc.

Ma on mogił ze dwieście może, ale wszystkie prawie w ruinie. Mogiły te murowane są z cegieł, a ich półokrągłe, wyniosłe nad ziemią sklepienia tworzą całe szeregi owych zdala widzianych kopulek. U wezłowia każdej mogiły kamień stożkowaty, z jednej tylko strony wygładzony nieco pod napis, który teraz ledwo jest widny wskrós mchu i pleśni. Zapadłe sklepienia napełniają gruzem owe puste mogiły, w których niegdyś chowano umarłych bez trumien, w siedzącej postawie.

W pośrodku tego oryginalnego cmentarza, wśród rozsypujących się kopulek, stoi ów z daleka widny i półksiężycem naznaczony grobowiec Mułły. Drzwi niema do niego. Na wschodniej stronie marmurowa tablica z jakąś surą koranu. Pod nią okienko, pustką czerniejące zdala. Wstąpiłam na kamień i zajrzałam przez nie. Gruz i rumowisko.

Wielkie płachty pajęczyn osnuwają okienko z wewnętrznej jego strony, pod murem przebiega jaszczurka.

Dziwny, dziwny jest widok tego kawałka wschodniego świata, wyrzuconego tu na brzeg obcej ziemi, obcej rzeki. Drzemie on w dnie słoneczne, które zdradzają je-

go nędzę i jego ruinę, upiorem wstaje w dnie chmurne, powlekające go trupiami, sinemi barwy. Ale gdy księżyc zabłyśnie, gdy promień jego draśnie ów sierp miesięczny, na iglicy wysoko zatknięty, budzą się wtedy szelesty w głębi tych zapadłych sklepień, sterczących jak szeregi turbanów nad ziemią, a z grobowca wychodzi stary Muła z wielką siwą brodą, i na wschód zwraca oczy zagasłe, i wyciąga ręce kościste, i jęczącym, żalonym głosem odśpiewuje wersety z koranu. "O Ałach! Akbar Ałach, jesteś wielki!"

Wszystkie ja was pamiętam, o mogiły. . . .

Wszystkie wy wiecie, jak serce moje bije i jak oczy moje we łzach stoją. Ale gorącemi ustami nie przylgnęłam do żadnej z was, o mogiły kamienne. Przylgnęłam niemi do ziemi czarnej, która nie wiem, czy prochy jakie kryła, ale wiem, że była relikwią.

DYM

Dym

Ile razy spojrziała w okno swej izdebki, tyle razy widzieć go mogła, jak z ogromnego komina fabryki walił siwym słupem. Nieraz nawet umyślnie odrywała od roboty stare swoje oczy, aby rzucić na niego choć jedno spojrzenie. W spojrzeniu tem była dziwna błogość i jakby pieszczota. Ludzie szli i przechodzili, śpiesząc w różne strony, rzadko który spojrział w górę w kierunku komina, jeszcze rzadszy zauważył siną smugę dymu. Ale dla niej dym ten miał szczególne znaczenie, mówił do niej, rozumiała go, był w jej oczach niemal żywą istotą.

Kiedy o wczesnym brzasku na opalonym, mieniącym się barwami jutrzni tle nieba, dym rozkłębiał się nad kominem w krągłych, czarnych runach, roznosząc ostrą, gryzącą woń sadzy, wiedziała ona, że tam jej Marcyś w kotłowni przy palenisku stoi, ogień zaniega, miarkuje, rozkłada, wysoki, smukły, gibki, w granatowej płóciennej bluzie, spiętej skórzanym pasem, w lekkiej furażerce na jasnych włosach, z szeroko odwiniętym u szyi kołnierzem.

— Oho! — szeptała wtedy uśmiechając się — Marcyś “fasuje.” . . .

Istotnie “fasował.” Z gorliwością nowicjusza sypał na palenisko węgiel, kosz za koszem za siebie i za palacza pracując, dumny ze swojej świeżej godności kotłowego. A razem z tym wielkim, jasnym płomieniem wybuchały mu w duszy pieśni, któremi się kotłownia rozlegała od świtu do nocy.

Wkrótce jednak czarne kłębiska dymu bieleły, rzadły, stawały się lżejsze, aż wskróś pogodnych błękitów wybiły w górę lekkim, równym słupem.

Ten widok wlewał w serce wdowy radość i pogodę.

— Wszystko dobrze . . . — szeptała — wszystko dobrze, Bogu Najwyższemu dzięki!

I krzątała się po ubogiej izdebce, zaścielając łóżko swoje i synowski tapczan, zamiatając śmieci starą brzozową miotłą, i rozpalając na kominku drewnka do południowego posiłku.

Wtedy to wprost wielkiego fabrycznego komina z wspaniałą kitą dymu, wznosiło się w błękity cienkie sine pasemko z ponad dachu facjatki, gdzie mieszkała wdowa; pasemka tak wątle i nikłe, jak tchnienie starych pierś, co je wydobywały z ogniska.

Ale młody kotłowy zawsze to pasemko dostrzegał. A nie tylko je dostrzegał, ale się do niego uśmiechał. Wiedział on dobrze, że tam u komina, stara jego matka w bieluchnym czepku na głowie, w tołubku przepasanym różowym fartuchem, drobna, zawiędła, zgarbiona szykuje dla niego jakiś barszcz wyśmienity lub wyborny krupnik. Zdawało mu się nawet czasem, że wyraźnie czuje smakowitą woń tych specjalów.

Z podwójnym tedy zapalem dorzucał na palenisko świeżą szufłę węgla i podczas kiedy palacz po głowie się drapał, on stojąc jedną nogą na podmurowaniu, zwinny i giętki, za dwóch nastarczał w robocie.

I tak naprzeciw siebie szły w niebo te dwa oddechy: fabryki i facjatki, niknąc w przejrzystych lazurach, może łącząc się w nich nawet.

Ku południowi dym fabryczny rzedniał nieco; olbrzymie płuca machin zwalniały swą pracę, wypuszczone pary przeszywały raz i drugi powietrze ostrym, przykrym świstem, a chłopak, jak uragan do izdebki wpadał.

— Mamo jeść — wołał już od progu, a cisnąwszy furazerkę na stół biegł do klatki z kosem wiszącej w okienku. Kos, jak tylko chłopaka obaczył, wydawał gwizd przeciągły do fabrycznej świstawki podobny, a potem zaczynał swoje zwykłe kuranty, których go nauczył Marcyś. Chłopak stawał przed klatką, kładł ręce w kieszenie

i gwizdał także. Aż się ściany trzęsły od gwizdania tego.

A matka rozpościerała tymczasem na stole piękną, żółtą serwetę w niebieskie jelenie wyrabianą i stawiała głęboką fajansową wazkę krupniku, barszczu z rurą, albo grochówki z wędzonką, albo też zacierek, jak tam wypadło. Obok wazki występował na stół chleb w dużym bochnie, główna tego posiłku podstawa.

Znikał on też prawie w połowie ledwo się chłopak przysunął do niego. Kawał za kawałem krajał, w miseczce z solą maczał, a precz dogadywał.

— Dobry chleb, mamó!

— Dobry, synku! — odpowiadała za każdym razem wdowa. — Jedz z Bogiem, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi i Matce jego Przenajświętszej. . . .

Chłopak nie dawał się prosić, a razem z chlebem znikająca i zawartość misy.

— Dobry barszcz, mamó — mówił wtedy.

Matka już od kilku chwil jadła coraz wolniej. Mięszała łyżką w talerzu, dmuchała w niego. Ale barszczu nie ubywało jakoś. Kiedy więc chłopak wymiółł co miał przed sobą i wąsiki runiejące wierzchem ręki otarł, pytała skwapliwie:

— A możebyś, synku, jeszcze. . . . Mnie dziś coś nie bardzo jakoś. . . .

Chciała mu dać poznać, że jej nie smakuje, ale bała się wyraźnym kłamstwem Boga obrażać, bo barszcz był doskonały.

— A no — mówił chłopak — kiedy mama nie je . . .

Podstawiała mu z pośpiechem swój talerz, mówiąc:

— Jedz, dziecko, jedz! Na chwałę Panu Jezusowi. . . .

Chłopak tedy znów się zabierał do łyżki po swojemu.

— Co mama chce od tego barszczu? — pytał. — To królewski barszcz!

— Byłby on, byłby, synku — odpowiadała, mrugając oczami — tylko że mi do niego bobkowego liścia przybrało. . . .

Zdarzało się, że nie dojadł.

Zlewała wtedy resztę w glinianą ryneczkę i stawiała w kominku, tak, aby syn nie spostrzegł tego.

Tę resztkę uważała już za wyłączną swoją własność i kiedy chłopak wyszedł, posilała się nią, ogryzając ostatki chleba.

Wszystko to odbywało się z niezmierną szybkością. Młody kotłowy chwilowo zastępowany tylko bywał w południe i śpieszyć musiał. Zaledwie zjadł, żegnał się szerokim znakiem krzyża, całował matkę w zapracowaną wychudłą rękę, chwycił furazerkę, a gwizdnąwszy na pożegnanie kosowi, zbiegał w trzech susach z facjatki na dół. Wdowa stawała wtedy w pośrodku izdebki z zebraną ze stołu serwetą w rękę i słuchała grzmiącego tupotu nóg synowskich z trwożnym i błogim zarazem uśmiechem.

— Święty Antoni! — mówiła kręcąc głową — z leceniem takim! Nogi jeszcze połamie . . . schody porozbija. . . .

I stała tak zasłuchana, dopóki nie huknęły na dole drzwi od sionki i nie przebrzmiało echo tej szalonej kano-nady nóg młodych i silnych. Wtedy dopiero kończyła składać serwetę, zmywała statki, ogarniała ogień popiołem, a siadłszy u okna, łatała synowską odzież i bieliznę.

Jeśli to było lato, długo jeszcze, bardzo długo widzieć mogła dym walący z fabrycznego komina. Drugi raz, to się tak zapatrzyła w niego, że i robota wypadła jej z ręki. . . .

Dziwne bo przybierał i kształty i barwy.

To jak żelazna gadzina wywijał się sam z własnych przegubów coraz dalej, coraz wyżej; to jak leciuchna zasłona w powietrzu wiał, siejąc przed siebie obłoczki różane; to jak z kadzielnicy prosto w górę szedł, wełniąc się miękko po krajach; to jak olbrzymi pióropusz pod słońce się palił, z komina, jak z hełmu, za wiatrem wiejąc; to się w jakieś postaci cudne wydłużał; w jakieś mary nieziemskie, jakieś widzenia. . . .

Czasem go wiatr wydymał, jak żagle wielkiego stat-

ku; czasem rozrywał niby kłęby pakuł, czasem pędził jak tuman czarniawy. A zadźdżyło się na świecie, to chmurą ciężką nad kominem stał, i płatami po dachach się wieszał, i tłukł nad ziemią, nie wiedząc, kędy się dziać.

Gdy przyszła zima, zapalała wdowa lampkę u komina i robiła przy niej grube na sprzedaż pończochy.

Ale choć od okienka wiało srodze i szron aż do izby zalatywał przez spróchniałe ramy, podchodziła do niego coraz, żeby na fabrykę spojrzeć.

Gościła ona wprost facjatki długim szeregiem oświetlonych okien, huczała wewnętrzną pracą płuc swoich olbrzymich, szczekała żelastwem, dźwięczała biciem młotów, zgrzytała zębami pił, syczała żądlami topionych metalów. Dym, który teraz na tle głębokiego granitu niebios walił z jej komina, płomienny był, ogniami ziejący, snopy iskier ciskał jak race.

Szerokie łuny od niego skroś nieba szły i het, precz, odbijały wielkie ciche zorze. . . .

Patrzała na nie wdowa w zadumaniu.

Z zadumy tej wyrывało ją gwizdanie kosa, który rozbudzony światłem, bijącym z fabryki w okienko, zaczynał wycinać swoje kuranty. W izdebce robiło się weselej, ogień trzeszczał na kominku, a kos darł się aż do ogłuszenia. A kiedy na niebie księżyc w pełni stanął, całe ono widzenie ogniste topniało w blaskach miesięcznych.

Późnym wieczorem dopiero wracał syn, i od progu już znowu wołał:

— Mamo, jeść! . . .

A razem z tą młodą, silną postacią wstępowało w progi izdebki wesele, śmiech i swoboda. Z mniejszym już teraz pośpiechem posilał się chłopak, opowiadał przez chwileczkę to i owo rozpytującej się go o ubiegły dzionek matce, poczem zaczynał szeroko ziewać, przeciągać się, kos nawet nie bawił go już w takiej chwili.

— Idź spać, synku, idź spać! — mówiła matka, gła-szcząc go po głowie. — A to jutro do dnia ci znów trzeba. . . .

— Pójdę mamó . . . — odpowiadał sennym głosem — zmordowałem się tak, że to ha!

— A pacierz, synku, zmów — przypominała jeszcze.

— Zmówię mamó.

Całował jej rękę, klękał przed swoim tapczanem i schyliwszy głowę na złożone dłonie, odmawiał szybko półgłosem Ojciec nasz i Zdrowaś, tu i ówdzie przerywając modlitwę potężnym ziewnięciem, poczem bił się hałaśliwie w piersi, żegnał z rozmachem i zdjąwszy pośpiesznie odzież, rzucał się na twarde posłanie.

Natychmiast też prawie usypiał, a w izdebce słyhać było dawno jego równy, głęboki oddech, podczas kiedy matka długo jeszcze szeptała zdrowaśki przed poczerniałem, ze złocistego tła wychylającym się obliczem Panny Najświętszej.

Nareszcie lampka gasła, kos przestawał się trzepotać po klatce, uciszało się wszystko, aby znów jutro o brzasku się zbudzić.

Z tem budzeniem była zawsze bieda. Wdowa sypiała tym snem starości krótkim, czujnym, jakby oszczędzającym godzin życia przed wielkiem zaśnięciem w mogile.

Ze snu tego budziła się po drugich kurach zaraz, na długo przed pierwszą gwizdawką fabryczną, i zwlokłszy się z pościeli, dreptała po izdebce, szykując polewkę dla syna i szepcząc godzinki. W okienku stała wtedy wielka i cicha gwiazda zaranna, wprost na twarz uśpionego chłopca świecąca. Matka coraz to na twarz tę powiodła oczyma. Radaby już zbudziła jedynaka swego, ale głębokie uśpienie chłopca wstrzymywało ją.

— Niech ta! — szeptała półgłosem. — Niech ta jeszcze ździebluchno pości. . . .

Dopiero kiedy się rozległ przeraźliwy świst puszczonej pary, wołała na chłopca:

— Marcyś! A! . . . Marcyś! Wstawaj, synku! gwizdzą. . . .

Chłopak odwrócił głowę do ściany.

— To kos mamó . . . — mówił wpółprzytomnie.

— Ale! — kos tam! We fabryce gwizdają, synku, nie kos!

Przeciągał się, nakrywał na głowę, mruzczał, ale matka nie ustępowała. Nocny dyżur się kończył, kotłowy na swoim miejscu pierwszy stanąć musiał przed robotnikiem jeszcze. Powtarzało się to cały tydzień boży, niedziele nie wyjmując nawet.

Ale jednego ranka, kawał jeszcze do ranka było, chłopak się z krzykiem ze snu porwał sam i na pościeli siadł. Matka już była przy nim.

— Co to? Co ci, synku, co? — pytała troskliwie.

Nie odpowiadał. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma, usta miał drżące, czoło w zimnym pocie. Rozpięta na piersiach koszula podnosiła się od mocnych, głośnych prawie uderzeń serca.

Objęła go ramionami matka.

— Co ci to synku, co ci to? — pytała, tuląc chłopaka, jakby małe dziecko.

Długo uspokoić się nie mógł.

— Nic, mamó — przemówił nareszcie z widocznym wysiłkiem — nic. . . . Tylko — śniło mi się . . . że . . . piorun uderzył we mnie.

Wdowa ścierpła. Ale nie dała tego poznać po sobie synowi. Chciała przemówić, głos uwiązł jej w piersi.

Chłopak siedział na tapczanie sztywny, prosty, patrząc przed siebie wystraszoną wzrokiem.

— Piorun mamó — mówił cichym, urywanym głosem — taki czerwony, straszny jak smok. Na piersi mi padł, mamó . . . taki straszny . . . czerwony . . .

Umilkł i dyszał głośno.

Wdowa opanowała się jakoś.

— Co tam, synku! — mówiła głaszcząc go po rozpalonym policzku. — Co tam! . . . Sen mara, Bóg wiara. Co tam, synku!

A gdy chłopcu głośno zaszczękały zęby, przysiadła przy nim, przycisnęła głowę jego do swych wyschłych piersi i tak go kołysała, jak kiedy niemowlęciem był.

Chłopak się ukoił, utulił wreszcie i na poduszkę opadł.

— Niech mama już idzie — rzekł — niech mama idzie, położy się. . . . Ja usnę. . . .

Ale nie usnął. Leżał na wznak, z otwartymi szeroko oczyma, wpatrzony w gasnące na wschód nieba gwiazdy.

Spojrzała na niego raz i drugi.

— A czemu nie śpisz synku? — spytała.

— Nie mogę, mammo . . . — odpowiedział cicho, skarżącym się głosem.

Podeszła i siadła przy nim.

— Nic się nie trap, synku! — przemówiła. — Nic się nie trap! Albo to na to ten Pan Bóg miłosierny pioruny w niebie chowa, żeby zaś niemi wdowie niebogiej jedyne-go synaczka ubijać? Nie da tego Pan Jezus i ta Matka Przenajświętsza. . . . A ja ci to powiem, że piorun wesele znamionuje, kiedy się kawalerowi, albo pannie śni. Ot co, widzisz, piorun znamionuje. . . . Przecie sennik mam, to wiem.

Mówiła to z uśmiechem, wesoło niemal, ręką wyschlą po czole jego wodząc i włosy mu gładząc, aż chłopak dobrej myśli począł być i też się uśmiechnął.

— To mama mówi, że wesele? — spytał.

— A przecie, że nie co! Wesele, huczne wesele. . . .

Zamyślił się chłopiec, a po chwili rzekł:

— To ja już wstanę, mammo. . . .

— Wstań synku, wstań. . . . Zgotuję śniadanie, jak przejesz, to cię to odejdzie.

Jakoż odeszło. Weselej nawet było tego ranka, niż zwykle w izdebce, bo chłopak czasu dość mając, jedną po drugiej piosenkę na prześcigi z kosem gwizdał, aż ptaszysko zachrypło i kiedy przyszło do Zosi, co jej się chciało jagódek, gwizdało tak żałośnie, jakby kto przez nos śpiewał. Uśmieł się Marcyś, uśmieła się matka, i tak się w radości rozstali. Kiedy wyszedł, wdowa stanęła przy drzwiach i nasłuchiwała oddalających się kroków. Lekkie były, rażne, swobodne, zwyczajnie młode nogi. . . . Nawet spaczone i spróchniałe schody nie krzypiały dziś

tak, jak zazwyczaj. Dopiero kiedy chłopak drzwi za sobą zatrzasnął, rzuciło się w niej serce jakimś nagłym strachem, tak łoskot ich był głuchy, podziemny i takim przeraźliwym echem odbił się w pustych sieniach. Podbiegła do okienka, aby wyrzeć za synem.

Szedł lekko, śpiesznie, z podniesioną głową, a kiedy miał już przejść furtkę w fabrycznym murze, odwrócił się i spojrzął w górę. Może w okienko, a może tak sobie. . . .

W chwilę później gęsty, czarny dym walił z fabrycznego komina.

Godziny upływały. W schludnie sprzątniętej izdebce zrobiło się cicho; stary zegar z jaskrawą różą na połówkowej tarczy cykał opieszale na ścianie, kos próbował najwesołszych kurantów, pociesznie walcząc z swym ochrypłym głosem, a wdowa może z myślą o owym śnie syna, co to wesele znamionował, przeglądała swe odświętne odzieże.

Naraz rozległ się huk straszliwy. Zatrzęsły się ściany, posypał gruz z komina. Okienko z szczękiem wypadło. Wielki, iskrzasty słup dymu buchnął w niebo razem z fontanną cegieł i wielkimi odłamkami rozwalonego komina, wypełniając izbę przeraźliwym blaskiem. Wdowa jak stała, tak skamieniała słupem. Ani jednego krzyku nie wydały jej zmartwiałe usta. Tylko się siwe włosy podniosły nad czołem, tylko rozszerzone źrenice zbieleły jakby u trupa, nagłą jakąś zgrozą. . . .

Może nawet nie słyszała dzikiego wrzasku, jaki bił z ulicy:

— Kotłowy! . . . kotłowy zabity!

Długo jeszcze potem lata siadywała w tem samem okienku, patrząc osowiałym, mętным wzrokiem na fabryczny komin, z którego biły w górę sine słupy dymu.

Dym ten wszakże nie przybierał już teraz dawnych rozlicznych kształtów, tylko zawsze zamieniał się w mglistą postać jej drogiego chłopca. Zrywała się wtedy ze stołka i wyciągała drżące, wyschłe ręce. Ale mglistą postać wiatr unosił i rozwiewał ją gdzieś w błękitach. . . .



NASZA SZKAPA

Nasza Szkapą

Zacząło się to od starego łóżka, cośmy na niem we trzech sypiali.

Tego dnia ojciec, zły czegoś z rzeki wrócił i siadłszy na ławie, ręką głowę podparł. Pytała się matka raz i drugi, co mu, ale dopiero za trzecim razem odpowiedział, że się ta robota koło żwiru skończyła, i że szkapą tylko piasek wozić będzie. Zaraz mnie Felek szturchnął w bok, a matka jęknęła z cicha.

Miał ojciec nad wieczorem po doktora iść, ale mu jakoś niesporo było. Chodził, medytował, po kątach pozie-
rał, aż stanął przed matką i rzekł:

— Co chłopakom po łóżku, Anulka? Sypiam ja na ziemi, toż i oni mogą.

Spojrzeliliśmy po sobie. Dwie złote iskry zabłysły w siwych oczach Felka. Prawda! Co nam po łóżku? Piotrusia tylko pilnować trzeba, żeby z niego nie spadł.

— Dalej! jazda! — krzyknął Felek i zanim odpowiedzieć zdążyła, jużemy we trzech siennik na ziemię ściągnęli, a Felek kozły wywracać na nim zaczął.

Po ściągnięciu wszakże siennika okazało się, że desek w łóżku brakuje dwóch, a bok jeden ze wszystkim odłazi. Nie chciał tedy "handel", którego mi ojciec zawołać kazał, o łóżku ani gadać, pieniądze naliczone miedziami zgarnął w mieszek, związał i za chałat na piersi zasunął. Opuścił mu ojciec dziesiątkę, potem dwie, potem złotówkę całą, ale się żydzisko uparło. Z sieni dopiero brodę do izby wsadził, postępując pół rubla bez siedmiu groszy, jeśli mu ojciec i poduszkę sprzeda.

Zawahał się ojciec, spojrział na nas, spojrział na matkę; wszystkiego razem miało być jedenaście złotych.

— Cóż chłopaki? — zapytał wreszcie — obejdziecie się bez poduszki tymczasem, póki matka chora?

— O jej! — wrzasnął Felek przyduszonym głosem, gdyż właśnie na głowie stał, a nie zmieniając pozycji, poduszkę na izbę cisnął. Chwycił ją Piotruś i na Felka rzucił. Felek znów na mnie, aż nam ją "handel" z rąk wyrwał, żebyśmy nie poszarпали.

— Ale bez poszewki! — odezwała się słabym głosem matka.

Natychmiast wyrwaliśmy "handlowi" poduszkę, którą już pod pachą trzymał, i zaczęliśmy z niej poszewkę ściągać.

Po ściągnięciu wszakże poszewki okazało się, że poduszka w jednym rogu rozpruta, i że się z niej pierze sypie. Znów tedy "handel" jedenastu złotych dać nie chciał, tylko dziesięć bez piętnastu groszy.

Targ w targ, zgodził się z ojcem na całe dwa ruble, ale żeby mu jeszcze kołdrę naszą dodać.

Ojciec spojrział na matkę. Była tak osłabioną i bladą, że wyglądała jak martwa leżąc na wznak, z głęboko zapadłymi oczami.

— Anulka? . . . — szepnął ojciec pytająco.

Ale matkę chwycił kaszel, więc odpowiedzieć nie mogła.

— My tam kołdry, proszę ojca, nie chcemy! — krzyknął Felek. — My się tylko o tę kołdrę co noc bić musimy. Niech Wicek powie! . . .

— Prawda, proszę ojca! — potwierdziłem gorliwie. — Co noc się bić musimy, bo spada. . . .

"Handel" już kołdrę zwinął i pod pachę wsadził. Wybiegliśmy za nim z triumfem w podwórko.

— Wiecie? — krzyknął Felek chłopakom co tam w klipę grali — "handel" kupił nasze łóżko, kołdrę i poduszkę! Będziemy teraz na ziemi na sienniku spali! . . .

— Wielka parada! — odkrzyknął błdy Józiek od

krawca z lewej oficyny. — Ja już dwa lata u majstra na ziemi sypiam i bez siennika nawet.

Zaimponował nam. Sypianie takie nie było więc już, widać, wynalazkiem naszym.

Tego dnia był u nas doktór, a ja biegałem aż dwa razy do apteki, bo matce znów było gorzej; ale kiedy przyszedł wieczór, tośmy ledwie ziemniaki dojeść mogli, tak nam pilno było na siennik, któryśmy sobie ułożyli w kąciku za piecem. Felek to nawet z chlebem w ręku do pacierza klęknął i oglądając się raz wraz na siennik, w trzy migi “Ojcie nasz” i “Zdrowaś” przeszeptał, tak, żem ja ofiarowania nie zaczął, a on już się w piersi bił, aż dudniało w izbie, i tylko katankę zrzuciwszy, zaraz się od pieca położył. Co prawda, to i ja miałem myśl, żeby się od pieca położyć; ale mi się z Felkiem zaczynać nie chciało, więc go palnąłem w ucho i położyłem się od ściany, a Piotrusia tośmy między siebie wzięli. Zrazu zdawało mi się, że mi głowa gdzieś z karku ucieka, bom do poduszki nawykł, ale potem podłożyłem sobie łokieć i dobrze.

— Czemże ja was, robaki, odzieję? — rzekł ojciec, patrząc, jakieśmy się jeden do drugiego tulili.

Obejrzał się po izbie, zdjął z kołka swój granatowy płaszcz, i rzucił go na nas.

Wrzasnęliśmy z uciechy i natychmiast powsadzaliśmy ręce w rękawy. Piotruś tylko piszczał, nie mogąc do nich trafić, aleśmy go z głową peleryną nakryli, więc ucichł. Ojciec nim się położył, raz jeszcze podszedł do nas.

— No i cóż? Ciepło wam, bąki? — zapytał.

— Mnie tam ciepło odpowiedziałem z głębi płaszcza.

— A mnie jak! — krzyknął Felek. — O, proszę ojca, jak mi to gorąco.

I wystawił swoje długie, chude nogi, żeby, okazać jako o przykrycie nie dba.

Istotnie, przyjemne ciepło szło na nas z pieca, bo ojciec koks przed wieczorem przyniósł, ogień rozpałił i matce herbatę gotował. Usnęliśmy też zaraz. Ale nad ranem zrobiło się nagle bardzo chłodno. Pociągnąłem tedy

plaszcz w swoją stronę. Felek zrazu skurczył się przez sen, ale potem i on plaszcz ciągnąć zaczął; a gdym nie puszczął, bo juścić od pieca cieplej jemu, niżeli mnie było, sam się głębiej pod niego wsunąć usiłował.

Przy tem wsuwaniu się musiał jakoś nacisnąć Piotrusia, bo malec nagle piszczeć zaczął, a potem się na dobre rozbeczał.

Matka stęknęła z cicha raz i drugi.

— Filipie! Filipie! — rzekła słabym głosem — a zajrzyjno do chłopców, bo Piotruś czegoś płacze. . . .

Ale ojciec spał.

Chłopcy! — odezwała się znowu matka — a czego tam Piotruś płacze?

— To Felek, proszę mamy! — odrzekłem.

— Nieprawda proszę mamy, to Wicek! — zaprzeczył natychmiast zaspanym głosem.

Matka ciszej jeszcze stęknęła, a gdy nie przestawał płakać, zwlokła się z łóżka, wzięła Piotrusia na ręce i zniosła go na swoją pościel. Zaraz też nam się placu więcej zrobiło, więc mi Felek dał sójkę w bok, ja mu też, i odwróciwszy się od siebie, spaliśmy wybornie do samego rana.

W parę dni potem znowu przyszedł "handel." Nikt go nie wołał, ale przyszedł tak, z grzeczności, jak mówił dowiedzieć się, czy matka zdrowsza. Zaraz też zaczął chodzić po izbie, oglądać szafę, stołki. Ale ojciec pochmurny był czegoś i gadać wiele z nim nie chciał.

Nazajutrz "handel" znowu przyszedł. Tego dnia mieliśmy na obiad ziemniaki z solą tylko, bo okrasy brakło; chleb też się jakoś skończył, a Piotruś do ochrony bez śniadania poszedł. Mnie ojciec kazał worek na węgle szykować. Szturchnął mnie Felek w bok, że to niby ciepło będziemy mieli, bo wiatr strasznie po izbie świstał i zaraz my się rozśmiali. Stałem już chwilę, ale ojciec zapomniał widać o węglach, bo siedząc na matczynym łóżku, zadumał się i wąsy skubał. Chrząknąłem raz, nie spojrział nawet w moją stronę; chrząknąłem drugi raz, spojrział, jak-

by mnie nie widział; a na to właśnie "handel" wszedł i szafę targować zaczął.

Przestępując z nogi na nogę, czekałem jeszcze chwilę, ale mi okrutnie pilno było, bo woda koło pompy zamarzła i Felek polecał jeździć; zaryzykowałem tedy i chrząknąłem raz trzeci. Jak się też ojciec nie obróci, jak nie palnie pięścią w stół! Skoczyłem duchem do sieni, o małym przez próg nie padł, a "handel" też wyszedł nie bawiąc, i na żydka z przeciwka palcem kiwać zaczął. Ojciec mnie tymczasem zawołał, choć mu się jeszcze ręce trzęsły czegoś, szesnaście groszy odliczył i po węgle biedz kazał.

Kiedym wrócił, "handel" i żydek z przeciwka wynosili szafę. Ojciec ode drzwi zastąpił, żeby dużo mrozu nie naszło, matka odwróciła głowę do ściany i stękała z cicha.

Usunięcie szafy z kąta, gdzie stała, jak tylko zapamiętać mogę, odkryło nam nowe widoki; przykucnęliśmy tedy wśród nagromadzonych tam śmieci i rozpoczęły się poszukiwania. Felek znalazł guzik blaszany, który sobie zaraz na rękawie przyszył, a ja wygrzebałem patykiem ze szpary dużą, zardzewiałą igłę, oraz bożą krówkę z podkurczonemi pod siebie nóżkami i wyszczerbionem skrzydełkiem. Natychmiast zaczęliśmy na nią dmuchać, ale była zdechła.

Za każdym z tych odkryć wykrzykiwaliśmy radośnie, a ojciec nie mógł nas napędzić do kaszy, którą nam zgotował na obiad, i której tylko matka jeść nie chciała. Przetrzęsaliśmy nareszcie wszystko, a przekonawszy się, że już żadnych więcej skarbów w kącie niema, wymietliśmy resztę śmieci do sionki.

Teraz dopiero spostrzegłem, że w miejscu, gdzie stała szafa, kawał ściany bielszy się wydawał niżeli reszta izby; udzieliłem tej wiadomości Felkowi, a że i matka w kąten patrzyła smutnym wzrokiem, wstał tedy ojciec od kaszy, wyszukał w skrzynce dwa gwoździe i w ów jaśniejszy kawał ściany wbiwszy, powiesił na nich matczyną suknię brązową od święta i tę drugą modrą, codzienną, chustką je pięknie okrył i z boków obcisnął. Wyglą-

dało to bardzo dobrze, a Felek z Piotrusiem zaraz się w "chowanego" bawić tam zaczęli.

Matce w tych czasach pogorszyło się jakoś; doktor jej kazał dobry rosół i świeże mięso jeść, a choć płakała na taką stratę i jak mogła ojcu broniła, to jednak coś przez tydzień do rzeźnika codzień latałem, kupując czasem i całe pół funta.

A "handel" to już tak do nas przywykł, że czy go kto wołał, czy nie wołał, codzień choć przez drzwi zajrzał. Już nawet "Hultaj, pies stróża, nie czekał na niego. Po szafie kupił od nas "handel" cztery na orzech bejcowane krzesła, cośmy na nich do obiadu siadali. Przy tych krzesłach tośmy mieli uciechę, bo "handel" nie mógł więcej wziąć sam jak dwa, a drugie dwa samiśmy nieśli aż na Ordynackie.

Na głowach my z niemi paradowali samym środkiem ulicy, a Felek tak wrzeszczał: "na bok! na bok!" że aż doróżki stawały. "Handla" zostawiliśmy za sobą het precz, choć żydzisko pędziło za nami, krzycząc, żeśmy rozbójniki, szwarcjury i inne tam takie żydowskie wymysły. Dopieroż na Ordynackiem dalej bębnić w stołki. Pozłatywali się ludzie, myśleli, że to "sztuki"; aż przecie nas "handel" dopadł i chwyciwszy się za brodę na ono zbiegowisko przy stołkach, trzygroszniak nam dał, żebyśmy sobie poszli.

Tak nam ta wyprawa zasmakowała, żeśmy się tylko pytali, co trzeba wynosić.

Szczególniej Felek coraz miał nowe pomysły. Jak tylko wrócił z ochrony, zaraz ręce za plecy zakładał, po izbie chodził i po kątach, jak taksator, patrzył.

— A możeby, proszę ojca, garnek żelazny? A możeby balię, albo zegar?

— Poszedł precz! — fuknął na niego ojciec, który teraz prawie ciągle był czegoś zły i smutny.

— Felek! Co ty gadasz? — odezwała się słabym głosem matka. — A toćbyś ty niedługo duszę w ciele sprzedał?

Ja i Piotruś zaczęliśmy także silnie protestować.

— Ale! . . . Garnek! . . . Jeszcze czego! . . .

A w czym to będziemy gotowali kaszę, albo i ziemniaki?

— Albo zegar! . . . — dodał z oburzeniem Piotruś.

— A jakże będziesz bez zegara wiedział, kiedy ci się jeść chce, albo spać? . . .

— O jej! . . . — wołał Felek z miną skończonego libertyna — żeby o co, jak o to! . . . A ty, czy zegar pokazuje, czy nie pokazuje, to tyłkobyś ciągle jadł.

— A ty sklepikarce po bułki latasz, żeby ci “kadryla” dała.

— Nie latam! — odparł zaczerwieniwszy się Felek.

— Latasz!

— Nie latam!

— Owszem, latasz! Sam widziałem, jakeś “kadryla” jadł. . . .

— Ja “kadryla?” . . . Jak Boga Kocham, tak nie jadłem! . . .

Tu derzył się pięścią w piersi, aż echo jęknęło.

— No to chuchnij! . . .

Nastawił się Felek i chuchnął, aż para poszła. Z próby tej wyszedł z triumfem. Nic nie zdradzało spożycia “kadryla”, a z głębi zapadłej brzuszyny dobyła się tylko czezość wielka.

Wszakże przegłosowany Felek nie tracił miny. Pewnego dnia, obchodząc izbę i poglądając po ścianach, wykrzyknął nagle.

— A rondel, proszę ojca! A móździerz! A żelazko! . . .

Struchleliśmy słuchając. Rondel, móździerz i żelazko — to były niemal klejnoty rodzinne. Na półce wprost drzwi ustawione, błyszczały olśniewające, złote prawie. Środkowe miejsce zajmował rondel. Jak zapamiętać mogę, nigdy nie widział, żeby się w tym rondlu co gotowało. Byłoby to profanacją poprostu. Co sobotę wszakże czyściła go matka cegłą lub popiołem, i tak świecący stał z wystawionem na izbę uchem, błyskając w same

oczy, gdy się do stancji wchodziło. Przy nim stał móździerz z tłuczkiem z jednej strony, a żelazko z drugiej. Moździerz był rówieśnikiem moim. Kupił go ojciec, gdym na świat przyszedł, aby matkę uradować i dobre jej serce za syna okazać. Żadnego wszakże z jednolatków moich w podwórzu, ba, na całej ulicy, nie szanowałem tak, jak szanowałem ten móździerz. Matka zdejmowała go raz do roku tylko, w Wielki Piątek, aby tłuc cynamon do wielkanocnego placka. Wtedy to zwykle powtarzało się to opowiadanie, w którym ja i móździerz byliśmy bohaterami. Właściwie różniliśmy się tem tylko, że mnie przyniósł bocian za darmo, a za móździerz trzeba było zapłacić. Nic więc dziwnego, że istnienie tego móździerza uważałem jako ważniejsze aniżeli moje własne, zwłaszcza patrząc na poszanowanie, jakiego stale używał, podczas gdy ze mną różnie bywało i wówczas i potem. . . .

Żelazko także nader rzadko zstępowało z wyżyn półki na poziom naszego codziennego życia. Matka prasowała niem tylko półkoszulki niedzielne ojca i swoje tiulowe czepki; reszta bielizny szła pod maglownicę. Raz nawet o to żelazko pogniewała się matka ze stróżką, która je od nas pożyczyć chciała.

— Moja pani! — powiedziała jej matka bardzo stanowczym głosem. — Taki “porządek” to nie na pożyczki, nie na ludzkie ręce! . . . To kosztuje! . . . To raz na całe życie sprawunek! . . .

Wszyscyśmy przecie pamiętali, jak na to stróżka drzwiami trzasnęła, jak w sieni język rozpuściła, i jak się matce z gniewu i z oburzenia ręce trzęsły, kiedy nam w chwilę potem chleb na śniadanie krajała. Od tej też chwili żelazko niezmiernie poszło w górę w mojem rozumowaniu. Zaliczyłem go nawet w myśli do tych rzeczy, które są raz na całe życie, jak chrzest naprzykład, bierzmowanie i granatowy płaszcz, o którym ojciec też mówił, że jest raz na całe życie. A teraz, patrzcież państwo, Felek tak o żelazku mówił, jakby to była warząchew, albo stara miotła.

Spojrzałem na ojca; byłem pewny, że się Felkowi po uszach oberwie. Ale ojciec oczy w ziemię wbił, skubał wąsy. Dobrze jeszcze, że matka spała na tę chwilę.

Tego dnia nie latałem po mięso dla matki. Kości mi tylko ojciec za trojaka kupić dał i krupnik z nich uwarzył.

Nazajutrz przyszedł zziębnięty i zacierając skostniałe ręce, od proga zawołał:

— Ciesz się, Anulku! Wisła tylko patrzeć jak puści, bo się wiatr na zachód obrócił.

Ale matka, spojrzawszy na ojca, klasnęła w ręce i aż na pościeli siadła.

— Filip! — krzyknęła — a kozuch?

Teraz dopiero zobaczyłem, że ojciec bez kozucha wrócił.

Nie miałem jednak czasu wielce się rozglądać, gdyż ojciec Piotrusia za ręce chwycił i siarczystego młynka z nim wywinął. Potem głośno się rozśmiał, Piotrusia puścił i na łóżku matczynem siadłszy, śmiał się, aż mu łzy po twarzy zczerniałej pociekły. Otarł je prędko rękawem starego spencerka.

— I cóż, Anulku? Jak ci tam? . . . — zapytał.

Ale matka, na poduszki opadłszy, leżała jak nieżywa.

— Filip! — szepnęła wreszcie z wyrzutem. — Co ty? . . . Kozuch sprzedał? . . .

— Kozuch! Kozuch! — powtórzył ojciec. — No i cóż kozuch? . . . Wielka parada kozuch! Dość go się nadźwigałem przez tyle czasu. A to ciężki, psia noga, jak młynarskie sumienie. . . . Aż lżej człowiekowi, że go z siebie zrzucił!

A gdy matka jęknęła z cicha, po włosach ją pogładził ręką i dodał:

— A też z ciebie, Anulka, krzywe drewno, że lada czego stękasz. . . . Był kozuch, niema, ta i straszna historia! Cóż to? Da mi kozuch jeść, albo za mnie komorne zapłaci, albo co? Wiosna za pasem, tylko patrzeć jak rzeka puści, a ja się tam będę w kozuchy fundował. . . . A to, poczekawszy i w spencerze za gorąco będzie,

jak się robota otworzy. . . .

Tego dnia znów był u nas pan doktor i znów do apteki biegałem.

— Zimno tu jakoś — mówił pan doktor wychodząc — i wilgoć czuć. Trzebaby lepiej palić. . . .

I wstrząsnął się, otulając krótkim futerkiem. Ojciec słuchał ze spuszczoną głową. Cały ten dzień był ojciec bardzo wesół; ale równo musiało mu coś być, bo jak tylko matka nie patrzyła na niego, odmieniał się na twarzy, zwieszał głowę, a oczy to mu się z siwych aż czarne robiły, taką w nich żałość miał.

Całe pół puda węgla kupiliśmy na odwieczarz w sklepiku i ogień tak był, że aż huczało w piecu. Ojciec ławę przysunął do naszego siennika i siadł sobie na niej, matka też się obróciła, żeby na ogień patrzeć i takeśmy się wszyscy wygrzali, że to ha!

Upłynęło znów ze dwa tygodnie. Ojciec niewiele co zarobku miał; a to i w domu roboty było dość; tu szmaty upierz, tu strawę uwarz, choć się tam i niezawsze warzyło, zawsze nie jedno to drugie, a z nas to najwięcej posyłka jaka. . . . Matce też nie było ni lepiej, ni gorzej; wyschła tylko strasznie i na twarzy zbielała, jak chusta; ciężkie kaszle też na nią przychodziły coraz częściej, osobliwie na świtanie.

Zagładały czasem sąsiadki do izby, dziwując się matce, że taka zmizerowana.

— Żeby już albo w tę, albo w tę stronę pan Jezus dał! — mówiła gwoździarka do ojca.

— Tfu! — splunął ojciec. — Co tam pani takie rzeczy będzie gadała? Cóż to, przykrzy mi się, czy co? Czy my to tylko na zdrowe czasy przysiągali sobie, a na te chore to nie? Czy to ona przy kim, nie przy mnie, nie przy moich dzieciach zdrowie straciła? . . .

I na tem się skończyło.

A mróz trzymał. Choć się i wiatr na zachód obrócił, zimnisko takie było w izbie, że aż para szła. A zelzało trochę pod wieczór, to znów śniegiem miotło tak, że świa-

ta widać nie było. Piotruś to już i do ochronki nie szedł, tylko za piecem, albo w nogach matczynego łóżka siedział, taki delikacik! A my z Felkiem piguły ze śniegu robili i walili w siebie na rozgrzewkę.

Jakoś się jednego dnia nie paliło w piecu. Ojciec matkę przyodział derką, a mnie do sąsiadki posłał po kawałek cukru do ziółek. Ale sąsiadka nie miała. Otworzył tedy ojciec do kufierka, czy jeszcze gdzie nie wytrząśnie jakiej okruszyny, bo matka kaszłała tak, że aż się w pierśsiach coś rwało. Zaraz my we trzech obstąpili ojca, bo w kufierku bywały różne rzeczy, któreśmy rzadko kiedy widywali. Były w pudełku brzytwy ojca, były w drugim korale matczyne, była czarna jedwabna chustka, co ją ojciec w wielkie święta na szyję wiązał; była szuba matczyzna z czerwoną podszewką, była żółta serweta w kwiaty na stół, była kapa na łóżko z zielonego persu.

Ale tym razem zupełnie się zawiedli; kuferek był pusty. W kątku tylko, w czerwoną chusteczkę związana, leżała kawalerska harmonijka ojca. Ojciec potrącił ją raz i drugi, szukając odrobiny cukru, jakby się bał ją podnieść i usunąć z kątku. Brzękła i umilkła. Ale Felek już wsadził rękę do kufierka.

— A harmonijka, proszę ojca! — krzyknął, podnosząc czerwone zawiniątko. — Nie możnaby harmonijki? . . .

— Felek! . . . — zawołała matka słabym głosem z łóżka.

Ojciec się zaczerwienił. Felkowi chustczynę z harmonijką odebrał i włożywszy do kufierka, zamknął go na klucz.

Tego dnia bardzośmy długo śniadania nie jedli; a obiadu, to też nie było. Myślałem, że mnie ojciec choć po chleb pośle, ale nie. Piotrusiowi tylko dostała się wczorajsza kromka. Poszliśmy z Felkiem do sieni w klasy grać, bo nam się dłużyło jakoś. Druga już może była, albo i trzecia, kiedy matka zawołała mnie do łóżka i rzekła zmęczonym, przerywanym głosem!

— Wpadnijno Wicus do maglarki na Szczyglą —

wiesz? . . .

— Ojej . . . Co nie mam wiedzieć. . . . Pod trzeci. . . .

— Pod trzeci — powtórzyła matka. — To porządna kobieta, może kupi żelazko. . . .

— Żelazko? . . . — powtórzyłem, niepewny, czy dobrze słyszę.

— Tylko, żeby dopiero zmierzchem przyszła, żeby w podwórzu stróżka nie widziała. . . . No idź. . . .

Chwyciłem czapkę, kiedy mnie zawołała raz drugi:

— Wicuś! . . .

Ale kiedym podszedł, popatrzyła na mnie i rzekła:

— Nic już, nic! Idź. . . .

Byłem we drzwiach, kiedy mnie zawołała raz jeszcze.

Była w pół podniesiona na łóżku, zapadłe jej oczy otwarte były szeroko.

— I mózdzierz . . . — szepnęła tak cicho, żem dośłyszał ledwie.

Skamieniałem. Doznałem wrażenia, jakby mnie samego sprzedawać miano.

— Moździerz? — powtórzyłem szeptem, nachylając się ku twarzy matki.

Dyszała ciężko, nierówno, w piersiach słychać było świst ostry. Nie odpowiedziała nic, tylko mnie przytrzymała za rękę. Dłoń jej była zimna, wilgotna. Dwa czy trzy razy otworzyła usta bez głosu, poźółkłe jej czoło potem się okryło.

Chwyciła powietrza głębokim do westchnienia podobnym oddechem.

— I rondel . . . — szepnęła z wysiłkiem.

— Rondel? . . . — rzekłem równie cichym głosem.

Skinęła tylko ręką, głowa jej opadła na poduszkę, oczy się przymknęły.

Wyleciałem jak oparzony, trzymając czapkę w garści. W sieni spotkałem Felka.

— Słysz, ty — krzyknąłem mu w ucho. — I rondel, i mózdzierz, i żelazko, wszystko ci het sprzedajem!

— Siarczyste! — rozśmiał się Felek, i wyskoczył w górę na tę uciechę, trzasnąwszy się dłońmi po udach. Ten skok, to była najlepsza sztuka w całym repertuarze jego. Nigdy mu w nim dorównać nie mogłem. Rzucił się w powietrze tak łatwo, jak ryba w wodę. Zaraz też we dwóch poleciliśmy na Szczyglą, bo Felek ambitny był, i nigdy mi o włos przed sobą nie dał.

Ale maglarka nie chciała wielce ze mną gadać. Powiedziała, że jej rondel niepotrzebny a moździerz i żelazko ma swoje. Wyszliśmy oburzeni.

— Dzisz babę! — krzyknął Felek. — Rondel jej niepotrzebny! Taki rondel, jak nasz, i jej niepotrzebny.

Z błyszczącemi oczyma czekała matka; a gdym jej o skutku naszej wyprawy powiedział, westchnęła, jakby doznawszy wielkiej jakiej ulgi.

Przed wieczorem jednak znów mnie zawołała i kazała biec po "handla." Wylecieliśmy obaj z Felkiem, uszczęśliwieni, że się jeszcze ta sprawa nie kończy. "Handel" przyszedł, obejrzał żelazko, obejrzał moździerz, obejrzał rondel, i wykrzywiwszy wzgardliwie usta, powiedział, że to wszystko na szmelc tylko chyba. Żelazko przepalone, moździerz mały, rondel cienki i nitowany z boku. . . . Za trzy te sztuki razem dawał dziesięć złotych.

Porwała się matka i na łóżku siadła.

— Co? . . . Dziesięć złotych? . . . Sam moździerz kosztował pięć złotych i trzynaście groszy! A żelazko! . . . A rondel!

— Nu, na szmelc . . . — zaczął "handel."

Ale nie dopuściła go do słowa, i trzęsącą się ręką drzwi mu pokazywała.

— Idźcie! . . . Idźcie! . . . Niech was moje oczy nie widzą! . . . Nie wy jedni na świecie. I posłała nas natychmiast po innego "handla", po Rudego, co od nas stół ostatni kupił.

Lubiliśmy bardzo tego żydka, bo koncepty różne, kupując ów stół, prawil, a za odniesienie go na drugą ulicę, mnie i Felkowi po orzechu dał. Prawda, że Felków był

dziurawy, ale cały dzień na nim gwizdał, że to niby kolej odchodzi. Polecieliśmy tedy po Rudego. Szwargotał na rogu przed sklepikiem z tym pierwszym, który od nas wyszedł. Zaraz jednak worek z butelkami na plecach poprawił i za nami poszedł.

Ale obejrzawszy móździerz, rondel i żelazko, dawał za nie tylko dziewięć złotych i szesnaście groszy; mówił też, że móździerz to się i na szmelc nie zda. Matkę aż febra trzęsa, i choć się ruszyć prawie nie mogła na łóżku, wyrwała przecież Rudemu rondel i puściła go na ziemię. Jęknął jak dzwon rozbity.

Dziwnego wrażenia doznałem, słuchając tego jęku. Zdawało mi się, że jęknęły węgly naszej izby.

Matka zasłoniła oczy i zaczęła płakać.

Nim wieczór przyszedł, było u nas jeszcze z pięciu "handłów"; ale co jeden to mniej dawał; choć o dwa, o trzy grosze, ale mniej. Szwargotali, kłócili się między sobą, wyrwali sobie nasz móździerz i nasze żelazko, hałas był większy, niż na Pociejowie.

Felek tylko mnie poszczypywał z tej uciechy.

— To ci heca! — wołał, dusząc się od tłumionego śmiechu, i dla ulżenia sobie wywinął pysznego kozła.

Powynosiły się nareszcie żydy, zaduchu w izbie narobiwszy; rondel, żelazko i móździerz stały rzędem przy matce na ławie. Patrzyła na mnie wzrokiem smutnym, zmęczonym, osłupiałym prawie. Ale gdy mróz coraz większy na noc brał, a Piotruś, zwyczajnie bąk niewytrzymały, piszczeć zaczął, że mu zimno, że głodny, kazała mi matka bieżeć do stróżki i zapytać, czy żelazka nie kupi.

Ale stróżka nie zapomniała widać owej matczynej odmowy. Odęła się też zaraz jak karmelicka bania.

— Jak będę miała kupować, to se nowe kupię! Co mi tam po starym gracie!

Kiedym to powtórzył matce, ognie uderzyły na nią.

— Nie, to nie! — zawołała głosem, drżącym z gniewu. — Widzicie ją! Grat! . . . stary grat! . . . Jaka pani! Jak pożyczyc, to jej było dobre, a jak kupić, to

stary grat! Poczekaj ty flądro . . . jędzo. . . .

Zakaszła się i za piersi chwyciła, ale jej nie było co popić dać, bo ziółka dawno wyszły.

— A to ci tyjatr! . . . — szepnął Felek, szczypnąwszy mię do bolącego.

— Wicuş! — odezwała się matka przerywanym głosem — biegajno do tego najpierwszego “handla”, co dzie sięć złotych dawał. Do tego czarnego, wiesz? Niech przychodzi. — I przymknąwszy zmęczone oczy, szeptała:

— Za psie pieniądze przedam, zmarnuję, a tobie, jędzo, flądro jedna, wara od starych gratów na ludzki dobytek wydziwiać. . . . Nie użyjesz! Nie użyjesz!

I umilkła wyczerpana zupełnie.

Felek aż się piętami po łydkach bił, tak ze mną po żyda leciał. Myśleliśmy, że go Bóg wie gdzie szukać przyjdzie, a on prawie wprost naszej bramy stał, ręce za pas u chałata założył i bokami spluwał. Zupełnie jakby czekał na nas. Kiedy Felek podleciawszy szturchnął go w łokieć, błysnęły mu oczy zmrużone jak kotu i pociągnął nosem. Poszedł za nami prędko, skwapliwie. Ale i on teraz więcej dać nie chciał, jak “równe dziewięć złotych”. To “równe” mówił takim głosem, jakby do owych dziewięciu złotych przynajmniej z pół rubla dokładał.

Matka znów się zapaliła na twarzy.

— Człowieku! — krzyknęła. — A toćże tego nie u było! A toćżeście pierw dziesięć złotych dawali. A toćże to samo!

— Nu, to co, że to samo? — odrzekł flegmatycznie “handel.” — Ja się namyślał. . . .

— Dajciez już tak dziesięć złotych, jakeście dawali. . . . Miejciez sumienie! . . .

— Nu, ja sumienie mam! Żeby ja sumienie nie miał, toby ja ośm złotych dał, a że ja sumienie mam, to ja dam równe dziewięć.

— A żeby was Bóg ciężko skarał za moją krzywdę — jęknęła matka.

— Co to skarał? — szarpnął się “handel.” — Za co

skarzał? . . . Czy ja darmo chcę wziąć? Czy ja plewy daję? Nu, ja daję gotowe pieniądze.

Matka już nic nie odpowiedziała, twarz jej była tak białą, jak krążek opłatka. Kiedy żyd liczył pieniądze, Felkowi oczy latały za każdą dziesiątką. Co tylko która była choć trochę starta, natychmiast ją z szeregu wyrzucał, krzycząc, że fałszywa. Żyd sykał z początku, potem rozczzerwienił się tak, jakby go apopleksja tknąć miała, zamierzył się raz nawet na Felka, doprowadzony do ostatniej pasji, aż nagle uśmiechnął się, dobył z kamizelki grosz dobrze zczerniały, i podając go Felkowi, rzekł:

— Nu, ty mądry chłopiec! Ty urzędnikiem będziesz! Na tobie na piernik!

Ale Felek grosza nie brał.

— Tu, patrzcie, gdzieście nie dołożyli trojaka — rzekł stukając palcem w kupkę groszaków, mającą przedstawiać złotówkę. Tu dołóżcie, a mnie nie zawracajcie piernikami głowy.

Żyd cmokał coraz silniej z podziwu.

— *A kluger Bub* — szepnął sam do siebie

Nareszcie doliczyli się jakoś, żyd z łoskotem żelazko, moździerz i rondel do brudnego worku wrzucił, a mnie matka posłała po węgle i po chleb.

Kiedy ojciec przyszedł, palił się już w piecu ogień, a my popijaliśmy kolejno wodziankę z żelaznego garnczka.

Ojciec w progu przystanął, popatrzył na ogień, na nas, potem po izbie spojrział, a kiedy wzrok jego zatrzymał się na opróżnionej półce, spuścił oczy i na palcach do łóżka matczynego poszedł.

Niedługo jakoś potem zelżało. Ogromny huk pękających lodów na Wiśle słychać było nocami. Węgiel jednak ciągleśmy jeszcze kupowali, bo wilgoć w izbie była taka, że się po ścianach sączyło.

Stancja nasza wypróżniła się do czysta.

— Na glanc . . . — jak mówił Felek.

Poszła gorsza matczyzna suknia, poszedł zegar, poszła balia, a kiedy i płaszcz ojca granatowy poszedł, straciłem

zupełnie wiarę w te rzeczy, które są "raz na całe życie", zwłaszcza po niedawnym doświadczeniu z żelazkiem.

Chodziliśmy teraz po pustej izbie, jakby po kościele, a Felek hukał, złożyłwszy przy ustach dłoń, żeby mu echo odpowiadało. Pan doktor wszakże przychodził do matki, a i do apteki latałem. Garnek żelazny też jeszcze był, aleśmy rzadko kiedy obiad gotowali; uwarzyło się ziemniaków na rano, to i na wieczór były, a w południe tośmy latali za kotami gospodarza, bo okrutnie po dachach wrzeszczały.

Jednego razu ojciec u kufierka na ziemi przysiadł, otworzył go i długo medytował nad nim.

A była tego dnia duża odwilż, z dachów ciekło, wróble się darły, a słońce pierwszy raz tej zimy do naszej suteryny zajrzało. Ale matce było znowu gorzej. Całą noc kaszel ją męczył, a pić to wołała więcej niż pięć razy. Lekarstwa nie było. Felek wspiął się na palce i ojcu przez ramię patrzył. Myślał, że Bóg wie co zobaczy, a tymczasem nic. Ojciec tylko głową kiwał, wąsy skubał, i patrzył w milczeniu na czerwone, leżące na dnie zawiniątko. Sięgnął wreszcie po nie, harmonijkę wyjął, i siadłszy na matczynem łóżku, grać zaczął.

Matka ożywiła się nieco, słuchając, kazała sobie Piotrusia podać do łóżka, a i my stanęliśmy w pobliżu, słuchając.

Zrazu grał ojciec wesoło, a grając, tak mówił do matki:

— Pamiętasz, Anulko, Bielany? Pamiętasz, jak my się to poznali? Jakem ci to przygrywał idący?

— Pamiętam, serce — rzekła matka z cicha.

— Albo to, pamiętasz? . . . To ci było w Trójcę, na odpuszcie, na Solcu. . . .

— Pamiętam — szepnęła matka.

— Tęgi sztajer! — mruknął do mnie Felek, szturchnąwszy mnie pod zebro.

— Miałaś wtedy tę różową w kratkę suknię i okrutnie mi się potem bez ciebie cniło, coś ze trzy dni — mó-

wił ojciec miękim głosem. — A to, Anulka? . . .

— Tego nie wiem. . . .

— Jak nie wiesz? . . . To przecie było na Woli, co my tam ze szwagrem poszli, com to kuflem cisnął w tego Niemca, że się do ciebie przysiadł. . . .

— A prawda! — szepnęła matka.

Ojciec grał dalej. Harmonijkę na kolanie trzymał, rozciągał ją i zesuwał, a po kłapeczkach drobniutko palcami przebierał.

Jak żyję, nie słyszałem piękniejszej muzyki.

— Anulka! A to? . . . Jakże? . . .

— Pamiętam, Filipku! — mówiła matka — to było tej niedzieli, kiedyś na zapowiedzie dał. W Czerniakowie my byli z nieboszczką matką. . . .

— Po miesiącuśmy już wracali — dodał ojciec. — Graliśmy w zielone . . .

— A jak wtedy bez pachniał. . . . A co słowików śpiewało . . .

— A jaka ty wtedy śliczna była. . . . Jak ta róża w kwiecie. . . .

Felek szturchnął mnie w zebro.

— A jak ty wtedy grał, serce . . . Jak ty grał. . . .

Uśmiechnęła się, westchnęła, zdawała się zasypiać.

Ojciec i teraz grał ślicznie. Z początku wesoło, raźnie, jak gdyby do tańca, same nogi nam podrygiwały. Potem, jakby się do tej wesołości co przymieszało, coraz smutniej, coraz smutniej, jakoby do płaczu, tak że i Felek pięścią oczy raz i drugi wytarł; aż rozciągnął ojciec harmonijkę razem ze stron obu i dobył z niej głos tak żalony, jak na organach, kiedy umarłemu grają.

Matka spała. Często na nią teraz przychodził sen taki, jakby nagle kto makiem oczy jej posypał. A budziła się potem osłabła, blada, z zimnym potem na wychudłej twarzy.

Posiedział tedy ojciec ze zwieszoną głową, posiedział, poczem westchnąwszy, wstał, harmonijkę w ową czarną chustczynę owinął, pod pachę ją wsadził, a nasunąwszy

czapkę, na palcach wyszedł.

Kiedyśmy się we trzech na sienniku pod matczyną chustką znaleźli, trącił mnie Felek w bok i rzekł półgłosem:

— Wicek!

— A co?

— Wiesz? . . . Stary to ci płakał przy tem graniu!

— E-e-e? . . .

— Dalibóg! — przysiągł Felek, palnawszy się pięścią w piersi, aż mu w nich coś jętkło. — Przecieżem nie ślepy, widziałem. . . . Tylko mu te łzy po wąsach kipiały. . . .

— A cóż chcesz! — dodał po chwili — jak sobie człowiek tak wszystko jedno po drugim rozpomni. . . .

Westchnął ciężko, poleżał chwilę cicho i na bok się do pieca odwrócił; zaraz potem usłyszałem jego chrapanie. Ojciec tego wieczora późno do domu wrócił, ale przyniósł matce lekarstwo, ogień rozpałił i zrobił herbaty. Długo tej nocy usnąć nie mogłem, a w głowie ciągle mi coś grało to smutno, to wesoło. Śniły mi się też różności do białego rana. A to, że ogród jest w izbie, i że bez na piecu kwitnie, a to że w sieni słowiki śpiewają, a to że na ścianie, tam gdzie dawniej zegar wisiał, teraz stoi srebrny księżyc w pełni. . . .

Kiedym się obudził, Felek już stał na sienniku i zapinał pasek na opadających go porciętach. Przez otwartą, srodze połataną koszulę sterczały mu wychudzone żebra, z kołnierza wychylała się szyja cienka jak u wróbla i niezmiernie chude nogi czyniły go znacznie wyższym niż był w istocie.

— Felek! — zawołałem. — Cóżes ty tak jak tyka przez ten miesiąc urósł?

— Głupi! — rozśmiał się Felek. — Ja tylko się wyciągam, żeby brzuch mniejszy był.

Wyciągnął się przede mną jak struna.

— A co? — zapytał.

— A to wyglądasz, jak śledź marynowany.

— To dobrze! — zawołał Felek. — Walę na pajaca.

A kiedym się śmiał.

— A co? — rzekł — zły chleb, myślisz?

I trzasnąwszy się rękami po udach, w górę wyskoczył, kozła w powietrzu przewrócił, poczem na cztery łapy, jak kot, cicho padł.

— Wiesz? — rzekł — to przez tego pędraka takem się wyciągnął — i wskazał głową na Piotrusia, który zwykle najwcześniej się budził, i do garnka patrzeć szedł, czy tam czego od wczoraj nie znajdzie.

— Jak idziem do ochrony — mówił dalej Felek — to ci całą drogę skomle, że głodny. Muszę ci mu codzień pół mego chleba fasować, żeby cicho był.

— E-e-e? — zapytałem niedowierzająco, czując, że jabym się może na bohaterstwo takie nie zdobył.

— Jak Pana Boga kocham! — przysiągł się natychmiast Felek, grzmotnąwszy się kułakiem w suche, jak szczapa piersi.

I patrząc na Piotrusia, który na swoich krótkich, pałkowatych nogach, z dużym, rozdętym ziemniakami brzuchem przez izbę się toczył, wybuchnęliśmy obydwaj szalonym, niepowstrzymanym śmiechem.

— Czego wy się tam tak śmiejecie, chłopcy? — zapytała słabym głosem matka.

— A to z Piotrusia — odrzekł Felek — że taki gruby. . . .

— Gdzie on tam gruby, biedaczysko! Z czegożby on był gruby! — mówiła matka. — Piotruś! — dodała. A pójdźże do mamy, sieroto.

I uśmiechnęła się do niego, głaszcząc go po głowie, podczas kiedy my obaj dusiliśmy się od śmiechu z tej "hecy" — jak mówił Felek.

Wesołość nasza jednak wkrótce zasepioną została.

— Wiesz co, Anulku? — rzekł tego dnia ojciec, siadając na matczynem łóżku. — Trza będzie chyba szkapę między ludzi puścić.

— Szkapę? . . . — zawołała matka, i aż się na łóżku podniosła. — Bój się Boga, Filip! A toć nas ona wszyst-

kich żywi! . . .

Ojciec się ciężko na rękę wsparł i wąsy w milczeniu skubał.

— żywi, albo i nie żywi! — odezwał się po chwili. — Z kacierzem*) na rzecz się nie pokaz, woda rwie tak, że to ha. Koło żwiru nijakiej roboty niema, piasku też licho co odchodzi, na plecachby to człowiek rozniósł, a tu na każdy dzień sieczki kup, a i otrąb choć z garstkę, boć to owsa nie увидzi w żłobie; tera pomieszczenie, tera ściółka, a wszystko drogo.

Matka jęknęła tylko.

Struchleliśmy, słuchając. Piotruś oczy na ojca wytrzeszczył i otworzył usta; ja stałem jakby skamieniały.

Dopiero Felek taką mi sójkę w bok wsadził, że mnie aż zamroczyło.

— Słyszysz, Wicek! — krzyknął mi w samo ucho.

— A tożem nie głuchy — huknąłem mu w ucho głośniej jeszcze. I zaraz my wylecieli do sieni, bo nas taka żałość zdjęła, że tylko się za łby drzeć.

Szkapę kochaliśmy niezmiernie. Jak tylko zapamiętam na świecie, zawsze był ojciec, matka i szkapa. Felka potem dopiero bociany przyniosły, Piotrusia także; ale szkapa należała do rzędu tych istot, które są zawsze. Są, bo są. Wyobrazić sobie poprostu nie mogłem ani jej początku, ani też jej końca. Szkapa należała do nas, a my do niej; ani my od niej, ani ona od nas nie mogła się odłączyć. Było to tak naturalnem, że m zgoła nie pojmowałem innego porządku rzeczy. Kogoby tam brakło w naszej gromadce, toby brakło, ale nigdy szkapy. Toć to była cała nasza uciecha.

Kiedy ojciec z rzeki do domu wracał, wybiegaliśmy — gdzie! aż wpół drogi, byle prędzej szkapę zobaczyć. Co który miał, to jej niósł i do pyska wtykał: kawałek chleba, ziemniak, znalezionej w podwórzu skórkę z cytryny. . . .

*) "Kacierz" — sito z żelaznego drutu na długim dragu, przy dobywaniu żwiru używane.

I szkapa nas kochała bardzo. Zdaleka już rzała ku nam i przyśpieszała kroku, strzygąc radośnie uszami; a kiedyśmy ją po szyi, po bokach klepali, rozumiała wybornie tę pieśczętę i, zwiesiwszy łeb swój ciężki, skubała nas po włosach, po kurtkach. Piotruś zwłaszcza był jej ulubieńcem; poprostu rzała na ojca, żeby go wziął z sobą.

Kiedy ją ojciec wyprzągnął, zaczynała się dopiero heca. Natychmiast Felek wskakiwał na jej grzbiet kościsty, od starego chomąta obdarty, i podczas kiedy szkapa zanurzała swój łeb ogromny w głębinach uwiązanego jej u karku worka z chudą sieczką, on, przyklękawszy na jedno kolano, lub stanąwszy na jednej nodze, wywijał czapkę i krzyczał:

— A to jest sławny jeździec z suteryny, co nigdy nie traci miny! Nazywa się Feliks Mostowiak, herbu gnat! Je chudy, ale chwyt! Kto da więcej? . . .

Na to “kto da więcej” — wybuchaliśmy tak piekielną wrzawą, że aż ludzie wybiegali z oficyn.

Po Felku gramolił się na szkapę Piotryś; aleśmy go ledwie podsadzić mogli, tak go przeważała rozdęta brzuszyna. Szkapę z Piotrusiem oprowadzaliśmy w triumfie po podwórzu, nie dawszy jej spokojnie sieczki owej spożyć, a Felek znów wywijał czapkę i wrzeszczał:

— A to jest Piotruś herbu szczur! Ma dwie łaty i osiem dziur! Dwóch zębów niema na przedzie i na szkapie jedzie! . . . Kto da więcej? . . .

Skąd on tu to “kto da więcej” przyczepił, nigdym odgadnąć się mógł; Felek sam utrzymywał, że to już tak jedno do drugiego pasuje. I znów wybuchaliśmy szatańską wrzawą, jakby nas nie trzech, ale ze trzydziestu było.

— Przypatrzta się moi ludzie — mówiła, stojąc we drzwiach tłusta skepikarka — co też te bestie chłopaki Mostowiaków nie wyprawiają z tą kobyłą! A toć to czyste małpy z “meranzieryi.”

I chwytiała się za boki, trzęsąc od śmiechu, aż jej oczy w tłustej twarzy zupełnie ginęły.

— Oj batem, batem! — skrzeczała ojcu, albo: “po-

wiem mamie”, albo: “powiem szkapie”. Tej pogróżki nie lekceważyliśmy bynajmniej; i często gęsto dostał Piotruś jaki kąsek, szczególnie od Felka, byle tylko “nie powiadał szkapie”.

Nie mogliśmy bowiem znieść, kiedy tak patrzyła na nas smutnie jednym okiem swoim, podczas kiedy na drugim, ślepem i zbiełałem, powieka o siwej rzęsie podnosiła się i opadała zwolna, jak gdyby z wyrzutem. . . .

— Słysz, Wicek! — mawiał Felek. — Co ta szkapa takiego w tem ślepiu ma, co tak świdruje? . . . A to-bym ci wolał, żeby mnie ojciec paskiem przemierzył, niż kiedy ona tak patrzy. Do samego ci “honoru” człowiekowi sięga. . . .

Szkapę czyściliśmy codzień. Ale nigdy nie obeszło się przy tem bez bijatyki o szczotkę i zgrzebło. Cośmy jej wtedy sierści nadarli! cośmy naplątali grzywy! Stała jednak szkapa cierpliwie, zmrużywszy zdrowe oko, i tylko od czasu do czasu machała wypełzłym ogonem, jakby się oganiała od bąków.

Zaraz po Wielkiej-Nocy zaczynało się pławienie szkapy. Jeszcze woda zimna była jak lód, a my już zawijamy porcięta i dalej do rzeki. Jaki to był triumfalny pochód! Chłopaki z całej ulicy chcieli z nami lecieć, aleśmy ich odpędzali biczem.

Dopieroż szkapę wodą chlustać, dopieroż jej pęciny i boki wycierać, dopieroż jej wygwizdywać, jakieśmy to u ojca słyszeli. Największa bieda była, kiedy szkapa dla uwolnienia się od nas i naszej opieki, parę kroków w wodę dalej poszła.

— Utopi się! utopi! — wrzeszczał Piotruś i aż siniał i przysiadł na ziemię, obu się rękami brzucha własnego trzymając. Brnęliśmy tedy po nią i za ogon ku brzegowi ciągnęli, poczem zziajani, zmęczeni wracaliśmy do domu, szkapa naprzód, my za nią, mokrzy, ociekający wodą, jak topielcy.

I tę to naszą kochaną szkapę ojciecby sprzedać miał?

Było to w naszym rozumieniu coś, jakby skończenie świata.

Zaraz też, wyleciawszy do sieni, palnąłem Felka w ucho, on mnie na odlew w kark, ja znów nie bawiący grzmotnąłem go w plecy, on znów mnie pięścią w bok, aż mi świeczki w oczach stanęły. Zaczem my się obaj za czupryny chwycili i splątali jak kłębek, potoczyli razem do progu. A taka w nas żałość była, taka z tej żałości srogość, że żaden pary nie puścił, nie pisnął nawet.

Zaraz też nam się po tej "dzierce" lżej na sercu stało.

Jużeśmy do izby wrócili, bo zimnisko ze dworu gnało, a ojciec precz jeszcze perswadował matce:

— Tera ci się za nią siaki taki grosina weźmie; a jak przychudnie, boć już i sieczki ujmuję, to kto co za nią da? A cóż, Anulka! Jak se myślisz, serce?

Matka westchnęła ciężko.

— I cóż ja se mam myśleć mój Filipie? . . . Myślę, że nas Bóg ciężko dotknął tą chorobą. Myślę, zem ci się kamieniem u szyi stała, i do dna cię ciągnę. . . . O tych sierotach myślę. . . .

Zakryła oczy ręką i zaszlochała głośno. Ojciec całował ją po głowie.

— Anulka! . . . Serce! . . . Anulka! . . . — powtarzał, aż nagle sam ryknął płaczem.

— Siarczyste! . . . — mruknął za mną Felek, wycierając oczy kułakiem.

Kilka dni minęło, a o sprzedaniu szkapę nie było ja-koś mowy.

Matka miała się coraz gorzej. Jej ciężki, chrypiący kaszel z twardego snu dziecięcego po nocach nas budził. Raz wraz też zasypiała we dnie, i mimo że się nagle ciepło na świecie zrobiło, febra ją chwilami trzęsła, aż zęby szczykały. Ojciec chodził po izbie zgarbiony, żółty, jakby mu z dziesięć lat życia przybyło, a rękę na nas twardą miał i o byle co do czubów nam sięgał, ale żeśmy się tam wiele nie nastreczali, dużą część dnia spędzając w stajence.

Od kiedy zagroziła nam możność utracenia szkapę,

stała się nam ona podwójnie drogą. Rozrzewniało nas teraz każde jej parsknięcie, każde ruszenie ogonem.

— O . . . je! — wołał Piotruś, wpatrzony w nią z zachwytem, gdy zanurzała w żłobie łeb swój wielki, a podniósłszy go, żuła gołą sieczkę, mrużąc zdrowe oko.

— O . . . pije! — wołał, gdy łeb wsadzała do starego wiaderka, aby żłopnąć raz i drugi wody, którąśmy jej przynosili własnoręcznie.

Ja i Felek siadaliśmy z obu jej stron na żłobie, i machając nogami, przyglądaliśmy się całemi godzinami, każdemu jej ruchowi.

Ziemniaki nawet, któreśmy teraz już codzień bez okrasy mieli, tuśmy przynosili, aby razem ze szkapą obiad jeść, chociaż dzielić się z nią nie było czem, bo nam samym jakoś się coraz szczuplej dostawało.

Weselej też było w stajence niż w izbie, bo słońce w same zęby świeciło tu nam przez drzwi na ścieżaj otwarte, a do suteryny od naszego kąta, jak rok długi nie zajrzało nigdy.

— Ależ tu zimno u was! — mówił pan doktor, zachodząc do matki. — I wilgoć straszna! Powinniście się postarać o suchą i ciepłą izbę dla żony — dodawał, gdy go ojciec wyprowadzał do sieni — żona wasza nie może w takiej izbie leżeć. Powietrze fatalne, zgniłe, żadnej wentylacji, żadnego światła. Powinniście przecież dbać o kobietę, kiedy chora. Z nią coraz gorzej i musi być gorzej w takich warunkach.

Ojciec gryzł wąsy i milczał ze spuszczoną głową.

— Mlekaby też jej trzeba świeżego, mięsa, wina kielišek czasem. . . . Tu lekarstwa nic nie poradzą, tu dietę trzeba posilną prowadzić. . . .

Poszedł już, już i na drugą ulicę skręcił, bom patrzył za nim, a ojciec precz jeszcze w sieni stał, w ziemię patrzył i wąsy gryzł.

Aż nagle się poruszywszy, koszulę na piersiach szarpnął, woreczek ze szkaplerzem rozerwał, i dobywszy z niego srebrny pieniądz z Matką Boską, mnie po węgle i po

mleko posłał, przykazując, żebym nie powiadał matce, jak i skąd.

Nazajutrz w południe zabieraliśmy się właśnie do przedstawienia i już się Felek na szkapę gramolił, gdy nagle ojciec do stajenki wszedł, a za nim pan Łukasz Smolik, chrzestny Piotrusia naszego, dorożkarz z Pragi. Zaraz mnie coś tkło, więc szturchnąłem Felka i obaj stanęliśmy jak trusie.

Pan Łukasz, próg przestąpiwszy, bat swój w kącie postawił, ogromny kościsty nos w połę kapoty granatowej utarł, i wyciągnąwszy chudą długą szyję, tabakę zwolna zażywał. Człowiek to był już stary, wysoki i dobrze zgarbiony; oczki miał małe, czarne, świdrowate, brwi krzaczaste, i chudy zarastający od spodu podbródek. Pod jego kościstym nosem sterczały żółte, saperskie wąsy, którymi, biorąc tabakę, jak królik poruszał. Z pod wielkiej granatowej czapy wyglądały sine, białawym puszkciem porośnięte uszy, z których prawe ozdobione było srebrnym kolczykiem. Do nas zaglądał pan Łukasz rzadko, choć go kumoterstwo z nami łączyło; mówiła o nim matka, że kutwa, że na groszach siedzi; czasem znów przepowiadała, że wszystko Piotrusiowi zapisze, bo wdowiec bezdzietny był.

Kiedyśmy się tak, oniemiawszy nagle, przypatrywali panu Łukaszowi, ojciec — jakby nas nie widział — do żłobu prosto poszedł, szkapę odwiązał i po zadzie ją dłonią uderzył.

— A no, stara! — zawołał obracając ją łbem do światła. Szkapę zmrużyła zdrowe swoje oko, a ślepem, osłupiałym, szeroko otwartem, zdawała się patrzeć gdzieś daleko, daleko.

Pan Łukasz szczyptę tabaki u nosa trzymając, zaczął się słodko uśmiechać, a przekrzywiwszy głowę, patrzył na szkapę to z lewej, to z prawej strony.

— He! . . . He! . . . He! . . . A co to kumeczek przedawać chcesz? . . . Skórę czy kości?

Spojrzał ojciec pośepnie z pod oka, i zaraz mu się

wąsy podniosły, ale przełknął tylko ślinę i rzekł:

— Skóra i kości zarobią u was, kumotrze, na mięso. Byle temu pochlebić trochę owsem, to to będzie, jak kłuska okrągłe.

— A bodaj też kumeńka! . . . — rozśmiał się znów pan Łukasz! — Pochlebić! Pochlebić! Ale to owies drogi tera, kumeńku. Pięć złotych ćwiarteczka, kumeńku! I siano też drogie . . .

— A drogie — rzekł obojętnie ojciec, ale widziałem, że mu się oczy zapaliły.

— Nastąp! Noga! Ano! . . . — zawołał, uderzając szkapę, która przestąpiła wlokące się za nią postronki.

— He! . . . He! . . . He! . . . — rozśmiał się słodziej jeszcze pan Łukasz. — I szpacik, widzę jest . . .

— A jest! — odparł ojciec krótko, suchym głosem.

Pociągnąłem Felka za rękaw, jako, że bezpieczniej mi się zdało bliżej drzwi się trzymać, ale mnie tylko łokciem pchnął, i szeroko otwartymi oczyma, to na ojca, to na przybyłego patrzył.

— U-u-u . . . szpat psia . . . — mówił tymczasem pan Łukasz, wyciągając obrastający podbródek z żółtej bawełnianej chustki. — U-u-u-u . . . szpat! . . . i ustami cmokać zaczął. Nie wyjdzie już ona z niego, nie! — dodał, wciągając niuch tabaki i kiwając głową.

Ojcu podnosiły się wąsy coraz wyżej, aż je ręką w dół szarpnął.

— Ja jej tam kumotrowi nie wpieram! — rzekł, patrząc w ziemię. — Dla mnie ona i ze szpatem dobra! Żeby nie choroba kobiety, tobym kobyły pewno nie puszczał między ludźmi! Toć żywicielka nasza. . . .

Pan Łukasz zmilczał, a schyliwszy się, dłonie na kolanach oparł i po nogach szkapie patrzył.

— Łogawa może? . . . He! . . . He! . . . He! . . . — rozśmiał się pytająco.

— Łogawa! Ta kobyła łogawa! — krzyknął ojciec, a już cały stał w ogniach. — Żeby mnie tak Bóg skarał, jak ona łogawa! Pokaż kumoter? . . . Gdzie ona łoga-

wa? . . .

— No . . . no! . . . — uśmiechał się słodko pan Łukasz — ja też tylko się pytam, boć to przy kupnie konia, jak przy żeniaczce: czego nie dopatrzysz okiem, to dopłacisz workiem. . . .

— Ja ta nie machlerz! — rzekł porywczy ojciec, a już mu ręce latać zaczęły. — Ja ta nikogo omachlować nie chcę! Co prawda, powiem, a co nieprawda — nie.

— A co ona? . . . ślepa? . . . — zanagle prostując się pan Łukasz, i rozsuniawszy palcami zmartwiałą powiekę szkapy, z bliska jej w oczy zajrzał.

Poruszył się Felek, a przestąpiwszy z nogi na nogę szczytnął mnie w słabiznę, tak, żem omal nie wrzasnął.

— A ślepa — odrzekł na podziw spokojnym głosem ojciec, choć znów mu się wąsy zjeżyły.

— Na lewe oko ślepa. Takem ją już kupił i taka je. U mnie ta nie oślepa.

— He! He! He! . . . — rozśmiał się słodko pan Łukasz i znów do tabaki, sięgnął.

— Tak mi też, kumeńku, mów! Ślepa! . . . U-u-u . . . szpetnie ślepa! . . . U-u-u! . . .

Otrząsnął palce i tabakierkę schował.

— Jak ona ślepa jest — rzekł, pociągając nosem — to znów inszy interes, insze gadanie. . . .

Po twarzy ojca przeleciał nagły ogień.

— A cóż tam za insze gadanie ma być? — rzekł porywczym nieco głosem. — Ślepa to ślepa! Przecie jej kumoter na książce uczyć nie da, do szkoły nie pośle. A ja kumotrowi powiadam, że druga ślepa szkapa lepsza je niż ta widząca. A to kobyła dróżna taka, żem jak żyjący, przez tyle lat, droźniejszej nie widział.

— Ale . . . ale! . . . — śmiał się słodko pan Łukasz. — Bogdaj cię też, kumeńku, z taką mową. Toćbyś ty, kumeńku, wmówić wemnie chciał, że ślepa szkapa najlepsza.

— Najlepsza nie najlepsza! A równo com dróżniejszej kobyły nie widział, tom nie widział. A co o wma-

wianiu to najmniej, bom przecie katolik, nie żyd.

Ojciec mówił zwolna, hamując się, ale głos mu kipiał.

Nagle, jakby nas dopiero co zobaczył, chwycił Felka za kark i pchnąwszy go we drzwi, krzyknął:

— A nie pójdziecie wy mi stąd, psie-nogi? . . .

Dmuchiśmy jak wiatr ze stajenki i jak wiatr do izby wpadli.

W parę pacierzy potem wszedł ojciec uspokojony wraz z panem Łukaszem, jako że nie godzi się o bydłę targu przybijać inaczej, tylko w izbie, pod dachem; cygany tylko nie pilnują tego. Zaraz też zaczęli sobie rękę dawać, pan Łukasz przez połę swej dorożkarskiej kapoty, ojciec przez spencer, co mu w strzępach na grzbiecie wisiał.

— Bóg świadkiem — mówił ojciec — żebym obcemu, a jeszcze też żydowi, za żadne pieniądze kobyły tej nie sprzedał. Tak wiem, przynajmniej w dobre ręce idzie. . . .

— He . . . He . . . He! . . . — śmiał się pan Łukasz — po kumoterstwie! Po kumoterstwie! Krzywdy jej nie zrobię. . . .

— A jakby, nie daj Boże — tu głową wskazał na matkę, która jak martwa z zamkniętymi oczami leżała — no, toć człowiek nie kamień, toć już tak po przyjaciel-sku darmo wywożę. . . .

Nie odrzekł ojciec nic, ani w tę, ani w tę stronę, tylko oczy spuścił i wąsów szarpnął, a matka obudziła się z jękiem. Może nie spała nawet.

Kiedy pan Łukasz, zgiąwszy się we dwoje, z izby za ojcem wychodził, rzuciliśmy się w te pędy, żeby do szkap-py lecieć.

Ale ojciec odwrócił się nagle:

— Ani mi nosem za próg! — krzyknął ostro. — W izbie siedzieć. . . .

I trzasnął drzwiami.

Byliśmy jak ogłuszeni. Patrzyłem na Felka, a on patrzył na mnie; oczy robiły mu się coraz większe, coraz

przeźrocystsze, usta i broda jak w febrze latały, aż schwyciwszy się obu garściami za włosy — Siarczyste! — krzyknął i zaniósł się wielkim płaczem.

Zaczęły się teraz dobre czasy. W izbie zrobiło się ciepło, grzyby po ścianach rósć przestały, od sklepikarki pożyczyliśmy drugiego kaganka na kaszę.

Tylko, że bez szkapy okrutnie się nam widziało smutno, a co który na stajenkę spojrział, to mu świeczki w oczach stawały. A i matka jakoś nie miała wskórania.

— Już ja będę umierać, Filipie . . . — mówiła takim cichuchnym głosem, jak ten wiatr letni.

— Już się ty nie kosztuj na mnie.

To znów ni z tego, ni z owego jej się poprawiało; wołała, żeby jej piwa zagrzać, albo i mleka z masłem, a Piotrusia sama myła, czesała; opowiadała nam wtedy, jak to ona ozdrowieje, jak do Częstochowy pójdzie, jak nas ze sobą zabierze, jakie to my tam zobaczymy wieże, jaki kościół, jakie granie na organach będzie. A miała wtedy płomień na twarzy, a oczy świeciły jej jak próchno. Bywało tak zwykle wieczorem.

Ale gdy przyszedł ranek, leżała niby bez duszy, codzień bielsza, a jak ta mgiełka przeźrocysta. Ani w niej głosu, ani w niej tchu, ani żadnego chcenia. Porywa się ojciec, ucho do ust przykłada, przykazuje nam cicho być — i słucha. Aż westchnie głośno, jakby sam nagle ożył i oczy do tego czarnego krzyża nad łóżkiem podniesie.

Ale raz się nie dosłuchał jakoś.

Matka umarła w nocy tak cicho, że nikt nie słyszał nawet.

Piotruś przy niej tej nocy spał, a i on nie słyszał. Wyszła z niej duszyczka, jak para; ani się tyle nie załomotała co wróbel, kiedy odlata.

Więc kiedy ojciec, oderwawszy głowę od jej wyschłych piersi, krzyknął, że matka nie żyje, stanęliśmy przed łóżkiem w wielkim zadziwieniu, patrząc na posiniałe usta, to na Piotrusia, który przy jej zimnych, sztywnie wyciągniętych nogach spał ciepły, rumiany, perlistym po-

tem na czołku, okryty. . . . Taki ci pędrak, że go śmierć łokciem trąciła, a on nic.

Zaraz się w naszej izbie tumult wielki zrobił, sąsiadek się naschodziło, zaczęły radzić, głowami kiwać, wzdychać, a że nam ojciec tego dnia kaszy nie gotował, a Piotruś jeść płakał, więc go sklepikarka pojęła do siebie, a i nam po bułce dała.

— A to ci baba skruszała! — szepnął Felek, poczem ją zaraz pocałował i bosemi nogami szastnął w zamaszystym ukłonie.

Cały ten dzień było mi tak, jakby mi kto do ucha szeptał: “niema już matki! . . . umarła już matka. . . .” To zaraz wycierałem pięściami oczy, bo mi się okrutnie płakać chciało.

Mimo to jednak bawiliśmy się tego dnia doskonale, bo taka u nas ciżba była, jak na Ordynackiem. Jak zapamiętam, nigdy nie widział tyle ludzi w naszej suterynie; co kto przejdzie koło nas, to po głowach głaszcze, to się lituje, to pociąga nosem.

Wczoraj jeszcze w całej kamienicy nikt na nas inaczej nie wołał, tylko łobuzy, albo urwipółcie; a dziś, jakby im kto gęby miodem posmarował: “Sieroty! Sierotki! Niebożątka!”

A Felek tylko się nastawia, a oczami mruga, a co kto przejdzie, to mnie poszturchuje.

— A to ci komedyje! A to tyjatr! . . . — szepcze i w ściśniętych pięściach robi dwie skandaliczne figi, a język sam mu się z poza zębów wysuwa, cienki i ostry jak żądło.

Ojciec tymczasem jak nieprzytomny po izbie chodził, co weźmie to położy, choć się tam w tej pustce nie było wielce czego jąć.

A baby nuż się po naszej biedzie rozglądać, nuż jedna drugiej na ucho szeptać, nuż ramionami ruszać a głową trząść i stękać. . . . Myślałem, że temu nigdy końca nie będzie, aż się nareszcie rozeszły, bo im obiad z garnków kipiał.

żeby nie to ludzkie litowanie, tobyśmy i nie czuli tak bardzo, że matka umarła. Z pół roku już się nie podnosiła w tej chorobie, a w ostatnich czasach tak samo ci-chutko na pościeli leżała jak i teraz. I teraz, kiedym na mu, a jeszcze też żydowi, za żadne pieniądze kobyły tej nią patrzył, zdawało mi się, że z pod rzęsów za Piotru-siem oczyma wodzi, i uśmiecha się leciuchno, i co tylko ma powiedzieć: "Gdzie on tam gruby, biedaczysko!" Zu-pełnie jak dawniej; tylko, że się tak świece nie paliły niej.

Od świec tych padała na nią żółtość przeźroczyta, któ-ra mnie straszyla; uczulem też, że zimne miała ręce, gdy nam je ojciec pocałować kazał. Ojcu jednak przy niej ciepło być musiało, bo nabiegawszy się cały dzień, a to do kancelarii, a to do stolarzy, a to o furmankę — kiedy się ludzie rozeszli, na zydlu u łóżka siadł, ręką głowę pod-parł i patrzył: to na krzyż czarny nad łóżkiem matki wi-szący, to na głębokie cienie jej zamkniętych oczu. Usną-łem, a on jeszcze siedział. Ale w nocy obudziło mnie ciche szlochanie.

To Felek, który się przez cały dzień szastał i nasta-wiał i z ludzi wydziwiał, a mnie w boki szturchał, — sie-dział teraz na sienniku, w otwartej na piersiach koszuli-nie, rękami sterczące kolana objął, patrzył w pustą izbę i płakał.

Trzeciego dnia, spaliśmy jeszcze pod magłą w sion-ce, gdzie nam ojciec siennik zaciągnąć kazał, kiedy we śnie usłyszałem jak gdyby znajome rżenie.

Zerwałem się; serce mi biło jak młotem.

Rżenie odezwało się znowu.

— Felek! Szkapą rży! — krzyknąłem, chwyciwszy go za ramię.

Szarpnął się i na drugi bok przewrócił, ale gdy znów słyszeć się dało, porwał się on także, na sienniku siadł i szeroko otworzywszy oczy — słuchał.

Przeciągłe ciche rżenie odezwało się raz jeszcze.

— Szkapą! — wrzasnął Felek i porwawszy na siebie

katankę, ku schodom suteryny się rzucił.

Zacząłem się na gwałt odziewać, a tak mi ręce latały, zem do żadnego guzika trafić nie mógł.

— Wstawaj, Piotruś — wołałem — wstawaj! Szkapa przyszła!

I trząsałem nim, jak wiązką słomy, bo się niełatwo budził.

Istotnie, przed bramą, zaprzężona do prostego, zasłanego kilimkiem woza, stała nasza szkapa. U karku jej wisiał już Felek, objąwszy go oburącz o ile dostać mógł: przy wozie stał pan Łukasz Smolik i częstował stróża tabaką.

Podnieśliśmy zaraz wrzask nie do opisania.

— Szkapa! Nasza szkapa! Nasza droga, kochana, stara — wołaliśmy naprzemian, tuląc się do niej, gdzie kto mógł. Piotruś gwałtem gramolić się chciał na nią.

— Stęskniła się bez nas szkapa, co? . . . Przyszła do nas szkapa? . . . Przyszła? . . . Pocziwa, dobra, stara szkapa nasza.

I nuż jej zaglądać w zęby, nuż jej obmacywać nogi, nuż jej grzywę palcami czesać. Ani nam w myśli powstało, po co ta szkapa do nas przyszła, na co to wóz ten czekał.

Ale i ona poznała nas także, i ona cieszyła się nami: przednią nogą, którą szpat znacznie pogrubiał, uderzała po bruku wesoło, ochoczo, jakoby krzesząc dla nas iskierki radości; łeb jej to podnosił się, to schylał, nozdrza parskwały rażno; to znów na głosy nasze i śmiechy strzygła uszami, wyciągała szyję, a donośne jej rzenie przenikało nas niewymowną rozkoszą.

Rzenie to zlewało się w jedno z trynitarским dzwonem, który w tej chwili posepnie bić zaczął. Jednocześnie rozległ się z suteryny głuchy odgłos młotka. Aniśmy się spostrzegli, kiedy na wozie ustawiono trumnę.

— Wio! — zawołał pan Łukasz. Szkapa ruszyła, a my przy niej kłusem.

Na rogu ulicy obejrzałem się: gromadka sąsiadek i

przechodniów już się rozprószyła, a za wozem, na którym pan Łukasz siedząc powoził, szedł ojciec sam, z czapką w rękę i zwieszoną głową.

Co do nos, biegliśmy tuż przy szkapie wesoło, ochoczo, ani na chwilę nie przerywając rozmów i pieszczoty. Poranek był majowy, promienie słońca zalewały blaskiem ulice, most, Wisłę; z każdego gzymsu świerkały wróble. Głośniej wszakże niż wróble szczebiotała nasza gromadka.

— Dzisz, Wicek — wołał Felek — jak ci to zgrubiała! Jakie ci to boki wyłożone ma? . . . Dzisz, jakie ci nowe naszelniki . . . jaki ci kantar. . . .

I my znów dalej chórem:

— Szkap! nasza szkap! Nasza droga, stara szkap!

Ludzie oglądali się za nami. Dziwnym się wydawał ten pogrzeb, z trójką tak dobrze bawiących się dzieci na czele. Zwłaszcza na moście, gdzie wolniej w tłoku trzeba było jechać, robił nasz orszak pogrzebowy szczególne wrażenie.

Przechodnie stawali i wzruszali ramionami. Parę razy nawet krzyknął na nas pan Łukasz, żeby za wozem iść, aleśmy ani na krok szkapy odstąpić nie chcieli.

Słońce przygrzewało coraz silniej, droga stała się piaszczysta, żmudna; szkap ciągnęła swój ciężar z pewnym wysileniem: zdrowe jej oko mrżyło się od blasku, na ślepem, osłupiałem, siadały rozdrażnione gorącym muchy. Natychmiast ułamaliśmy kilka wierzbowych witek i zaczęły ją skwapliwie oganiać. Sami nie czuliśmy zmęczenia. Boso, w lichych szarawarkach i kurtkach łatanych dreptaliśmy obok szkapy wesoło, ochoczo, a krzyże cementarne wciąż rosły a rosły przed nami. . . .

Że trumny nie miał kto nieść, puszczone nas z wozem za bramę. Ale tu czekać trzeba, gdyż grabarz dołka nie skończył kopać i dopiero teraz pośpiesznie wyrzucać zaczął z niego żółty piasek. Natychmiast zaczęliśmy rwać dla szkapy szczaw zajęczy i soczystą babkę, której pełno było na drożynie. Tymczasem ojciec z panem Łukaszem

zdjęli z woza trumnę i postawili ją nad brzegiem dołka. Nie musiała być ciężką, bo kumoter choć stary, prosto pod nią stał; a jednak ojca tak zgięła do ziemi, jak ten krzyż padającego Chrystusa, com go na stacjach bernadyńskich widział.

Zaraz też brzęknął cienkim głosem dzwonek, a w chwilkę potem przyszedł ksiądz w komeżce i kościelny z krzyżem i kropidłem. Spojrzał na nas ojciec surowo, więc my poklękli z Felkiem, trzymając w pięściach pęki świeżej trawy. Pan Łukasz i ojciec poklękli także, grabarz kończył robotę. Raz, dwa, trzy, odprawił ksiądz swoją łacińską modlitwę, wspomniał imię i nazwisko matki, "Ojcie nasz" mówić kazał, sam zacząwszy głośno.

Podniósł ojciec twarz i obie ręce w niebo; z jego oczu padały łzy ciężkie, grube. Felek tuż przy mnie klęcząc trzepał pacierz z wzrokiem utkwionym w szkapę.

Zrobiła się cisza taka, że słychać było leciuchne szmeru wierzby i cykanie świerszcza.

— O, je! . . . je! . . . — rozległ się nagle wśród tej ciszy cienki głos Piotrusia, który pełne rączyny trawy i wiosennego kwiecica szkapie przed pyskiem trzymał, rozsypując bratki polne i białe stokrocie. Szkapę delikatnie z rąk dziecka brała wargami trawę i żuła ją, przechylając łeb, melancholicznie zwróciwszy ślepe, zbielałe oko w słońce. Spojrzał ksiądz, zmarszczył się ojciec, a ponieważ najbliższej klęczałem mu pod ręką, silnie mnie za ucha pociągnął.

Wnet Felek zaczął się rozgłośnie pięścią w piersi bić, na znak, jako już pacierz i wszystko co do niego należało dokumentnie skończył, zaczem, zerknąwszy na ojca, chyłkiem do szkapy pomknął, a i na mnie kiwnął. Ksiądz też trumnę pokropiwszy, z czego i nam się nie coś poświęcenia dostało, z kościelnym odszedł.

Dołek jeszcze nie był wybrany. Grabarz na glinę natrafił, i potrochu ją tylko jak masła na chleb, na łopatę brał.

Ojciec modlił się ciągle. Wszakże panu Łukaszowi

pilno widać było, bo raz wraz tabakę niuchał, i na wóz pozierał, a w głowę się drapał, aż się ścisnęli, potrząśli raz i drugi z wielkiem przyjacielstwem, poczem kumoter do szkapę poszedł.

Jużeśmy ją wystroili, jakby pannę młodą. Świeże, rozkwitłe gałęzie akacji sterczały jej za uszami, za uprzężą, za chomątem, gdzie tylko co wetknąć się dało. Pęk żółtych mleczków tkwił nad czołem, pod skrzyżonym rzemieniem. Z grzywy opadały ostróżki i zajęcze maczki. Resztę zieleni trzymaliśmy w rękach, aby szkapę od bąków odpędzić.

Zaczął się teraz prawdziwy triumfalny pochód.

Najpierw kroczył Piotruś, nie patrzący drogi, nadeptując małe, świeże, z żółtego piasku sypane grobki dziecięce, ile razy się na wóz obejrzał. Za Piotrusiem szkapa — wyrzucała z cichem parsaniem łbem, obciążonym kwieciem i zielenią, ja zaś i Felek, jak giermkowie, po lewej i po prawej stronie. Wóz toczył się zwolna, to podnosząc się, to opadając na zapadłych grobach, a na nami, z głuchym, coraz głuchszym łoskotem, padała ziemia na matczyną trumnę.

GŁUPI FRANEK

Głupi Franek

Niski brzeg Narwi kipiał ptasią wrzawą. Cała ta część jego, która od błot Pełczyńskich do Zajek ciągnie się kręto i obłąźnie, brzmiała teraz jak struna ruszona.

Chwila była poranna, niebo czyste; młode, kwietniowe słońce, jeszcze się nie wzniosło nad ziemię, i zapłomienniejszy tylko rąbek widnokregu, siało przed sobą tę różaność złotą, którą tak chciwie piją wody i powietrze ciche.

Wszystko tu było jasne, przejrzyste, wskrós światłem nabrane.

W głębi krajobraz ciemniał. Dymiły tam, jak kuźnia, oparzeliska i mokradła błotne, rozciągające się aż do samej Biebrzy, dyszały tchem ciepłym jeziora i kołbiele, z których opary to w górę słupem sinym szły, to opadały poszarpaną płachtą, nie puszczając oczu w głąb zarastających je oczeretów, sitnisk i wikliny.

Z tych to właśnie oczeretów i sitnisk biła owa różnośna, głusząca wrzawa ptasia. Tutaj to grały bekasy, chruściele, łyski krzykliwe i biegusy błotne. Stąd rwały się wrzeszczące czajki, bąki, kurki wodne; tam odzywał się nur, tam darły się krakwy wrzaskliwe, tam podgorzałki, jednostajnym kwakiem świdrujące uszy, tam cyranki lotne. Tam zapadały rybołówki i mewy, tam krążyła wysoko pływająca w powietrzu kania; stamtąd i czapla, śmigając skrzydłami jak miechem, brała lot ciężki, oporny.

Wrzask tu był tak zmieszany, głosy tak rozmaite, że zupełnie pokrywały szum szorującej po przez trzciny rzeki, która sobie z sykiem drogę torowała, tworząc w po-

środku owych kęp i sitnisk małe, ciche, odbijające błękit nieba oka, niby sadzawki, umyślnie dla tej skrzydlatej hałastry robione.

W tej chwili właśnie, z jednej z kęp takich porwało się z przeraźliwym wrzaskiem stado dzikich kaczek, które tam były nocą w sitowia zapadły. Stado porwało się, nie odlatywało wszakże, bijąc nad kępą skrzydłami, jakby na jastrzębia.

Zrazu nic widać nie było. Wkrótce przecież, z samego środka oczeretów wynurzyła się głowa ludzka, spłowiałym, roztrzęsionym włosom okryta, mało co różniąca się barwą od pożółkłych zeszłorocznych badyli sitowia.

Głowa ta osadzona była na długiej, niezmiernie chudej szyi, a oprócz obfitej, głęboko spadającej na czoło konopiastej grzywy, posiadała dwoje siwych, niezwykle świetlistej głębi oczu, twarz chudą, śniadawą, i szerokie cienkie wargi, które dziwaczny, pełen żalości i zakłopotania uśmiech, szerszemi czynił jeszcze.

Dokoła głowy, między pożółkłymi badyłami sitowia, sterczały gęsto trzciny o brunatnych pałkach, połamane kłębnie tataraków i wielkie pierzaste kiście mietlic, tworząc oryginalne tło dla tych szeroko otwartych oczu, które miały jakieś błyski przebiegłości i przekory, a na dnie których leżał stary i niepocieszony smutek. Oczy te w powiekach, uśmiech na ustach, a głowa między trzcina, tkwiły tak nieruchomie, że kaczki, lot nagle zniżywszy, były w nią niemal, nakrywając całą kępę wrzaskliwą i trzepocącą się chmurą.

Wyżej, nad chmurą ową, niby błyskawice, śmigały w powietrzu śniade brzegówki, których gniazda czerniły się w gliniastym ile wyższego brzegowiska rzeki, jak kule, tkwiące w gęsto ostrzelanym murze. Przenikliwe ich głosy wpadały w tępy, uporczywy kwak kaczego stada, jasne, fletowe, wysokie. I one zlekły się niewiadomo czego. Jedna tylko mała pokrzywka, bujająca się na okiści rudego szuwaru tuż prawie przy spłowiałej gęstwie włosów owej głowy, świegotała cichutko, kręcąc łebkiem i patrząc

to jednym, to drugim oczkiem na nieobyczajne i krzykliwe ptactwo. Gdyby ciszej nieco było, możnaby nawet zrozumieć, co ten świergot znaczył.

...Czego się bać? Czego się bać? — zdawała się mówić ptaszyna.

...To jest głowa głupiego Franka. . . . Tak, to jest głowa głupiego Franka. . . . Nic więcej. . . . Czego się bać? Czego się bać? . . .

...Poznaję ją. . . . Wybornie ją poznaję. . . . W czółnie tu leży każdego wieczora, z czółna podnosi się każdego rana. . . . Czego się bać? . . . Czego się bać?

...Nic złego nie zrobi . . . jajek nie wybierze . . . piskląt nie nastraszy. . . . Czego się bać?

...Tak, to głupi Franek! . . . Głupi . . . głupi Franek! . . . Czego się bać? . . . Czego się bać? . . .

Nagle urwała pokrzywka swój świegot przeraźliwym piskiem i jak kłębek spadła na dno oczeretu. Drobne jej oczko dojrzało wysoko w powietrze wzbitego jastrzębia, który, wisząc nieruchomo na rozciągniętych lotach, upatrywał sobie porannej pastwy.

Gdyby nie to, świegotliwa ptaszyna byłaby może opowiedziała calutką historię o tym głupim Franku. Byłaby opowiedziała, jak to on niewiadomo skąd nad rzeką wyrósł, niby ten szuwar, albo ta trzcina brzeźna; jak te baby mówią, że go w czaplinem gnieździe topielica powiła; jak, ledwo z chłopcica wyrósłszy, zaraz "głupim" był i tak się już został; jak do roboty nigdy dobrego rozumu nie miał; jak z rzeki i z podrywki latem żył, a zimą z miłosierdzia ludzkiego. Byłaby może i to powiedziała, jakie to miłosierdzie gorzkie . . . gorzkie . . . gorzkie. . . . Jak się dziewczyny z głupiego Franka śmieją, jak dzieci ze wsi czeredą za nim biegają, jak zima długa i ciężka w szopie, a nie w izbie! Byłaby powiedziała, jakie słońce dobre i miłosierne, że wraca z wiosną, jakby zapomniało czego, wraca i wygrzewa sitowia i kępy brzeźne, i budzi rybki pod wodą, i czerwieni po przylaskach jagody i głupiego Franka ratuje. I jaka rzeka dobra i miłosier-

na, że głupiego Franka przygarnia, i jak niegdyś w czaplinem gnieździe, tak go teraz po kępach i szuwarach tuli. . . . I jaka ziemia dobra, dobra i miłosierna, że na tych półkach chłopskich, między gospodarskimi pełnymi kłosami i takie chude rodzi, które na podpływyk dla nędzarza idą, na ten chlebek czarny, łzami obmywany, który, choć gorzki . . . gorzki . . . o! jak gorzki . . . duszę przecie trzyma w ciele, i dech żywota w piersiach trzyma, aby do pory, aby do pory. . . .

Ona i to powiedziałyby może, jak bardzo ten nędzarz miłuje tę rzekę, tę ziemię i to słońce. Jak ręką chudą, czarną, głaszczce aksamitne pałki trzciny i zielone wstążki tataraków; jak w słońce albo w wodę całemi godzinami patrzy, sam do siebie gadając i łzy prosząc z oczu, jak potem nagle na ziemię się rzuca i tak się do niej tuli, właśnie jak owo dziecko do matczynej piersi. Ot, zwyczajnie, taki głupi, głupi Franek. . . .

Tymczasem w wodzie i w powietrzu bywało coraz więcej blasków. Migotało to, drżało, mieniało się, jakby rosnuła w tysiące tęcz drobnych brylantową przędzą.

Obok sterczącej nieruchomie w oczeretach głowy, ukazała się teraz chuda, czarniawa ręka, dodając oczom zachrony. Ręka ta drżała do samego ramienia; nie było w niej widać dobrej siły. A może chłód nocy i wilgotnego szuwaru w czólnie siedział w niej jeszcze.

Buchnęło wreszcie słońce wielkiem płomieniskiem i rzuciło w rzekę snop ognia, z którego porywając miliardy iskier, zaczęły biedz fale szafirem i złotem.

Brzeg rzeki ucichł nagle, jakby rażony oslepiającym uderzeniem światła; tylko usta sterczącej w oczeretach głowy zaśmiały się cicho, radośnie, a głowa, zakołysawszy się na obie strony w jakimś niezmiernym i zawsze świeżym podziwie, zniknęła nagle w pośród mieniących się na wskrós srebrem zroszonych kiści mietlic i trzciny, której brunatne pałki zapłonieny się rudo-czerwonawem złotem.

W chwilę później wypełznął głupi Franek z sitniska,

otrząsnął się, wyprostował i wzięwszy na ramię podrywkę na długiej żerdzi, sporym krokiem wzdłuż rzeki się puścił.

Był to chłop chuderlawy i nędznie odziany.

Szmat starego spencera na grzbiecie niewielce go grzać musiał, bo twarz miał posiniałą i usta mu drżały. Zgrzebna koszula i takież hajdawery ściągnięte rzemieniem z wytartą kalitką w pasie a u kostek sznurkiem związane, postoiły z wierzbowego łyka, parciana torba przez plecy, oto i cała chudoba. Głowę miał odkrytą.

“Głupi” na wsi niemal we wszystkich okolicach kraju tem się szczególnie na pierwszy rzut oka odznacza, że bez czapki zimą i latem po drogach sobie chodzi, jak po własnej chacie.

Słońce go pali, deszcz moczy, wiatr suszy, mróz szczybie a on jakoby Panu Bogu wymówić chciał tę nędzę swojej głupiej głowy w burzę i w pogodę, we dnie i w nocy nosi ją pod niebem odkrytą, bezbronną, na ludzki śmiech podaną, zorzom i gwiazdom widną i z nich też może biorącą nieraz takie nagłe błyski, takie daleko wstecz i naprzód sięgające światła, o których mądrym w dostatnich baranich czapach schowanym głowom, ani się nie śniło.

Głowa “głupiego” ze wsi, to studium niezmiernie ciekawe. Jest to czasem głowa filozofa, czasem głowa poety, a zawsze głowa Łazarza.

W niej, jak w dziwnym pryzmacie, odbija się cała nędza twardego chłopskiego życia i wszystkie sny jego złote, naiwne, dziecięce niemal. Z tych rysów zagasłych, z tych zwiedłych uśmiechów, z tych zmaconych źrenic, tryska nagle, niespodzianie, żywe źródło jakiej praplastowej, gdzieś złotymi żyłami chodzącej wskrós ziemi myśli jakiegoś uczucia, wybłyskującego jutrzennem światłem dnia, a o którym niewiadomo nawet, czy przyjdzie kiedy.

Głowa “głupiego” zarasta najczęściej gęstwą lnianych, wypłowiałych włosów; rzekłbyś, kądziel to rusałczana, z której niewidzialna i samemu “głupiemu” nieznana

przędka snuje szarą, niezmiernie długą i splątana, zagramowaną nić zadumy nad rzeczami, które niewiedzieć jak do mózgu tego wpadły i pracują tam bezświadomie a nieutrudzenie, to wybuchając jak płomień nagle i silne, to leżąc ciche i nieporuszone jako w roli ziarno leży siewne, na podziemiu pod skibę rzucone.

Głowa "głupiego", z tą pracującą w niej na własny ład fantazją, z tem nieuznaniem porządków świata i istnienie poza ich karbami, — to retorta, przez którą myśl przechodzi z pospolitych głów rozsądnych do głowy genialnej.

Lud wiejski, mimo że się z "głupiego" śmieje, instynktownie przecież otacza go poszanowaniem, zabobonem niemal. "Głupi", to u ludu tyleż prawie, co "mądry", mądrzejszy może nawet od innych, tylko w inny sposób, tą mądrością, która nie jest z tego świata.

Czasem "głupi" nie jest głupi, jest tylko nieszczęśliwy. Wiadomo, "głupich" najwięcej "od rodu", ale i to się znajduje po świecie, że chata komu ze wszystkim do tła zgorzeje, albo mór gniazdo wybierze do ostatniej głowy, albo powódź rolę tak spłucze, tak wymuli, jakby jej nie było; to taki nieraz między "głupich" idzie, o nic dbania nijakiego nie ma, niczem głowy nie mitręży, tylko po świecie chodzi sobie luzem, poglądając po ziemi i po niebie, póki go tam śmierć nie ugasi kędy.

To, co indziej jest nerwami, melancholią, zniechęceniem, bluźnierstwem, rozpaczą, — to wszystko jest tu "głupością".

Czasem "głupi" jest tak głupi, że nawet nie wie o "głupości" swojej. To idiota, to durny. Takiego lud we wzgardzie ma, z bydlęciem go równa. Ale inszy chodzi po gościńcach wiejskich, jak apostoł, jak prorok, jak "opętany aniołem". Taki "głupi" ma w sobie coś żywiołowego. Z ziemią gada, z wodą gada, z wiatrem i z ogniem gada.

Niedołężny, głodny, obdarty, imponuje majestatem bezbronności swojej, swojej nieodpowiedzialności, bezpo-

średnim zetknięciem z palcem Bożym, który go już ot na taki żywot nazaczył.

Z pod gęstwiny lnianych swoich włosów, "głupi" patrzy na świat to szerokiem, obłądnem, daleko poza granice wioski wybiegającym spojrzeniem, to w bok, to na stronę rzuca owe skośne błyski oczu, pełnych gryzącego szyderstwa, lub smętnej ironii; to wreszcie z głęboką melancholią i bezdennem pożądaniem nicości, wbija w ziemię szklistą, osłupiałą źrenicę, jakby patrzył we własny grób otwarty. Miewa on jeszcze niekiedy żywe, roztargnione, ruchliwe spojrzenia dziecka, któremu od śmiechu do łez tak blisko, jak bliską jest żałość wszelkiego wesela.

Takiem spojrzeniem poglądał w tej chwili głupi Franek na świat boży, idąc brzegiem Narwi. Na wschód, na słońce prawie szedł, głęboko w zroszonych trawach brodząc i uśmiechając się tej błękitnej pogodzie, co w okół dyszała świeżością zaranną.

Patrząc na jego pierś szczupłą, na wążkie, chłopięce biodra, na żywe i składne ruchy, wzięby go można za młode pachole; kiedy się wszakże wiatr od rzeki ruszył i czoło mu z owej gęstwy lnianych włosów odkrył, ukazywała się na niem żółtość i martwota, głęboko zmarszczkami zbruzdzona, która się przez długie lata wżerać tam musiała.

Już to ogólnym typem głupich jest, że niewiadomo, jakie im dać lata. Czasem wyrostek wygląda jak starzec; czasem stary, stary człowiek ma w sobie młodość niespożytą, zgoła niepodlegającą zwiędnięciu.

O takim mówią, że na niego "Święty Jan pojrzał"; jakoż wiadomo jest, że ewangelista ten, orłu przyrównany, orłową też młodość miał, na skałach prorokując, a dziewiczym ciałem chowając się wieczności.

żyje to sobie i żyje, a lata mimo lecą, ledwo co nieco tykając takiej znaczonyj głowy.

Bieda to z głodem trzymać i jakaś skrzydłatość duszna, która temu w żadną przygodę głęboką zabrnąć nie daje, tylko nad owym wartkim żywota pędem górą niesie,

tak mało dopuszczając potrzeb, że żaden im brak nie do-ciska prawie.

Nędzą swoją i "głupością" trzymał się i Franek na świecie. Jak dawno już żył, niewiedzieć; sam sobie lat wyrachować nie umiał. Raz powiadał, że pamięta Fran-cuza, kiedy pod Serock szedł; drugi raz, że sam też dzie-ciąteczkiem był, kiedy Herod niewiniątka mordować ka-zał; trzeci raz powiadał, jako się nie rodził wcale, tylko był i był "tak już sam ze siebie".

Dzieci otwierały gęby, słuchając, baby kiwały głowa-mi, chłopcy się śmiali. Ale kto pamięcią sięgnął choćby jak daleko, tyle tylko z onej ciemnej studni dobyć umiał, że za jego młodych lat też "głupi Franek" po świecie cho-dził. Może ten, może inszy, na to przysiędz nie przysięgał żaden, ale że był. Wiadomo, każdy czas ma swoich głu-pich, a takiej nędzoty nikt tu rejestrowo nie trzyma, na-wet sam Pan Jezus w niebie.

Żartowały z Franka dziewczęta, że taki "topielczuk" to się nie starzeje, bo go matka codziennie troistą rosą my-je. I prawda. Tylko że nie topielica go myła, ale ziemia-matka rosą swoją codziennie myła jego nędzną głowę, a i te obłoki niebieskie i te łzy własne. A było ich więcej je-szcze, niż tej rosy bożej.

Lubili Franka ludzie, choć podczas i mrukliwy był i do żartów nieskory; ale jak na niego przypadło, to pra-wił, jakby z karty czytał, jedno do drugiego przykładaj-ąc, jedno z drugiego ciągnąc. Na ludzi wtedy nie pa-trzył, jakoby ich przy nim nie było, ognie mu w twarzy latały, jak te grające o zachodzie zorze, a oczy pilnie na powietrzu kędyś trzymał, jakoby tam oglądał to wszystko, co prawil, tylko mu te rzęsy i powieki drżały.

Wiosną i latem mało go kto na wsi spotkać mógł. Jak tylko pociągnął od rzeki wiatr ciepły, zaraz go zaczął, choćby łyżkę do gęby niósł, albo w słomie gdzie na wyr-kach zagrzebany leżał. Zaraz się zbierał, torbę przez ple-cy zwieszał, podrywkę na ramię brał i mówił, że do "mat-ki" idzie. Kija nie nosił nigdy; powiadał, że pies go żaden

nie uszkodzi, bo on Świętego Łazarza patronem ma, o którym wiadomo, że mu psy nogi liżą.

“Od matki” wracał już po dobrym szronie. Chudy był wtedy, zmizerowany, wiatrem i słońcem spalony, kości przez skórę bodły, a koszula i hajdawery strzępami z niego leciały.

Mówią mu ludzie:

— Nie tego matka cię wyprawiła we świat. . . .

Na to on:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i w pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle tratwy nieść . . . tera tyle ziemi szmat obejść. . . . Oj, nie letki jej żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędząc. . . .

— Oj, głupi, głupi Franek! — mówiły baby.

A on im:

— Oj głupie wy baby, nie ja, kiej nie wiecie, że każda rzecz na świecie służbę ma. . . .

— Oo! . . . — obruszyła się któraś. — Dzieciakowi to gadać, żeby rzeka przędła! . . .

Na to Franek wpadał w złość, w pierś kułakiem tłukł i zaklinał się na godzinę śmierci:

— Żebym tak dobrego skonania nie miał, jeśli łzę! Cóżem to, ślepy, czy co? Nie widziałem to mało sto razy, albo i więcej, jak na srebrnym wrzecionie modre nici przędzie? “Głupi Franek”. Widzita, jakie mądre! Mądrymi się powiadają, a nie wiedzą, co każda rzeka wrzeciono srebrne ma i przędzie tak, że się ino w słonku, albo i po miesiącu migoce. . . . A coby się migotało we wodzie, jak nie wrzeciono srebrne?

Baby się śmiały.

— Juści prawda.

— Albo i prawda!

— Niech go, jak ci to zmyślnie przepowiedział.

— Hycel chłop! . . .

Rozchodziły się, śmiejąc. Ale w myśli zostawał im

obraz tej cichej, niestrudzonej prządki, która strugi sine na przęślicę wije i przędzie nici modre, przędzie w dzień i w nocy, ino jej się wrzecziono jasnym srebrem miga.

Inszym znów czasem zapadał w bory, jak jaźwiec, brodząc tam po nich aż do twardej grudy. Niech jeno drzewo co nieco ożyło, niech brzezina pękać zaczęła, niech po błotach czajki wrzasły, on zaraz manatki zbiera, choćby o północy w bór idzie, a powiada, że go "ojciec" woła. Szła wiosna, szło lato, szła jesień, a głupiego Franka ani zajrzeć.

Troszczyć się tam o niego i nie troszczył nikt. Każdy dość własnej biedy ma. Aż dopiero chłopcy, po chrust saneczkami jadący, spotykali głupiego, jak się do wsi wracał, zbiedzony, zdziczały, czarny jak ta święta ziemia, żywicami oblepły, igieł sosnowych pełno we włosach mający, bardziej jeszcze obszarpany, niż kiedy od "matki" wracał.

— A i tak cię to ojciec wypuścił od siebie, jak dzia-da? — pytają go chłopcy.

A Franek:

— Oj bieda i jemu, serdecznemu, bieda! Bieda i służ-ba ciężka! Mało to on mróweczek wyżywić musi? Mało ptactwa, mało wszelakiego nawietrznego roju? A tera żywice top, a tera grzybom kapelusze funduj, a tera jago-dzie każdej wygódź, a tera kadzidło i mirę szykuj. Trzej królowie nie pytają, tylko dawaj i już! Dobrze to jego-mości albo i organiście, że do kościoła raz tylko po go-dach zajrzą; ale po boru calutki rok chodzą, a brodami trzāsają, co z nich aż perły na ten mech lecą. . . .

Chłopcy w śmiech.

— Ooo! . . . Głupi! Głupi! . . . Królowie ci ta zara po boru będą chodzić! Ale! . . .

A Franek na to:

— Bodajem ręce, nogi połamał, jeślim ich na własne oczy nie widział! Bodajem się tu z miejsca pod ziemię przepadł! Cóż to? Wódkę piję, tuman na oczach mam, żeby mi się w nich troiło?

To chłop jeden albo drugi do niego:

— I widziałeś króla?

A insi:

— Co będziesz z głupim gadał!

Ale Franek nie dał sobie odebrać słowa:

— Com nie miał widzieć? Bo to raz widziałem?

Króla Balcera tom tak widział przed sobą, jak was, gospodarzu, widzę. Patrzą raz, słońko zachodzi, a tu cości ogromnego we złocie stoi. Myślę, dąb nie dąb. Podejdę, pojrzę — król! Płaszcz na nim złotem kapie, korona ino się w oczach mieni od drogości, bogactwo takie, że to ha! Broda po pas, srebrzy się, jako ten mech siwy; jedną ręką w bok się podparł, w drugiej berlica godna; parada taka, co strach, — zwyczajnie, królewska osoba! A tu dokoła wojsko we złocie, w czerwieni, ino wystawia te piki, te lance, te różne bronie, dwór okrutnie wielki, siła i moc taka, że nieprzeliczona. Aż mi się świat zaćmił, jakem to obaczył.

Nie długo słucham, szepcą. . . . Ten temu, ten owe-mu słówko po słówku oddaje, jeden do drugiego głowy nachyla, a zmawia się, a radzi. . . . Oho! myślę ja sobie, będzie tu co nowego. Nic. Słońko zaszło, owo wojsko się między drzewa pochowało, król też; układałem się, śpię. Śpię ja sobie, świata bożego nie wiedzący, aż tu jak nie zahuczy, jak nie zatrzeszczy, jak nie zacznie się tłuc po onym boru, jak nie zacznie szumieć! . . .

— Niby co? — pyta chłop Franka.

— A cóżby, jak nie to wojsko! Dopierom zmiarkował, że się to tak z wieczora zmawiali na oną bataliję. . . . To tak, powiadam wam, się bili, jakby najtęższy wichher przeciw wichru szedł; a tak strzelali, jakby pioruny były; a te bronie to taki puszczały blask po boru, jak te najtęższe błyskawice. A co strzelą, to w ogniu onym widzę, król Balcer stoi w płaszczu ze szczerzego złota, w złotej koronie na głowie i brodą trzęsie. . . .

— Baj baj! wichura była w bora i tyła! — rzecze chłop.

— A ino! — przywtarza drugi.

— Wojskoby to w boru siedziało! . . . dodaje inny.

— Świecie! świecie! — woła na to Franek, uderzając w dłonie. — To wy grunty macie, chałupy macie, gospodarzami się opisujecie po wójtach, po urzędach, a tego nie wiecie, że Trzejkrólowe wojsko w boru je?

Oj naród, naród! . . . A kiejże wy z tej ciemnoty na świat przejrzycie, kiej? . . . Już i Pan Jezus po świecie chodził i apostoły chodziły, a wy nic. Jak te owce głupie!

I wodził po nich okiem pełnym zdumienia, żalości i gniewu, jak po barbarzyńcach, którymby światła przychylić chciał, jak po zaślepiencach, którychby nawrócić pragnął.

Chłopi się śmieli.

— Dzita! . . .

— Dzisz go! . . .

— Na głupich my u głupiego wyszli!

Ale pacholeta, co tam w podpasanych rzemieniach sukmanach za ojcami biegły u chrustu pomagać, szeroko otwierały oczy, a szerzej jeszcze usta i patrzyły w "głupiego", jak w tęczę. A kiedy przyszła wiosna i pierwszy grzmot zahuczał na bór czarny jeszcze, śniły się chłopiętom okrutne wojska Trzykrólowe, ich wielkie błyskawicowe miecze i król Balcer w złotym płaszczu i w złotej koronie i niejedyn tam wyrostek ukradkiem z za węgła ku lasowi spoglądał, bo juści prawda, że się łomotali ognieście, jakoby wichur przeciw wichur szedł. . . .

Czasem wszelako, ot tak z "dobra woli", nagła tęskność do ludzi ogarniała Franka. Rzucił wtedy "ojca" i "matkę" i jak ot teraz, szedł, gdzie go oczy niosły, niewiedzieć naco i poco. A tak się w tych drogach śpieszył, jakby kto najpilniej go czekał, albo mu jakowe wielkie dobro obiecał. Wiosną szczególnie, kiedy po szerokich pogodnych zachodach słońca zapachniała w powietrzu świeżo pługiem poruszona ziemia, kiedy niebo, w zorzach stojące, pełne było skowronków, a odwalone krojem skiby

pogarbiły pola, kiedy od wygona do wygona rozległo się wołanie oraczy, a ciężkie jarzma wołów skrzypieć zaczęły po kolejnych drogach, Franek rady dać sobie nie mógł, tylko się ku wsiom puszczał — za tym zapachem wilgotnej, świeżo ruszonej ziemi. Gdzie wiatr wiał, gdzie słońce było, gdzie głos ludzki leciał, gdzie mgła się kładła, gdzie oczy niosły, tam się puszczał.

To lada miętusem, w rowie uchwyconym i na patyku upieczonym żyjąc, po miedzach, wskrós onych rozorów chodził, głęboko dysząc, jakoby się ową wilgocią i świeżością skrzepić chciał; a przyszła noc, to na byle grudce nędzną głowę sparłszy, między zagonami legał, a po gwieździstem niebie cichemi oczyma wodził, do samego półnoka drugi raz nie zasypiając, jakoby mu kto co powiadał właśnie, albo widowisko i cudo jakie przed nim czynił. Budził się po nocy takiej, zroszony, jak ten kamień polny na miedzy siadał, kolana rękami obejmował i zadartszy głowę patrzył jak wrona w słońce, póki go nie obsuszyło, ustami niemo ruszał, jakoby się z kim wysoko rozmawiał, albo temu błękitowi porannemu modlił. Napierał się nieraz chłopom od pługa, żeby mu dali choć z pół dnia orać, choć z jedną skibę odwalić. Ale nie chcieli. "Głupi" się tego nie powinien tknąć, co na wzrost idzie. Ani się jemu orać ani siać nie godzi. Baba tylko czasem która dała mu tam w ogrodzie motyką podziubać, to jej tak dziękował, tak jej kolana obejmował, jakby mu kto miskę z najlepszym jadem wystawił. Tak mu się do ziemi cniło, takie w niej kochanie miał. Szły deszcze ciepłe, bujne, to im się jako ta wierzba uginał, nic się nie chroniąc, by też mókł; a tak się zapamiętywał onego perłowego, rzęsnego szmeru po młodej runi słuchając, że drugiby i gęśli mniej słuchał, kiedyby mu grały. Szła polem cisza szeroka, okólna; gaje nie wioną sobą, liść młody ledwie gdzie szepnie, nad ziemią skrzydłatość taka, taka lekkość, przejrzystość, że tylko te miedze za miedzami, łąki za łąkami powietrzem w oczach płyną, a Franek na wpośrodku łąnu jak urzeczony staje i słucha, jakoby głosy do niego z ci-

szy onej mówiły, albo jakby gdzie na Anioł Pański dzwonił.

— A i czego ty tak głupi słuchasz? — pytają go pastuchy, co się tam workami od chłodu naodziawszy, pod gruszą w "sitka" grali.

To im zrazu nie odrzeknie, jakby nie do niego.

Aż kiedy mu się uprzykrzą, raz i drugi pytając.

— A nie słyszycie to smyki — mówi — jak ziemia gada?

— Jakże to? — pytają pastuchy, a w kułak się śmieją, że to im niby z głupiego uciecha. — To ziemia gada?

A Franek ręką po powietrzu wodzi, jakoby co pokazywał w wielkiem oddaleniu, na gęsiarków nawet nie patrzy, tylko oczy na owej błękitności trzyma.

— Wszyściuško co je i co było i co jeszcze za czasami będzie, wszyściuško to wie ogień, wiater i ta ziemia. Ale że ziemia najmądrzejsza z tych trojga. . . .

— Sitka! — woła cienkim głosem mały gęsiarek, rzuciwszy w górę miedziaka.

— Orzeł! — woła drugi.

Franek mówi dalej:

— Bo wiater i ogień z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co ziemia od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.

Po dzieciach idzie dreszcz. Pastuch zatrzymuje w powietrzu rękę, w której miedziaka trząsał, żeby mu na orla nie padł, i z przelotnym strachem na Franka patrzy. Inni także podnoszą głowy.

— A co powiada? — pyta Józek.

Franek oczyma po dzieciach wodzi, a potem nagle utkwivszy wzrok bystry w zapatrzonym na niego gęsiarku, mówi silnym głosem:

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, zwolnienie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek — amen!

Najstarszy Michałek wybucha na to śmiechem, strach mija, pastuchy śmieją się głośno, hucznie. Jeden tylko Józek siedzi pod workiem swoim z szeroko otwartymi oczami i patrzy za Frankiem, idącym ku Bugajowej łące.

— Głupi! głupi! głupi! — wrzeszczą za nim chłopcy, jak wronięta.

— A wróć się, głupi, wróć! — krzyczy Michałek — zrobimy cię wójtem, kiejżeś taki mądry! . . .

Franek idzie dalej, ni prędzej, ni wolniej, jakby nie do niego.

Wie on, że młodzi i starzy, ba, pastuchy nawet, wołają na niego "ty". Głupiemu nikt nie "dwoi".

"My" — to częśćka gromady, albo rodu, albo zbiorowego rozumu i mienia, to częśćka zbiorowego życia i zbiorowej siły. Ale "głupi" stoi poza granicą roku, mienia, pracy i siły. Od tego też jest głupi, żeby rozumu nie miał. On od siwego włosa, do grobowej deski w małości swojej trwa, rośnie najpierw, rośnie niby ta witka łożyny, potem się pochyla, pochyla, niby ten badyl płonny, ale nie dojrzewa nigdy.

Nie ma on też sobie za krzywdę żadnego przezwiska. Przywykł. Nie psuje mu to serca do ludzi, że tak albo tak na niego kto zawoła. Idzie między nich, oto i teraz, z wesołym okiem, z tęsknością jakąś, z przyjaciółstwem w duszy. Owszem śpieszy się tak, jakby go tam rodzeni jego czekali, jakby mu się bracia ucieszyć mieli. Śpieszy się tak, jakby im sam co najkosztowniejsze dary przynosił i skarby jakie wielkie.

Nic innego przecież w rękę nie miał, tylko chaszczów trochę zielonych i marnego zielska, wskrósź którego świeci kaczeniec żółty, lśniący, i srebrzą się gałązki wierzbowe z nawpół roztulonemi baškami, które "głupi" po drodze łamie, iż to ku palmowej niedzieli się ma za dzionek czy za dwa. W powietrzu już nawet tu owdzie zalatują jałowcowe dymy, przy których gospodynie obwądzają kawał kiełbasy, albo boczek z wieprzka.

Z lubością wciąga Franek owe aromaty, a śniada

twarz jego rozjaśnia coraz szerszy uśmiech.

Naraz pochmurniał. Z pośród lekkich wieszających się brzegiem oparów zaczęły się wysuwać obielone, długim sznurem wyciągnięte domki, których niezwykła schludność, jako też i sposób budowania, zdradzały osadę niemiecką.

Istotnie, były to na wschód od Wizny leżące Olendry-Gaje, tak samo się przeciwiające swoją nazwą położonym po drugiej stronie Narwi Gajom-Lachom, jak się przeciwiały plemieniem i obyczajem swoich mieszkańców.

Franek nienawidził Niemców. Flisów nawet na rzece unikał dlatego, że w skarbówce na tratwie najczęściej Niemiec siedzi.

Nieraz też, stanąwszy na gościńcu, wołał:

— Uciekajta dzieci, miemieć idzie!

— A czegóż-to uciekać przed miemcem? — pyta go chłop który.

— A bo przed miemcem, jak przed złym wiatrem, nie ma lepszej rady, ino uciekanie.

— Miemieć a śniedz — powiadał, — zarówno naszemu chlebowi przywarę czynią; ale że go śniedz nie tyle uszkodzi.

Spotyka go raz proboszcz.

— Cóż ty głupi? — pyta. — Drwisz, słyszę, bajki prawisz, że to nie żydy umęczyły Pana Jezusa, tylko Niemcy. Skądże to ty do takich rzeczy przychodzisz?

A Franek pilnie na księdza patrzy, a oczyma mruga co zwykle czynił, kiedy go co niecierpliwiło.

Proboszcz odsapnął, bo tuszę miał piękną i męczył się mówieniem łatwo, a potem rzekł:

— To ci zapowiadam, żebyś mi takich bajek po wsiach nie puszczał! Rozumiesz? A na naukę do kościoła przychodź, żebyś nie żył jak to bydło. . . . Rozumiesz? Kto jak bydło żyje, ten jak bydło skończy. . . . Rozumiesz? . . .

Franek uśmiechnął się, rzucił w bok skośne spojrzenie i pocałował księdza w rękę, rzekł:

— Niech się ta jegomościulek nie frasują o głupiego! O głupim to ta sam Pan Bóg przenajświętszy radzi. . . . Tyla, coby tych mądrych nauczać, o! . . . A głupi to ta sobie sam z Panem Jezusem o tem, o owem gada, to już ta o niego najmniejszy kłopot. . . . Będzie on wiedział, która dróżka do raju. . . .

Rzucił ramionami ksiądz i obejrzał się, czy tej głupiej mowy kto nie słyszy; bo o parafian swoich dbał i zgorzenia żadnego nie dopuszczał. Ale co prawda, to i gniewać się bardzo nie mógł, bo cóż tam głupi mądrego wymyśli? Takiemu odpuścić trzeba, boć to samo nie wie, co czyni.

Zaczuwszy tedy Franek owe szwabskie dymy, skreślił w bok nagle i tarniakiem się puścił, żeby drogą nie iść. Nie była to przeprawa dogodna. Karczowany rok rocznie przez Niemców, tarniak uparcie się gniazd swoich starodawnych trzymał i każdej wiosny ostre kły wypuszczał, grożąc stopie, co się tam ważyła bosa, a wzmagając się aż do grudy, kiedy go znów trzebić zaczęto. Ostrężyną też i kocierpą silnie zarastał, tak że się o każdy krok targać z niemi było potrzeba.

Darł się Franek środkiem onych chaszczów, jak dzik, spluwając tylko na strony z tego obrzydzenia, jakie miał do Niemców, o których powiadał, że kiedy ich diabeł na widłach przenosił z ich tam kraju nad Narew, to po każdym Niemcu widły płukać musiał, aż wielka moc ryb wyzdychała z tego.

Zanim tedy wydobył się z tarniaka, pokaleczył nogi, poszarpał koszulę, podrapał twarz i ręce, a niejedna przygarść jego lnianych włosów została na gęstych głogach i targańcach.

Tak kiedy wóz z sianem w gąszcz leśny się wesprze, tu i owdzie za nim na krzaczach chwieją się źdźbła suche, które jako myto po drodze płacić musi zaczepnikom onym. Ale "głupi" nie dbał o to, wielkimi krokami prąc się naprzód, póki osady budowanej długim sznurem nie wymiął i nie zostawił jej daleko za sobą.

Teraz dopiero pełną piersią tchnął, pojaśniał na twarzy i wesołym spojrzeniem po świecie powiódł; zaraz też ku rzece skręciwszy, w mialki bród jej wstąpił i nogi "po miemcach" obmył, jak ów diabeł widły.

Szedł teraz wolniej, zadzierając głowę do słońca, jak to czynią dzieci i ptaki. Ale nie szczęściło mu się w tej drodze.

Zaledwie minął bagnistą łączkę, w którą tu Narew głęboko się wrzyna, a która u ludu nazwę Osmółki nosi, kiedy spostrzegł kościstą białą szkapę starego Hamera, jak zdążyła ku Olendrom, ciągnąc wózek drożny, domowizny wszelkiej pełny, obok którego sam stary Hamer, w sukiennej czapce z podwiązanemi u uszu klapami, szedł i fajkę palił. Aż zamdliło Franka na takie spotkanie. Chciał w bok, kiedy zobaczył na wozie wielką malowaną skrzynię, którą u Łuki w Zagajnem nie raz, nie dwa widział, na skrzyni kociołek żelazny, co go też z tej tam chałupy znał, bo go sam do kowala nosił, dalej lnu siwego płachtę tak wypchaną, żeby go dwie dobre prądki przez zimę nie sprzedały, wreszcie okrutną kłodę kapusty, która się tylko na strony chwiała w wązkich drążkach, a za nią, z przewieszonym łbem za rozworę i spętanemi powrózkiem nogami kwieciate cielę, które się uległo sześć niedziel temu, właśnie kiedy ostatni raz nockę u Łuków nocował.

"Głupi" stanął i wytrzeszczył oczy, i osłupiał. Nie pytał, nie rozumował, tylko uczuł około serca jakowąś ckliwość.

Wóz przeciągał mimo niego zwolna. Stary Hamer, trzymając fajkę w ręku, przy drabkach szedł i pieniądze wysypane z brudnego mieszka na dłoń liczył. Franka nie widział nawet może. Ten wszakże po dobytku owym, na wozie zebrany, pałającym wzrokiem wodził, szepcząc cicho:

— Patrzejta, co ta moc miemiecka dobra ludziom odjęła i ku sobie ciągnie. . . .

I z najwyższem przerażeniem w osłupiałych oczach,

nędzną głową trząsał, jakoby na widok spustoszenia od pożaru albo powodzi.

Dopiero kiedy ciele, z łbem zwieszonym na wozie leżące, raz i drugi przeciągle bekło, odpadł od Franka strach, a ogarnęła go taka żałość, taki ogień mściwy go przeniknął, że, porwawszy się z onego osłupienia, ku Zagajnemu biegł, jakby tam ratować miał chudobę własną, własną chatę, własne dobro swoje.

Ptakiem prawie przeleciawszy spory kawał drogi, do wsi wpadł, prost przed chałupę Łuki, która z kraju stała. Rojno tu było jakby na jarmarku. Gasio, niewielki złoty pokurcz, z ostrym jak u lisa pyskiem i spiczastemi uszami, nie wiedział na kogo wpierv szczekać.

Czy na rudego Gotlibowego parobka z Olendrów, który przy pomocy dwóch jeszcze, równie jak on sam rudych wyrostków, na wznak na ręczny wózek przewracał czerwoną oszkloną szafę Łuczyny; czy na oglądającego ladę u sieczkarni Niemca, który sam do siebie mamrotał a fajkę w zębach trzymał; czy na baby, które się z dziećmi u spódnic i u piersi zeszyły, a stanawszy u płotu radziły; czy na dziewczkę, pomagającą gospodyni łapać kokosze; czy na targującego je Fryca, zięcia Hamera; czy na siemieniatkę, która mu się z rąk wyrwawszy, z wrzaskiem uciekała; czy na kręcące się pod nogami dzieci, czy wreszcie na psy cudze, które się tu za Niemcami z Olendrów zbiegły, wielkie, silne, kudłate i milczkiem węszące. . . .

Ale głupi Franek tego wszystkiego nie widział nawet. On szukał Łuki, gospodarza. Zobaczył go. Stał w pośrodku podwórka, w czapie na bakier, w rozpiętej kamizeli. Był to chłop lat czterdziestu może, czarniawy, suchożyły i silnej budowy, trzymał za rogi byśka, który się wydzierał i schyliwszy między racice łeb twardy, szeroki, porykiwał groźnie. Przed Łuką stał rozkraczony, z rękami w kieszeniach od rajtuzów, najbogatszy z kolonistów, Gotlib, trzęsąc grubym karkiem i błyskając pod słońce tombakową dewizką i malowaną fajką, która mu się kołysała na opasłym brzuchu.

Dobijali targu. Chłop coraz głośniej krzyczał, a szamocąc się z byśkiem, jeden róg bydłęcia puścił i przez połę kamizeli rękę Niemcowi podawał; Niemiec gębę odął, powieki w pół zasunął, brwi podniósł, i nie wyjmując rąk z hajdawerów, przecząco grubym karkiem kręcił; kiedy nagle wpadł między nich Franek, za Frankiem dzieci, a za dziećmi Gasio.

Dzieci dawno już nie widziały "głupiego". Ze świeżą tedy ciekawością rzuciły się ku niemu; a przytem wyglądał dzisiaj tak uciesznie, tyle różnego zielska miał we włosach, taki był obszarpany, zziajany, brudny.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały piskliwym głosem, któremu odpowiadało jasne, wesołe szczekanie pokurcza. On także zdawał się wołać: Głupi! głupi! głupi!

Ale Franek nie słyszał go nawet. Przyskoczył, chłopca za rękaw szarpnął, i zduszonym ze zmęczenia głosem zakrzyknął:

— Gospodarzu! . . . gospodarzu! Łuko! Łukaszu! . . . A to wam miemieć psia wiara skrzynię porwał, i cielę . . . złodziejska dusza . . . i kapustę z kłodą . . .

Mowa mu się rwała, powietrze ustami chwycił.

— Głupi! głupi! Widzita głupiego! — wrzeszczały dzieci z rosnącą uciechą.

Chłop odwrócił się nagle.

— A ciszej, kołtuny! — tupnął na dzieci — a pójdiesz . . . — krzyknął na Gasia, który oblatywał byśka, szczekając i za nogi go łapiąc, jakby się zapamiętał właśnie.

Franek chłopca za rękaw precz targał.

— Gospodarzu! Łuko! . . . — zaczął znów swoje — A to złodziej. . . .

Gotlib namarszczył się i cofnął krokiem. Stali niemal tuż przy studni, a głupiemu niewiadomo, co do łba strzelić może.

— Idź głupi! — oburknął się chłop i odmachnął się gniewnie.

Ale Franek nie ustąpił z miejsca, tylko ścisnął kułak,

w pierś zakłęśłą się grzmotnął i wielkim głosem zaklął:

— Bogdajżem się z tego miejsca nie ruszył, i bogdajem nocy nie doczekał, żeli łzę, żelim go u Osmółki z wozem nie widział, złodzieja, a na wozie waszej skrzyni, kłody i cielaka! Bogdajem.

— Wściorności! — wybuchnął nagle Łuka niewiadomo na byśka, czyli też na Franka. Baby zaczęły się przysuwać od płota, ten i ów obrócił ku mówiącemu głowę, Franek szeroko otwarte, pełne przerażenia oczy w Łukę wbił, nie pojmując zgoła, dlaczego chłop wszystkiego nie ciska i złodzieja gonić nie leci. Zdawało mu się, że go nie rozumie chyba, nie wierzy mu. Z większą tedy jeszcze siłą grzmotnął się kułakiem w piersi.

— Porwał gospodarzu! . . . Porwał! . . . żebym tak szczęśliwego skonania doczekał, jak złodziej miemieć porwał! . . .

Gotlib odwrócił głowę, splunął, i znów się o krok cofnął.

Na chłopa uderzyły ognie.

— Co miał porywać, zatracona duszo, co? . . . Sam sprzedałem!

Otrząsnął się. Frankowi ręka opadła.

— Głupi! głupi! głupi! . . . — wołały dzieci, skacząc koło studni.

Franek patrzył na chłopa obłędnie, tępo, pomiarkować się zgoła nie mogąc. Z ustami otwartymi i wyciągniętą szyją stał przez chwilę niemo, aż zaczął głosem ochrypłym, zmienionym:

— Wy, gospodarzu! . . . Wy jemu przedali? . . . Wy sami przedali? . . .

— Psssia . . . cie! — zaklął chłop, mocując się z byśkiem.

Franek go znów za rękaw pochwycił. Dyszał ciężko, oczy wysiadły mu na wierzch.

— Gadajta! . . . Gadajta! . . . Samiśta przedali? Gadajta! . . .

Następował na chłopa, targając go za rękaw coraz

gwałtowniej.

— Umykaj, pókim dobry! — huknął Łuka. — A żebyś ty zmarniał! Chorobna duszo. . . — Zaklął w tejże chwili na wyrwywającego się byśka.

— A dummer Kerl! . . . — szepnął wzgardliwie Gotlib i ramionami rzucił.

— Co to z głupim gadać — roześmiała się któraś baba. Insze za nią. Każda się teraz wobec Niemca mądrą i polityczną okazać chciała. Nie były zresztą pewne, czy im samym przedawać co nie przyjdzie; ruszały tedy ramionami, poglądając z politowaniem i odwracając głowy.

W tej chwili wszakże, w narzuconym na ramiona kozuchu i z biczyskiem w ręku, przystąpił Filip Bodniak, szwagier Łuki, który gruntu nie miał, furmanił tylko, i Niemcom, żałującym i czasu i koni, z Olendrów się najął. Chłop czerwony był jak burak, zsiadły, ospowaty, baranią czapę ze stroikiem z czoła zsunął, bo ze trzy litkupy miał we łbie i kurzyło mu się z czupryny, a język co nieco płątał. Bodniak, jako że sam gospodarzem na własnym szmacie ziemi nie siedział, do szwagra przykrość jakąś w sercu czuł i rad go poszczypywał słowem, bo zazdrośnych oczu był na cudze dobro. Ten tedy, rozkraczywszy się przed Frankiem, ręce w biodra wparł i niebardzo pewnie na nogach stojąc, rzekł:

— A i nie wiesz to głupi, co teraz chłopcy, niby gospodarze, ze wszystkiego się wyprzedają, z domowizny, i też ze ziemi . . .

Chwyciła go czkawka, więc urwał.

Franek słuchał jakby ogłuszony.

— Ze ziemi . . . — powtórzył jak echo.

— Ze ziemi i z gruntu het precz, — ciągnął Bodniak — a idą głupi za morze. . .

— Za morze . . . — powtórzył Franek.

— Choć ta i suchoputna droga ponoć je, o trzy dni by nią człowiek ze Zagajnego zajechał . . . tyła, co o niej nie wiedzą. . .

— Nie wiedzą — powtórzył martwym głosem Franek.

— To ci tera het precz, licytacja . . . — mówił Bodniak, przelękając dręczącą go czkawkę — targowica . . . nie przymierzając, jak w kramie.

Podniósł rękę, czarniawym włosem zarosłą, grubemi żyłami zbrudzoną, i wodził nią w powietrzu, ukazując palcem zebranych w podwórku. Mętne, tępe oczy Franka poszły za tym palcem. Teraz dopiero zobaczył rudego Gotlibowego parobka, szafę na wózku, i Niemca przy sieczkarni i Fryca z kokoszką w rękę, i baby, i obce psy kudłate i byśka, i grubego Gotliba.

Wszystko. Patrzył, patrzył, nagle ręce opuścił i głowę na pierś skłonił. Gęstwina lnianych, zwichrzonych włosów spadła mu na oczy. Wyglądał tak śmiesznie, że dzieci na nowo wybuchnęły wrzaskiem.

— Głupi Franek! Głupi Franek! Widzita głupiego Franka!

Jemu się usta zaczęły trząść, kolana zadygotały pod nim, obszarpana koszula podnosiła się coraz szybciej na wysoko bijącej piersi. Nagle zaszlochał głośno i błagalnie do Łuki się ozwał:

— Nie sprzedajta, gospodarzu, pola! . . . Dlaboga, nie sprzedajta! . . . Dlaboga rety, Mario! . . .

Zaniósł się wielkim płaczem, i chwycił połę siermięgi gospodarza.

Chłop trzął sobą, chcąc się uwolnić od niego i kłął siarczyście.

— Nastąp pokrako! . . . Chorobna dusza! . . . A żeby cię. . .

Zerwał się Franek i do Łuczyny podbiegł. Głębokie łkanie wstrząsało jego nędzną piersią.

— Gospodyni! — wołał przerywanym głosem. — Gospodyni! . . . Nie przedawajta miemcom chałupy! Dlaboga, rety! nie przedawajta chałupy! . . .

— Do cna ogłupiało chłopisko! — szeptały między sobą baby.

— Bo to nic?

— Na zwiosnę takiemu najgorzej. . . .

— A odczepże się, odmieńcze! — krzyczała kobieta. — Owariował, czy co! Adyć go weźta! — Ale nie trzeba go było brać. Sam porwał się i wyciągnawszy przed siebie trzęsące się, łachmanami rękawów ledwo że okryte ręce, ryknął wielkim głosem:

— Rety! . . . Mario! . . . Rety! . . . Ludzie! . . . Gospodarze! . . . Nie przedawajta się miemcom! . . . Dlaboga ludzie! . . . Nie przedawajta! . . .

Uderzył w dłonie i złożonemi rękoma trząś przed głupią swoją głową, a po śniadej twarzy leciały mu łzy, ciężkie, jasne, gorące.

— A dummer Kerl! — powtórzył Gotlib; poczem ziewnął, splunął, sukienną czapkę na głowie poprawił i do odwrotu się zbierał.

Tknęło to Łukę, który targu o byśka dobić chciał; z całą tedy pasją zwrócił się do Franka:

— Ustąpisz mi ty na bok, zła duszo, czy nie ustąpisz? Chłopaki! Ruszta się ino! . . .

Ale chłopaki bawiły się zbyt dobrze całą tą “komeidią”, żeby się ruszać miały. Trącił jeden drugiego łokciem, spojrzeli po sobie, i stali.

Łuka się za Gotlibem puścił.

— Dalej, sąsiedzie! Półzłotka przyczyńcie i będzie zgoda z nami! Ja dziś do zgody, jak do wódki! U mnie tak! Dzień płaci . . . dzień traci. Dalej, panie Gotlib! . . . Zgoda! . . .

Mówił szybko, obficie, głośno, jakby chciał zagadać głupią mowę Franka.

Niemiec odchodził niby. Nie mógł on właściwie odejść, póki Bodniak stał, a z nim i furka jego, z której zwrócona łbem do dyszla szkapa wyciągała grubą, w bagnach sieczoną, trawę. Bodniakowi zaś nie śpieszyło się wcale ze szwagrowego podwórka.

— No? . . . półzłotka! Jakże będzie? — powtarzał Łuka. — Kupujta, póki sprzedaję! . . . No? . . . Jakże? . . . Co ta będzieta na głupiego patrzeć! Róbma zgodę. . . . Dalej go! . . .

Ale jeżeli kiedy, to właśnie teraz warto było na głupiego patrzeć. Jako ta rola nagle z wiosennego deszczu schnie, kiedy na nią słońce z wysoka uderzy, tak on po tych łzach bujnych odmienił się w twarzy, tak na niego uderzyła nagle wesołość. Jakoby nie ten, tak się przeinaczył, oczy kułakiem wytarł, jak miał szeroką gębę, tak się szeroko roześmiał, a chwyciwszy chłopakowi, co tam wpodłe stał, czapczątko ze łba, sam je sobie na głowę nasadził, w biodra się rękami podparł i krzyknął wesoło:

— Hej ha! . . . Kiej przedawać, to przedawać! A duchem! . . . Nic się nie frasujta, gospodarzu! głupi wam pomoże! Nim słonko zajdzie, popprzedamy het precz wszyściutko do czysta!

Szeroki wybuch śmiechu przyjął tę przemowę głupiego. Niemcy nawet śmiać się zaczęli, zwłaszcza też one rude wyrostki Gotlibowe, u wózka stojące. Łuka poczerwieniał i łypnął gniewnie oczyma; ale kiedy spojrział na owo ucieszne widowisko, jakie Franek z siebie uczynił, nie mógł wytrzymać i roześmiał się głośno. Głupi tymczasem przed chałupę skoczył. Stały tam i leżały różne sprzęty, z drogi onej szafie ruszone, jedne na drugich w kupie, jak na targowicy.

— Panie miemieć! Patrzajta ino, jaki godny lemiesz! Oj nie mało on ziemi skroił . . . niemało skib odwalił . . . niemało chleba dobył, ale nam tera nic po nim, bo het precz grunt i gospodarkę sprzedajem, i ani my, ani dzieci po nas ziemi tej, tego pola, orać już nie będziem! Kupujta lemiesz! . . . Patrzta, jaki godny!

Śmiech buchnął na nowo w podwórku. Bodniak aż się za boki trzymał, aż mu oczy zachodziły łzami.

Głupi tymczasem chwycił płachtę lnianą, a trzясając nią, wołał:

— Hej! . . . Płachtę sprzedaje! . . . Patrzajta, co za płachta je! . . . Caluśka, bieluśka, na ołtarzu by ją można kłaść pod ten chleb janielski! Oj bywał ci w niej chleb janielski, bywał, ano to ziarno Boże pszeniczne a żytnie, co je gospodarz na tem polu siewał. . . . Oj nie

mało z niej ziarna w tę świętą ziemię poszło i niemało dobra z ziarna tego wyrosło. . . . Dalej, kupujta, płachtę siewną, w kruchcie, w dzień Najświętszej Panienci Siewnej poświęcaną.

I tera śmiech buchnął, ale cichszy jakiś. Łuczyna westchnęła nawet i pogładziła głowę najmłodszego swego, który się jej fartucha trzymał, szeroko na Franka wytrzeszczywszy oczy.

— Gospodyni! — zawołał nagle Franek.

— A gdzie przęślica? Przedaliście len, sprzedajta i przęślicę. Już wy na niej kądzieli przadać nie będziecie, ani onej nici szarej na wrzecie przy łuczywie puszczać. . . . Nie będziecie przedzy motać, parników zwijać, pasem rachować. . . . Nie będziecie płótna tkąć, ani go na tej rosie porannej bielić, ani z niego koszul dzieciom zrządać. . . . Co wam po tem? Dalej gospodyni! Dalej. . . . Dawajta przęślicę. . . . Niech kupują!

W małym podwórku Łuki robiło się coraz dziwniej jakoś, coraz uroczyściej. Chłopaki wspinały się jedne przez drugie, żeby na "głupiego" patrzeć, oczy starych przygasiła zaduma, czy troska. Nagle odezwał się głos przejmujący, dziecięcy:

— Bocian! Bocian! O . . . bocian! . . .

Kilka głów podniosło się za tym dziecięcym głosem.

Istotnie, nad kalenicą Łukowej stodółki i nad leżącą na niej, zeszłorocznym szuwarem jeszcze przytrzęsioną, broną, wzbijał się lotem szerokim pierwszy tej wiosny bocian.

— Bocięk! . . .

— Wojtek! . . .

— Bocian! . . . — zaczęły wołać na różne głosy chłopaki, podrzucając czapki i klaszcząc w ręce.

Bocian, jakby na odpowiedź powitaniu temu, zaklekotał wesoło, roznośnie, coraz węższe nad gniazdem zataczając koła.

— Siądzie. . . .

— Nie siądzie! . . .

— Siądzie! . . . — odzywały się dziewczęce głōsy. Nawet uwaga bab i chłopów oderwała się na chwilę od "głupiego". Ale Franek, zadarłszy na porówni z innymi głowę, kiwał się szyderczo, wzgardliwie.

— Oj głupi, głupi! Oj głupi ty, ptaku! — rzekł wreszcie. — A i czegożeś tu leciał bez morze, bez wielkie, na gniazdach noclegujący, na zorzach się budzący, głodu zażywający, nawałności i wojen powietrznych i przestrahów różnych bynajmniej się nie bojący? . . . Czegożeś tu do Zagajnego leciał, jakoby ci też kto ślepiea wybrał, drogi nie myląc, skrzydłom nie folgując, a onego wiatru wschodowego, od Narwi wiejącego, o Zagajnem pytając.

Do gniazdaś ty leciał, do miłego gniazda, do onego domu swego, gdzieś bocianięta swe hodował i słońcu się radował i ludzi cieszył i odpocznienie swoje miał.

Oj przylecisz ty tu i na bezrok jeszcze, ale już gniazda twego nie będzie . . . jak tu i nas i gniazd naszych nie będzie. . . . Miemce tu obsiadą, niemce tu gniazda swoje założą, a ty głupi precz . . . za morze . . . za morze. . . .

Podniósł głos, oczy chłopów się na niego zwróciły.

— Panie Gotlib! — zawołał — panie miemiec, bliżej tu sam, bliżej! . . . Jeszcze się tu niejedno do przedania najdzie, ino pieniądze liczcie!

Widzita te jaskółki nad wodą? Widzita tę modrość niebieską? . . . Widzita ten krzyż nade drogą? . . . Widzita het one górki, one mogiłki nasze?

Dalej! Wszyściutko sprzedajem! Kupujta tę modrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki!

Cisnął czapkę, spuścił głowę i zamilkł.

A potem, nad ową kupą domowizny przed chatą klęknąwszy, ręce przy ustach złożył i mówił mocnym głosem:

— Święty Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny! zmiłuj się nad nami!

Zaszemrały za nim głōsy, jako wiatr wiosenny. Chłopi głōwy odkryli, baby pokłękaly, a Franek mówił dalej:

...Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!

...Od nagłej a niespodziewanej śmierci, zachowaj nas, Panie.

...Od morskiej i wszelkiej nawałności, zachowaj nas, Panie!

...O spokój gniazdom naszym, prosimy Cię Panie! .

A jako zawsze głupi był, tak i tę modlitwę teraz na swój sposób zmyliwszy, wstał, świetliste oczy na powietrze podniósł i między ludźmi przeszedłszy ku rzece się puścił.

SZLENDAKI

Szlendaki

. . . Pamiętam was, wirtuozy małe!

Na schyłku lata dzień gorący, modry. Słońce wysoko stoi, złote rzęsy mruży, w Wisłę iskry sypie. Całe snopy iskier sypie w Wisłę, płynącą śpiesznie, śpiesznie, a tak cicho, że się tylko drzeć zdaje, nie płynąć.

Nad Wisłą zabrzeg stromy, na nim budowy dziwne, zamczyste, o rogatych czołach: Kazimierzowe śpichrze to chlebne, co jeszcze teraz złote ziarno sypią, złote ziarno złotego wspomnienia. . . .

Niżej, poniżej, na całym stoku wzgórze berberysy kapią gronami koralu i złotawego bursztynu. Dziko, krzaczysto zarasta wzgórze całe, ledwie gdzie pokazując podsypujący je żwir jasny i piasek. Jędrna woń bije z tych gąszczów ciemnej zieleni, drżącej od furkotu i świstania tysiąca piór i głosów. Całe wzgórze ptaszym szczebiotem głośnie.

Wyżej, powyżej, wieża stara stoi, wieża z Kazimierzowskiej poczerniałej cegły, z której wiek dawny dom sobie niegdyś murowany czynił, w ziemi polnej, od żywic modrzewiowych zrębów złotej, a snopami użątka nakrytej. Dom, o którym mniemał iż jest wieczny.

Na skraju wzgórze wieża stoi, harfa bezstrunna, milcząca, na której martwe palce kładzie bezdźwięcznie, wędrowny ślepiec — czas. Wprost wieży kawał starego zwietszałego muru; jakaś karta granitowej księgi, której dziś już nie odczyta nikt. Słońce złoci jej zgłoski i ognistemi je czyni; ale znaczenia ich zapomnieli ludzie. Oni myślą, że te zgłoski złote, to tylko rysy i szpary zwietsza-

lego muru, z których się puszcza tarń i macierzanka.

I znów fala buchająca życiem zieleni, barw, liści, płątańców i łądyg, a za nią znów kawał umarłego muru: baszta, puste przedpiersie, w trawy zaryte, za którym nie bije żadne żywe serce.

W lewo, na osypisku żwirów błyszczących w słońcu, uczepiona z gruzów arkada, kamienna, pół owalna rama, w której wybłyska prosty, cały w tonach ametystu i szmaragdu mieniący się obraz: błękit nieba, zieleń pól, chat dymy liliowe, i modrość w skrach płynącej rzeki, ot, jak go wymalował Bóg.

Stary mur, starego wieku syn, okno tu sobie i wygląd na prawnucze życie uczynił. Stara Baśń w oknie siedzi, złote nici przędzie, i starym, drżącym głosem stare pieśni śpiewa. Świerszcz, który tu gniazdo ma, gęśli jej do wtóru stroi.

A na lewo, na prawo, jak wzrok puścić wolno, sady . . . sady . . . sady. . . . Ledwie z nich strzechy, ludzkich siedzib widne. Fiolety śliw, od niebieskawych, aż do purpurowych niemal, dają barwom ton główny, naczelny. Miesza się z tonem tym złotawa rumianość jabłoni, i świetna zieleń grusz, chcących do ziemi.

Woń dojrzewającego owocu topnie w powietrzu cichem i gorącym. Smółki drzewne pachną, a pszczoły padają na kwitnące grzędy bez brzęku prawie, ciężkie a złote, niby krople miodu.

. . . Pamiętam was, wirtuozy małe!

Domek niski pod wzgórzem stoi; gałęzie berberysu tyśiącem rubinowych oczu do wnętrza mu przez drobne szybki patrzą, brzoza liść złoty na gonty mu trzęsie, całą kaskadą srebrnych kor swoich za niemi bijąca.

Gromada wróbli, które tu od zorzy do zorzy wiec krzykliwy mają, nie wie, czy jeszcze na gałęzi, czy już się na strzesze ściele.

Przed progiem domku, łuskwiny koralowych berberysów w błyszczącym do słońca piasku. Nad odzwierkiem drewniana klatka z świstającym, niespokojnym kosem.

Drzwi na ścieżaj otwarte, wskrós przez mroczne sienie, na równo wycięty kwadrat modrego światła, na buchającą z sadu woń rezedy i na przeloty nagłe, gniezdzących się pod belką jaskółek.

Cała modrość powietrza przeszyta czarnymi piór strzałami; cała strzecha w błyskawicach kręgów, jakie zataczają nad nią. . . .

Wprost domku, na cały obszar pustego rynku, zczerniała stoi ściana. Ogromny Krzysztof przez tynki jej, jak szerokie, kroczy, podpierając się sośniakiem w zielonych kiściach jeszcze, sośniakiem wyłamanym w takim boru, gdzie żywa moc rośnie, i żywa w moc — wiara.

Spezły barwy lica i odzieży olbrzyma; światłości różanej dzieciątka, które niesie, także nie uchroniły wieki. Prawica tylko widma, z podporą swoją właśnie jakby zrosła, i barki szerokie, pod niewidzialnym ciężarem zgięte, i lędźwie w ruchu, i ten krok ogromny, jakim się bierze przez topiel isć — wierząc.

. . . Pamiętam was, wirtuozy małe!

Pułap niski, bielony; drobne okienko tonie w zieloności i kwieciu geranium. W ubogich ramach na ścianie bitwa jedna, druga. Stare, pożółkłe sztychy, dymiące z dział branych gołą ręką, gdzieś wprost z pod bagnatów. . . .

Pod oknem fortepian dziwacznej struktury, lipową deską kryty, kozłami podparty. Wprost niego, pod sztychami skrzypce i altówka.

Na fortepianie, na lipowej desce czarny niedźwiadek na dwóch łapach stoi, nad bębniem zawieszonym u karku, pałeczki wzniesione trzyma. . . . Na stole srebrzystej mietlicy i polnych dzwonków pęk, porzucony jak byle, rozsypany. . . .

Przy fortepianie, przed klawiaturą bardzo wąską i bardzo pożółkłą, tak jak przybiegł wprost z pola, boso, bez spencerki, w szeroko odrzuconej u szyi koszuli, siedzi na prostym zydłu chłopaczyna ogorzały, nisko postrzyżony, drobny, z całym światem pieśni w palących się złotych

wych blaskiem oczach.

Gra . . .

Gra i śpiewa razem.

Tyle klawiszy oniemiało w biednej starej klawiaturze, iż chłopiec dośpiewywać musi połowę melodii niemal. Nie zraża go to wcale. Drobne, spalone słońcem rączęta uderzają, rozbiegają się, uderzają znowu z jakąś szaloną furją, z jakąś dziwaczną, wprost niezrozumiałą w nich maestrią.

Jedna nożyna bosa naciska klapiący pedał, druga takt bije w podłogę. Chłopak nie ma więcej nad lat osiem, dziewięć; na zydlu ledwo przysiadł, jak ptak na gałęzi. Gra i nie słyszy, że go matka woła. Ogarnęła go całego ta melodia, którą przez pół z piersi dobywa, a przez pół z wążkiej, żółtej klawiatury.

Przy nim, na lewo, stoi młodszy. Ten ledwie że fortepianu głową sięga. Tak samo słońcem spalony, tak samo w koszulinie i bosi, z najwyższym natężeniem ściga roziskrzonym wzrokiem chyże ręce brata, i wtór mu jednym palcem na basach daje. Jednym, jedynym palcem, ale co za wtór! Ani zmyli, ani wyprzedzi, ani się opóźni, tylko tu, to tam, z głębokim namysłem dźwięczny, wibrujący ton przyrzuci, cały skupiony w sobie, z wpółotwartymi ustami, z rosą potu od wysiłonej uwagi na szerokim czole.

I grają tak Szlendaki małe, i płynie w echach piosnka stara, stara, którą śpiewywali ci, co te sady sadzili, co szczepili te jabłonie, te śliwy, i na te mury z poczerńiałej cegły w zadumaniu obracali oczy. . . .

Piosenka stara, której echa już się dawno wygasły zdawały, a oto znowu żyją!

I grają tak Szlendaki małe, jak ich uczył ojciec organista, jak ich uczyły szумы rzeki, i srebrzysty brzozy szmer, i kos, i stare pożółkłe sztychy, i skrzypce, i altówka, i wiatr polny, cichy. Kto wie, Baśń stara może. . . .

. . . Pamiętam was, wirtuozoy małe!

MÓJ ZEGAREK



Mój Zegarek

Nic i nigdy nie przedstawiło mi się w życiu pod aspektem tak doskonale niedoścignętego ideału, jak ten mój zegarek.

Pamiętam tę chwilę tak żywo, że coś z jej drżenia dziś jeszcze wzrusza mi serce. Była poprostu przejmująca.

Ojciec powrócił z Paryża, po dość długiej niebytności w domu. Był jakiś inny. Strojny, lekki, wesoły, roztrzepany prawie, bródkę miał przyciętą w klin, gwizdał, podśpiewywał, wykręcał się na pięcie, klepał nas po ramieniu z miną koleżeńską i nader zabawnem mrugnięciem; na matkę wołał "Ma biche", zamiast jak zazwyczaj: Basiu, poczem jednak zaraz uderzał się dłonią w usta i spuściwszy oczy, komicznie podkręcał wąsa. Wydawał się też znacznie młodszy, szczuplejszy, przystępniejszy jakby.

Właściwie, ostatnie to spostrzeżenie uczynił nasz Medor, który odrazu, po trzaśnięciu w palce, jakim go ojciec przywołał, poznał owe paryzkie przemiany, i natychmiast puściwszy się w szalony piruet, zaczął się kręcić do zawrotu głowy, poczem skoczył ojcu wprost na piersi, czego dawniej, z powodu pewnej, dość znacznej wyniosłości jego żołądka, nigdy uczynić nie zdołał.

Co do matki, ta w pierwszej chwili radości nie miała czasu na żadne spostrzeżenia, i raz tylko krzyknąwszy — "Józef!" — padła ojcu na szyję, poczem zawołała: Marysia, "befsztyk!" i zniknęła w kuchni.

Zaraz też uczynił się tam huk i trzask, jak w największe święto.

Jakoż, ten z wielu względów uroczysty wieczór, zakończył się podaniem niezmiernie czarnego i niezmiernie płaskiego rozbratla, na który ojciec spojrzawszy, przez monokl przymrużonem okiem, skrzywił się nieco i zapytał czy niema sałaty.

Gremialny uśmiech przeleciał nam przez usta.

Ale matka wpatrzyła się w ojca z przerażeniem prawie.

— Sałaty? W grudniu — sałaty? Lecz cóżbyśmy, nieszczęśliwi, jadaliby w czerwcu i w lipcu, gdyby w grudniu miała być sałata?

Wtedy ojciec objaśnił nas pobłażliwie, że w Paryżu sałata jest zawsze.

Natychmiast uśmiech zniknął z ust naszych, a powieki opuściły się z pewnem zawstydzeniem i upokorzeniem. Tylko oczy matki stały się bardziej przerażone, zaczęliśmy poczuć wszyscy coś, jak gdyby trzeszczenie w fundamentach rodzinnego życia.

Później dopiero, dostawszy kawałek owego rozbratla, przekonałem się, że to w nim trzeszczało.

Ojciec przecież dobrego humoru nie tracił, i dłubiąc piórkami w zębach przyglądał się z pod oka rozcierwionej i buchającej cebulą Marysi, poczem gwizdząc arietkę, poszedł do swego podróznego kufra. Naturalnie, rzuciliśmy się za nim wraz z Medorem; co do matki, ta przyzostała w jadalni, gdyż na talerzu ojca leżał bardzo jeszcze dobry kawałek mięsa i trzeba go było do kredensu schować.

Wtedy to właśnie, przy owym podróznym kufrze, z którego ojciec zaczął wyrzucać mnóstwo jasnych rękawiczek, krawatów i pachnących piżmem chusteczek, miałem cudowną wizję owego zegarka.

Kiedym go zobaczył, bujał się on wysoko przede mną, w dwóch palcach na cienkim łańcuszku przez ojca trzymany, tak, iż zdawał się własną czarodziejską mocą unosić w powietrzu.

Odrązu też objawił się oczom moim, jako krążek z

nieba wycięty, błyszczący najczystszy szafirem, i usiany nieprzeliczoną ilością gwiazd tak złotych, jakie tylko w najprzeźroczystszą noc sierpniową widzieć można. Stałem osłupiały, chłonąc rozszerzonymi źrenicami to prawie że niezemskie zjawisko, gdy w tem zaczęło się ono zwolna zniżać ku mnie, a ojciec zawołał wesóło:

Trzymaj chłopcze! Masz zegarek!

Rzuciłem się, z bezprzytomnym krzykiem szalonej szczęśliwości wyciągając ręce. . . .

Jeszcze wszakże zegarka dosięgnąć nie zdołał, gdy weszła matka, a spostrzegłszy na co się zanosi, śpiesznie go odebrała ojcu.

— Nie! nie! — Do rąk nie! . . . Za nic w świecie! Taka kosztowna rzecz! Do ślubu nie miałam lepszego! Taki zegarek — dziecku! . . .

I natychmiast zgasła wszystkie gwiazdy i cały szafir sierpniowej nocy w swej zamkniętej dłoni.

W tej samej chwili dusza we mnie zgasła.

. . . Nie dawać mi do rąk? Dlaczego? Boże miłosierny. Dlaczego nie dawać mi do rąk tego cudu i tego szczęścia? Czyż nie na to mam ręce, abym w nie szczęście moje mógł wziąć i trzymać mocno?

. . . Rozbić? . . . Jabym miał to rozbić? Czyż nie z taką samą słusnością powiedziećby można, iż rozbiję niebieski firmament?

Rozbić tyle czaru, tyle światła i tyle radości?

I oto oczy moje zaczęły wzbierać dwiema wielkimi, ciężkimi łzami, które mi wypełniły źrenice aż po same rzęsy. Przez łzy te, ojciec i matka stawali mi się coraz mniej widzialni, coraz mniej rzeczywisci i coraz srebrniejsi. Wreszcie zupełnie widzieć ich przestałem. Czulem tylko, że jakies dwie przeciwne moce, o mglistych a potężnych kształtach ważą się nademną, zabijając i wskrzeszając kolejno me serce, i że ja, w małości i bezbronności mojej nie mogę przeciw temu nic, nic. . . .

W tem doszedł mnie stanowczy głos matki:

— Dobrze zresztą, niech się napatrzy! Położę ze-

garek tu, na fortepianie. O, tutaj!

Położyła.

— Ale do ręki nie waź się brać! Niech Bóg zachowa! Pamiętaj. . . . Niech cię Pan Bóg broni! Rozumiesz?

Rozumiałem.

Dwie wielkie, ciężkie łzy, których miałem pełne oczy, spadły jak dwie twarde bryłki po moich rozpalonych policzkach. Dotąd czuję ich doskonałą zwartość i okrągłość.

Jestem też pewny, że upadłszy nie wsiąknęły w kostkową posadzkę naszego saloniku, lecz że się o nią rozbiły w pył tęczowy tak, jak owe kuleczki wydmuchane z weneckiego szkła w Murano, które za dotknięciem pękają z przedziwną dźwięcznością.

Zacząłem patrzeć.

Nie było to łatwo. Fortepian sięgał mi prawie że do brody. Zadarłem tedy głowę, brodę położyłem na mahoniowej dece i patrzyłem.

Zegarek leżał teraz w otwartym czarnym pudełku, które mi się wydało małą czarną trumną. Szafiry jego zmierzchły, gwiazdy ledwo tlały. Prawda, że w tym kącie pokoju było dosyć ciemno.

— Bliski był, a jednak — o jakże daleki!

Daleki najpierw dlatego, że leżał na środku fortepianu, gdzie żadną miarą dostać go nie mogłem, a potem — że . . . niech Bóg broni! Niech Bóg zachowa! Rozumiesz?

— O gorzkie rozumienie! O bezlitosny w swej słuszności zakazie niebiańskiego szczęścia! O niedoborze rozkoszy, której nie można za nic w świecie do rąk. . . . O serca głodne u zastawionych stołów życia! O usta pragnące, do pełnych czasz przywarte, a nie napojone! O pierwsze pożądanie schowane w czarnem, do trumny podobnym pudełku! O filozofio zaprzeczeń, która wydzie dziczasz dusze z boskiego władania sobą! O ziemię obiecane, a nienawiedzone nigdy! O zwiastowania wiosenne

majowych narodzin szczęścia, po których żadne słowo ciałem się nie staje!

O ręce zaciśnięte żądzą! O palce zdławione zakazem! O ramiona chwytające w próżni to, co nieuchwytnie!

O nieprzebyte, z każdego punktu wszędzie i zawsze równo oddalone dale!

O niebijące nigdy godziny doczekania!

O srebrna sita serc czerpiących morze!

O ty wielkie wszystko życia, którego . . . niech Bóg zachowa, i . . . niech Pan Bóg broni! . . .

Lecz gdym tak stał, oparłszy brodę na fortepianowej dece i założywszy w tył ręce z palcami splątanymi w nieprawdopodobny węzeł, którego nawet najsilniejszą pokusą zdjęty, odrazu rozplątać nie byłbym w możności, — zegarek zaczął coś szeptać, coś mówić, coś śpiewać. Szept był zrazu niewyraźny, niewypowiedzialny. Istniał w nieuchwytności subtelnego szmeru, w czarodziejskiem rozdrzaniu jakichś nieskończenie dalekich i nieskończenie bliskich punktów, z których jeden był w sercu zegarka, a zaś drugi w mojem. Był bosko niepojęty, niezrozumiały, olśniewający, i cudownie pozbawiony wszelkiego znaczenia. Obłok woni, pył czarokwitu, mżenie tęcz, przyciąganie nieprzemожone bólu i rozkoszy.

Acz nadzwyczajnie pośpieszny i cichy, miał w sobie szept ten precyzję i czystość struny, trącanej od wieczności do wieczności niewidzialną mocą; a tak był kojący i słodki, iż cała gorycz, całe cierpkie napięcie duszy zwolniało we mnie, a serce moje zaczęło mu odszeptywać z najrzewniejszym, najbardziej ufnem oddaniem.

A wtedy szept ów, który był mniej niż mową, a więcej niż głosem, przerzucił się nagle z nieskończonych odaleń wprost do mojej piersi, i usłyszałem wyraźnie dwa nierozzerwalnie złączone z sobą dźwięki — Ja i ty . . . ja i ty . . . ja i ty . . .

Było to niedoścignione okiem błyskanie i odbłyskiwanie dwu lekkich, modrych iskier, z których gdy się jedna zapalała, druga gasła, oddając tamtej swój żar i swój

kolor. Było to czarodziejskie obdzielanie jednym życiem dwu odrębnych istnień, dokonywane z taką potęgą bezpośredniości, iż żadne z istnień tych nie czuło się, — ani przez jedno mgnienie, — martwym i zgaszonym punktem.

Że się ten cud stawał w maleńkiem, tajemniczem "i" — nie wiedziałem wówczas. Wkrótce przecież, owo błyskawiczne zapalenie się i ugasanie dwu modrych iskier nabrało tak natężonej szybkości i siły, iż zajarzyło jako złota nieprzerwana smuga muzycznego tonu. Zaczem ton rozpadał się na dźwięki, i stała się nademną — pieśń. Była to niezawodnie najcudniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek ucho ludzkie słyszało.

Dźwięki jej rozkwitały z niezmierną świeżością uroszonych pąków, wprost z nieobjętych wzrokiem, przelewających się przez wręby widnokręgu pól radości życia i wiosennych czarów. . . .

Jakieś bajeczne perspektywy księżycowych światła, jakieś mżące rozpylonym seledynem dale, jakieś otchnione delikatnym różem srebrzyste tumany objęły mnie i zawarły w sobie tak, iż sam stałem się pieśnią i czułem, jak dźwięczę i śpiewam. . . .

Nie znałem słowa, a i teraz nie znam, któremby nazwane być mogło to oczarowanie. Było ono jednak do tego stopnia silnem, iż potęgując zrazu rozkosz widzenia, wkrótce ją przemogło. Zamknąłem oczy, ręce mi się rozplotły, opadły, oddałem się całej tej fali, która mnie niosła i dźwięczała we mnie. . . .

W tej samej wszakże chwili uczułem szarpnięcie za ramię i usłyszałem głos matki:

— Cóż ty? Stojąc spisiz? Rozbieraj się i do łóżka! Dziesiąta. Dość na dziś tego patrzenia!

Słowom tym towarzyszył przykrzy trzask, a kiedym otwarł oczy, wieko czarnego, podobnego do trumny pudełka było już zamknięte.

Odtąd widywałem mój zegarek tylko w dnie świąteczne. W powszednie czasu nie było. Nie to, żebym ja go nie miał, ale nie miała go matka, zwłaszcza, gdy odpra-

wiwszy Marysię, która coraz silniej zaczynała pachnieć piżmem, podobnie jak owe paryzkie chusteczki ojca, sama gotowała obiad i smażyła rozbratle z cebulą.

Tutaj nadmienić muszę, iż sałaty ciągle jeszcze nie było, a trzeszczenie w fundamentach rodzinnego życia pojawiało się częściej, niż rozbratel, któremu by je z pewnością słuszością przypisać było można.

Co do ojca, ten stale nosił bródkę w klin i podśpiewywał francuskie piosneczki. Na matkę jednak przestał wołać: "Ma biche", a i nas nie klepał po ramieniu, mrużąc okiem. Rzadko teraz bywał w domu. Ściśle rzeczy biorąc, od czasu jak przybył cyrk, w których uczone panny jeździły nauczonych koniach, nie widywaliśmy go wieczorami prawie. Okazało się bowiem, że jest nadzwyczajnym amatorem koni. A jeśli się i trafiło kiedy, że był w domu, zaraz go bolała głowa i spał na kanapie w ubraniu. Dopiero około północy bywał mu lepiej, i wtedy wychodził przez nasz pokój, żeby nie przeszkadzać matce.

Mnie wszakże to długie, całotygodniowe niewidowanie zegarka wprawiało w jakiś stan drażniącego oczekiwania, który był nieznośny.

Jeszcze poniedziałek, wtorek, środa nawet, dawały się jako tako przeżyć. Ale już czwartek był nie do wytrzymania. Poprostu niepodobna mi było usiedzieć przy jakimkolwiek zajęciu, gdym czuł, że zegarek jest tam, w tem czarnem pudełku, a ja go nie widzę.

Tedy dla ulżenia sobie zaczynałem krążyć około szafki, w której był schowany, albo stawałem przy niej, nasłuchując, czy nie doleci mnie jego szept mistyczny. Jakóż dolatywał.

Później dopiero, znacznie później dowiedziałem się, że to było drżenie mego serca. Zegarek bowiem nie nakręcany od niedzieli do niedzieli, leżał bez ruchu i głosu.

W niedzielę za to, jaka szalona i gorąca, chociaż krótka radość!

Dusza omdlewała we mnie, gdym słyszał suchy trzask

otwierającego się pudełka. Poczem nagle zapalały się w ręku matki wszystkie gwiazdy z nieba i zakwitły wszystkie szafiry, a ja, bez tchu, patrzyłem z wyciągniętą szyją, mając pierś pełną cichej, gorącej jasności, podczas, gdy tajemnicze dźwięki czarownej pieśni wybuchały w każdym moim pulsie.

Te wszakże stany ekstazy i następującego po nich wyczerpania, te natężone pragnienia i długie nie zaspokojone tęsknoty, źle wpływały na mnie.

Stałem się roztargniony, posępny, niecierpliwy i zamknięty w sobie.

Żyłem paroksyzmami szczęścia i oczekiwaniem na nie, co się fatalnie odbiło na mojej cenzurze.

Najgorszym jednak było to, że gdym cokolwiek zbroił, lub źle przyniósł stopnie, matka, zamiast mi dać po uszach, jak bywało dawniej, kiwała tylko głową i mówiła złowróżącym głosem:

— Oho, przepadło! Już zegarek nie twój!

Jaka mnie wtedy ogarniała rozpacz, jakie głębokie łkania wstrząsały moją wątłą pierś, jaki krzyk protestu miałem w duszy, ilem łez gorzkich i palących przelał!

Dopiero, kiedym kilka dni takich i nocy przebolewał w niewypowiedzianej męce, — kiedym zmizerniał, stracił sen, apetyt, a kto ze znajomych zauważył, żem "jakiś marny", wtedy dopiero matka mówiła:

— No, zegarek twój, ale pamiętaj!

Bóg widzi, jak pamiętać chciałem.

Mimo to jednak, co jakiś czas, zegarek przestawał być moim, a nim ta śmiertelna klątwa znów ze mnie zdjętą została, w łzach moich mógł się on być cały z łańcuszkiem razem zanurzyć.

Najdotkliwszem zaś w mej rozpaczcy było to, żem go utracił, nie posiadłszy w pełni.

Ciągle bowiem jeszcze nie byłem starszy i ciągle nie mogłem do rąk dostać tak kosztownej rzeczy.

Życie moje chwiało się teraz między dwiema alternatywami, które się z dziwną punktualnością luzowały.

Zegarek był "mój", lub też zegarek był "nie mój". Tak szarpany między nadzieją odzyskania, a obawą utracenia szczęścia, budziłem się nieraz w nocy, nie wiedząc tak ze snu na razie, czy zegarek jest teraz mój, czy też nie mój? Spojrzenie moje było błędne, włosy zjeżone, zimny pot rosił mi czoło, a serce waliło jak młotem. Po dłuższej dopiero chwili oprzytomniawszy z przerażenia tego, przypomiinałem sobie, że zegarek jest teraz mój, a wtedy na mojej wynędzniałej twarzy pojawiał się błogi uśmiech szczęścia i opadałem na pościel z czuciem bezgranicznego ukojenia, tak właśnie, jak rozbitek, który już zgubionym się widział, a oto jest uratowany.

Niekiedy, w czasie obiadu (a bywał on coraz i krótszy i gorszy) nagle, niosąc łyżkę do ust przypomiinałem sobie, że zegarek nie mój. Wtedy wargi zaczynały mi się trząść, łyżka w rękę drżała, i zanim ją do ust doniosłem, pełniejsza była o dwie słone i gorące krople.

Jakoś w tym czasie ojciec znów wyjechał. Kilka wieczorów przedtem bolała go głowa; w cyrku nawet nie bywał, gdyż uczone konie także wyjechały. Ale matka bardzo się tem gryzła i mocno płakała. Jakoż nie mogła ojcu na drogę ani upakować kufra, ani usmażyć rozbratła, gdyż ojciec, nie chcąc jej przeszkadzać, wyszedł przez nasz pokój sam w nocy na kolej, wzięwszy tylko swą podrózną torbę.

Przez jaki miesiąc potem, nawet dłużej może, zegarek był ciągle mój. Nie dlatego, żebym się lepiej sprawował lub uczył, ale matka tak była rozgniewana, i taka zmartwiona, że gdym przeskrobał, dostawałem odrazu na gorąco w kark, a o zegarku nie było zgoła mowy. Kipiałem tedy całą szczęśliwością niewypowiedzianą, czekając niecierpliwie niedzieli.

Aż przyszła taka jedna niedziela, że matka pudełko nie wyjęła z szafki.

Czekałem ranek cały — nic. Tedy po obiedzie, któremu przełknąć nie mógł z niepokoju, podszedłem do matki i pocałowałem ją w rękę.

Siedziała nadchmurzona podparwszy głowę.

Pierwszy raz zauważyłem, jak bardzo postarzała i po-
żółkła w tych ostatnich czasach. Że zaś to postarzenie
uczyniło twarz jej bardziej jeszcze twardą i surową, onie-
śmielony patrzyłem na nią w milczeniu, nie wiedząc jak
zacząć.

Spostrzegła mnie sama.

— Czego stoisz? Zjadłeś obiad, to idź do książki
i ucz się!

Zebrałem całą odwagę:

— A zegarek? . . . Dziś niedziela . . .

Matka odwróciła głowę i rzekła ostrym głosem:

— Niema zegarka. Zastawiony. Jak będą pienią-
dze, to go się wykupi.

Oniemiałem, ogłuchłem i patrzyłem przerażony
w matkę:

— Nie . . . niema ze . . .? Piorun uderzył mi w
duszę i zabił wszystko, co w niej było życiem i nadzieją.

Czerwone błyskawice latały mi w oczach, kreśląc ja-
kimiś okropnymi zygzakami:

— Niema zegarka, zastawiony. . . . Niema zegar-
ka, zastawiony!

Dziś wiem, że tak właśnie wyglądały wyrazy: Mane,
Tekel, Fares.

Tymczasem matka podniosła się z jakimś stłumio-
nym jękiem i wyszła z pokoju.

Zostałem sam.

Natychmiast obudziła się we mnie przedsiębiorczość,
instynkt ratowania się i odporna siła.

Jakoż tego dnia jeszcze powziąłem u stróża ważne
wiadomości. Dowiedziałem się mianowicie, co znaczy za-
stawiony, a nadto gdzie jest i jak się zwie miejsce, w
którym mój zegarek przebywa.

Nazajutrz poszedłem tam, zamiast iść do szkoły. Był
to duży żółty dom w ustronnej ulicy. Ponieważ drzwi
były uchylone, wsunąłem się i obracając czapkę w rękę,
z bijącym mocno sercem stanąłem przy nich.

Pokój był prawie pusty. Jakiś pan spojrział na mnie od biurka przy oknie i zapytał:

— A czego to?

Ukloniłem się zmieszany niewymownie.

— Nic, proszę pana, tylko tu jest mój zegarek. . . .

Pan wyciągnął rękę.

Kwit?

Nie miałem kwitu.

— Bez kwitu się nie wydaje.

Ukloniłem się raz jeszcze i wyszedłem w sienie, a że nikogo tu nie było, przytuliłem się do drzwi i słuchałem.

Byłem pewny, tak jest, byłem zupełnie pewny, że przez te drzwi zamknięte przenika do mnie szept mego zegarka. Trząsałem się ze wzruszenia aż do szpiku kości, a lzy, jak grad leciały mi po twarzy.

We wtorek wracałem ze szkoły z ogromną pałą z łaciny, i z boską nadzieją w duszy, że znów ten drogi szept usłyszę. Jakoż zaraz po obiedzie pobiegłem do biura i lekko nacisnąwszy klamkę znalazłem się we drzwiach.

Pan, który był w tej chwili przyszedł, poskładał papiery, obejrzał pod światło pióro, usiadł i wyciągnął rękę.

— Kwit!

Ognie buchnęły na mnie.

— Ja tylko, proszę pana, tak. . . .

Lecz pan trzymał wyciągniętą rękę.

— Kwit! — powtórzył.

Nie miałem rzecz prosta kwitu.

Wtedy pan rozgniewał się i rzekł:

— Cóż u licha! Powiedziałem, że się bez kwitu nie wydaje fantów!

— Kiedy to nie fant, proszę pana, tylko mój zegarek. . . .

Popatrzał na mnie z wspaniałą mieszaniną gniewu i pogardy, poczem trzasnął ręką w leżące przed nim papiery.

— Proszę mnie tu nie nachodzić! Nie przeszkadzać! Powiedzieć w domu, żeby kto starszy przyszedł z pieniąd-

mi i kwitem.

Ukloniłem się i wyszedłem zawstydzony, z głębokiem wzruszeniem w duszy. I teraz bowiem byłem pewny, że słyszał szept swojego zegarka.

Odtąd wszakże nie śmiałem wchodzić do biura, tylko stawałem w sieni. Nic wprawdzie stamtąd nie mogłem widzieć ani słyszeć, ale byłem blisko, w tym samym domu, gdzie zegarek.

Pewnego wszakże dnia podszedł do mnie stróż i rzekł:

— Tu nie wolno wystawać pode drzwiami! Jak interes, to wejść, a jak nie, to nie zastępiać!

Cofnąłem się zmięszany. Nazajutrz siadłem na kamiennych schodkach, które prowadziły z ulicy do sieni i patrzyłem w okna. Twardo tu było i niewygodnie, ale przecież i tak bliżej zegarka niż w domu.

Czas szedł, i zrobiło się lato. I znów szedł i zrobiła się jesień.

Wietrzna była, zimna, słotna.

Zgorączkowany, wymizerowany, drżałem jak liść, siadując na owych schodkach w starym wytartym mundurku.

— Bój się Boga, chłopak, nie siedź na tych mokrych kamieniach, w takie zimnisko, bo się choroby nabawisz! — rzekł raz do mnie jeden z urzędników, wychodząc z biura.

Podniosłem na niego oczy.

— Kiedy tu jest mój zegarek, proszę pana!

Uśmiechnął się, pokiwał głową, westchnął, i poszedł dalej.

A mnie tęsknota trawiła tak, jak ciężka choroba. Uczyłem się jak najgorzej. Nieraz też od matki dostawałem po uszach, czegom prawie że nie czułem, pochłonięty jedną żądzą i jednym pragnieniem. Pieniądzy przecież ciągle jeszcze nie było i zegarek wykupiony być nie mógł.

Pod koniec grudnia wpadłem na myśl napisania listu do ojca. Jakoż natychmiast wydarłem ćwiartkę papieru z dyktanda na czysto, i zalewając atrament gorącymi ła-

mi — pisałem.

Kochany Ojcze! Donoszę kochanemu ojcu, że jestem bardzo nieszczęśliwy, bo zegarek mój jest zastawiony i wcale go niema. Kochany drogi ojcze, przyjeźdź prędko, gdyż jestem bardzo nieszczęśliwy i jest bardzo zimno. Całuję twoje ręce kochany ojcze i żebyś prędko powrócił. Wierny syn Stanisław.

Złożyłem teraz ćwiartkę we czworo, napisałem na czystej stronie: Do kochanego ojca, i pobiegłszy, mimo późnej pory, na pocztę, wrzuciłem w skrzynkę.

Nadzieja rychłego ratunku ożywiła mnie znacznie. Z gorączkową niecierpliwością wylatywałem naprzeciw listonosza po kilkakroć na dzień. Odpowiedzi jednak nie było. Czekałem tydzień, czekałem dwa, trzy — nic.

Wtedy pobiegłem znów do tego wielkiego złotego domu. Miałem zamiar wejść śmiało i powiedzieć urzędnikowi, że ojciec lada dzień wróci, że już nawet do niego pisałem, więc czyby mi tymczasem nie oddał zegarka?

Tam wszakże zastałem ścisk i gwar, który mnie ogłuszył. Nie było dla mnie miejsca ani w sieni, ani pode drzwiami, ani też na schodkach. Szturchano mnie, popychano, łajano, że leżę pod nogi. Wtedy zapytałem najbliższego stojącego pana, dlaczego tu dziś tak dużo ludzi i czemu tak krzyczą? Pan spojrzął na mnie z wysoka i nie odpowiedział.

Mnie wszakże ogarnął nagły i niewytłómaczony strach. W jednej chwili postanowiłem bądź co bądź dostać się do wnętrza.

Jakoż nurkując pomiędzy ściskiem chałatów, surduktów i spódnic, dotarłem do wolniejszego miejsca, tam, gdzie balaski przegradzały salę. Tu podniosłem głowę Olśnąłem. . . .

Wysoko nademną, w dwóch palcach na cienkim łańcuszku trzymany, unosił się mój zegarek w powietrzu, jak gdyby czarodziejską mocą.

Przezysty lazur jego wypełniał cały pokój, a złote gwiazdy, jakie tylko w najcudniejszą i najbardziej prze-

rzystą noc sierpniową widzieć można, jaśniały na ścianach, na suficie, wszędzie. . . .

W tej samej chwili mistyczna pieśń załała mu duszę, świat cały. . . .

— Zegarek! Mój zegarek! — krzyknąłem z wybuchem szalonej, bezprzytomnej szczęśliwości wyciągając ręce.

Jeszczem go wszakże dosięgnąć nie zdołał, kiedy grubym jakiś głos rzekł:

. . . I-po-trze-cie!

Wtedy stojący przy mnie pan zdjął z powietrza wszystkie gwiazdy i lazury, a włożywszy mój zegarek w czarne, do trumny podobno pudełko, wpuścił je do głębokiej kieszeni chałata.

. . . O ziemię obiecane, a nienawiedzone nigdy! . . .

. . . O srebrne sita serc, czerpiących morze! . . .

HANYSEK



Hanysek

Typem rozwijającym się najwcześniej z górniczych typów w Dąbrowie jest Synek, albo Hanysek.

Hanysek miewa od siedmiu do czternastu lat; ściślejsz jednakże kontroli wieku jego nikt nie prowadzi.

Zkądżeby? Na pięciu Hanysków, co! na dziesięciu nawet, zaledwo jeden ma autentycznego ojca i autentyczną matkę, a co za tem idzie — autentyczną metrykę. Reszta wywodzi się z kopalni, jak pisklaki z gniazda, i dość.

Jużci i Hanysek ma jakiś ród swój i początek, ale nie dochodzi tego. Czuje za to mocno przynależność swoją do kopalni. Jest z Redenu, jest z Paryża, jest z Koszelewa, bywał z Cieszkowskiej, póki jej nie zalała woda.

I kopalnia poczuwa się do niego, uznaje go w obrębie swoim i na zmianę z Hanyskiem, nazywa go "Synek". Że taki berbec ma tam prócz tego jakieś inne imię, a czasem nawet i nazwisko, co to obchodzi kogo? Może być sobie Jaśkiem, Staśkiem, Wickiem, Antkiem — prywatnie; ale w publicznym w swoim życiu, to jest na terenie kopalni, z której się wywodzi, jest zawsze Hanyskiem.

Hanysek, to nietylko nazwa. To także urząd i uobywatelenie chłopca. To jego stanowisko polityczno-prawne. To przyznanie go za swego, gremialne wprawdzie i, zwyczajowe niewielkie, które przecież w obrębie kopalni ma wigor nie gorszy wcale od notarialnego. Przyznanie owo niewiele zapewnia przyznanemu zysków i korzyści. Właściwie tyczy się jego honoru, ale nie jego strawy i nie jego koszuli na grzbiecie. Stąd Hanysek jest zazwyczaj przeraźliwie chudy i równie przeraźliwie brudny. Jest

to nawet rzecz całkiem wątpliwa czy bywa syty kiedy. Ot, trochę marnych rachitycznych kości w umorusanej skórze, zapadły srodze żywot, konopiasta grzywa, śmiejące się oczy, zawsze głodne zęby, długie, cienkie jak pi-szczele nogi, ręce jak ta święta ziemia i fantazja od stu diasków, — taki jest Hanysek.

Hanyzków jest na każdej kopalni pełno. Przed biu-rem, na odkrywkach, na drodze, na powierzchni, wszędzie jak wróble kręcą się, do usług gotowi.

Bo Hanysek jest pracowity na swój sposób; i owszem, bezczynności prawie że nie znosi. Ręce jego rzadko wprawdzie bywają zatrudnione, ale nogi w ciągłym są ruchu. Hanysek jest komisjonerem, telegrafem i telefo-nem kopalni. Posługuje się nim każdy kto chce i każdy się uważa za jego prawowitą zwierzchność. Do głowy wprost nie przychodzi nikomu, że chłopak mógłby nie po-słuchać rozkazu. Hanysek tu, Hanysek tam, Hanysek po oliwę, po piwo, po chleb, po kiełbasę.

Ta ciągła bieżanina właśnie utrzymuje go w tej char-towatości, którą się od innych chłopców wiejskich i miej-skich charakterystycznie odróżnia.

Z duchowych jego przymiotów wyrabia się w nim przede wszystkim spryt, karność w obrębie swojej kopal-ni i niezależność po za nią. Rozwija się w nim także bar-dzo wczesnie duma. Hanysek bowiem, jak tylko nosa ucierać się nauczy, uważa się za oficjalistę kopalni, i mó-wi o niej: my, u nas. Sztygarów, a i naczelnego inży-niera nazywa "stary" jak to u szleperów słyszy.

Że ideałem Hanyśka są niedopałki cygar, papiero-sów, o tem i mówić nie trzeba; znaczną też część jego za-robków pochłania tytoń, od jakiegoś dziesiątego roku ży-cia włącznie. Że wszakże, nim palić zacznie, rujnuje się na chleb świętojański, nigdy przeto nie wychodzi ze sta-nu utracjuszostwa, a i zadłużony też nierzadko bywa.

Nie przeszkadza mu to wcale rozwalić się do góry brzuchem na pierwszej lepszej transzy i drzeć się na ca-łe gardło:

Oj niemasz to, niemasz,
Jak naszym górnikom,
Pieniądze nam płyną,
Jako woda rzykom! . . .

Hanycki nie stanowią luźnych gromad, ale tworzą ściśle zorganizowaną korporację, która się dzieli na przyjazne albo nieprzyjazne grupy. Hanysek z Mortimera ma się za coś niezmiernie wyższego od Hanyków z Redenu, których szwedzkimi zapawkami zowie, ile że kompania szwedzka kopalnie te posiada. A kiedy Cieszkowską woda zalała, Hanycki tamtejsze były w tak powszechnej wzgardzie, jako niedołęgi, które na coś podobnego pozwolić mogły, że musiały wysługiwać się przez resztę hanykowania kolegom, jakoś mniej licznym wtedy, gdyż ospa dużo szleperek zabrała, i zupełnie podpadli na honorze.

Starsze Hanycki nietylko za posyłkami latają. Smarują też na powierzchni maszyny, czyszczą ich drobniejsze części składowe, pasy, rzemienie, pucują krany, skutkiem czego miał węglowy, zmieszany z tłuszczem, na zawsze do nich przywiera i staje się jeszcze jedną skórą na ich ciele.

Śmiertelność wśród Hanyków bywa zwykle znaczna. Z wiosną zwłaszcza. Pod lada szopą, pod lada przyzmą węgla, pod lada transzą gliny widzieć wtedy można trzęsionego przez febrę Hanycka, po której, opuchły, kwęka jeszcze przez lato, a na jesień, jak mucha zamiera.

Marzeniem chorego na śmierć Hanycka jest, żeby mu na pogrzebie grała muzyka górnicza. Ale jest to marzenie zgoła niedościgłe. Muzyka bowiem górnicza temu tylko za trumną gra, kto w kopalni z przypadku ginie, nie zaś swoją śmiercią umrze.

Ale podobno raz, Hanysek jeden po arak posłany, przykucnął między szleperami i zjeżdżał chyłkiem na Łabęckiej, kiedy się winda urwała.

Temu grali, bo go na dziewiątego dorzucili przy po-

chowie ośmiu dużych trumien.

Ale to dawno.

Paradują wprawdzie do dziś dnia tem graniem ci z "Łabęckiej", wypominając je przy każdej zwadzie, z Paryżakami zwłaszcza. Ale taki Paryżak tylko ręką machnie. Bo cóż, że się tam raz kiedyś zdarzyło!

Gdy jednak Hanysek tężej zawéźmie się na życie, a jeszcze i ospę przetrzyma, wtedy sobie ze świata kpi i hanyskuje aż do lat czternastu. Zaczem znika z powierzchni ziemi i zwolna przemienia się w szlepera.

MODLITWA TERKI



Modlitwa Terki

Roch Filozof, sołtys z Bujakowa, dawno już w ławce wprost ambony siedział i tabakę, szepcząc pacierz, brał, kiedy insi wsiowi rajcowali jeszcze na tej księżej gródzi. Dopiero kiedy kościelny trzeci raz na wotywę przedzwaniać zaczął, puścił się naród ciurkiem we drzwi i przez kruchtę, na lewo się mając, kto chłop, zaś baby na prawo. Dziewczęta od różańca jeszcze wiankiem u balasków klęczały, wychyliwszy z chustek głowy w zaplotkach, wstążkach, pozłotkach, a choć im usta same latały na setnych zdrowaśkach, nie brakło poszturchiwań, pogładań, pośmieszków, że to i parobki, hurmem przez kościół ruszywszy, w pobliskości stanęły, trzaskając w buty, obijając nogę o nogę, iż ziąb był na świecie.

Zaraz też Kasia od Paździorów pierwsza, a za nią te insze, zaczęły obciążać spódnic, a obzierać się przez ramię na pięty, czy obręb pięknie na nich leży.

Par po kościele poszedł żywym duchem z kozuchów, z baranów, z kapot, z tego chrząkania, z tych wzdychań, przegradzających one ziemskie sprawy od tych ta niebieskich.

Zapotniało w powietrzu; uczyniło się pospólnie, ciasno, gromadnie; człek się ku człeku czuł, w jedność i w przyjacielstwo się bliżył, w kupę szedł przed oną to oblicznością Boską, co już namieniała z ołtarza w blaskach i w kolorach.

Otarły się o siebie spencery, sukmany, nogi gęsto przy nogach przestępowały, łokcie się i bary ścisły, zacisznie było, ciepło jakoś, przezpiecznie, jak kiedy kto

tęgą zagatę ku ścianie przystawi od wiatrowej strony.

Baby też naszerzyły spódnic i fartuchów przy świętej niedzieli, każda, jak dobry półkówek, że i rękę ku przeżegnaniu, albo i do nosa na ten przykład, trudno było między niemi podnieść, gdzie należy.

Głowy tylko kiwały ku sobie z "pochwalonym", a kto i z "nawiekiem", właśnie jak kiedy bór, gęsto podszyty, u czubów jeno poruchuje sobą, poszmery małe czyniąc, zwarty u odziemków i nieprzenikniony. Za czem się ten pogwar, ten poszum jął mało pomału ustawać, kołyszając sobą pod powałem coraz wolniej, ciszej, aż rozpełził się, rozwiął w głębokich dechach, nabożnie z piersi puszczałych, gdy kościelny świece u ołtarzy zapalać zaczął.

Podjęły się nagle głowy, podniosły się oczy, i za tem zapalaniem w równi szły od świecy do świecy, a wzdechy i chrząkania ucichły, w oczekiwaniu tej światłości wiekuistej — amen.

Już kij ze stoczkiem, złotą iskrą tłącym, do dwóch co najwyżej stojących gromnic dochodził, kiedy wpadła kupka dzieci, jako ten deszcz trzepiący, a wiosenny, głośna, z tętentem drobnych stóp, z przepychaniem i szturganiem, że co starsze chłopaki ściągaly tym małym czapki z głów, jako że kościół, a dziewczęta forowały się przed nich, pod samą amboną.

Ostatnia dopadła Terka. Albo to mogła pośpieszyć? Nim się zakutała z głową w wielką po matusi chustę, w "derową", nim wyciągnęła z pod niej jedną, drugą rękę, nim wyścibiła z tego obatuchania tyle nosa, żeby choć co nieco świata Bożego przed sobą uwidzieć, godna chwila zeszała.

A frendzle? Mało to razy przydeptała frendzle od "derowej" w drodze? Mało razy zatoczyła się z przydrożka, przeważona ciężarem srogiego węzła, który jej za plecami sterczał i w lewo się jakoś, nie wiedzieć czego brał?

To i dziwu niema.

A jeszcze butki! Do butków zuczona nie była, drepając na bosaka od jak żywa.

Dopiero teraz, na jarmark, na Gromniczną, że u Filozofa na przyodziewek służy, dostała butki one. Chodzą więc, jak na nieswoich nogach, to tupiąc mocno, żeby się niby bliżej ziemi czuć, jako nawykła, to znowu podrywając stopy wysoko, iż jej się zdawa w tych butkach wprost powietrzem lecieć.

A i w kruchcie też zmudziła nieco, zanim dosięgła do święconej wody. Trzy razy cości sięgła, a co się w tem całym zabatuchaniu przeżegna, to wszystko na dero-wą idzie, a na sobie nic nie czuje tej świętej mokrości.

A przez próg łatwo to jej było? A znowuż przez schodki? Na wszystko czasu trzeba.

Za to, kiedy już na równem stanęła, zaczęła się ostro pchać, zrazu tą dróżką między narodem, którą jegomość z kropidłem szli, a która się jeszcze nie była zwarła, iż dobrze jest onej łasce Boskiej się namykać i onej rosie niebieskiej co nieco miejsca przyczyniać. Tam zaś, gdzie się już chłopcy zemkły, jęła się przez gęstwę nóg przedzie-rać rażno, kolanami i łokciami rum sobie czyniąc, a to i pięścią po udach, po łydkach dojeżdżając, gdzie trudniej szło. Obejrzy się niektóry, obaczy to to, wierzyć oczom nie chce, żeby zać taka kukła tak się przez wielki gwałt parła. Już Filipiak, że go to w łydkę kułakiem trzaśła, ślinę obrócił w gębie, żeby za tem plunąć, tyle że Gloria jak na toż szła, a i miejsca wielce nie było. Kopnął więc tylko w bok nieco, że się to niby posunął, aż się ona kukła tego zatoczyła.

A sapała! Gdyby nie to, że sapanie z dołu szło, mógłbyś człeku, pomyślenie mieć, jako u organa przedmu-chują miecha.

Dopiero jak się nie dorwie do samych balasków, jak-że w tem wszystkim na kolana nie rymnie. . . . Chry-ste Panie!

Chłopaki od dzwonek aż targły sobą. Właśnie, jakby się skroś ziemia przepaść miała.

Zrazu tak jest srodze zziajana, że nie widzi, nie sły-szy nic, a w uszach jej bębni, jak na weselu. Derowa

też jej całkiem na nos spadła.

Opamiętywa się przecie po ździebku. Dalejże kręcić karkiem, a gramolić się tak i tak, a ramieniami zruchiwać, a wyciągać szyję, aż wyjawilo się nieco ciemnych włosów, kosmykami po czole roztrzęsłych, buźka wyszczypana wiatrem, nosina zadarty, dwie latające skierki czarnych ocząt i nadzwyczajna żywość w każdym calu drobnego oblicza. Tak wygramoliwszy się szczęśliwie z derowej, jęła świdrować temi latającemi oczkami po ołtarzu, po świecach, po tych srebrzystych aniołach, po tych pozłotkach, kwiatkach, koralikach, co w nie te duże Najświętszą przybrały, aż i po tym czarnym krzyżu, gdzie Pan Jezus wisi.

Przechyla głowę w tył, bo ją derowa z wielkiej mocy ciągnie, otwiera usta i pogrąża się cała w tych ślicznościach, w tych drogościach, w onej to złotości ołtarza właśnie, jakby ją raj obszedł dokoła. Nie wie, nie czuje, czy na ziemi klęczy, czyli też już w niebie.

HRABIĄTKO

Hrabiątko

Od trzech tygodni prawie że nie zsiadaliśmy z koni.

— Koń lepszy, niż broń! — mawiał Różycki, klepiąc swojego kasztana po szyi.

A kasztan prychał radośnie i, wygiąwszy kark pysznym łukiem, skrobał kopytem ziemię.

Różycki śmiał się.

— Ot łoszak — mówił. — Na własnych “szczotach” wybija dzień i godzinę, kiedy mi ugryźć przyjdzie wołyńskiego piasku.

— Wołyńskiej gliny — poprawił Dzwonkowski, który między mną a Różyckim jadąc, ponuro patrzył w ciężką, ubitą ziemię. Wczoraj pod Łaszkami wziął szaszką kozacką w ramię, a choć cięcie było miękkie i nie ruszyło kości, zdesperował nagle, i gdyby nie to, że nam finlandzcy strzelcy po piętach niemal od Miropola deptali, do Lubaru wracać chciał, żeby go ojcowie Dominikanie w konwencie swoim leczyli.

Różycki rachował tymczasem. Nigdy wszakże dorachować nie mógł. Nagle wpośród polskie liczby wpadał mu jakiś “sorok”, albo jakieś “dwadcat”, a wtedy spluwał i kłął.

Małym chłopcem matce odjęty, w Petersburgu w katedach chowany, późno wyuczył się Edmund Różycki ojczystej mowy. W junkierskich galonach już coś, czy też później jeszcze. Aż kiedy się o wybuchu powstania dowiedział, zdarł oficerskie szlify i przepadł z nad Newy, wiosną dopiero wynurzywszy się w okolicach Żytomie-

rza, pod Pustochą, jako dowódca blisko dwutysięcznej jazdy.

Był to piękny mężczyzna. Czapa na nim wysoka, barania. Świtka biała, za pasem pistolety. U czapy sterzące pióro.

Cztery szwadrony nas było, a jeszcze ludzie szli. Nie chłopci wszakże. Szła szlachta, szli oficjaliści, było też trochę łyków ze Starokonstantynowa i z Zaslawia. Jaki taki chwytął konia ze stajni albo z pastwiska, pięta- mi w boki i hajże do "wołyńskiej jazdy!" Ekonomów, gajowych, pisarczyków, gorzelanych ze świecą wtedy po wsiach szukać było, tak gęsto dworski naród pod Różyckiego szedł.

Ale się i piesi cisnęli. Z tymi była bieda, gdyż broń nie starczała.

— Dajcie wy mi święty spokój! — krzyczał chwytając się za głowę, Różycki. — Cóż ja was radi Boha, na rzeź będę prowadził? Nie masz pałasza, to rozeń z kuchni bierz, a z gołą garścią mi tu nie leż!

Dopiero kiedy się generał z pułkownikiem Ciechońskim rozchodził u Koskowickich borów, wziął sobie Ciechoński piechurów owych, a u nas się tylko coś z pięćdziesięciu przy furgonach zostało.

Konie mieliśmy dobre. Ogromne trawy rzuciły się w łąkach tej wiosny, a i owsa też nam hojno sypano po drodze.

Osobliwie wszakże tęgiego ogra miało pod sobą Hrabiatko.

Chłopczyna sam wątyły, niewyrosły, szczupły, biały i różowy, jak dziewczyna. Ot sokołatko ze sławnego gniazda, tylko że w pałkach jeszcze i bezpióre.

Był z bratem. Wielki ród, wielkie imię, wielka też powinność ojczyźnie.

I starszy miał pod sobą klacz cenną, na której osobliwsze chody napatrzeć my się nie mogli.

Ale skarogniady ogier "Hrabiatka" był koń wprost hetmański.

Gwałtowny raczej niż piękny, potężnego składu, nozdrza na wiatr, grzywa, jak strumień, szumiała mu z karku, łeb suchy, nogi, jak struny, pod cienką skórą widne żył drgających bicie. Jeden to był z tych koni, co w dziesiątym pokoleniu jeszcze węższą step i tabun.

— Już ten ma niańkę! . . . — mawiał Różycki, patrząc na "Hrabiątko", którego mało co i widać było na potężnym ogrze.

— W pieluchach matce detynę to odniesie. . . .

A Malewski rotmistrz:

— At! Gdzie tu kadencja jaka! . . . Taki jeździec do takiego konia!

I splunął.

Powiem prawdę, z "Hrabiątka" podrwiwaliśmy potrosze wszyscy. Ale go ludzie lubili. Takie to było subtelne, delikatne, a takie ugrzecznione, ciche.

Jenerał zrazu przyjąć go do partii nie chciał.

— Do Mamy! Do Mamy! Na pokoje! — wołał, opędzając się ręką, jakoby od osy. — Tu cukierków nie dają. Nie!

Ale się Hrabiątko uparło: Z bratem, i z bratem. Tak został.

Zrazu kozaczka luźnego przy sobie panicz miał, który jemu i koniom służył. Gdy się wszakże po obozie obejrzał, że to tam każdy sam pan i sam sługa, a jenerał także, dał w garść kozaczkowi zapaśną króciwę i do furgonów go posłał.

Już od Połonnego coś sam czyścił ogra, sam poił, sam karmił i siodłał.

Śmiechu było z tego, że to na wóz czterokonny nie zabrałby, bo mu to szło — at! . . . jak żydowi rola.

— Patrz, patrz, jak się Hrabiątko na pazury bierze! . . . Patrz, patrz, jaki to Hryć z Hrabiątka!

I tak kołem. . . .

A on chłopaczyna czerwienił się, udawał, że nie sły-szy, i swoje. Chciałem pomóc nieraz: nie dawał:

— Ja sam! . . . Ja sam! . . . Ja wszystko sam!
Ano, dobrze.

Kończył się maj.

Za nami leżał Lubar, leżało Połonne, leżał Miropol, wszystko dnie sławne dla Wołyńskiej Jazdy. Ale po miropolskiej bitwie, gdzieśmy razem z Zasławczykami nieprzyjaciela zniesli, puścił się Różycki w pilne i długie marsze za wymykającym się mu Szemiakinem, korzystając z tego, że finlandzkich strzelców Zasławska partia trzymała na sobie. Przez osiem dni tedy tyleśmy postaju mieli, co pod Łaszkami, gdzieśmy też przepędzili koczactwo.

I konie, i ludzie strasznie to było strudzone. Ani zsiąść, ani wytchnąć, ani przepoprzężyć; strach, co za mitręga!

Hrabiątko zmizerowało się prawie że do niepoznania. Z owej to białej, różem lukrowanej łątki zrobiło się wyschłe, czarne, postarzałe, czerkieska na tem, jak na kołku, twarz zapadła, oczy wielkie, smutne, gorące.

— Na mleczko! Na mleczko do Mamy! — żartował Różycki, gdy go tak wyciągniętym zobaczył.

Hrabiątko przygryzło wargi.

Dzień był parny, duszny, ku burzy się miało. Tuman kurzawy kłębił się po drodze. Konie rzucały łbami, wyparskując pyły.

Pod wieczór zaciągnęło się niebo het, dokoła. Zrobił się nagły mrok, ptactwo polatywało niespokojnie, trawy były wyschłe, pragnące, wielkie zboża sterczały po stronach nieruchomą ścianą.

— Aby do Salichy! . . . Aby do Salichy! — przemówił rotmistrz Malewski, zwróciwszy się do nas.

A już konie utykać zaczęły. Chcieliśmy z siodeł zsiąść, żeby zwierzętom ulżyć nieco. Zaledwie wszakże Dzwonkowski, stękając, zlązić zaczął, kiedy generał obej-

rzał się, brwi ściągnął, krzyknął: "Marsz!" i poprzód koniem ruszył. Musieliśmy za nim.

Ale jeszcze pierwszy pluton nie dojechał do stojącego na uwrocie krzyża, kiedy się zboże zaruszało, a mały chłopak oklep na źrebaku wynurzył się z niego i, złożony ręce przy ustach, huknął:

— Soldaty we wsi! . . .

Poczem przepadł, jakby go nie było.

Skoczył Malewski, skoczył Baranowski i inni, rotmistrzowie poszeptali z wodzem, i ruszyliśmy stępa, w bok nieco poza faliste wzgórze się biorąc, które między nami a Salichą stały.

Tymczasem zaczęło pogrzmiwać. Zrazu zdaleka, potem bliżej coraz. Szła burza. Gęsty mrok opuścił się teraz na ziemię. Przeszywały go błyskawice nagłe, rażące.

Zawichrzyły się zboża, grube krople deszczu zaczęły kapać, rzadkie i ciężkie.

Hrabiątko jechało tuż przy mnie. Z trudnością wstrzymywał swego ogromnego ogra, który się wspinał i rzał w pole.

Nigdzie głos nie rozlega się tak szeroko i tak osobliwie, jak w wołyńskim polu. Wzgórze podają go dolinom, a doliny wzgórzom, przeciągłem, słabnącem i znów wzmagającym się echem. Wprost jakby kto organu w pustej nawie tknął. . . .

Nagle oślepił nas, ogłuszył błysk i huk. Piorun uderzył gdzieś blisko.

Nigdy nie zapomnę Różyckiego w tej chwili.

Zdjął czapkę, białe jego czoło zaświeciło w mroku, wbił w niebo oczy siwe, wielkimi ogniami płonące:

— Komu ten grom, Boże Wszechmogący? — zawołał silnym głosem. — Nam, czy im, Panie?

— Im! . . . Im! . . . — krzyknęli nasi.

Hrabiątko zbladło, jak chusta.

Jenerał podjechał ku nam już z dobrą fantazją.

— A co? — zapytał. — Strach. . . .

Na chłopca buchnęły ognie. Spuścił oczy i rzekł cichym głosem:

— Nie, jenerale! Niema strachu!

A wtem lunął deszcz nawalny.

Różycki się śmiał.

— No, — rzekł — na dziś im się upieczce! Szemiakin w tak psi czas nie wylezie z budy. Zaraz za górką staniemy. Ognia i dymu tyle, co z fajki albo z cygara! Kto chce spać — może, ale u kulbaki. Pikiety wzdłuż żyta aż przed wieś. A jutro im krzykniemy na dzień dobry! Co? . . . Do widzenia, panowie!

Salutował nas ręką, chcieliśmy mu przyhuknąć, ale dał znak, żeby nie. Zawracał konie, kiedy Hrabiątko ruszyło ogrem ku niemu.

— Panie jenerale!

— A co tam, detyno? . . .

— Ja . . . ja chciałbym. . . . Jabym prosił, żeby mnie jenerał do pierwszego plutonu odkomenderował.

— Co? . . . Co? . . . Co? . . . — wołał Różycki, cofając się z koniem. — Pierwszy pluton nie dla dzieci! I, nie słuchając dłużej, skoczył rysią.

Rzadko tak pięknej bitwy, jak ta pod Salichą. Ranek po burzy był cudny. Ziemia w rosach świeżych. Pozycja nasza wyborna.

Na górcę, dla zwrócenia ognia na siebie, rozwinął front pierwszy pluton, który zawsze ochotnika dawał, długą, lekko wklęsłą linią. Drugi stał za nim rezerwą w pewnem oddaleniu.

Trzeci i czwarty po obu stronach wzgórze zachodziły flankiem ku wsi, nakryte wyrosłemi, jak trzcina, zbożami. Furgony stały na tyłach pod wzgórzem.

Musiał Szemiakin w nocy jeszcze powziąć o nas języka, bo się sformował od wczesnego rana.

Na równi stał, w sile czterech kompanii piechoty i czterech sotni kozaków, mając za sobą wieś i płynący przez nią szumnie po wczorajszej ulewie Hniłopiat.

Widzieliśmy wszystko, jak na dłoni, nawet bez lunety. Ranne słońce zapalało iskry na sztykach piechoty i na kozackich lancach. Sam Szemiakin, otoczony sztabem, stał u pierwszych płotów.

Zahuczały w dole bębny, zagrały im odzew trąbki nasze. Stanęliśmy w strzemionach pochyleni, naprzód podani, krótko zebrawszy cugle, gotowi do skoku.

Piechota Szemiakina posuwała się ku nam głęboką, czarną kolumną.

Adjutant przeleciał front. Kolumna stanęła na odległość karabinowego strzału.

Zaczerniały gęstym płotem wytknięte lufy. Źle było celować. Żołnierze mieli słońce wprost w oczy. Mżący blask ich oslepił.

Oficer podniósł pałasz, zabrzmiała komenda.

Ale w tej samej chwili lufy drgnęły, strzały poszły dołem, kolumna się zmieszała. To flanki nasze, oskrzydliwszy piechotę, wynurzyły się nagle ze zboża i z trzaskiem na nią wpadły. Mignęła w modrem powietrzu szabla Różyckiego świetną błyskawicą.

— Bij, zabij! . . . — huknął gromko i skoczył wdół z koniem.

Runęliśmy za nim, jak piorun.

Na dole wrzała bitwa. Piechota Szemiakina formowała trójkąt w pośpiechu i w zamieszaniu. Bębny, kwik koni, wrzask walczących głużyły komendę.

Nagle posłyszałem za sobą potężne rzenie ogra. Głos ten znaleźmy wszyscy. Cała wolność, cała dawność rasy w nim była. Nic, tylko bojowa surma, gdzieś z pod Cecory jeszcze. . . . Zwróciłem głowę.

W ogromnych szczupakach leciał ogier z Hrabiątkiem wprost na nas. Chłopiec w siodle schylony, błydy, z rozwianym włosom, wzrok miał pałający, pałasz wyniesiony nad głowę. Ot nic, tylko święty Jerzy, kiedy w smoka godzi.

Przesadził niewielką przestrzeń, wparł się w nasze szeregi, miałem go tuż w pobliżu przez mgnienie.

— Ha! . . . Ha! . . . — zakrzyknął, prąc kolanami ogra, i przeleciał wichrem. Czapka spadła mu z głowy, pęd podwiał czerkieskę. Sokolątko dostało nagle ogromnych, piorunowych lotów.

Już błysnął pałasz jego na frontowej linii. Otarł się ogier bok w bok o konia Różyckiego, złamał linię, wyніósł się przed nią i wprost na wroga leciał.

Błysnęło wzdłuż kolumny, huknęły strzały salwą.

Dym zakrył świat.

Gdy opadł, ujrzałem znowu konia i jeźdźca.

Hrabiątko trzymało się grzywy, leżąc prawie na niej. Ogier rżał ogromnym głosem.

Nagle okręcił się, zawrócił i ku sztabowi pędził. "Niańka" odnosiła "detynę".

Prawie że u nóg Różyckiego spadło Hrabiątko z siodła. Krew buchnęła mu z piersi. Żył jeszcze.

Skoczył Różycki i, jak dziecko, na ręce go porwał.

Grały gdzieś dzwony na Anioł Pański, a Szemiakin z niedobitkami daleko za Hniłopiat uchodził, kiedy nasz pierwszy ochotniczy pluton szablami płytki dół dla Hrabiątka kopał.

Niejedna łaza tam padła z tych twardych oczu w ziemię, gdyśmy go tak zobaczyli wyciągniętym, zmizerowanym po śmierci, w podziurawionej od strzałów czerkiesce. Pięć kul w piersi wziął, jak stary, dzielny żołnierz.

Różycki stał nad dołem, oczy w ziemię wbił i węża targał. Z dalekim głosem dzwonów mieszało się żałosne, przeciągłe rzenie.

JAK SUZIN ZGINAŁ

Jak Suzin Zginął

Z pod Pren, gdzie zaszła lekka potyczka, ot, pierwsze zagrzmienie przed burzą, ściągnął Suzin nasz oddział i w bok od traktu ruszył, skąd czerniały bory.

Szedł śpieszno.

Traktem waliła gwardia, coś osiem tysięcy żołnierza, prosto na Staciszki.

że idzie walna bitwa, czuliśmy to wszyscy.

Jakoż po forsownym marszu, oparł się Suzin o bory i czekał.

Nie była nas moc. Ale duch tak zwarty jedną srogą wolą, że po ścisniętych nią, stwardniałych sercach, kulęby przetoczył.

Tworzył oddział nasz czwartą, może piątą nawet część ogólnej siły powstańczej w Augustowskiem, której sile przywoził naczelną Romatowicz.

Ten, ruszywszy lud od Sejn, Mariampola, Kalwarii, do Augustowa, pod imieniem Wawra w partyzantkę się rzucił, o dobór oficerów nad wszystko troskliwy.

— Sokołów mi trzeba! — mówił. — Sokoły lud porwą i w szponach poniosą!

Ale mu się nie wszyscy udali.

My pod Suzinem szpon ten czuli tęgo. Nie bólem, ale gorącością i pędem go czuli. Palił, rwał w górę przed siebie, a często nad siebie. W bój, to w bój; w śmierć, to w śmierć, aby górnio, bohatersko, pięknie.

Sam Suzin też stworzony był jakby na to, żeby go ludzie kochali i szli w ogień za nim.

Smukły, dorodny szatyn, twarz biała, w kolorach,

broda pełna, włos bujny, oko żywe, pogodne, daleko widzące. Wódz w każdym calu i ukochanie żołnierzy, dbały o najlichszego ciurę, jak brat i jak ojciec.

— Na śmierć was mam, ale nie na zmarnowanie! — powiadał.

Na całym też obszarze ziemi polsko-litewskiej nie było chyba tak dzielnej partii, jak nasza.

Szczególnie my, strzelcy.

Porównano w szare kurty powstańcze odziani, przepasani czarnymi pasy, mieliśmy sztucery belgijskie, bijące tak, że, ledwoś cel upatrzył a cyngla ruszył — trup.

Podrobna szlachta, której tam w owych stronach, jak maku, nie wierzyła zrazu tej broni. Sztucer sztucyrem, a każdy z ichmościów wołał kozią nogę, z której przywykł na podorach do zajęcy pukać, i tej dufał nade wszystko inne.

Dopiero kiedy młody Suda i Konewicz Jakób, zadawszy sobie niehonor rodowy, przed Prenami jeszcze, do pojedynku, choć tego mocny zakaz był, przyszli, odmieniło się owo dufanie. Ci bowiem adwersarze, nie chcąc się na śmierć uszkodzić, że to wtedy każdy żywot ojczyźnie patrzył, własnych poniechawszy fuzyjek, a sztucerów się, jako nie tak zabójczej, w ich mniemaniu, broni chwyciwszy, obaj, idąc ku sobie, na komendę strzelający, legli.

Zaczem buchnęło po szlachcie tak wysokie i pewne o broni tej rozumienie, iż sztucery, jak sakrament, z nabożeństwem brała, stojąc pod niemi jak mur i jak twierdza.

Takeśmy też stanęli pod onych borów ścianą, miawszy za sobą kosynierów od Augustowa.

Chłopy to były niegwałtem wielkie, zawiędle, śmiałe, suchożyłe, a tak zwarte w sobie, jak żywiczna miazga.

Nie nosił lud ten naszych kurt powstańczych, ale jak we lnach biało odzian z chat w postołach wyszedł, tak się we lnach został, który z płachetką przez plecy, który z misternie plecioną kobiałką, milczący, zadumany, z brzeszczotem na sztorc przed sobą, bielał skroś sosen boro-

wych jak brzeźniak w wiośnianej korze.

Ci patrzyli w Suzina, jak w Boga.

Suzin czekał.

Sam bitwy przyjąćby nie mógł, ale z posiłkowemi oddziałami, których zadaniem było zająć nieprzyjacielowi tyły i sprawić dywersję — mógł. Pozycja przytem była dobra, a rozłożenie sił naszych, jak najprzyjaźniejsze.

Ten twardy trzon boru, na którym my stali, zniżał się ku południo-zachodowi w przepaść bagnistą, w trzęsawiska oparem błot grząskich nakryte, które ubezpieczały nam tyły.

Po drugiej stronie traktu, oddział Kijańskiego nad jeziorem Driste stał, tak schowany głęboko w mokradłach, że wyskoczyć z nich mógł, jak z zasadzki i w pierw uderzyć, nimby był dostrzeżon.

Powyżej Kijańskiego stał Lander jakoby w fortecy, obwarowany błotami nie do przebycia, że tylko przed siebie mógł, by wpaść na kark nieprzyjacielowi, sekundując nam w bitwie, co też tak z nim, jak i z Kijańskim umówione było.

Dopiero nad obiema placówkami temi, nad całym tym parującym we mgłach, pojeziornym światem, zasiadł się po zalesionem rozwidlu Wronogór sam Wawer, z główną swoją siłą.

Otóż tę to główną siłę, a i samego Wawra, mniemał nieprzyjaciel, idąc na Suzina, przed sobą mieć i z nimi czynić. Inaczej nie byłby parł na nasz oddział, aż w takiej potędze.

— Ha, tak będziemy udawać tysiące! — rzekł do mnie Suzin, odstępując od zatkniętej na granicznym kopcu lunety, przez którą wżerał się gorejącem okiem w rudy tuman niosącej się traktem kurzawy, skroś której gęsto błyskały sztyki pod zachodnie słońce.

I nagle, zwróciwszy się do mnie, dodał serdecznie:

— Zastąp mnie, druhu, przy lunecie i rachuj przerwę w kurzawie. Tak ich się najłatwiej doliczysz. Rota mi wałą. . . .

— Ja zaraz tu. . . . Tylko list. Od rana list noszę, z opatrunkami dostany. Czasu nie było czytać. Bądź łaskaw. . . . Ja zaraz. . . .

Zaledwie jednak naliczyłem trzy przerwy, był już przy mnie. Pobladł, ręce mu trochę latały.

— Dziękuję! — rzekł, a głos mu się łamał. I po chwili:

— Matka pisze. . . . Brat pisze. . . .

— Zdrowi?

Nie odpowiedział, tylko pilno przez lunetę patrzeć zaczął.

— Wałą . . . — mówił półgłosem, — okrutną kąpą wałą. . . . Co tu ludzkiego życia. . . . Boże! Boże!

Naraz odwrócił głowę.

— Brat, wiesz, w domu dotąd. Pisze "Gdyby to wiedzieć!"

Roześmiał się krótkim, przykrym śmiechem.

— Ha! Ha! "Gdyby to wiedzieć . . ." "Ostrożny, co? A młodszy ode mnie. . . . Rozumny. . . . Co? A ja ci powiadam, Janie, gdybym wiedział, wyjdę cało ze sprawy, tobym sobie zgóry w łeb palnął. Wiesz . . . Apostolczyk . . . nie noszę broni. . . . Alebym się ten jeden raz sprzeniewierzył.

Pomilczał mało:

— Bo sprawa. . . . Sprawa, widzisz, bracie, musi być w takich warunkach przegrana. Ale musi być bohatersko przegrana, żeby się do tej przegranej paliły serca ludzkie, jak do największego zwycięstwa. Wiem jednak, że nie wyjdę cało. Matka też nie. Żegna mnie. Na śmierć mnie żegna, matczysko. . . .

Odrzucił włosy z jasnego czoła żywym, pięknym ruchem i spojrział przenikliwie, górnje, daleko.

— Hej, kulo, kulko sądzona! — zawołał. — Bij jak w jasną świecę.

W tej chwili przybiegł Birsztejn, adjutant Suzina.

— Pułkownik! — rzekł. — Mamy ze Staciszek języka. Sztab zajął karczmę na trakcie. Jenerały, star-

szyzna, licho wie, co. . . . Zawalili podwodami pół wsi. . . .

— Więc to tu — przemówił Suzin, jakby sam do siebie, przyćmionym głosem i z nagłą zadumą.

Otrząsnął się wszakże zaraz, głowę podniósł i z wielką żywością jał Birsztejnowi polecenia dawać.

— Co tchu na Leśniczówkę! Stary Bułhak przebierze się błotami do samych Bobrownik, a młody na Dobkiszki niech rusza. Ludzie pewni, jak śmierć. Niech Lander i Kijański czynią, jak wiedzą.

Jutro bitwa. Niech śpieszą. Lander do Wawra niech zaufanego pchnie. W dwa ognie musimy ich wziąć. Prędko, prędko, prędko! . . .

I, odprawivszy adjutanta, do lunety się rzucił.

Jakoż istotnie dał się widzieć teraz ruch niezwykły. Ciężka kurzawa na trakcie to zbijała się w grube kłęby, to znowu dzieliła. Pomiędzy nią a punktem, oznaczającym karczmę, unosiły się i przepadały małe chmurki pyłów za latającymi konno oficerami od sztabu do wojska.

Nagle wielki słup pyłów, który wieczorna rosa już była nieco przybiła do ziemi, dźwignął się znów potężnie, skłębił, naprężył, wydłużył, rozerwał i lewem skrzydłem wstecz ku borom powiał.

— Otoczyć nas chcą — szepnął Suzin wzruszonym głosem. — Borami obejść. . . .

Zmeł jakąś kłątwe w zębach i, skoczywszy z kopca, biegł ku kosynierom.

A już zapadła krótka noc czerwcowa. Ozwały się błota, rozgłośnym rechotem żabim, buchnęły oczerety różnorodną wrzawą nawodnego ptactwa, które, ruszone obozowym gwarem, polatywało niespokojne, krzykiem, świstem, buczeniem oznajmując trwogę. Zapadły wreszcie wrzaskliwe stadka po wyżarach, po oparzeliskach, acz i stamtąd szły powietrze przenikliwe głosy bąków, nurów, kruków.

A bór milczał.

Niemo stał w głębokościach swoich pod bezgwiezdnym niebem, potłumion nocną ciszą. Powietrze było jakieś gęste, lepkie. Ciepłym tchem bagien, to znów dreszczem rwane, jakby w nie dmuchała febra.

Zaniosły się od czasu do czasu wielkodrzewy górnym, krótkim szmerem, od wierzchoła do wierzchoła lejącym, ale wnet szum się urywał, spadał i grzęznął w bezruchu. Na gołoborzu rozpalono ognie, iż wielkie, zjadliwe komary chmurami leciały na nas, ale nie gotowano posiłku.

Ludzie, zmordowani skwarem i pośpiesznym całodziennym marszem, upadli w sen kamienny. Inni czyścili broń, inși pogrążeni w sobie milczeli rozciągnięci u ognia. Gęsto rozstawiona pikietą obwoływała się czujnie.

Ciężko było na duszy, ciężko i piersiom dyszeć.

Ot, jakby te pyły nad gościńcem wzbite, zasypały nam gardła i piersi. Takiego przygnębienia u żołnierza nie widziałem jeszcze przed żadną batalią.

Aż buchnął gniew z tej ciszy drętwej, z tego dławiącego oczekiwania buchnęła żądza odwetu i ta nienawiść do nieprzyjaciela, która żołnierza straszliwym w walce czyni. Zrywali się ludzie od ognia z klątwą, z zaciśniętymi pięściami, i w paroksyzmie wściekłości w bór biegli, nie mogąc pohamować gorączki, która ich paliła.

Porucznik Jaczynowski na własne ryzyko chciał formować wycieczkę nocną na Staciszki. Ochotników nie brakło. Z największym trudem ledwośmy go z Birsztajnem od tej imprezy odwiedli.

Suzina nie było przy nas na tę porę.

Na drugim końcu boru, od strony błot, u ogniska z kosynierami siedział, których szczególnie umiłował sobie.

Nie mówił do nich inaczej, jak: "Dzieci". Imiona ich znał, po litewsku do nich gadał, wiedział, który z jakiej wioski i z jakiej sadyby.

— Hej — wołał — Wejmery! Szaltupie! Panżyszki! Widgajły! Kremszczany! Kulwiecie moje! . . .

A ów naród śmiał się do niego jasnymi oczyma, jakoby do słońca. Kochali go nad wszelkie powiedzenie.

I teraz gwarno tam u nich było i rozgłośnie przy stosie płonących bierwion smolnych.

Stary Jurkszta śpiewał jakąś pieśń odwieczną, która topiła w rzewności te twarde osierdzia, a ciemny płomień buchał w surowych, nieruchomych twarzach.

Rumieniało niebo na wschodzie, kiedy się Suzin od ogniska podniósł.

— No, dzieci! — rzekł. — Naśpiewaliśmy się dziadom i pradziadom w cześć, pogrzali serca u tego świętego ognia, przytulili się do tej matki-ziemi, a teraz będziemy się bili za nią. Za jej wolność. Za jej życie. Za jej miłowanie. Amen.

— A-men! — odgrzmiały setne głosy. Grzmot ich huknął po boru, jak burza.

— Obejść nas błotami chcą, obkroczyć — mówił Suzin. — Ale się nie damy.

Plunęli w garście, z miejsca po kosiska ruszywszy.

— Pomrzemy za ciebie . . . — rzekł drżącym głosem stary Jurkszta, chyląc się do kolan Suzina. Ale on otworzył ramiona i uściskał dziada.

A kiedy kosynierzy, zdjąwszy czapy uszate, na uścisk ten z nabożeństwem patrzyli —

— Surma! — krzyknął — zaduwaj.

— Za-du-waj! — gruchnęły echem przeciągłe, roznośne głosy, podając sobie rozkaz wodza coraz dalej, dalej, aż do pierwszej czaty.

I nagle, z głębokich gdzieś, błotnych zapaści, z kęp, na których sity wyprostowane nieruchomo stały, ozwało się przejmujące nawoływanie prostej litewskiej surmy, wypełniając bór pobudką starowieczną, razem twardą i rzewliwą, razem żalostną i srogą. Zaraz też Suzin zaczął pod tą pobudką szyk sprawiać.

Stanęły kosynierzy sekcjami, dając czoło kępom, zarosłym szuwarem, po których słał się najsuchszy, ne wejście, przystęp ku borowi, zasłonieni kosami tak, że wschodzące słońce zawrzało tysiącem świetnych błyskawic w nastawionych sztorcem brzeszczotach.

— Wara! — krzyknął im Suzin odzew.

— Wa-ra! — odgrzmiały mu głosy, które już z pożądaną bójki chrapliwe się stawały.

A on, bystro ludziom po oczach pojrzawszy, jakby w każdej źrenicy iskrę własnym wzrokiem chciał skrzesać, ku strzelcom skoczył, którzy też wnet rozwinęli długą linię frontu, oskrzydając nią dwie borowe, pod kątem zwieszające się ściany, właśnie jakgdyby orzeł rozkrzyżował po sosnach swe potężne buje, piersią i dziobem w pośrodku grożąc.

A nam też krew po sercach jęła grać, zatrzęsły się szczęki, zęby zgrzytły, a w garściach, ściskających sztucery, dał się słyszeć suchy chrobot kości.

Suzin przechodził przed frontem od ściany do ściany, jasny, pogodny, niosący z sobą moc, pewność i bojowy zapal.

Elektryzował wprost powietrze, którem my dyszeli.

Podnosiły się piersi, oczy na jego widok gorzały, uniesienie było ogniem ze wszystkich junackich twarzy. A kiedy pogłos: "Idą!" — gruchnął po szeregach, naprężenie nerwów i napięcie mięśni stało się tak silne, że aż bolesne prawie. Jeszcze chwila, a bylibyśmy, nie patrząc komendy, runęli na nich przed siebie.

Jakoż szli.

Głuche warczenie bębna i przeszywające wysokie tony piszczałki oznajmiały ich w szerokiej ciszy poranku.

Za chwilę ukazały się forpoczty, za forpocztami czarna, ruchoma, ciężko tętniąca masa waliła na nas potężną lawiną.

Nareszcie. Nareszcie mieliśmy ich przed sobą na oko.

Nic bardziej męczącego dla partyzanta, nic mniej zgodnego z ogniem, który go trawi, jak dalekonośna broń palna. Tu się wszystko w tobie trzęsie, każda żyłka drży osobnym gwałtem, tu gniew skowyczy w tobie i do gardła ci jak zły brytan skacze, tu ci krew bałwanami w serce wali i w mózg konwią chlusta.

Zawyłybyś, jak wilk borowy, żebyś jeno głos za zęby

puścił, a tu stój płotem i czekaj, aż z tego płotu kolki po jednemu wybijać zaczną, milion kroć czartów rogatych!

Przepuść, Chryste Panie. . . .

To dobre dla armii, dla regularnego żołnierza, który na żołdzie stoi i z przymusu pod karabin idzie. Takiemu wszystko jedno, kiedy, za co i do kogo strzela. On nie okupuje dla siebie ani życiem swoim, ani śmiercią. Zwycięstwo nie jest triumfem jego nadziei, porażka nie jest jej klęską.

Strzela, nabija, znów strzela, bez tych gryzących do żywego bodźców, które partyzantom, walczącym o wolność, szarpia. Cała duchowa treść boju jest mu obojętna, obca. Walczy bez nienawiści, zwycięża bez upojenia, ginie — bez idei.

Ten może stać. Może stać i czekać. Ale nam, cośmy się z tym bojem we krwi narodzili, co nim i ku niemu dyszymy wiek cały, nam, którzy mamy do okupienia śmiercią najwyższe dobro żywego narodu, nam bić się w pędzie, w porywie, w płomieniu odręcznego starcia, w zapamiętaniu gniewu, w zawierusze, w pianach krwi, w kurzawie, pierś w pierś, koń w konia, oko w oko z wrogiem.

— Gdyby tak szabla! — rzekł porucznik Jaczynowski, z którym my, stojąc przy sobie, gadali o tem właśnie. — Gdyby pistolety! Gdyby chociaż z pięściami runąć kroć tysięcy. . . .

Była ranna dziesiąta godzina, kiedy gruchnęły pierwsze karabinowe strzały.

Odpowiedzieliśmy wściekłą salwą naszych wyborowych sztucerów.

Zakotłowały się, skłębiły szeregi nieprzyjacielskie. Czoło kolumny zaryło się w ziemię.

Po tej wstępnej wymianie strzałów — chwila ciszy.

Nieprzyjaciel orientował się widocznie co do naszej siły i pozycji.

Bęben tylko warczał zajadle, a piszczałki uderzały

w wysokie, alarmowe tony.

Po chwili nowy wybuch kul, prochu, wściekłości.

Teraz dopiero bitwa rozpętała się w stugromową burzę. Kłęby dymów zasnuły niebo brudną, ciężką chmurą, skroś której nieprzerwany wytrysk ognia z luf karabinowych. Przystałem widzieć, słyszeć, przestałem czuć zgoła.

Trzęsienie ziemi, orkan, pożar, nawałnica, piorun śmierci, bijący zewsząd w każdą głowę. Sto razy mogłeś być zabity i nie wiedzieć o tem, póki ci z mdlejącej ręki nie wyleciał sztucer.

Oczy rozgorzałe, usta do krwi zacięte, palce na cynglu drgające, wybuchy głosów dzikie, bezwolne, niepohamowane.

A tamci padali w ciszy, nakryci głuchem warczeniem bębna, który bełkotał w powietrzu, jak kipiący wrzątek. Gdy padli, nowe szeregi dawały krok naprzód i padały znowu. Niezbyt szeroka kolumna nie zmieniła kształtu, choć strzały nasze nietylko raziły jej czoło, ale ją ze stron obu oskrzydlały latającą śmiercią. Genialnie była pomyślana ta nasza linia żórawianego klucza pod borami.

Zarówno front, jak flanki nieprzyjaciela odkryte były naszym kulom, dając nam przewagę strzałów trzech na jeden.

Suzin nie strzelał. Nie nosił broni, ani munduru, jako apostołczyk. On sam był wybuchem, pociskiem, pędem i celnością strzałów. Chodził pomiędzy nami, jak żywy płomień bitwy, rozgorzały, rwący, bohatersko piękny z tem wyniosłem, otwartem czołem, jak to we zwyczajach miał, rzadko tylko, czasu niepogody nakrywając głowę.

We wzroku jedynie palił się pożerczy ogień oczekiwania, a niepokój leżał, jak czarna plama, na samem dnie błękitnej źrenicy.

— Nic. . . . Nic dotychczas. . . . Żadnej wiadomości . . . — szepnął mi, przechodząc mimo, a szept

ten miał wyrazistość śmiertelnego krzyku.

Jakoż dochodziła druga z południa, a umówionych posiłków nie było.

Od chwili do chwili gorejące oczy Suzina, wytężone w stronę jezior, przebijały dalekość, jaka je od nas dzieliła. Ani Lander przecież, ani Kijański znaku życia nie dawali stamtąd.

Upał tymczasem wzmógł się niesłychanie. Podaly się wysuszone usta, gorzały zeszywniałe języki, pot zalewał oczy. Donosiły wprawdzie kosyniery wodę z bajorków, ale ta była zielona i gęsta. Wrzała tedy ziemia bitwą, a niebo pożarem; kto zaś padł, stygnął między tem dwojgiem na wieki.

Ja i Suzin zmienialiśmy się teraz przy lunecie, w jakiejś natężonej nadziei, która była prawie że rozpaczą.

Żeby chmurka pyłu od jezior, żeby poseł, żeby ptak lecący. . . . Nic. . . . Nic. . . .

Jedno widoczne było to, że nieprzyjaciel zawsze jeszcze nas trzyma za główną siłę Wawra, i że się tak co do liczby naszej, jak i co do istotnej pozycji nie orientuje zgoła.

Inaczej, byłby niezawodnie wykłuł nas bagnetami.

A i front byłby rozwinął inaczej.

My tymczasem mieliśmy ciągle przed sobą dość wąską kolumnę, w której pierwszym szeregu żywi luzowali poległych, aby polec sami.

Brał, zdaje się, nieprzyjaciel wierzchołek naszego kąta za główny korpus żołnierza, a boki jego za flanki odpowiednio silne.

Widząc zaś, jak trup gęsty pada, uważał się za oskrzydłonego i nie śpieszył zbytnio ku nam w obawie, że otoczony i odcięty od traktu być może.

— Dajże wam Bóg Najwyższy za waszą ślepotę! — powtarzał porucznik Jaczynowski, przymrużając oko. — A ja mam i od siebie też . . . coś . . . na dokładkę.

Tu celował w akselbanty, w gwiazdy, w co najgrubsze ryby.

Ale i oni tego nas trzepali. Ilu tam padło naszych, nie policzę. Przy mnie, i co z najbliższych, padł Dowbor starszy z synem Hieronimem, padł Korniat Bukaniec, padło dwóch Margiewiczów, Zygmunt Dziewałtowski, padł Tadeusz Łukinia, Grzyguł, Puhatowicz. — Przerzedziły nas diabło gwardiacy.

Nagle krzyk, tumult od bagien. Zmieszało się powietrze skroś huku wystrzałów.

To kosynierzy tłukły wycieczkę, która nas podchodziła błotami.

Skoczyliśmy w kilku.

Widok był piekielny.

Ciężki żołnierz walił na kępki, które mu odmawiały oparcia, a z kęp w bagno bez ratunku chlupał.

Już po kolana, już po pas, już po ramiona . . . po szyję. . . Litwiny zaś, na suchym trzonie borowym stojące, dźgały ich ostrym sztykiem, druzgotały drzewcem, tak okrutny rozmach dając ramionom i garściom, że poły białych płótnianek furczały jak śmigi, w tym śmiertelnym młyńcu.

Wrzask, ryk, kłątwy, zapamiętałe wybuchy głosów, wściekle miotanie się zapadających w bajory, rżenie nawpół zduszonych, wysadzone na łeb oczy tych, którzy już po brodę zagrzęźli, strzały niemocne, ostatkiem siły dawane, trzaskanie czerepów, rozbijanych na płask brzeszczotami, dzika wrzawa unoszącego się chmurami ptactwa, przeciągłe jęczenie surmy — tworzyły potępieńczą scenę, od której słuch kołowaciał, a źrenice stawały się zimne i twarde, jak dwie bryły lodu.

Aż kiedy ciała zasieczonych, zadźganych, zatłuczonych i poduszonych w błocie uczyniły sobą pomost przez bagnisko, wstąpiły na nie pewną nogą chłopcy, a otarłszy rękawem pot wrzący z oblicza, jak to czasu kosowicy bywa, na kosiskach — się sparły, i ciężko dysząc — wypooczywały po swej krwawej pracy.

A co i raz to głos jakowys zachrypl:

— Nie damy!

I znów gdzieś dalej w kupie:

— Nie damy!

— Na śmierć nie damy!

Zawziętku, jaki w tych głosach dyszy, nie wypowie słowo.

I w rozchełstanych koszulach, w potarganych hajdawerach, porwanych rękawach, straszliwi kołce wyciągają szyję, rozdymają nozdrza, węższą, oglądają, kogoby jeszcze tłuc.

Ale cichość śmierci była już naokół.

Raportowałem rzecz tę Suzinowi w ogniu i rozmachu bitwy. Znalazłem go chmurnym i zagastym.

Słuchał, nie słuchał, a kiedym skończył — rzekł porywczco:

— A Kijańskiego na stanowisku niema. Nie przyjdzie.

— Kto mówił?

— Stary z Leśniczówki powrócił.

— Nie może być!

— Owszem, może. Nieprzyjaciele byli tam dziś w nocy. A choć do bitwy nie przyszło . . .

Przerwał i, ścisnąwszy dłońmi skronie, począł chodzić między dwiema sosnami, jak zwierzę w klatce.

— Wawer! . . . Wawer! . . . — powtarzał. — Takich ludzi!

Jeszcze to mówił, kiedy nas dopadł Birsztejn z rozstrojoną i rozchmurzoną twarzą.

— Landera niema! — zawołał. — Żywej duszy tam niema! Nocą rano ruszyli, zasłyszawszy, że gwardia ciągnie.

Pod młodym Bułhakiem koń padł. On sam ranny. Na Dobkiszkach strzelali za nim.

Wyrzucił to z siebie jednym tchem i stał, dygocąc, w nieładzie pośpiechu.

A mnie jakby kto pałką w łeb zdzielił.

Nie o Bułhaka mi szło, i nie o Landera nawet, ale szło mi o Suzina.

Z rozpaczy. Teraz z rozpaczy ten człowiek . . .
Takem myślał.

Ale Suzin wyprostował się nagle, jakby nam w oczach urósł, odrzucił włosy z czoła pięknym swoim ruchem i rzekł spokojnym, silnym, męskim głosem:

— A więc dobrze. Padniemy sami. Nikt nam nie będzie pomagał umierać. Tak jest. Padniemy. Dobrze zrobił Lander, że się ratował. I dobrze zrobił Kijański, że się ratował. Przydadzą się ojczyźnie. Nam — tu los. . . .

Pomilczał chwilę, a potem rzekł rześkim głosem:

— Do roboty, moi panowie! Kulki latają, nie czas gadać.

I pewnym krokiem poszedł do lunety, ani dbając, że istotnie kule mu świstały nad głową.

Już od lunety zwrócił się ku strzelcom:

— Po szlifach, panowie! Po szlifach! W starszyznę celować, po galonach! Górnice!

Jakoby więc oliwy do ogniska dołał, tak zawrzało na linii, tak wysoko buchnął płomień bitwy. Salwa za salwą piorunami biła. Strzelcy mimowolnym porywem wystąpili naprzód. Nawałność śmierci rzucała grom po gromie. Dym skłębił się tak gęsty, że aż czarny prawie.

Powietrze tchnęło siarką.

Już pierwszy impet bitwy uniósł był z sobą ową pianę krwi, owo męczące naprężenie nerwów. Strzelano teraz z morderczym spokojem.

Broń, której wyborne przymioty zyskiwały na tym spokoju niezmiernie, biła w cel z jakąś straszliwą niezawodnością. Zdawało się, że w huku każdej salwy śmierć wymawia słowa twarde, ostateczne i żywot gaszące. Zdawało się, że to ona sama posuwa się niepochybnie w szereгах naszych ku nieprzyjacielowi.

Jakoż, po każdym wybuchu strzałów ludzie dawali krok naprzód, bez komendy, bez wiedzy nawet może, parli potężną, gwałtownie rozwijającą się dynamiką bitwy.

Poczuł nieprzyjaciół wzmożone tętno; poczuł jej go-

rażość i jej chłód śmiertelny. Musiał też spostrzec ruch strzelców prawie że zaczepny i wytłumaczył to prawdopodobnie nadejściem posiłków, które, po odparciu przez kosynierów atak na bagnety, wolny przystęp ku borom znaleźć sobie mogły.

Jakoż kolumna nieprzyjacielska zaczęła się mieszać.

Widać było, jak się od niej odrywają rotę, odkomenderowane dla osłony boków, straszliwie przez nas prażonych. Widać było, jak świetne plamy oficerskich mundurów przenoszą się gorączkowo z miejsca na miejsce.

Okolo godziny piątej natężenie bitwy doszło do ostatnich granic. Twarze strzelców uczyniły się lśniące, szare, zbyły wprost ludzkiego wyrazu; w głęboko zapadłych oczach gorzał zimny ogień palącemu się próchnu podobny. Chrapliwy świst dobywał się z wyschłych gardzieli pod ogłuszającym hukiem i warkotem powietrza, które się trzęsło i grzechotało w sobie, jak gradowa chmura.

Ta jedna godzina wścieklej tyralierki uczyniła w szeregach nieprzyjacielskich wyłom większy niż wszystkie poprzednie.

Była prawie że wygrana.

Pozycja nasza, mimo poniesionych strat, przedstawiała się dobrze. Z trzech sekcij kosynierów dwie stały za linią strzelców w odwodzie, trzecia broniła bagien, gdyż powtórnej próby obejścia nas błotami zawsze jeszcze można się było obawiać.

A potem — bór!

Z borem, choć strzelcy w gorącości boju wystąpili dość znacznie w pole, byliśmy ściśle przez kosynierów złączeni. Kosami w bór wparci.

Sosny, buki, dęby stały za nami, jak potężne wojsko.

Każdy pień był żołnierzem, każdy konar bronią.

Dochodziła szósta, kiedy strzały nieprzyjacielskie zesłably. Osiem godzin morderczej walki wyczerpały i tego żelaznego żołnierza. Jeszcze ogień karabinowy tęgo nas prażył, ale nie był głęboki, nie sięgał wnętrza kolumny. Zaczem dymy zaczęły się przecierać, powietrze o-

chłodło nieco, straszny huk w jego czeluściach rozchodził się coraz szerszemi, coraz bardziej zacichającemi kręgami.

Starszyzna galopowała teraz ku Staciszkom; młodzi oficerowie oganiali konno kolumnę.

— Do widzenia, panowie! — krzyknął porucznik Jaczynowski i celnem swoim przymrużonem okiem posłał kulinę jakiemuś oficerzynie na wieczną waletę.

Ale kosyniery, rozgorzałe walką u bagien, nie mogły dotrzeć w spokoju. Coraz ostrzej szczękały za nami kosy, coraz zajadlej odzywały się groźne pomruki i pokrzykiwania. Szalony pęd bitwy porывał ich, ponosił.

W zupełnem zapamiętaniu parli na linię frontową, krzyząc wściekli:

— Hu! . . . Hu! . . . Kupą! . . . Bij! . . . że bór grzmiał od ściany do ściany.

Była to jakaś straszna obława śmierci, zagarniająca sobą całe pole walki; jakiś piekielny kociel, który się zwęzłał i zacieśniał potworną naganką.

Już między ramionami strzelców wyblęśły nastawione drzewce, gotowe siec, kłuć, miażdżyć łby w odręcznym i pojedyńkowym boju. Już strzelcy, parci tą walącą na nich ścianą, z trudnością utrzymują się w pozycji.

— Kupą na nich! . . . kupą! . . . — grzmi na całej linii.

Potworzyły się wrzące kłęby ludzi i broni, które pękały kartaczowym ogniem wśród straszliwych, oślepiających młyńców rozmachanych nad głowami brzeszczotów.

Gdyby nie Suzin, byłoby to runęło przed siebie własnym rozmachem.

Suzin podskoczył ku nim z powstrzymującym ruchem podniesionej ręki.

Widzę go dotychczas. . . .

Koszula na nim niebieska, szeroki pas lakierowany, głowa odkryta, czoło promieniejące w złocistych blaskach zachodu.

Bezbronny biegł, od lewej ku prawej ścianie boju, gdy wtem huknęła cała salwa strzałów.

Padł spiorunowany.

Rzuciliśmy się do niego.

— Nic. . . . Nic — rzekł z wysiłkiem i zaciął usta boleśnie.

A po chwili:

— Musiało się stać. . . .

Ktoś rozerwał na nim koszulę, pas.

Dwie kule wziął w piersi, a w prawy obojczyk trzecią.

Chcieliśmy go ruszyć z ziemi — nie dał.

Tymczasem, na wieść o nieszczęściu, rozpadły się one wrzące kłęby, a kosyniery, nagle ostygłe, otoczyły nas dookoła, ściskając w ręku kosiska, a trzęsącymi usty szepcząc zaklęcia, modlitwy. . . .

Powiódł po nich Suzin gasnącem wejrzeniem.

— . . . Dzieci moje . . . — zaczął i urwał, dech tracąc.

I my dech tracili, patrząc z rozpaczą w to drogie oblicze. . . .

Nagle błysk życia w niem zaświecił. Suzin podniósł się na łokciu.

— Zwinąć front! — zaczął silnym głosem. — Posiłki nie przyjdą. Błotami się do Wawra przebierać. Oddam chorągiew . . . oddziału . . . panie chorąży. . . . Czarną. . . .

Umilkł. Głowa opadła mu na ramię.

Staliśmy pochyleni, tłumiąc łkanie. Wielu płakało głośno.

Jedne tylko kosyniery trzymały się twardo, twarze mając nieruchome, skamieniałe jakby.

Raz jeszcze otworzył Suzin oczy, spojrzął po nas.

Spojrzenia tego nigdy nie zapomnę.

Zaczem wyprężył się, a wzniósłszy wysoko dla nabrania powietrza pierś nagą —

— Litwa niech żyje! — zawołał głosem wielkim — i opadł.

Rzuciliśmy się do niego. . . .

Zgasł. Skonał.

Chcieli strzelcy unieść drogie zwłoki, kiedy ruszyły się ciężkim krokiem kosyniery.

— Nasz jest! — rzekł stary Jurkszta.

Nikt nie śmiał mu zaprzeczyć.

Więc, odwróciwszy się ku swoim, krzyknął:

— Za-du-waj! . . .

I zaraz skrzyżowali drzewce kos, narzucili na nie choiny, a dźwignawszy drogą głowę, złożyli ciało na ciemnej zieleni.

Słońce staczało się z horyzontu w ogromnych blaskach, kiedy zaduła w głębi boru surma sroga i żałosna, a pod jej przeciągłym jękiem podjęły kosyniery nosze i milcząc w bór poszły.

WOJCIECH ZAPAŁA

Wojciech Zapała

Kiedym poznał Wojciecha Zapałę, był on już dobrze posunięty w lata, wyschły, jak trzaska, pożółkły, jako liść jesienny, a taką przez łeb miał szramę, że choć czwórką po niej zawracaj.

Prosto się jednak trzymał jeszcze stary, a jego szcztokowate, w górę sterczące wąsy dodawały mu marsowej miny.

Równego z nim wieku zdawała się być i kurta jego zielona, zarywająca na mundur strzelecki, mocno już spłowiała, ale twarda widać do zgryzienia, jako i jej pan.

Mieszkał Zapała pod lasem, w chatynce nędznej, na piaski rzuconej, z dachem roztrzęzionym, szerniałym, czesanym przez wszystkie cztery wiatry, hulające po nim zawieruchą jesienną albo zimową zamięcią; — z kalenicą zakłętą, z bokiem jednym z węgla ruszonym, drugim w ziemię idącym; z drzwiami lichu wie jak trzymającami się jeszcze odźwierka — ot, w pustce ciężkiej, i tyle.

Prócz wróbli pod strzechą, tulił przy sobie Zapała w chacie owej drobnego chłopczyne, sierotę, co go niegdyś wiosną zgubiły bociany we wsi, lecące na łąki, na zielone. Poterało się mizeraństwo to tu, to tam, popychane, szturchane, nie wiedzące, kędy się dźiać, a prócz sińców na grzbiecie mające tylko jedną koszulinę, czarną, jako święta ziemia.

Płaczącego z głodu i chłodu przydybał kiedyś chłopca stary pod lasem, popatrzał, splunął, wąsy najeżył, potem go na ręce wziął, kożuchem okrył, do chaty zaniósł,

okrajcem chleba utulił — i na ławie, kędy sam legiwał — uśpił. Odtąd się już nie rozłączali.

Jako przy pniu dębowym odrostek wiosenny, tak An-tek tkwił przy Wojciechu.

I dobrze im było razem; tylko w miarę, jak chłopak podrastał i łyżką kartofli najeść się już nie mógł — stary pasa przyciągał, aby im obu starczyło.

Wiosennym wczesnym porankiem już słyhać było głos starego Zapały:

— Dalej, chłopcze, marsz! A coś ty baba, żebyś nie wiedział, jak żołnierz chodzić powinien? Prawa noga naprzód! . . . Nie ta . . . a czy skaranie Boskie . . . toć że ta, druga! . . . Uszy do góry! brzuch w siebie! a! że też ty, chłopak, nijakiego rychtunku nie masz! . . .

A "żołnierz" w koszulinie tymczasem, drepcząc obok starego, wystawiał nogi bose, brudne, cienkie, jak bady-le — i podnosił konopiastą główinę wysoko, sądząc słusznie, że i uszy z nią pójdą do góry; z brzuchem tylko jakoś nigdy do ładu dojść nie mógł. Odęty, wielki, sterczał on uparcie z pod chudych żeber i tuż pod piersiami z za koszuliny wyglądał.

Czas jakiś maszerowali w milczeniu. Strwożone za-by w desperackich skokach pierzchały z pod nóg Wojciecha, chroniąc się w brózdy i w kępy wilgotne, a w ciszy porannej, dzwoniącej pieśnią skowronka, słyhać było daleko, szeroko ciężkie stąpanie starego wiarusa.

Aż naraz, precz dalej maszerując, odzywał się Wojciech:

— Uważasz, chłopcze, przed nami idzie dobosz i bębni, aż w niebie słyhać! A dalej trębacze złociste na trąbach grają, a tu z boku nasz kapitan, ej, dziarska u niego mina! a za nami wali piechota, jak morze. A tu adjutanty polatują, jak ptaki, ino wiatr furczy, a jenerały aż kapią od złota; a tam, dalej, na białym koniu, sam cesarz. . . . Wiw limperer! hurra!

I wyrzucał w górę czapkę swoją stary Zapała, i salu-

tował kijem sękatym, i promieniał cały; a zasluchany chłopczyzna, chcąc dojrzeć owego dobosza, owych trębaczy złocistych adiutantów, jenerałów, a najbardziej onego cesarza, wytrzeszczał oczy, otwierał usta — i naturalnie takt gubił.

Stary maszerował jeszcze kilkanaście kroków, jaśniejący w sobie, odmieniony, piękny niemal, jak był przed trzydziestu laty; z oczami, utkwionemi w przejrzystą różaność poranku, z rozwianym włosom, naprzód podaną piersią, na której spłowiła jego kurta nabierała też życia i barwy. Usta jego szeptały coś pocichu — zdawał się jakby natchniony. Po chwili opamiętywał się gasł w sobie, kułakiem przecierał oczy, a spostrzegłszy, że Antek przystał, poczynał burczeć na niego.

— A czegożeś ty gębę rozdziawił, nie mający na co? Widzicie go, piecucha; a ruszajże się prędzej! Oj, żeby ty służył pod naszym wachmistrzem, dopieroby on ci pieprzu w uszy natarł! Dalej! prawa noga naprzód! Raz, dwa . . . a cóż ty, na kołkach idziesz? A czy cię też. . . .

Ale chłopak, raz takt zmyliwszy, szedł, jak odurzony, przebierając nogami bez składu. To zdawało mu się, że niema ani lewej, ani prawej nogi, to znowu, że ma ich za wiele jakoś — i ani rusz do ładu z niemi trafić nie umiał. Szerzej więc jeszcze otworzywszy usta, stawał zapatrzony w Zapałę, a wydęta jego brzuszyna wyglądała z otworu koszuli, zapomniawszy całkiem o wojennej karności.

Stary dąsał się, gderał przez chwilę — aż, ustawivszy dzieciaka “do frontu”, zaczynał sam maszerować przed nim na pokaz. Nie był to już jednak ów bohaterski Zapała z przed chwili. Wielkie jego stopy podnosiły się teraz nad ziemią sztywno i martwo opadały, jakoby na drewnach sękatych wprawione; nadęta wierzchnia warga koniecznie jeżyła się przystrzyżonymi wysoko wąsami, a spencer jego spłowiwały zwisał na zakłętej piersi, którą chwytął kaszel suchy, głęboki. Wówczas zatrzymywał się stary, głowę opuszczał, dyszał chwilę, a wzięwszy chłopca

za rękę, szedł z nim w milczeniu, powłócząc zmęczonemi nogami.

Dzieciak jenerałów owych złocistych, dobosza i trębaczy zapomnieć nie mógł.

Drepcząc obok Zapały, myślał, przemyślał, gdzieby ich dziadus mógł widzieć? A przed nimi, jak okiem zajrzeć, rozciągały się pola ozime, mazowieckie pola, zachodzące runią zieloną, po której poranny tuman bił w słońcu pyłem złotym, jakoby się mietlice kurzyły. Od lasu tylko błękitność jakaś przejrzysta siała się po ziemi, jakoby kto strugę modrą w powietrzu rozdmuchał przez przetaki srebrne.

Chłopak wytrzeszczał oczy coraz szerzej, nadążając krokom starego. Juści nie gdzie, jeno w tym złocistym tumanie muszą być jenerały owe i cesarz. Patrzał, patrzał, otworzywszy gębę szeroko; gdy jednak nic dojrzyć nie mógł, pociągnął za rękę starego i odezwał się głosem cichym: — Dziadusiu! Ale pogrążony w sobie Wojciech nie słyszał chłopięcia.

— Dziadusiu! — przemówił wtedy malec głośniejszym — ja tam tego cesarza nie widział, ani trąbów nijakich. . . .

Uśmiechnął się stary.

— A co ty myślisz, pędraku, że lada komu będą trąby grały? Oj, nasłuchał ich ja się, nasłuchał! To mi potem przez dziesięć lat z okładem w uszach dzwoniło, że anim ludzkiego gadania, ani wiatru w polu nie słyszał, jeno to ich granie. Hej! nie słyszałem nawet, jak starość przyszła i bieda! Ludziska głupi powiadają: głuchy Zapała. Oj, nie głuchyc, nie głuchy, jeno słyszący takie rzeczy, o jakich wam się, Mazury, nie śniło! Gdzie człowiek nie był, czego nie zaznał! Szedł pan na wojnę, szedł i ja. Wojciechu, powiada, nie żal ci cha-ty? Juści żal, panie, powiadam. To wracaj zdrów, powiada: ja stoję przy Napolijonie. Ha! to i ja stoję. A pan na to: daj rękę, bracie; nie wrócę do domu, powiada, aż z Francuzami. I nie wrócił. To był pan!

I spuszczał stary głowę, i szedł zadumany, wzdy-

chający, aż po chwili prostował się i mówił dalej:

— Albo co! Raz, pamiętam, wali nasza wiara do szturmu. Gorącyż to był dzień! Pewno go tam Bóg Najwyższy czerwono w kalendarzu zapisać raczył! Trąby grają, jakby na skończenie świata, bęben grzmi, że człowiek własnego strachu dosłyszeć nie może; gdzie spojrzysz, las nie las, sterczą bagneciska, że aż w oczy kole. My nic. Przed frontem przeleciał adjutant, błysnął szpadą, niby jasną świecą. A my, wiara, jak hukniem: Wiw limperer! tak ci zara one Hiszpaniska jak nie puszcza swoich fortów w taniec! Boże miłosierny! żeby się nasza ziemia trzy razy zapadła, toby takiego huku nie było. Oficery krzyczą: marsz! marsz! Idziesz, jakby ci kto za piętami gorącą smołę lał: nie wiada jeszcze, czyś z głową, czy już bez głowy. Same nogi niosą cię naprzód: prawa, lewa, prawa, lewa, marsz! A tu znów jak nie gwizdnie! Chryste Panie! Czapkę z głowyby zdmuchnęło, żeby niżej poszło. My nic!

Trzeba było widzieć starego Zapałę, z jakim ogniem, z jaką werwą mówił te dwa słowa: my nic!

Była to cała epopeja tej mazurskiej duszy.

— Dziadusi — przerwał nagle Antek, oglądając się niespokojnie dokoła, — a płota to tam nie było, żeby się skryć za niego, a potem w nogi do wsi?

— Płota? — powtórzył Zapała z wzgardliwym uśmiechem — oj, ty chłopska maniero! A hunor, a ambicja? a co powie cesarz, albo i kapitan? Dałby ja ci płot na wojnie, albo uciekanie! Nasz kapitan powiadał, co, jak ta wojna przyszła, to wszyscy królowie i wszyscy panowie posiadli, pozakładali ręce i patrzyli, jak się Polak za Francuza bije. Ot, pięknieby to było, żeby potem gadali, cośma tchórze. Nie daj, Boże, takiego doczekania!

— A na cóż się Francuz sam nie bił? — pytał dalej Antek.

— Co się miał sam bić? W przyjacielstwie wszystko po równości; my im, oni nam. A to juści i dla człowieka jest z hunorem, że go tam ludzie widzą we świecie

i znają i powiadają o nim tak i tak. A ty się pilnuj, żeby ci kula nie policzyła zębów na wylot: to już twoja rzecz!

— A cesarz? — pytał chłopczyzna głosem z niepokojem stłumionym — kto pilnował cesarza.

— Cesarza? oj, dziecko ty moje! Pilnował ci go sam Pan Bóg Stwórca, i ona jasność, co od niego biła po świecie, i ony orły, co nad nim latały na sztandarach naszych, i ten dech gorący, co szedł ku niemu z onych piersi ludzkich, gotowych murem stanąć, żeby jeno skinął! Nie broniły go zamki, ani pałace; w obozie jadł, w obozie spał. Ktoby powiedział: człowiek, jak i drugi. Ano kulka kulce świstała lecący, że to Napolijon Bonapart, i żadna tknąć go nie śmiała.

Umilkł stary wiarus, dźwiękiem własnego uniesionego głosu, a źrenice jego cicho gorzały, zapatrzone w dalekość siną.

Antek dreptał obok niego, coraz szybciej przebierając bosemi nogami. Postać bohatera, odtworzona gorąco przez starego Zapałę, widomie niemal przechodziła z duszy jego w duszę dziecka. Chłopiec czuł się zaniepokojony, wzruszony; moc go jakaś brała za czuprynę konopiastą, więc podnosił głowę do góry, jak ptak do słońca — i coraz silniej ścisnął rękaw starego Wojciecha. Miał też skrytą nadzieję, że tam daleko, gdzie dziaduś spostrzegł postać swojego cesarza, i on też może przecie, otworzywszy gębę, cośkolwiek obaczy. Nie mógł jednak zobaczyć nic, i to go srodze trapiło.

Spojrzał staremu raz w oczy, spojrzał drugi raz, potem go za rękaw pociągnął i szepnął: — Dziadusi!

Ale Zapała utonął myślą w takiej dalekiej przeszłości, że głos dziecka dobić się tam nie zdołał. Ognie mu jeno chodziły po zoranej twarzy, zwiesił głowę i w milczeniu wracał pod las, do chaty.

Nocy tej Antek spać nie mógł.

Po ławie się ciskał, rękami rozrzucał, majaczył; a kiedy go Wojciech świtaniem obudził pierwszą myślą mal-

ca był . . . cesarz.

Skąd bo się mógł wziąć ów cesarz na białym koniu, co go dziaduś wczoraj w polu widzieli? Białego konia w całej wsi nie było; nie było go i we dworskiej stajni. Jak też mógł wyglądać koń taki? A cesarz? kulki nad nim latały, śpiewając bronila go zorza złota, idąca przed nim na wojnę, a chorągwie furczały na wietrze, jako skrzydła ptasie, przypięte owemu koniowi białemu.

Taki sobie obraz utworzywszy w duszy, stanął chłopczyzna przy zydłu u misy, wedle siedzącego Wojciecha; nie mógł jednak jeść wiele, jeno łyżkę z garści w garść przekładał, zadumany, zapatrzony. . . .

Aż kiedy Zapała pośniadał i jął siekierę na brusiku ostrzyć, zbierając się na porębę do lasu, malec zaczął się kręcić, staremu drogę zachodzić to z tej, to z owej strony, aż wreszcie za kolana go chwycił rączynami chudemi.

— A ty czego, chłopcze? — zapytał stary.

— Mój dziadusiu! moi złoci! niechby ja też tego cesarza choć raz obaczył! choć bez płót!

Zapała uśmiechnął się pod wąsem.

— Ot, czego się głupiemu zachciało! Cesarza! cesarza! . . . A cóż to, cesarz jest ekonom, abo strach na wróble, żeby go lada kiep widział? Hej! hej! nawędrował ja się niemało po świecie i niemało biedy zgryzł i skórę własną, jak wąż, odmienił, zanim go oczy moje ujrzały.

— A jakże go oczy wasze ujrzały? mój złoty dziadusiu! — pytał dalej Antek z najwyższym zajęciem, chwytając znowu za kolana starego.

Zapała siekierę, poostrzoną na brusiku, wsparł i westchnął głęboko.

— Oj! nie bez płót, nie bez płót, moja sieroto! Ujrzały go oczy moje w dymie harmatnim, w ogniu jarzącym, w trzaskawicy śmiertelnej, kiedy człowiek nie ma czasu wezwać Boga przy skonaniu. . . . Ujrzały go oczy moje w tumanie krwawym, niesionego, jako sokół wiatrem zachodnim, nad pole kłósów dostały. A nie

były to kłosa, jeno ludzkie głowy; a co kulka świśnie po nich, to jakby kosa przeszła, brózda się ściele i ściernisko trupie. . . .

— A któż tak kosił, dziadusiu?

— Śmierć kosiła, chłopcze.

— A cesarz?

— Cesarz był z nami. A ktoby dotrwał bez niego? Na górze stał w kapocie swojej szarej, rękę do oczu przyłożył i rozkazy dawał i patrzył, jak się Mazury prą na baterię. Bóg widzi, nie my ją brali, ale to wejście jego. Zrazu-m ci ja nic nie widział, który to jest cesarz; bo wkoło sztab się kręcił, cały w złocie, a w piórach, a w szelestach. Aż tu mi pan mój powiada: Wojtek, powiada, to Napolijon. Spojrzę ja, jeno go maluj! Porozlatały się one adjutanty złociste z rozkazaniem pańskim, a on stał sam; a choć był drobnej urody, tak mi się wydał ogromny, jako świat.

Zadumał się stary i zamilkł; aż, widząc po chwili, że chłopię u kolan mu stoi, a w oczy pogląda, poglądził szorstką dłonią jego rozsypane włosy i przemówił łaskawie:

— No, no, jeno ty mi się wyucz maszerunku, jak się patrzy, i wszelakiej komendy, to już ja ci Napolijona pokazę; niechno jarmark . . .

A podjąwszy siekiere, na ramię ją sobie założył i ruszył w las na porębę.

Straciłem potem jakoś z oczu Wojciecha Zapalę. Stary podobno chorzał, dyszał, w lesie na porębie nie stawał, z chaty nie wychodził; nawet na jarmark doroczny zajść nie mógł, tak mu się dawne, za młodu nie liczone cięcia odzywały po kościach a stawach.

Małego za to Antka spotkałem kiedyś na drodze.

Było to jesienią. Dzieciak był równie chudy i nędzny, jak dawniej; w stroju tylko jego zaszły niektóre odmiany. Ta sama wprawdzie koszulina zgrzebna okrywała mu grzbiet niebogi, ale na niej miał po wierzchu sta-

rą kamizelę Zapały. Kamizela była ogromna, za kolana chłopakowi idąca, na przodzie roztwarta, gwoli owej niepoprawnej brzuszynie, co to nie chciała iść “w siebie” i odejmowała Antkowi “wszelaki rychtunek” rycerski.

Chłopak maszerował po ostrem ściernisku, trzymając na ramieniu sękaty kij Wojciecha i stawiając z góry cienkie swoje nożyny, z których jedna obuta była w stary babski trzewik, wywleczony ze śmiecia przez jakiegoś Kruczka, a druga tkwiła w wielkim drewnianym chodaku, opadającym ciężko za każdym krokiem malca. Ten to chodak właśnie dawał takt marszowi i napełniał serce Antka uczuciem słusznej dumy. Istotnie, “maszerunek” szedł świetnie. To chodak, to trzewik podnosiły się do wysokości nosa chłopięcia i opadały z łomotem, któremu wtórowała cieniutka komenda: raz, dwa! — i znowu: raz, dwa!

Idąc tak, patrzył chłopczyna przed siebie daleko, daleko . . . jakoby miał tam cel upragniony, do którego trzeba mu było koniecznie maszerować po ściernisku, ot tak, jak stał: w koszuli i w kamizeli.

Przed jego wzrokiem przejrzystym, smętnym, wzrokiem chłopskich sierot, promieniała kędyś w dali postać jasna, ogromna, unosząca się, “jak sokół na zachodnim wietrze”, — postać cesarza.

Spotkanie to nie było ostatniem. Widywałem go później twardą już jesienią, w półkożuszku Wojciecha i całkiem boso; nie odejmowało mu to jednak fantazji, a komenda szła żwawo i składnie.

Nadeszła zima.

Wieczór był cichy, mroźny, miesięczny.

Świeże śniegi słały się puchem przez pola; w niebie, głęboko, paliły się gwiazdy sine; między niemi a ziemią leżały błękitne cienie i srebrne pary. Ze wsi dolatywały łomoty cierlic i psów szczekania, a pod lasem, het, precz — u Wojciechowej chaty, słychać było stuk siekiery.

Idąc prosto na stuk ten, ujrzałem starego Zapałę, jak ociosywał dębczak, zdawna u progę leżący.

Pobladł, postarzał, a w miesięcznych blaskach wyglądał bardziej na widmo, niżli na człowieka.

Przy nim stał Antek, przebierając na śniegu bosemi nogami; jego cienki głosik dziecięcy mieszał się do stuku siekiery, szczebiotał coś, jak wróbel, pożerając oczyma robotę dziada.

Stary pracował z widocznym wysiłkiem. Raz po raz postawał, opuszczał siekiere, czoło z potu ocierał i dyszał ciężko. W ostatnich czasach rozniemógł się, osłabł, a choć się codzień jeszcze z tapczana zwłóczył, czuł już, jak mawiał, ordynans u proga.

Pojednał się tedy z Bogiem i z ludźmi, odczyścił swoją zieloną kurtę, wysmarował grube buty i czekał.

Największą jego jednak troską był obiecany chłopakowi cesarz. Skąd on go weźmie? jak mu go pokaże? Do miasta nie doniosą go już stare nogi; rzecz zresztą niepewna, czy nawet na jarmarku coś podobnegoby znalazł. A tu chłopiec codzień dopomina się spełnienia obietnicy. Zresztą, zasłużył. Maszeruje dzielnie, niema co!

Komendę myli coprawda miejscami, ale to jeszcze małe, douczy się, niech jeno podrośnie. I coby to za radość była mieć pod ręką obrazek, abo co takiego, i móż powiedzieć sierocie: patrzaj, chłopak, to Napolijon! Staremu od tej myśli serce rzucało się w piersi, jakby je warem oblał. Myślał, myślał, nareszcie onego miesięcznego wieczora wziął siekiere, poostrzył i począł ociosywać ów dębczak, przed chatą leżący.

I cóż, że tego nigdy nie robił? Toć ma cesarza, jak żywego, w duszy: Na górce stoi, ręce u piersi skrzyżował i patrzy, patrzy. . . .

Antek, któremu także cesarz z myśli nie schodził, zagadywał starego o to, o owo, drepcząc bosaka po śniegu, nareszcie spytał: jakieby Napolijon miał buty?

Odprostował się Zapała, o odźwieriek wsparł i rzekł:
— Czekażże, chłopcze . . . buty to miał ogromne, z gwiazdami przy ostrogach; jak konia niemi sparł, to cała armia ostrogę poczuła w piersiach. I szła, i szła, choć na

koniec świata.

— Pewnikiem siedmiomilowe — zauważył Antek dla siebie. Potem zaś dodał: — A kapotę?

— Kapotę? — powtórzył stary — żeby tak nie skłamać, to kapota nie była cesarska, lada ordynans miał lepszą. Tylko, że jak ją Napolijon na siebie wdział, a przed frontem stanął, to ci się zdawało, żeś słońce obaczył. Oj, ginęli też ludzie, ginęli dla tej kapoty, i nie żał było! Cesarz był mały, zwięzły, składny, a oczyma przez skórę cię brał, choć wejrzenie miał zawsze łaskawe. Pamiętam. . . . — Tu stary umilkł, nagle za piersi się chwycił, począł kasłać ciężko, aż, uspokoiwszy się, po niejakej chwili rzekł: — Ale ty, chłopcze, do izby ruszaj, a do spania się zbieraj . . . kurki zachodzą — dodał, poglądając ku gwiazdom sinym.

— A kiedyż ja, dziadusiu, cesarza obaczę? — powtórzał Antek zwykłą swoją piosenkę.

— Obaczysz, obaczysz . . . śpij jeno. . . .

A kiedy chłopiec do chaty wszedł i drzwiami skrzypnął, stary ręce w górę wznosił i mówił głośno:

— Panie Boże Wszzechmogący! nie wołajże mnie ze świata, póki oto tej sierocie nie pokażę Napolijona cesarza, amen!

A gdy to mówił, taka była cisza, żeś słyszał w powietrzu lecące igielki par mroźnych.

Zaraz potem dziad w garść splunął, siekiery się jął, a stukot jej aż do samego świtu obijał się o sosny po lesie.

W kilka dni potem, o wczesnem zaraniu, w pośrodku nędznej, czarnej chaty pod lasem stał dębczak ów z pod progu, zmieniony w postać człowieczą.

Gruba to była robota, chropawa, nieskładna, głowa przyduża, nogi przykrótkie, kadłub przyciężki; kiedyś jednak stanął w progu izby, ot tak, jak teraz przy ogarku łuczywa, płonącego w kominie, toś na pierwsze wejrzenie musiał krzyknąć, jak Zapała:

— Napolijon!

Charakterystyki posągu tego nie stanowiły rysy twa-

rzy — to pewna; można je było owszem nazwać rysami tego lub owego człowieka, chociaż i one zarywały cośkolwiek z potężnej, znanej wszystkim głowy bohatera. Co do kapoty za to, kapelusza i rąk skrzyżowanych na piersi — niepodobno się było pomylić.

Przed dziełem swoim stał Wojciech Zapała jaśniejący, natchniony, ogromny w sobie istny Fidasz w chłopskiej siermiędze.

U nóg jego leżały dłutka i pilniki, gorące jeszcze od rozmachu mazurskiej dłoni.

Oczy mu gorzały ogniem miłości i dumy, usta zaszyły czerwienią, jako za młodych lat, pierś poruszała się oddechem pełnym, swobodnym, i stał tak w przemienieniu onem — prosty i piękny — trzymając w jednej ręce podjętą z ziemi siekierę, a drugą po wojskowemu salutując cesarza.

Po chwili uśmiechnął się i zwrócił głowę w róg izby. Tam, na ubogim tapczanie, spał Antek sierota. Rozrzucana na piersiach koszulina pokazywała chude jego żebra, a z pod kamizeli, którą był przykryty, wyglądały nogi, cienkie, jak badyle. Równy, głęboki oddech poruszał jego pierś drobną, a obie ręce leżały nad głową, jako nad słomianą strzechą. Zapała patrzył na chłopca, i oczy jego wilgotniały, niby poranną rosą.

Tymczasem odniało na wschodzie.

Styczniowe słońce podniosło się nad żelazową Wolę, wielkie, gorejące, czerwone. Śniegi spłonęły w blaskach różanych i w złocie.

I uderzyły promienie słońca w okienko izby czarnej i padły na postać bohatera łuną jarzącą. Światło zbudziło wróble i Antka.

Przewrócił się z boku na bok, zamruczał niewyraźnie: "dwa, trzy", — potem westchnął i oczy otworzył. Otworzył — siadł na tapczanie i spojrzał po izbie. Zamknął je znowu i znów otworzył, przetaił kułakiem, spojrzał — i rozdziawił usta, jako miał szerokie. Chwilę trwał w takim osłupieniu niemem; nagle zerwał się z tapczana.

— Cesarz, dziadusiu, cesarz! . . .

Chwycił go stary, podniósł, do piersi przytulił, na wąsy spadły mu dwie łzy ciężkie i słone. Potem chłopca na ziemi postawił — podał piersi naprzód, jakby na bagnety szedł, i huknął, aż w lesie odgrzmiało:

— Wiw Napolijon! Wiw limperer!

O wieku, co blaski swoje rzucasz w cienie i chłody dni naszych i zapalasz ogień w biednej chłopskiej piersi i dajesz chwilę szczęścia czarnej chłopskiej chacie i uczysz pacholęta bosa iść po ścierniskach życia ku ideałowi — wieku! . . .



NA RYNKU

Na Rynku

Wjeżdżaliśmy właśnie w rynek miasteczka, kiedy przepędzano wielkie stado wołów.

W grubym tumanie kurzawy, jaka się podniosła z wyschłego w lipcowych skwarach błota, szara bezkształtna masa zdrożonych zwierząt posuwała się ciężkim, znojnym ruchem. Kurzawę tę, unoszoną najłżejszym tchem wiatru, przebijały tu i ówdzie tęgie, proste rogi, to znów wyniósł się ponad nią potężny, siwo-czarny grzbiet pracującego się naprzód zwierzęcia, to rozdarł ją krótki, bezdźwięczny poryk, z suchej gardzieli dobyty.

A wtedy pędzący stado pastuch uderzał długim, świeżącym biczem w tę zwartą, ruchomą masę; ale wnet opadało mu ramię, a klątwa krzykiem zaczęta, kończyła się ochryplym szepciem. Człowiek był widocznie skwarem dnia znużony. Po ceglastej jego twarzy pot ściekał obficie, bose, kurzem pokryte, aż do kolan obnażone nogi, nabrzmiałe były i grubą siecią nabiegłych żył zbrudzone, spencer na jednym ramieniu wiszący odsłaniał mokrą na plecach koszulę. Idąc, głośno dyszał i biczyskiem się podpierał. Jedną z nóg, przewiazaną płóciennym szmatem, powłóczył za sobą z trudnością. Gruba jego niedobielona koszula i samodziałowy spencer nie odcinały się od objętego kurzawą stada żadnym obcym tonem. Śmiertelne znużenie, zarówno jak chmura pyłu zdawały się jednoczyć tę szarą masę bydła z tym, który je pędził. Za pastuchem pies bury, kudłaty, do wilka podobny, włókł się z wywieszonym ozorem, podebrawszy ogon pod siebie. Nie szczekał. Tylko kiedy nad stadem bicz świsnął, wy-

dawał krótki chrypliwy skowyt, nie podnosząc pyska od ziemi. Był to widok jakby umyślnie dobrany, aby wzmódz przygnębiające wrażenie skwarne go południa. Oko omdlewało po prostu, patrząc na tę karawanę.

Zatrzymaliśmy się, aby ją mimo siebie przepuścić. Ale za ledwie konie stanęły, uderzyło na nas gorąco, jak z pieca, a gęsty, niezmiernie miałki pył objął nas i osypał. Stado mijalo nas zwolna. Gęsty tupot racic, to wzmagał się, w jednym punkcie podnosząc nową zbitą chmurę piasku, to znów słabnął, powściągnięty biczem i krzykiem pastucha. Wielkie, prawie białe słońce tkwiło na samym zenicie. Jak okiem zajrzeć ani jednej chmurki, ani jednego najulotniejszego obłoczka. Nagle, wskroś żrącego oczy pyłu, zdawało mi się, że tuż przed racicami wołów, w samym środku rynku, dostrzegam drobną postać ludzką, przy ziemi skuloną. Krzyknęłam, ale głos mój zginął zapewne w głuchym tupocie pędzonego stada, gdyż drobna postać pozostała całkiem nieruchomą. W najwyższym niepokoju patrzyłam w zbitą masę szerokich siwych grzbietów, poruszających się ciężko i leniwie. Każdy łeb ku ziemi spuszczoney zdawał się godzić w tę bezbronną ludzką istotę; każda podniesiona racica zdawała się w nią uderzać. Byłam pewna, że kiedy się ta masa przewali, ujrzę jakiś widok okropny, jakieś członki porozrywane, jakieś stratowane i drgające ciało. Serce truchlało we mnie.

Tymczasem woły kroczyły równo, zwolna. Nie znać było aby się zatrzymywały, lub omijały jaką przeszkodę. Kiedy się nareszcie wparło to wszystko w wążką szyję bocznej uliczki, a kurzawa opadła nieco, ujrzałam znów też samą drobną postać na tem samem miejscu, tak samo jak w pierw przy ziemi skuloną. Wtedy podbiegłam z największem zdziwieniem i zobaczyłam siedzącą w kuczki na rozpalonym bruku młodą jeszcze kobietę, której plecy oparte były o złamane i porzucone tutaj półwozie, a głowa wzniesiona wprost w słońce. Z głowy tej opadła na kark ciężka, gruba chustka, odsłaniając ciemne, gładko

przyczesane włosy, czoło bardzo żółte, na skroniach silnie zakłęśte i twarz wychudłą, znędzniałą, spaloną na skwarach jak węgiel; z poza wąskich, spieczonych i poczerniałych warg błyszcząły olśniewająco białe, rzadkie zęby, a oczy ocienione długą, mocno odwiniętą rzęsą, patrzyły z osłupieniem w samo jądro słońca. Prawdopodobnie patrzyły w nie tak samo i wtedy, kiedy ją ogarnęło owo stado wołów. Szeroko otwarte, nieruchome siwe źrenice, zdawały się same topnieć jak srebro w ogniu tego słońca. Siedziała tam w pełnym świetle, objawwszy splecionymi rękami podniesione ku piersiom kolana, w baranym kożuchu, długich butach i grubej wełnianej spódnicy. Patrzyłam na nią z najwyższem zdziwieniem. Odzież ta i na mróz trzaskający wystarczyćby mogła. Głębiej nieco, pod półwoziem leżał pies rozciągnięty i zapadłymi bokami ziający, lecz widać wytrzymać nie mógł tego skwaru, gdyż podniósł się, przeciągnął i powłókł na lewą połąć rynku, gdzie widać było cały szereg żydowskich kramnic, których drzwi, na głucho zaparte, przypominały, że to dzień szabasu. Kramnicom tym dodawały nieco zachrony starożytne, wsparte na drewnianych słupach podcienia, przez których przeźrocza, z gruba cięte w poczerniałych okapach, siały się złagodzone blaski. Gorąco jednak było tutaj tak wielkie, że roztopione żywice wystąpiły wzdłuż smolnych słupów i belek.

Pies też, który szukał ochłody, powęszył tylko i zawróciwszy, pobiegł w przeciwną stronę rynku, gdzie nowe budowania mieszczan garnęły się do murowanego ratusza. Odbite od białych tynków słońce, oślepiało tu niemal, a rozgrzane powietrze migotało na tej bieli tak silnie, że oczy zachodziły łzami. Ani drzewiny, ani kamienia nawet, któryby rzucał choć najmniejszy cień na rozpalone bruki. Pies przebiegł wzdłuż tej połąci, daremnie legowiska szukając, i pod półwozie powróciwszy, rzucił się o ziemię z głośnem stękanem.

Przez cały ten czas siedząca na ziemi kobieta nie poruszyła się, nie zwróciła głowy. Całą twarz w ten biały

blask podana, z dziką jakąś natarczywością patrzyła w słońce szeroko otwartą źrenicą.

Przystąpiłam bardzo blisko; ale zdawała się nie widzieć mnie wcale; przemówiłam, — nie odpowiedziała. Poruszyłam ją tedy za ramię. Wstrzęsła się i spojrzała na mnie mętnym wzrokiem.

— Co wy? — zapytałam — febrę macie, czy co, że na takim słońcu siedzicie?

Nic nie odrzekła i znów oczy zwróciła na słońce.

Po chwili usta jej się poruszyły półgłównym szeptem.

— A to ziąb! . . . Takiego ziąbu najstarsi ludzie nie pamiętają. . . . Takiego ziąbu to choćby na skraj świata zaszedł i na lodową górę choćby zaszedł . . . to też nie najdzie. Jezu miłosierny, zmiłuj się nad nami. Ino się świat skrzy . . . a ta para to ci się w czary obraca, nim od ciebie odleci. . . . O! . . . Jaki to huk okrutny w boru! Antek. A słyszysz? To te sośnie tak pękają od wielkiego mrozu. . . . Hu! Hu! Hu! . . . Ino ten wichur po gołaźniach hula. . . . Ino te wilki po łozinach wyją. . . . Hu! Hu! Hu! . . .

Odjęła ręce od kolan, zaczęła je rozcierać i jedną o drugą bić.

Patrzyłam na nią z najżywszem zajęciem. Po chwili znów mówić zaczęła:

— A pluźże w garść, Antek, a chwyćże się żywo siekiery. . . . Jak żyd się ustawi, to i o trzy mile zarobku nie uświadczysz, a tu chleba trza dla tego dzieci-szczka. . . .

— Magosię frybra trzęsie. . . . Ostawiłbyś jej ojciec, nowy kożuch, abo co . . . toć się i tak przy robocie zagrzejesz. . . . Hu! . . . zimno! . . . Hu! . . .

Ścisnęła ramiona i zaczęła szczerkać zębami. Naraz puściła z rąk kolana, jakby się podnieść chciała.

— Wstawaj Antek, — przemówiła zmienionym, ostrym głosem. — Wstawaj! Nie ligaj w boru, bo cię tam mróz na nic przewieźmie. . . . Wstawaj Antek. A dyć przez to stare kożuszyszko ino ten wiatr furgocze.

O czym duchu chłopisko. . . . Dalej! wstawaj! . . .

Porwała się na nogi.

— O la Boga! — krzyknęła — O la Boga reta. A kładźcież go wedle komina. . . . Lekuško . . . Lekuško. . . . A dyć go trzymajta! . . . Jezu Maria! Ani w nim duchu!

Załamala ręce nad głową.

— Bodajże ciebie, sosno, piorun spalił, zanim mój An-tek pod tobą się układł. . . . A bodaj ciebie próchno stoczyło. . . . A bodajś wisielca na wietrze kołysała. . . . A bodaj ciebie, ty śnieżyco, w piekle topili! . . . A bodaj ciebie święta ziemia nie przyjęła! . . . A bodaj ciebie ty, mrozie, Jezus miłosierny utłumił. A bodajżeś ty sam się jak gadzina użądlił! . . . A cóż ja tera z tem dzieciszczkiem pocznę? . . . A gdzież ja się z niem obróczę? . . .

Załamala ręce i zaczęła żałośnie szlochać. Ale to była jedna krótka chwila.

— A dajno głownię, Magoś! — rzekła posępnie — trza tatusia zagrzać. . . . Tu, na izbie ognia zrobić trza, tu na słomie. . . . A dajże drugą. . . . Czego krzyczysz głupia? . . . To ty nie wiesz, że jak mróz na świecie je, to trza w chałupie palić? . . . A grzejże się nieboże, kiej ci powiadam. . . . A pójdźże bliżej. A patrz ino jak to tatusiowi ciepło, aż na nim sukmana gore. . . .

Zamilkła i przez chwilę patrzyła przed siebie. W tem porwała się za głowę, ręce wszczepiła we włosy.

— Gore! Gore! . . . — wrzasnęła nieludzkim głosem. — Ratujta! . . . kto w Boga wierzy, ratujta. Magoś! Magoś!

Padła twarzą na ziemię i nagle zamilkła. Można było myśleć, że jej serce pękło. Pies z pod półwozia zawył i rzucił się do niej.

Schyliłam się przerażona, chciałam ją podnieść. W tej chwili przechodził woźny z magistratu, a widząc leżącą, ścisnął ramionami i rzekł:

— At, co tam pani będzie się fatygowała nad taką

fiksatką. . . . Tać ona trzy lata temu własną chałupę spaliła i dziecko w niej, że to jej chłop w boru umarznął na śmierć. . . . No i jak amen w pacierzu poszłaby do chwesterunku, tylko, że ma rozum głupi.

Puknął się w czoło i ramionami wzruszył.

— Gdzie to na taki upał w kożuszysko się ubrać i na słońcu grzać. . . . A i psisko też zfixsowane być musi, bo insze toby dawno w świat poszło na lepszą strawę. . . .

U ŹRÓDŁA



Natknęłam się niemal na nią, nim ją spostrzegłam. Tak podobną przydrożnym kamieniom, na których przysiadła, czyniła ją płachta lniana, u szyi na węzeł związana, a odziewająca ją całą długością swoją, tak niczem nie odbijała od szarego pasma gościńca, ciągnącego się przez nią het, aż ku Kalwarii, biegnącego przed nią het, aż ku żywcowi; tak drobnym i nic nieznaczącym punktem była w przestrzeni, tak się szarością swoją zlewała z perłowem tłem wiosennego ranka.

Dopiero kiedy za zbliżaniem się mojem podniosła głowę z nad rąk złożonych na niewielkim kijku, uderzyło we mnie z tej szarości żywe spojrzenie bardzo modrych oczu, które nagle rozświeciły twarz, jak u dziecka małą, siecią drobnych zmarszczek ściągniętą, a tak wyblechowaną wiekiem, czy chorobą, jak owe płótna, zbyt długo na rosach leżące, gdy je surowość ziemi zje i wiotki szmat z nich uczyni.

A nie tylko twarz rozświecały te oczy modre, ale całą nikłą, skuloną postać zdawały się uwydatniać i obrzucać blaskiem. Zobaczyłam teraz i piersi zapadłe, na których krzyżowały się czerwone sznurki szkaplerza, i plecy zgarbione, i spłowiałą chustę, z pod której wymykały się dwa pasemka przerzedzonych włosów, i złożone na kijku ręce drobne, kościste, z pogiętymi w stawach palcami, i wychylający się z pod kapicy, jaką na niej tworzyła płachta, kaftan modry, którego jeden rękaw naszyty był wielką łąką z kwiecistego persu, i fartuch siwy z domowej przędzy, i dobrze już zszarzaną spódnicę, którą wy-

chudłe kolana przebijać się zdawały, i małe stopy w łykowych trepkach, szmatami owite.

Całe to ochędóstwo czyste było i schludne.

Obok na kamieniu leżała Ewangeliczka w czarną skórę oszyta, przełożona gałązką święconego ciernia, na niej chustczyzna pstra, owijająca kawałek białego chleba, u prawej ręki brzęczały grube ziarna różańca i medaliki blaszane.

Patrzyła na mnie i zdawała się uśmiechać wązkiemi, zbladłemi wargami. I ja patrzyłam na nią i mimowoli uśmiechać się zaczęłam do tej małości jej, do tych jej oczu modrych, do tej starości, tak nędznej, a tak ochędóżnej.

— Pochwalony! — przemówiła pierwsza.

— Na wieki — odrzekłam. — A wy skąd, babko, idziecie?

— A z Kalwarii. . . . Od tego Pana Jezusa i od Matki Najświętszej. . . .

Mówiła to takim tonem, jakby odwiedzała dobrych swoich znajomych, i ugoszczona od nich w radości się z nimi tylko co rozstała.

— Cóż tam, odpust jaki?

— Odpustu to tam niema akuratnie na ten czas ni-jakiego; ale zem się utęskniła do Pana Jezusa, bom sześć niedziel leżała. Niemoc taka, że mało do śmierci brakło.

— I cóż wam to było?

— Ano, słabość taka, niemoc. . . . A to i starota przycisła i mróz. . . . Tom tak prała, pani moja, że-by aby na ciepłe umierać, aby na ciepłe. To, dzień — noc wołała do Pana Jezusa: Panie Jezu, nie dajże mi ziemie żywota konać, ino mnie chowaj do tego słońka, co-bych też ono słońko jeszcze uźrało. . . .

Podniosła obie ręce, i zbliżając je w powietrzu ku sobie, jakby do modlitwy, patrzyła zmrużonemi oczami w przeświecające z za perłowej mgły porannej słońce. Wyraz zachwytu i błogości wybił się na jej twarz drobną i rozciągnął zmarszczki wkoło ust zapadłych, drgających

niemą, dziękczynną modlitwą.

— Ej, babko, — rzeknę, nie wszystko to jedno kiedy umierać?

— A ni! a ni! pani moja, nie jedno! Na ciepłe umierać, na “zwiosnę” to te duszyczki kwiatem w niebo idą, i aże pachną Panu Jezusowi; a zimie, to jak ten ogienek tłący. . . . Leci śnieżyca, to druga duszyczka, i ugaśnie na niej i furty rajskiej nie dojdzie. Tom się bała, pani moja. . . . Tom się też bała. . . .

— A skądże wy wiecie, że to tak jest?

— A cóż to? Nie żyjąca to jestem bez taki wiek? A to pod siedemdziesiąt mi będzie, głodowe lata pamiętam. . . . A jakże! Mór taki, co ludzie czernieli, jak sadze. . . . Ino ścisło — i już. Nikt ta testamentów nijakich nie rozpisywał. Drugi to i Boga nie zdążył wezwać przy skonaniu. Śmierć ano kosą machnie, jak najtęższy chłop. Gdzie! . . . I najtęższy chłop nie umachnie bez dzień tyle trawy, co ona koścista ludzi umachła. . . . A wszystko poszło z głodu. Wody wielkie przystąpiły, lody nie lody, śniegi nie śniegi, jak to zaczęło w górach tajać a na niżnie walić, to takie wody po polach stały, jak to morze stoi. Ino że morze to ta węgly ziemskie strzymają, a tu nie. . . . Dopiz przysły deszcze, dopiz wszystko het precz wymiękło, dopiz nastał głód. . . .

A gdy tak mówiła, głos jej nabierał grozą i majestatem przypomnianej klęski, a drobna ręka w kwiecistym rękawie zakreślała szerokie koła ku pagórkom, wznoszącym się przed nami w łagodnych skłonach. Zamilkła już, a rękę trzymała jeszcze wzniesioną przez chwilę. Opuściła ją nareszcie na kijek, brodę oparła na niej, i kiwając głową, patrzyła przed siebie.

— Oj Sucha, Sucha, co nie suszy. . . . Oj żywiec, żywiec, co nie żywi. . . .

Westchnęła głęboko i zwróciła ku mnie swoje modre oczy.

— To, moja pani, ludzie sieczkę drobno rzli, mech

suszyli i tłukli, ości z owsa przyczyniali, kto miał sól, to solił, a kto ni, to ni dopiż “kuleszę” taką na wodzie warzyli, dopiż tę warzę jedli. . . . To psi, pani moja, do trzeciego dnia po niej wyli, a ludzie nic! . . .

Nachyliłam się ku niej, słuchając.

Natychmiast zauważyła ruch ten, a ogarnawszy około siebie płachtę i spódnice, rzekła:

— Siądźcież sobie wedle mnie, siądźcie. . . . A toć i święci Pańscy po kamykach siadywali, chodząc po tym świecie. . . .

I usuwała się uprzejmie, jakby na pokojach gościa przyjmując.

Siadłam niżej nieco i chwilę trwało milczenie; ona znów zmrużywszy oczy, patrzyła z błogością w słońce, a ja zamyśliłam się o tej “warzy”, po której psi do trzeciego dnia wyli, a ludzie — nic! . . .

— A jakież to było w smaku? — spytałam zcicha.

Staruszkę opuściła już groza. Blaski słoneczne oblewały jej twarz jakąś dobroduszością i rozczarowaniem.

— Ano, nienajgorsze, nienajgorsze . . . — odrzekła. Ino że dużą ostrość miało w sobie i na wewnątrz piekło. A i to człeka smęciło, że jak to bydlę sieczkę w siebie pcha. A czemże się to człek od tej “niemej twarzy”, od tego bydlęcia odmieni, jak nie tym świętym chlebuszkiem? Ja tam, żem to na małym, sierockim życiu zuczona byłam na służbach, to ta niewiele tego jeść mogłam. Wzięłam do gęby raz, wzięłam drugi raz, fartuch ściągłam, zęby ścisłam — i już. Ale kto na dużem życiu zuczony był, to jadł, nie pytał, żeby aby jeszcze było tyła. . . . To, pani moja, ludzie tak po tem jadle puchli, takich dostawali słabości, takich ziąbów, że to całemi chałupami marło. O księdzu, o spowiedzi, to ta i rzekania nie było. Ledwie się drugi w piersi uderzył, jeszcze: “Boże bądź miłościw”, nie przerzekł już duch z siebie puścić. Gdzie niebądź to ułapiło. . . . W chałupie, to w chałupie, w oborze, to w oborze, ale że najwięcej to na drodze każdej. Bo to, pani moja, jak śmierć po świecie chodzi, to człowiek w

izbie nie usiedzi; ino mu się cni, inoby gdzie szedł, właśnie jakby go kto w pole z izby wyciągał. Tak już ta dusza czyni. . . . To tak ludzie po drogach leżeli, jak te kamienie. . . . Na deszczach, na rosie, precz, jak te kamienie. . . . Dopiz ich ta nazgarniali kaj niebądź pod figurę, dopiz wykopali jamę, dopiz ich tej świętej ziemi oddali, dopiz ich ta święta ziemia nakryła.

To wiecie, pani? Co tam ludzie powiadają tak albo tak, że straszy, że przeszkadza, to wszystko chfalsz. Żeby ta nie wiedzieć jak, żeby mi tak z ambony powiadali, tak chfalsz! Nijakich, pani moja, przeszkodów niema. Ten "umarty" nijak się temu żywemu nie przeciwi. On sam kontentny jest, co się już jego chodzenie po światu skończyło, to leży sobie pięknie, cicho, i Panu Jezusowi dziękuje na "dobranoc". Przecie żyjąca jestem, wiem, co mówię!

To idę ja raz, pani moja, do Hucisk, a tu na mnie siły uderzają, żem bo zeczczona była w sobie, przy onej sieczce. Idę dalej, a tu mnie zamroczyło, tak padłam. Na drodze padłam idący, jakby mnie sierpem podciął. Tak nieodal stała figura. Patrzę ja ku onej figurze, a już śmierć dmuchała na mnie, cobyh ugasała. Tak zawołam ja w "serdca", bo mi głos odjęło: Panie Jezu, przyciągnij-że mnie do siebie, cobyh nie konała żywota na drodze, jak ta kawka polna. . . ." A gwiazdy już na niebo szły i rosa rosła. Takech zaraz na onej rosie wzmocniła, do onego krzyża na rękach się zaciągnęła, głowę na górce sparła i nockę znocowała. A górka to była z piasku suche-go, jakby dziś, abo wczoraj skopana. . . . Patrzę ja "ranie", a tu koło mnie fartuch się modrzy z onego piasku. Podniosłam się, a tu nóżka dziecińska wystercza mi kole boku, a tam znów włosy się czernią, jak żyto, kiedy kły puszcza. . . . Bo tak w takie przestraszone czasy, nikt do czysta na glanc nie zakopywał onych mowowych. . . . Była glina to i strzymała, był piasek, to się i rozsypał za wiatrem.

Dopiz-ech uznała, że to mogiłka, żech te ludzkie ko-

steczki bez całą noc cisła, dopiż zmówiłam za nich Wieczny Odpoczynek. Dopiż wiem tera, co umarty człeka nie przestraszy. Chyba jak człek na sercu plamą jaką ma, to mu ta plama strachem się czyni. A inak — to ni!

Umilkła i trzęsła głową, poruszając bez głosu zakłębłemi wargi.

— I gdzieżeście wy wtedy szli, babko? — zagadnęłam, aby ją do mówienia pobudzić.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— A na Janielską pątowała na Kalwarią, — rzekła takim tonem, jakby ją w zdumienie wprawiła niedomyślność moja, i jakby ludzie zgoła innych dróg odprawiać nie potrzebowali, jak tylko na “Janielską” i na “Kalwarią”.

— Bo wiecie, pani — dodała natychmiast z wielkiem ożywieniem, — co ja wam powiem? Dobrze iść na Zielną, dobrze i na Siewną, i na Gromniczną, też dobrze, kiej kto ciepłe obleczenie ma; ale że już najlepiej to na “Janielską”. A wiecież pani bez co? Bez to, co na ten dzień wszystkie “janioly” od wszelakiej roboty odpuszczone są, i jak oni gołębiowie po niebie latają, a wołają: “Maria! Maria!” Niby za tym narodem ubogim . . . bez co ludzie rzekają w litanii “Królowa janielska.” . . . To takie się miłolistliwe “serdce” robi z tego wołania u Najświętszej Panienci, że człek wszystko u niej tego dnia, co zechce uprosi. Ano, nie godzi się prosić o co insze, jeno o odpust grzechów, bośma wszyscy grzeszni, i o chleb, bo sam Pan Jezus na to pozwoleństwo dał. A o insze rzeczy to się nie godzi, chyba, że kto prosi o “wieczne odpocznienie” dla ojców-rodzicieli, to wolno na każdy czas, jako że kości umarłe na każdy czas same do Boga krzyczą. . . . A na ziemi, to moja pani, w Janielską żaden grzesnik nagłą śmiercią ze świata nie schodzi; a co w polu na ziarno uwiąże, to zdrowy z tego chleb jest, bo sporysz i rdest mocy w ten dzień nad kłosem nie ma; a co się na kwiat uwiąży, to jagoda z tego wynika słoska, na różne złe pomocna, a kwiat biały będzie; a co w lasach skrzy-

piącego drzewa jest, to w ten dzień ciche stoi, a na morzach okręty do dna nie idą, i piorun ich nie urazi, a kogo żmij ugryzł, nie puchnie, — i jastrząb w ten dzień skowronka nie chwyta, i macocha sierot nie bije. Taki dzień jest!

To mogłyby się, pani moja, wielkie rzeczy na świecie z Janielską dziać, i ludzieby po wodach wielkich chodzili, jak po suszy, i więźnie z lochów na słońceby wyszli, wszelki jasyrby padł, i ziemiby w dwoje tyła przybyło, ino że nie każdy wie, co i jak. . . .

Mówiła to spokojnie i zcicha, jak się mówi o rzeczach dobrze znanych i nie dziwnych wcale, a oczy podniesione trochę od ziemi, trzymała na powietrzu perłowem, patrząc w dal.

Naraz zwróciła się do mnie:

— Wiecie, pani? — rzekła. — Na Janielską, to i pokrzyk, choćby go od serdecznego korzenia kopać — nie krzyczy. . . . — Zamilkła i patrzyła na mnie. Teraz dopiero wielkie zdumienie wybiło jej na twarz. Ten pokrzyk, co kopany nie krzyczy, uderzył jej myśl daleko ogromniejszym dziwem, niż ludzie po morzu chodzący, i ziemia, której mogło przybyć “w dwoje tyła”.

— A wy, pani, skąd, że o tem nie wiecie?

— Z Warszawy.

Uderzyła w dłonie, puszczając swój kijek

— Z Warszawy? . . . Świecie! Świecie! . . . I takeście z tym piątniczkiem ubogim wedle drogi siedli? . . .

To, co jej się dziwnem nie zdało dla świętych, dziwnem jej było dla kogoś z Warszawy.

— A cóż — odrzekłam, czy to mi źle? Kto tam wie zresztą, kto przed kim. . . .

Przyjęła to oświadczenie moje z przedziwną dobroduszością.

— Pewnie! pewnie! — rzekła, kiwając głową. — Sam Bóg Ojciec to wie i Stworzyciel nasz. . . . Jako i o tym pustelniku jest gadka, co tu w górach siedział, a świętym się czynił. . . .

— Jakże to było. . . .

— Ano, tu gdzieś wedle żywca była panna, co się do niej “kawalirza” zjeżdżali; jak to młodzieńce, ten się “zalica” i ten się “zalica”, a o pierścień kłania, że to i urody pięknej była i majątności za nią wielkie szły. . . . Aż sobie ona panna upodobała jednego i ślubowała jemu przed ołtarzem. Tak żyli rok, żyli dwa; a miała ta panna tego małżonka swego “bardzo za co”. Takie już im Pan Jezus kochanie dał. Aż ten młodzieniec na wojnę przeciw Szwedom poszedł i zginął zabit. Jak też zginął zabit, tak ta pani jego mówi do pustelnika, co tam w pustelni siedział:

— Święty pustelniku — mówi, tak i tak, pana mego — mówi, — “Szwedzia” na wojnie ubiły, Bóg to ta jedyny wie, co z duszą jego. . . . Będę ja tobie — mówi, — dosyłała obiad na każdy dzień, a ty święty pustelniku mówi, na każdy dzień zmów też paciorek za oną duszę niebogą. . . . Tak on pustelnik powiada, że dobrze. Ale że to nie jeden do niego się udawał, jako że na okolicę świętym słynął, więc mu tu nijakiego dobra, chleba, mięsa, omasty — nie brakło. Tak tych obiadów nie miał sobie za co. To owo jadło nieraz, pani moja, i do trzeciego dnia stało. A pacierza też za oną duszę nie zmawiał, bo sobie tak myślał: “Cóż ja będę pacierze zmawiał, kiej obiadu nie jem?” Jako że i prawda, bo nie jadł. Ano zaniechał dzień nie dzień, rok nie rok, a onej pani precz się ten jej pan śni, że niby spokoju na tamtym świecie nie ma.

Tak pani każe przypiekać, a krasić, a podlewać one obiady, a tłusto, a słodko, żeby też ten pacioryszek skuteczny był, i nic. Aż raz, stoi ten obiad w owej pustelni, a tam w podle idzie sierota wędrowniczek, co już trzy dni o czczym duchu był. Patrzy on sierota na ten obiad, patrzy, czeka, czy go kto nie zawoła, choć skórki chleba nie da — nic. A pustelnika prawie na ten czas w pustelni nie było. Jak też tego sierotę głód nie ściśnie, jak go nie zdejmie żądość do tego jadła, tak co robiący, prze-

żegnał się, wziął łyżkę w garść i zjadł wszystko co do kruszyny, jeszcze się oblizał.

Jak też zjadł, tak sobie westchnął i powiada: Boże, bądź też miłościw temu, komu ten obiad na pożytek miał być. I poszedł. Idzie noc, a tu ten młodzieniec na wojnie zabit przystępuje do onej swojej pani i prawi: "Ach moja małżonko, ach moje kochanie! dajże mi rączkę, co ją ucałuję! Terazem doznał ochłody w czyścicowym upaleniu. Ale któżto ten obiad zjadł dzisiaj? Nie pustelnik bo go zjadł, bo inszy pacierz był, i bardzo szczery. . . ." Tak pani naprzód struchlała, a potem się pocieszyła w serdciu swoim i po całym kraju dała szukać i nagrody wielkie obiecować, żeby się tylko ten przyznał, kto ów obiad zjadł. Aż się on sierota wędrowniczek przyznał. . . . Tak dopiż od tej pory pani pustelnikowi jadła nie dosyłała, ino sieroty wędrowne po drogach zbierała, dopiż je u stołu swego sadzała, dopiż chleb z niemi łamała, dopiż ich o paciorek prosiła, — Amen.

Zatrzymała się. Ten wyraz przerywał bieg jej myśli. Po chwili dopiero, wracając do przerwanego wątku:

— To, pani moja — rzekła, — nikt nie wie, kto tam u Boga pierwszy, a kto zaś pośledni. Ludzie sobie różne honory dodają, tak i tak, ale Pan Bóg miłosierny insze registry trzyma. On czasem tego żebraka puści do siebie, na niebieskie pokoje, a temu panu u drzwi każe stać. . . . A ten niski, nad wysokiego będzie postawiony. . . .

Zmrużyła oczy i patrzyła w słońce.

A mnie, kiedym jej słuchała, zdało się, że Ewangelia wczoraj tu gdzieś, między Kalwarią a Żywcem, opowiadana była przez otoczonego rzeszą Chrystusa; że on sam kęs drogi tylko się oddalił, a wianie szaty jego porankiem tym wieje, a kamienie przydrożne słowa jego podają sobie.

Sięgnęłam w zamyśleniu po Ewangeliczkę. Była to szara, bibulasta, krzywo obcięta książczyną, w której połowa przynajmniej wyrazów, jak np. Bóg, szatan, wieczność, anioł, śmierć, dusza, grzesznik, świat, cud, piekło, wiara, oraz wszystkie odnoszące się do nich zaimki, dru-

kowane były w całości dużym alfabetem. Szczególniej SZATAN prezentował się wspaniale, a tragiczna jego pycha zupełnie mogła być zaspokojoną tem zrównaniem z rzeczami świętymi, jakiego w tej Ewangeliczce dostąpił. Niekiedy też zdarzało się, że wielka jakaś czcionka wskakiwała w sam środek obojętnego wyrazu, jak np. sieDem, paCierz, słuP, męKa, drOga, odpUst, i t. p. co nadawało kartom tej księżczyzny nader dziwaczny charakter.

Przypatrywałam się jej z uśmiechem, który starowina wzięła widać za wyraz uznania, gdyż modre jej oczy rozbłysły nagle wesoło.

— “Piękna” książka, “piękne” nabożeństwo! — przemówiła, kiwając głową. — Tyla co “lutery” “staszecznie” są maluśkie. . . .

— Słabe już widać macie oczy, babko — odrzekłam.

— Iii . . . ni. Oczy to ta obejdą, obejdą! Tyla co już od małości tym maluśkim “luterom” niewiele rozumieć “spotrafię”.

— A któż was czytać uczył?

— A janiół! Gdzieby zaś, pani moja, sierotę inszy uczył.

Mówiła to tak, jak gdyby było rzeczą całkiem naturalną i powszednią, że anioły czytać uczą sieroty.

— Toście się bez rodziców chowali?

— Abo ja się chowała? Nijak ja się nie chowała, pani moja, tyło mnie ten Bóg Stworzyciel wywiódł na świat, jak tę płonkę leśną i tak mnie ta święta ziemia shodowała.

— To was ojcowie wczas odumarli?

— Ojca-rodziciela, tom nie uznała. Gdzie! ani zapamiętania, kiej pomarł! A jak matka pomarła, to mi było pięć roków na szósty. Bez koszuli mnie, pani moja, odumarli, ino mnie w szmatki starej płachetki owiązawali i takech chodziła. Jak ten robak ziemia żyje, tak my biedą żyli. Gryzła nas ona, gryźli my ją — ano, nie skąsiła. . . .

— I dużo was było dzieci?

— Dzieci to nas było “czworga”, a ten najstarszy i piąty to był brat. Ale że twardego serdca był. . . . Bić, to nas ta wielce nie bijał, tyła co wszystko w garści trzymał, aże piszczało. Ścisnął mróz, to matka do drew w piecu palić, a ten brat na drwach siedzi i przystępu nie daje. Tak matka do niego: — Jędrek — mówi, — że mu to Jędrek było — co ty? — mówi, ognia palić nie dasz? A toć mróz! Toć to małe na nic “skargną.” . . . A ten ino rękami się weprze we drwa, że ta daleko po nie do lasu musiał, i ledwo ta z biedą co nieco chwycił, bo leśny strasznie uglądał. — A nich zdycha — peda, — szczeniak jeden z drugim, kiej mrozu strzymać nie może. — Tak matka znów do niego: — Jędraś, bój się Boga, synu! A to i mnie matce, zima! — A ten jeszcze się dubelt rozeprze na onych drwach: — A to nich i matka zdycha! — peda. — To, pani moja, włosy nam na głowie stawały słuchający. To matka w płacz, to my dzieci za nią takóž w płacz; a ten ino pod nos dmucha, jak ten sęp. . . . A co było robić? Porwać się na niego nie miał kto, matka by nie uradzili bo całkiem ze sił zeszi, jako że ich zimno trzęsało cości bez pół roku, a nas by ta do szczętu w garści zdusił — boć to wszystko było jak owiesek drobny. . . . To my ino z kąta patrzali na niego, a on nic. Dopiz my się wyplakali, wyplakali, dopiz my jedno na drugie głowy poukładali, jako te jagniaki, dopiz nas matka rękami nakryła, dopiz my się pośpili. To drugi raz, odecknę ja, pani moja, pojrzę, a ten brat precz jeszcze na owych drwach siedzi, a głową trzęsie, a patrzy na nas, jak ten wilk leśny, że to pochmurowaty był na wejrzeniu od małych lat. To taki się widział stary, taki starzeńki, taki sturgowany, taki na tej twarzycy uczerniały, jakby od “zaczątku” tego tu świata po ziemi chodził. . . . To mu ino to “czeło” w bruzdy szło, jakby po niem broną przejechał, a te wargi to mu tak latały, jak w zimie. Nie było ta i na nim wielkich rozkoszy. Koszuliszko porwane, nożyska bosc, kozuszątka nie uznał, z bużniczka łachman tylko, że go to ta bieda na-porówni z na-

mi gryzła. . . . Tom nieraz, pani moja, widziała jak mu z tych oczu łzy ciekły. “Słozy” takie, że to jak ten krupny grad. . . . Ino się trząsał cały. . . .

Urwała i patrzyła na mnie bystro, uparcie. Te łzy padające z “pochmurowatych” oczu brata, który na drwach kradzionych siedząc, płakał nad nędzą gniazda swojego, przenosiły zupełnie skalę jej pojęcia, były niezrozumiałe dla niej. “Twardego serca był” — to o nim wiedziała, to dawał uczuć słowem twardem, może pięścią twardą; skądże więc te “słozy, jak ten krupny grad”, u tego chłopaka, co “jak wilk leśny” patrzył? Były to sprzeczności niepojęte dla niej. Musiała jednak przeczuwać jakąś głęboką tragiczność w tych “słozach”, bo pomilczawszy mało, dodała jakby w zamyśleniu:

— Tom go się jeszcze bardziej wtedy bała, niż kiedy pomstował. A co? Takiemu, to ta wielce dowierzać nie trza. . . . Siekierzyskiem, abo i motyką poubijałyby, jak te myszy polne. A to i dziwotyby nie było. Tyla gąb, pani moja, a wszystko mu na ręce patrzy, że to gruntu nijakiego nie było, ino ten grosz wyrobny. . . .

Ścisnęła wążkie ramiona i skuliła się w sobie jakby teraz jeszcze uczuwając ów strach dzieciństwa swego.

Była w tej chwili tak drobna, tak pod płachtą swoją swą schowana, tak wtulona między kamienie szare, że istotnie wyglądała jak nędzna mysz polna. żywość spojrzenia jej modrych oczu uwydatniała jeszcze to podobieństwo.

— A wiecie, pani, co ja wam powiem? — rzekła nagle, wysuwając z ramion małą swoją głowę. — To matuś niczego tak nie “lutowali” przy skonaniu, — że im się zara na “zwiesnę” po onej zimie zmarło, — jako tego, co mnie na tym świecie ostawiają bez koszuli. . . . To ich taka żałość przede śmiercią ścisła, że tej duszyczki nijak ze siebie puścić nie mogli. Już ich i na prostą słomę kładli, i dziewięciornikiem kadzili — nic. Dopiz im się kuma zobożyła, bo jak tyłuśko skonają, zara z nich płachtę ściągnie i mnie koszulinę zrządzi, dopiz to sobie

do serca wzięli, dopiż "ciutko" skonali.

Uśmiechnęła się świetliście, błogo. To cichutkie skonanie matki zdawało się być jednym z najśłodszych wspomnień. Kto wie, czy nie najśłodszym nawet.

— I cóż się stało z wami dziećmi i z bratem?

— Brat to za średniaka za drugą wieś poszedł, a te małe też się do pasenia godziły, więc je ludzie pobrali. Tylko mnie, zem to "najmniejsza" była, to ta różnie, tak i owak sieroctwo żarło. . . . Ano, pojęła mię do się "ujna", że to u niej chłopaki same były, i tak mnie u siebie chowała, ale że mi ta nie było nijakiego dobra. "Ujna" jak "ujna", zwyczajnie, to pchła, to szturchła, jak to nie trza powiadać o sierockiem dziecku. Ale że jeść to dała. Choć ta "pozliwki" jakie, to dała. Drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a równie pamięć miała, że to sierocie głód. I wszystko się obeszło. Tyle co one chłopaczyska strasznie nade mną panowały. Nie przeszedł jeden, żeby włosów nie targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał. . . . To ono ciało na mnie, pani moja, ino się od siniaków bestrzyło. . . . Te ramienia, te boki, te plecy, to aże granite były na mnie. . . . A najbardziej to mnie one chłopczyska poniewierały, zem ich uglądała, jak się na książce uczyły. To mnie odpędzali, to mnie bili, to Bóg wie nie jak cudowali, a ja i tak się zuczyla.

Podniosła głowę z cichym śmiechem i patrzyła w słońce.

To jej patrzyenie w słońce miało swój szczególny charakter. Coś jakby bezwiednie dziecięcego w niem było. Jakaś głęboka naiwność, jakaś ufność wielka. Tak pliszka przydrożna w nie patrzy, kiedy jeszcze pola czarne, a rój muszek nie wzleciał w powietrze; tak w nie patrzy sasanek leśny, kiedy wyniknie z ziemi wskroś śniegu i na kwiat się zbiera. A w jej uśmiechu to była zaraźliwość jakaś. Dławiło mnie w gardle od jej opowieści, a usta moje same się uśmiechały do niej.

— I jakże to było? — zapytałam.

— A no, dostałam ta od jednej dziewczuszki “groszówkę”. Stargana była ona groszówka, ale że “lutery” wszystkie były na niej, jak należy. Tom bez trzy dni medytowała, “kandy” ja tę groszówkę przed onemi chłopczyskami skryję, zem to spódniczątka nijakiego nie miała, ano i kiszeni, nim w chłopczyńskiej koszuli krowy pasła, co mi ją “ujna”, niech jej ta Bóg da niebo, ze swego Staszka zdała. Koszula, jak koszula; niebardzo ta jeszcze porwana była, ino że mi do kolan nie osiągnęła, to ta niewielce w niej paradę miałam. To, pani moja, dał mi Pan Jezus taki przemyśl, zech sobie łatkę płótnianą zrządziła, i na onej koszulinie u boku, jakoby też kieszonkę, igłą “przyścięła”, ino że od spodku, coby chłopaki nie najrzały, i takech se tę groszówkę chowała. Pognałam krowę w pole, tom ta byle gdzie pod krzaczkiem się przyczaiła, tom póty na onej groszówce szukała, pókich nie znalazła. Tom jedno do drugiego przykładała tak i tak, tak i tak, aż się złożyło. . . .”

Przychyliła się do mnie, i kładąc wyschły swój palec na ustach, rzekła zcicha:

— Jak ja sobie teraz miarkuję, to nic, ino janiół mi tak precz wszystko dopowiadał. Bo gdzieby to sam człowiek spotrafił. Tom się nieraz, pani moja, tak umordowała, ażek się o ziem cisa i płakała. . . . To wiatr polem wieje, abo to wróblątko zaświegoce, a we mnie zara duch inszy, insze porozumienie; ino spojrzę, już widzę jak i co. To cóżby to, pani, było, jak nie moc niebieska? . . . Drugi raz, obświeci miesiąc izbę, a mnie zara janiół budzi. To dalej ja, smyrk ze słomy, zem to wpodłe okna ligala, i do mojej groszówki. To com tylko w dzień nie spotrafiła, to nocą, przy onym miesiącu kaździutką rzecz spotrafiłam. Jakby mi co do ucha gadało. Jeszcze jesień nie przyszła, jużech te duże lutery wszystkie, do jedniuskiej porozumiała, i złożyć złożyłam. Jakech też te duże porozumiała, dopiż ja do tych maluśkich. Ano, jedno do drugiego, jedno do drugiego, ażech i te maluśkie spotrafiła. Nie takci jak duże hat, ale spotrafiła. Dopiż ja se

spódniczyny zrządziłam, dopiż ja do kościoła, dopiż krzyżem bez cały nieszpór leżała, dopiż Panu Jezusowi za naukę dziękowała.

Tom tak już tej “ujnie” rzewnie służyła, tak już rzewnie pracowała, jak tej rodzonej matce, zech to u niej, na jej chlebie tej nauki dostała. Bo to chleb dobre posiłnienie jest, a nauka jeszcze lepsze. Miałyby człowiek naukę dobrą, nie byłoby po świecie tych morów, tych głodów, tych powodzi, tych smutków i ciężkości dusznych. Samo by się niebo bliż ziemie nakłoniło, i człowiek świętymby się ostał.

— I jakieżście jeszcze książki czytali?

— A wszystkie, jakie ino gdzie. . . .

Mówiła to z pewną chlubą, jak najbardziej czytana osoba.

— To wiecie, pani, co ja sobie myślę? Ja myślę, co dobrze tak Pan Jezus dał, że tego “nie dość” na świecie; bo żeby tego dość było, toby ludzie pola, warsztatu, gdzie tylko jakiego zarobku poniechali, a za książkami by to, jak za miodem, ciągnęło. Bo książka, to wielka rzecz jest. Człowiek do człowieka różne mowy miewa. Podczas mądre, podczas głupie, a podczas to i grzeszne i “lekkomyślące.” A książka, jak mowę do człowieka ma, to zawsze ino o tym Ojcu Stworzycielu, o tym Chrystcie Odkupicielu, o tym Duchu świętym. . . .

Wynurzyła z szarej płachty drobną swoją głowę, podniosła obie stare, trzęsące się ręce, i z cichem rozradowaniem patrzyła w słońce.

Nie, nie powiedziałam jej tego, że książek jest tak wiele, tak wiele na świecie; że są między niemi co do człowieka mają złe i głupie mowy, i takie, co są piękne i dobre, a nikt nie ciągnie za niemi. . . .

Nie, nie powiedziałam jej tego. Zostawiłam ją tak zapatrzoną w tę słoneczność, w ten poranek ziemi ufną, spokojną, może nawet szczęśliwą. . . .

W DOLINIE SKAWY



W Dolinie Skawy

Jeszcze się kwietniowe słońce mało co nad świerki bliskiego lasu podniosło było, kiedy od Bud żywieckich rozległ się śpiew męskich i kobiecych głosów. Zdyszany był nieco i rwący się w sobie, jakby ludzie śpiewając, szli, a idąc, przyśpieszali kroku.

Jest coś głęboko przejmującego w takim śpiewie z ust niewidzialnych, nad ziemią płynącym. Ptak, wiatr, strumień, zwijają wtedy skrzydła i przestają dla twych uszu lecieć, szumieć, brzęczeć. Drzewa stają nieruchome, milczące, a trawy drżą tak, że widzisz brylantowe migotanie rosy. Słuchasz i śni ci się baśń stara o pieśni owej, co sama po ziemi chodzi, oczy ślepe ma i wyciągnione przed siebie ręce. Tak stara jest jak świat, tak biedna, jak bezchlebne kłosa, ale gdyby jej nie było, żadna mogiła nie porosłaby zieleń, a na ołtarzu gasłyby paschalne świece. Bosa chodzi, jedną tylko lnianą koszulę na sobie ma, nie zatrzymuje się nigdzie, nie łaknie ni snu ni wody, pragnąca nie jest. Na kogo się natknie, ten za nią iść musi, i tak jak ona śpiewać, ślepym być i wyciągnięte ręce mieć w powietrze ciche i w wichry jęczące. A choćby król był, boso musi iść, iżby się zbliższy do ziemi tknął, czy to w kwiat, czy w ciernie ugodzi, inaczej by się w kamień obrócił, którym szatan co rok grób Chrystusa przywala, iżby zmartwychwstania na świecie nie było. Ale zmartwychwstanie jest na świecie, bo takich, co za pieśnią boso po ziemi chodzą, nigdy nie zabraknie.

Przy końcu świata odślepnie pieśń i obaczy drogi, jakimi chodziła, bo gwiazdy w nie padają, kiedy z nieba

leca; ale teraz nie wie, która droga jest i gdzie wiodąca. Lada pacholę wodzićby ją mogło, gdyby nie to, że ręce wysoko nad ludzkiemi myślami podniesione trzyma.

Śpiew coraz wyraźniejszym się stawał. Prosta, surowa niemal, na kilku niskich nutach trzymana melodia, miała w sobie jakąś pierwotną, liturgiczną powagę i siłę. Z pagórków szła, w dolinę Skawy biegła, wypełniając sobą coraz szersze kręgi wielkiej, rannej ciszy.

Myślałam zrazu, że to pątnicy, którzy się tu często po drogach snują, pielgrzymując do Zebrzydowskiej Kalwarii. Ale nie byli to pątnicy. Na wyrębie, w pół wysokości stromego dosyć zbocza, ukazał się niewielki wóz, zaprzężony w jednego konia. Przy koniu szedł człowiek z odkrytą głową, za wozem gromadka mężczyzn i kobiet. Mężczyźni mieli krótkie, czarne spencery, kobiety płachty lniane, grubym węzłem u szyi związane. Szli wszyscy krokiem sporym, wymijając sterczące na wyrębie pnie drzewne i gęste krzaki jałowcu. Na stromych kamiennych spadkach mężczyźni przytrzymywali trzęsący się wóz, z obu stron podpierając ramieniem półdrabki. Wóz był głęboko wysłany ciemną zielenią świerkowych gałęzi, nad którymi srebrzyło się coś i złościło w słońcu. Kiedy się zbliżył nieco, zobaczyłam siwą trzęsącą się z nim razem głowę ludzką i świeżo zbitą ze smolnych tarcic trumnę. Pogrzeb to był z gór idący do odległego cmentarza. Na trumnie czerniał krzyż smołą zrobiony, głowa zaś należała do skulonego w półkożuszku na rozworze dziada, który się w zieleni świerkową tak wszył, że go mało co widać było, i tylko włosy jego długie, prawie białe, lekkim poruszane wiatrem, srebrzyły się zdala w porannem słońcu, niby skrzydła gołębie nad trumną bijące. Dostawszy się na gościniec z wyrębu, wóz potoczył się wolniej, a kiedy się złączyła z gromadką, pieśń na ostatniej spadziści przerwana, zabrzmiała znowu prosta i surowa:

. . . Ciezko ci jest na świat iść, ciężko i odchodzić,
Miałby człowiek wolę chcieć, chciałby się nie rodzić.

Chciałby minąć wojnę tę, co się żywot mieni,
Chciałby sobie cicho spać u matuchny ziemi.
Pątowałem po drogach, pątowałem w smutku;
Wiele było starania, a nie wiele skutku,
Teraz idę w wieczny mir, na ciche pokoje,
Teraz mi się naczną już mile wczasy moje.

Nuta rwała się trochę, bo ludzie zmęczeni; dziad tylko podniósłszy na modre, świetliste powietrze czerwone oczy swoje, szeroko patrzył w niebo i śpiewał donośnie, też rozpoczął nową strofę suchym, cmentarnym głosem:

. . . Naciągałem się pługa, naciągałem brony.
Był ten zagon cięliemi potami zroszony;
Teraz że mi nie trza już orać, ani siewać,
Teraz mi się wiecznego spoczynienia spodziewać.
Miałem ja tu frasunki, miałem ja ciężkości,
Nie było mi uciechy, nie było sytości.
Teraz idę do ziemi, do matuchny mojej.
Już się moja duszyczka niczego nie boi.

Wóz toczył się zwolna, a w miarę, jak się toczył, ustawało po drobnych splachetkach ornej ziemi pokrzykiwanie na woły ciągnące pługi, mężczyźni odkrywali głowy, kobiety prostowały grzbiety zgięte nad rozbijaną motykami darnią i stały przez chwilę z ręką nastawioną u czoła od słońca bijącego teraz w same oczy.

Dziad zaczął nową strofę:

. . . Straszły mnie powódzie, straszły mnie zmory,
Zagładały choroście do mojej komory.
Teraz będę cicho spać od zorzy do zorzy,
Teraz się już serce me niczem nie utrwoży.
Uganiałem ja grosza, uganiałem pola,
Teraz mnie już odeszła od dobytku wola.
Teraz mi już wszystko dość i zawiele nawet,
Świat nie stoi mi za grosz, ni za jeden lament.

Nie pamiętam, żebym kiedy oddychała poczuciem takiej szczerej, takiej zupełnej swobody wypowiedzenia głośno własnych moich uczuć, jak przy śpiewaniu pieśni tej, której słowa chwyciłam, idąc za chłopską trumną; nie pamiętam, żebym kiedy z taką zupełną jasnością czuła wspólność nędzy życia we wszystkich jego stanach i na wszystkich szczeblach. Jakaś wielka prawda, a zarazem wielka rezygnacja wstępowała we mnie z dziwną prostotą i siłą. Było to oświecenie życia z takiej jego strony, z jakiej aż dotąd cień na nie stale padał od własnej istoty mojej, niespokojnej, nieukojonej, czczych pożądań pełnej.

Szeroka, roztrącana pieśnią cisza ulatywała przed nami, jak ptak spłoszony. Cały ten krąg powietrzny, wiosennym błękitem nabrany, od surowej zroszonej, świeżo pługiem odwróconej ziemi, aż po zenit słoneczny, wypełniony był głosem człowieka.

Była to antyteza Taboru, szczytów Synai i gorejącego krzaka Mojżesza. Przykazy i zakazy, wydały już owoce swoje, albo zjałowały. Przebrzmiał ich głos grobowy, regulujący sprężyny życia, często aż do ich złamania. Teraz była cisza. Teraz człowiek miał coś do powiedzenia Bogu i niebiosom. Nie mówił wiele. Nie skarżył się, nie jęczał, nie błagał nawet o litość i miłosierdzie. Zmęczony był. Drogę swoją przeszedł, bój przebojował, chciał spocząć.

Życie wspominał bez żalu, bez goryczy, spokojnie, znać, że brzemię to niósł pełnią sił swoich człowieczych, raz źle, raz dobrze, ale teraz z jakimś pośpiechem, z jakimś utęsknieniem do ziemi wraca, i za to, że był, jednej tylko rzeczy żąda: nie być.

Tymczasem śpiew rósł, olbrzymiał, bo idący do miasteczka ludzie równali się z naszą gromadką i śpiewali razem. Szczególniej przejmującymi były głosy pacholące chłopiąt i nieletnich dziewczątek. Wiele wyrazów w ich ustach wyglądało jak zrzeczenie się życia na samym jego progu. W ustach ludzi dojrzałych robiła pieśń ta wra-

żenie wielkiej powszechnej spowiedzi.

. . . Nagrzeszyłem ja tu dość z cielesnej krewkości,
 Dusza we mnie gorzała od wielkiej radości.
 Teraz idę w wieczny mir, do Pana Jezusa,
 Teraz mnie już nie pojma nijaka pokusa.
 Miałem ja tu rodzice, miałem żonę, dziatki;
 Teraz idę w ciemny grób, jak do ojca, matki.
 Teraz vale dziateczkom i krewieństwu dawam,
 Miłem sercem żegnam was, a sam się ostawam. . . .

Wóz się trząsł na wybojach świeżo zasypanych gruzem, a z wozem trząsł się głos skurczonego na wozie dziada, trzęsła się głowa jego siwa, trzęsło się i to "vale", jakby ostatniem echem pożegnania drżące.

Co mnie zdziwiło, to, że nie dosłyszałam w pogrzebowej gromadce ni jednego kobiecego szloch.

— Nie miał to nieboszczyk rodziny? — spytałam zcicha idącej obok mnie kobiety.

— A hań matka! — odrzekła, wskazując na wóz, przy którym, półdrabków się trzymając chudą, zczerniałą ręką, szła sporym krokiem przygarbiona, okryta lnianą płachtą baba.

Natychmiast zaczęłam głos jej wyróżniać wśród innych. Cieńki był, przenikliwie dźwięczący dusznością jakąś, czy zmęczeniem rwany. Dotrzymywał jednak innym, a szczególnie żałości zgoła znać w nim nie było.

. . . Nie starajcie się światła, nie starajcie dzwonów,
 Nie trzeba mi parady, nie trzeba pokłonów,
 Bom ci proch a glina jest, do ziemi się wracam,
 A w co byłem z naczątku, znowu się obracam.

— A na wozie hań — widzą? To nieboszczyka przeddziad. . . . Nie gwałtem już mocny w nogach, to go wiozą . . . — dorzuciła kobieta, korzystając z ciszy, jaka po każdej prześpiewanej strofie nastawała, a wśród

której tylko tupot nóg po gościńcu i toczenie się wozu sły-
chać było. W tej chwili dziad podniósł głowę i silnym,
rażnym odezwał się głosem:

Winszowana dobra śmierć i letkie skonanie,
Winszowany cichy grób, co mi się dostanie,
Teraz że się powróćcie, kędy wasza droga,
A ja będę cicho spał, na łonie u Boga. . . .

Prześpiewał, zgarbił się, skłonił głowę, i po ramiona
zatonął w świerkowej zieleni. Idącej przy wozie matce
głos złamał się nieco w tej ostatniej strofie. Wytrwała
jednak, i trzymając się półdrabka, szła żwawo obok trzę-
sącej się synowskiej trumny.

Śpiew ucichał zwolna.

Jak urzeczona szłam za jego echem.

Przykuwała mnie piękność prastarych form pieśni,
przykuwała mnie mądrość jej i moc. Duch, który ją
wysnuł z siebie, musiał być duchem prawdziwego filozofa;
albo raczej prawdziwa filozofia życia sama sobie zna-
lazła tu wyraz i wcielenie.

Nicość życia, nicość trudów i zabiegów jego, siewy,
które nie wschodzą i nie zakwitają, kwiaty, które nie da-
ją owoców, owoce, które trują tych, co je hodowali, zni-
komość wszystkich nadziei, oraz wszystkich radości
i wszystkich boleści, cały ten świat, który "nie stoi za
grosz, ni za jeden lament", jakie to szczere, a jakie praw-
dziwe! Grzech, wina, pozostawione na zewnątrz człowie-
ka, grzech, w który wepchnięty jesteś, jak żołnierz w wir
bojowiska, wina po której idzie łaknienie "wiecznego mi-
ru", łaknienie wypocznienia od samego siebie, od własnej
słabości, jaka w tem prawda, a jaka głębia smutku! . . .

Trumna dygotała na wozie coraz silniej; dziad obu-
rącz chwycił się półdrabków; weszliśmy na kamienistą
groble.

Chłód powiał od mokrych łąk i stawów. Jakieś nie-
widzialne usta rozwiewały mi włosy na czole, a szeroka

cisza pełna była ich tajemniczego szeptu.

. . . Przygodne tu wszystko i jednochwilowe, a przecież konieczne i nieuniknione. Koniecznym jest ból, konieczną jest miłość, koniecznymi łzy i uśmiechy. Konieczną także jest tego wszystkiego nicość.

. . . Miałem tu rodzice, miałem żonę, dziatki. Tu . . . w krainie przemian, zwiędnień i przekwitów serca. Miałem. Było to może snem szczęścia, może snem cierpień; ale teraz zbudziła mnie ze snu tego śmierć. Teraz już zimną pierś mam i nie czuję ani ran z ukochanej ręki, ani jej pieczyoty. Teraz mi dobrze, spokojnie. Jak spokojnie! Nie drzę z rozkoszy, lecz nie drzę i z bólu. Cichy jestem. Jestem, czem byłem — nicością. Do grobu idę, idę, do ziemi, rodzicielki prochu i człowieka. Do ziemi, która była matką matki mojej, i matką ojca mego, i do której pójdą syny moje i dzieci synów moich. Rozwiązały się pęta moje, i te, co łańcuchem mi były, i te, które były róż wieńcem. Wolno mi już nie kochać, nie czuć trwogi, gniewu, pogardy, zazdrości. Wolno mi nie być niewolnikiem miłości ani nienawiści; wolno mi nie dręczyć siebie i innych.

. . . Miłem sercem żegnam was . . . sercem uleczone — z życia. Ognisko wzruszeń wygaszone, źródło porywów wyschłe, rozlatane jaskółki myśli moich powróciły do gniazda swego, do wystygłego mózgu mej czaszki.

. . . Opadły ramiona moje wyciągnięte do uścisków bratnich, rozprostowały się dłonie, które zaciskałem około tego, co było tą, jak ja — nicością; stopy moje wypoczywają z dróg pilnych, o których nie wiedziałem, że do grobu wiodą.

. . . Bezbronny jestem, nie łaknący ani sądu, ani pomsty, ani sprawiedliwości. Pomiędzy niebem a ziemią rozwiany jestem, jako tchnienie wiatru i mniej jeszcze. Bo i wiatru tchnienie zakołysze stepem, gdy nań uderzy ze wschodu lub zachodu, ale dech życia mego nie poruszył ani jednej trawki, a większa jest nicość moja, niż ślad prochu, który po nim zostaje. Gdy słońce jutrzejsze

szukać mnie będzie — nie znajdzie; a księżyc nie obaczy iż byłem, a już nie jestem. Starta jest istność moja i wymieciona droga po mnie aż do źdźbła trumiennej słomy. Byłem, a jakbym nie był.

. . . Troskałem się “około wiela”, aleć jednego tylko było mi potrzeba. — grobu. Ten ci jest dom wieczny i podścielisko pokoleń, które przeminęły i które przyjąć mają.

. . . Acz lepszem byłoby, iżby nie przychodziły, bo to “co się żywot mieni, męka i wojna jest.”

. . . Ale przyjdą i przeminą. O śmierci, ty jesteś życiem świata.

. . . Ale i śmierć zaś rozwiązana będzie, a gdy jej usta nie znajdą w prochu ani jednej iskry do zdmuchnięcia — wtedy nastanie mir i wieczna cisza. . . .

Nagle stuknęło coś. To koła wozu zaczepiły się o cmentarne wrota.

ZGODA
Edward C. Rozanski, Editor
(Polish Section)
6100 N. Cicero Ave.
Chicago, IL 60646

133676



PUERTO VALLARTA 1985

TO BYLY WAKACJE !!



1985
MAY 10 1985
MEXICO

